



JILLIAN
LAUREN

*Moje życie
w haremie*

Lauren Jillian

Moje życie w haremie

Adoptowana przez zamożne nowojorskie małżeństwo, ale skonfliktowana z rodzicami Jillian opuszcza dom w wieku szesnastu lat. Wiąże się z alternatywnym teatrem na Broadwayu i zaczyna dorabiać jako striptizerka, a następnie jako ekskluzywna call girl. Marzy o karierze aktorskiej. Z braku perspektyw przyjmuje ofertę zatrudnienia za duże pieniądze w charakterze dziewczyny do towarzystwa w Singapurze - w rzeczywistości ląduje w Brunei i zostaje jedną z kilkudziesięciu kobiet tworzących harem księcia Jefriego, młodszego brata sułtana. Jako faworyzowana, potem trzymana na dystans kochanka spędza (z przerwą na pobyt w Ameryce) osiemnaście miesięcy w złotej brunejskiej klatce, opływając w ekskluzywne ciuchy i kosztowności, uczestnicząc w niekończących się imprezach i przyjęciach. Stapa po wykończonych złotem dywanach i rywalizuje o względy księcia z grupą gotowych na wszystko ślicznotek. Prowadzi dziennik. Kiedy w końcu wraca do domu, otrzymuje w prezencie tyle cennej biżuterii że, jak sama pisze, "powinna podróżować z obstawą".

*Być może przyjdzie ci żyć w biednej izdebce
Być może przyjdzie ci żyć w innej części świata
Być może będziesz siedział za kierownicą limuzyny
Być może będziesz mieszkał z piękną żoną w pięknym domu
I być może zadasz sobie pytanie, hm... jak się tu znalazłem?*

Fragment piosenki zespołu Talking Heads

Prolog

Żona sułtana nie dochowała mu wierności, więc ściął jej głowę i napiętnował wszystkie kobiety jako grzeszne i zasługujące na karę. Co noc wielki wezyr przyprowadzał mu nową dziewicę, sułtan ją poślubiał, a rano kazał zabijać. Po wielu takich krwawych wschodach słońca najstarsza i najukochańsza córka wezyra poprosiła go, żeby to ją zaprowadził do sułtana na kolejną noc. Wielki wezyr protestował, lecz ona nalegała, a znana była w całym królestwie ze sztuki perswazji. Pod koniec dnia sułtan brał ślub z córką wezyra, a ten rozpaczał w swojej komnacie niezdolny uczestniczyć w uroczystości.

Początkowo noc poślubna jego córki nie różniła się od nocy poślubnych nieszczęsnych dziewczyc, które przed nią kładły się z sułtanem do małżeńskiego łóża, ale gdy zbliżał się ranek, najnowsza żona zaczęła snuć ciekawą opowieść. Nic skończyła jej, choć różowy brzask świtu przebijał się już przez zasłony. Sułtan, pragnąc usłyszeć koniec historii, nie

zdecydował się na egzekucję żony i darował jej jeden dzień życia.

Następnego dnia doczekał się zakończenia, ale zanim słońce wzeszło nad kopułą pałacowego meczetu, żona rozpoczęła drugą baśń, a była ona równie frapująca jak ta pierwsza. Podczas żadnej z tysiąca i jednej nocy narratorka nie kończyła rozpoczętego opowiadania, sułtan zaś miał dość czasu, by ją pokochać. Darował jej życie, gdyż serce mu zmiękło i powróciło zaufanie do kobiet.

To jest oczywiście legenda o Szeherazadzie. Historia wielkiej bajarki. My też, drodzy czytelnicy, wciąż kładziemy głowę pod topór z nadzieją, że nas oszczędzicie, że zapragniecie kolejnej opowieści, że nas za nie pokochacie. Szukamy takich, które mogą uratować nam życie.

Tysiąc i jedna noc. Prawie trzy lata. Niemal tyleż czasu ciągnie się akcja tej narracji. Czyjej posłuchacie? Zbliża się ranek.

Rozdział 1

W dzień wylotu do Brunei wsiadłam do metra jadącego do Beth Israel. Taszczyłam swoją walizkę w zielone kwiaty. Poprzednim razem służyła mi, kiedy wyprowadzałam się z pokoju w akademiku Hayden Hall, żegnając się na zawsze z Uniwersytetem Nowojorskim. Wyciągałam ją wtedy z trudem z windy, jakoś dotarłam na ulicę i przewiozłam tak-sówką do Lower East Side, gdzie koleżanka koleżanki miała pokój do wynajęcia. A jeszcze wcześniej pomagała mi ją rozpakowywać matka. Wydobywałyśmy z niej wówczas moje jesienne studenckie ciuchy, oznakowane inicjałami piżamki i foliowe woreczki z ciasteczkami domowego wypieku. Za każdym razem, gdy rozsuwałam zamek błyskawiczny tej walizki, jej zawartość przypominała o planach, które nie wypaliły. Pakowałam ją, podejmując kolejne wyzwanie. Dźwignęłam walizkę, pokonałam trzy stopnie w górę, nabrałam oddechu i znowu dźwignęłam, aż wreszcie prostokąt światła u szczytu schodów otworzył się na zgiełk Fourteenth

Street. Pod zimowym płaszczem wyczuwałam mokrą od potu bluzkę. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że zapakowałam tak wiele rzeczy. Kiedy godzinami stałam przed szafą, marzyło mi się, iż za sprawą magii załśni srebrem i złotem bajkowa suknia, chwycą ją w dzióbki ptaszki i przyfruną z nią do mnie przez drzwi. Szykowałam się przecież na królewski bal, do cholery. Wybierałam się w podróż, żeby spotkać księcia. Czyżby moja dobra wróżka zamierzała pozostawić mnie z tak nędzną kolekcją ubrań, że nie miałam w czym wybierać? Najwyraźniej tak było.

Ostatecznie zdecydowałam się na dwa eleganckie kostiumy, trzy suknie w klimacie lat pięćdziesiątych, które miałam na sobie na balach studenckich, kilka seksownych ciuchów w stylu buduarowym, dwie hipisowskie letnie kiecki, odjazdowe spodnie ze skóry oraz błyszczące legginsy. Wszystko to było niezupełnie stosowne, natomiast sporo ważyło. A może najbardziej ciążyło mi jednak brzemie winy, gdyż za chwilę miałam popełnić akt dezercji, opuszczając chorego ojca, by przeżyć przygodę w obcym kraju. Tak czy owak, wybierania się w podróż z lekkim bagażem musiałam się jeszcze nauczyć. Póki co wmieszałam się w strumień pieszych, dając się nieść zbiorowej determinacji osiągnięcia celu, którym w moim przypadku był szpital.

Tego dnia mój ojciec był operowany z powodu przepukliny rozworu przełykowego, dolegliwości polegającej na tym, że część żołądka wyslizguje się przez otwór w przeponie i dostaje się do przełyku. Niebezpieczeństwo wiąże się z tym, że uciśnięty żołądek może zostać odcięty od normalnego dopływu

krwi. Zaburzenie to występuje najczęściej u ludzi otyłych i osób wyjątkowo podatnych na stres, a w przypadku ojca zbiegły się obydwaj czynniki. W 1991 roku operacja przepukliny rozworu przełykowego wiązała się z ryzykiem, była poważnym zabiegiem inwazyjnym, który wymagał cięcia zaczynającego się od mostka i przechodzącego aż na plecy.

Obiecałam matce, że może liczyć na moją pomoc, ale gdy pojawiła się sprawa pracy w Brunei, zmieniłam zdanie.

Cechujący mnie wewnętrzny przymus przemieszczania się z miejsca na miejsce mam prawdopodobnie zakodowany w genach. Moja biologiczna matka dała mi na imię *Mariah*, inspirowana piosenką *Mariah to wiatr* ze słynnego broadwayowskiego musicalu *Pomaluj swój wóz*. Być może wiedziała, że wkrótce odleczę od niej w podniebnej kołysce zwanej 747. Pierwotne imię nie przylgnęło do mnie. Matka adopcyjna odrzuciła je i znikąd nie czerpiąc inspiracji, przemianowała mnie na Jill Lauren, bo po prostu tak jej się podobało. Sama zajmowała się kiedyś amatorsko aktorstwem i jej zdaniem Lauren nadawało się na imię sceniczne, a nie wykluczała, że mogę takiego potrzebować. Rzeczywiście dobrze mi służy.

Być może wiatr użyczył mi swego imienia, ale naprawdę jestem z trygonu ognia, jestem dzieckiem żaru i słońca. Urodziłam się w połowie sierpnia 1973 roku w Highland Park, w stanie Illinois. Orzeczenie Sądu Najwyższego w przełomowym procesie aborcyjnym Jane Roe przeciwko stanowi Teksas zapadło dwudziestego drugiego stycznia 1973 roku, a zgodnie z nim moja biologiczna matka, która była wtedy

w trzecim miesiącu ciąży i wciąż tańczyła na scenie okryta warstwami puchu, otulającymi ją przed chicagowską zimą, kwalifikowała się jeszcze do wolnej decyzji o aborcji. Nie wiem, czy rozważała taką możliwość, gdy jej szczupłe ciało baletnicy niezauważalnie traciło zręczność i wymykało się spod kontroli, gdy jej kochanek lekkoduch któregoś dnia zabrał ich samochód, podążył na wschód i nigdy nie wrócił, gdy wiatr od jeziora zamienił breję na ulicach w skorupy lodu i kasał boleśnie każdy centymetr odsłoniętej skóry, wrażliwszej z powodu ciąży.

Ponad tysiąc kilometrów stamtąd, w West Orange w stanie New Jersey, w niezbyt eleganckim apartamentowcu usytuowanym naprzeciwko szpitala Saint Barnabas, młody makler giełdowy i jego żona rozpaczali, że nie mogą mieć dzieci. Były to czasy pokątnie załatwianych adopcji, wręczania pieniędzy do ręki, okres rozkwitu szarej strefy, jak mawiał mój ojciec. Moi rodzice nawiązali kontakt z prawnikiem, który znał kogoś, kto znał kogoś, kto znał ciężarną dziewczynę z Chicago poszukującą możliwości oddania dziecka do adopcji. Tenże prawnik został później pozbawiony uprawnień adwokackich, a nawet skazany na więzienie za pośrednictwo w takich adopcjach, ponieważ kupowanie i sprzedawanie dzieci jest oczywiście procederem nielegalnym.

Dzieci oferowane na czarnym rynku nie były tanie. Moi rodzice nie byli jeszcze zamożni, ale marzyli o rodzinie. Jadali skromnie, nosili stare buty i czekali. Czekali, patrząc, jak sąsiedzi napełniają wodą plastikowe baseniki dla swoich pociech. Czekali, a matka nigdy nie odmawiała uczestnictwa

w *baby shower* i wracając do domu z takiego przyjęcia na cześć nienarodzonego jeszcze dziecka, wyrzucała do kosza kolejną pamiątkową, napelnioną żelkami butelkę niemowlęcą. Więc rodzice czekali i unikali poruszania bolesnego tematu, rozmawiając o giełdzie, tenisie, sąsiadach, aż wreszcie zadzwonił prawnik i kazał im wsiadać do samolotu, bo właśnie urodziła się ich córka. Matka była wtedy zatrudniona jako pracownik socjalny, ale zaklina się, że odebrała jego telefon w domu, gdyż tego dnia nie poszła do pracy z powodu niewyjaśnionych bólów brzucha, bez wątpienia urojonych bólów porodowych.

W małym mieszkanku z jedną sypialnią gnieździł się przez dwa lata, ale przez ten czas firma maklerska ojca rozwinęła się i rodzice mogli kupić dom w sąsiednim mieście z prestiżowym kodem pocztowym i dobrą szkołą publiczną. Wychowywałam się w miejscowości, w której aparat ortodontyczny nosiło się obowiązkowo, a operacja plastyczna nosa była tradycyjnym podarunkiem z okazji cudownej szesnastej rocznicy urodzin.

W tamtych wczesnych latach ja i ojciec byliśmy zafascynowani sobą niemal jak kochankowie. Cenił sobie najbardziej dobrą prezencję i osiągnięcia, więc starałam się udowodnić, że jestem ponad wiek rozgarnięta intelektualnie, dobrze wysportowana, umuzykalniona — robiłam wszystko, żeby mnie podziwiał. Kiedy coś mi nie wychodziło, oszukiwałam lub blefowałam. Ojciec miał bzika na punkcie swojej nieletniej kumpelki, a dla mnie był królem świata. Każdego dnia czekałam na podeście na zgrzytnięcie drzwi garazowych

i biegłam, by go powitać, gdy tylko ukaże się w lśniących jak zawsze butach i przydającym powagi garniturze Brooks Brothers.

O biologicznej matce rodzice powiedzieli mi tylko tyle, że była baletnicą. W fantazjach wyobrażałam ją sobie jako ludzkich rozmiarów replikę malutkiej tancerki wirującej w wyłożonej satyną ukochanej pozytywce. Moja plastikowa baletnica miała czerwone włosy namalowane leciuteńkim pociągnięciem pędzelka i kończyny grubości wykałaczki. Nigdy nie traciła równowagi, nigdy nie opuszczała rąk. Więc i biologiczną matkę widziałam w wyobraźni zastygłą w pięknej arabesce, spowitą białym tiulem i z tiarą z błyszczących płatków śniegu we włosach.

Do oporu nakręcałam pozytywkę, rozbrzmiewały dźwięki *Jeziora łabędziego*, najpierw w przyspieszonym tempie, potem wolniej, by z pobrzękiwaniem zamilknąć. Ale następował taki moment, kiedy plastikowa figurka obracała się z odpowiednią szybkością. I wtedy podnosiłam ręce i też tańczyłam. Między zbyt szybko a zbyt wolno była ta chwila doskonałej synchronizacji naszych obrotów.

Obraz matki adopcyjnej z tamtych czasów jest zamazany i kojarzy mi się głównie z długimi czerwonymi paznokciami. Ona to ręka, która smaruje mi pryszcz na nosie maścią cynkową, to dostawca precli i batonów, to Syzyf w naszej kuchni. Być może taki jest los wszystkich matek — zdegradowane do powszedniości, są skazane na niedostrzeżenie.

Teraz to rozumiem, gdy widzę na basenie moje koleżanki, jak uganiają się za dziećmi z kremem z filtrem przeciwsłonecznym, koniecznie mineralnym, bez chemii.

Pewna jestem, iż moje wspomnienia nie całkiem odpowiadają prawdzie, ale pamiętam, że to ojciec reagował na mój płacz, gdy budziły mnie koszmary nocne, on wycierał mnie ręcznikiem z potu i głaskał po głowie, póki znowu nie zasnęłam. On z zapalem trenował moją szkolną drużynę soccerową i softballową. On zabrał mnie do Lincoln Center na *Jeziro łabędzie* i odkrył przede mną cudowny świat dziewcząt wirujących po scenie z lekkością śnieżynek.

Pochłaniałam wzrokiem baletnice, które w świetle reflektorów jaśniały błękitną bielą, i marzyłam, żeby być tam gdzie one. Pochłaniałam je wzrokiem i wydawało mi się, że rozumiem, dlaczego biologiczna matka oddała mnie do adopcji. Trzeba coś stracić, by czuć się lekką jak piórko, być podziwianą i wolną — miała wystarczający powód do pozbycia się kłopotów z dzieckiem.

Tłum wypluł mnie przy wejściu do szpitala Beth Israel. Choć nie objawiła się dobra matka chrzestna, która by mi podarowała olśniewające kreacje balowe, to przynajmniej miałam taką, która dodawała mi odwagi. Odkąd w wieku lat szesnastu usłyszałam po raz pierwszy *Easter* i nabrałam przeświadczenia, że Patti Smith jest nieomylnym barometrem wszystkiego, co słuszne i fajne, odtąd w obliczu każdej trudnej decyzji zadawałam sobie pytanie, co zrobiłaby na moim miejscu Patti Smith. Decyzje musiały być na jej miarę: radykalne, oznaczające, że idę na całość. Rozstrzygając w sprawie podjęcia pracy w Brunei, wybierałam między

dwoma możliwościami: pojechać czy zostać? Co zrobiłaby Patti Smith? Ona by pojechała. Wsiadłaby do samolotu lecącego do egzotycznego kraju i nawet nie obejrzałaby się za siebie. Otwierając szpitalne drzwi, widziałam oczami duszy, jak sadowię się w fotelu lotniczym i po chwili patrzę na uciekające w dole miasto.

Znalazłam się w eleganckim holu, jakiego bym w szpitalu nie oczekiwała, ale moje oczy wyszukały niepokojące szczegóły — sztuczną wesołość wystroju sklepienia z podarunkami, ledwie widoczny pasek brudu na styku podłogi ze ścianą. Prawdę powiedziawszy, ilekroć miałam zobaczyć się z ojcem, choćby był w najlepszym stanie zdrowia, skręcał mi się żołądek i mrówki przebiegały po plecach.

Gdy skończyłam dwanaście lat, moja miłość do ojca skończyła się złamanym sercem jak większość romansów. Lata uczęszczania do szkoły średniej i następne to okres nieustającej walki między nami, ze sporadycznymi aktami przemocy, gdyż nie mógł znieść, że wymykam mu się spod kontroli. On kompulsywnie żarł i zamieniał się w ziejącą wściekłość górną tłuszczu, ja z kolei głodziłam się i tym samym kurczyłam jako obiekt jego napaści. Dzięki kilkuletniej terapii przebaczył sobie, ale terapię przerwał, zanim nauczył się nie obwiniać wszystkich innych za własne niepowodzenia. Jak tradycyjny żydowski rodzic wciąż pielęgnuje w sercu nadzieję, że gdy umrze, ja do końca życia będę żałowała, że zachowywałam się wobec niego wrednie. Uwielbia piosenkę *Something Wonderful* z musicalu *Król i ja*, to dla niego tekst o znaczeniu symbolicznym.

Zadzwoił do mnie wieczorem przed operacją.

— Cześć, skarbie. Siedziałem sobie na kanapie przed kominkiem i oglądałem musical *Król i ja*. Kiedy Lady Thiang śpiewała *Something Wonderful*, pomyślałem, że śpiewa o mnie. Mój ojciec jest chyba jedynym człowiekiem na świecie, który mógł wpaść na taki pomysł. Dzwoni do ciebie, żeby powiedzieć, że właśnie wysłuchał tej piosenki i że utożsamia się z jej bohaterem. Nienawidziłam go za takie nedorzeczne telefony, które miały służyć wymuszaniu pożądanых deklaracji uczuciowych z mojej strony. *Something Wonderful* to liryczna piosenka dedykowana niedoskonałemu, ale pełnemu uroku królowi i odczytywanie jej jako przepowiedni dla siebie to absurd. Jeżeli nie jesteś potężnym władcą, nie tańczysz walca jak Yul Brynner, nie rób ryzykownego założenia, że masz nieprzemijający urok, który zrównoważy zachowania na poziomie nadętego dupka. Skoro mój ojciec w krytycznym momencie przywoływał przesłanie z *Something Wonderful*, ja mogłabym się zrewanżować tekstem *Mnie na gorsze rzeczy stać z Grease*.

Są gorsze rzeczy niż przyjęcie oferty pracy, która wymaga wylotu do Brunei w dniu operacji ojca. O tym, że w ogóle istnieje południowoazjatycki sułtanat Brunei, dowiedziałam się zupełnie niedawno. A informacja o rodzaju pracy była, delikatnie mówiąc, zdawkowa, ale ja snułam fantazje, że przeżyję tam niezwykłą przygodę, że czeka na mnie kupa pieniędzy, a pracodawcą będzie książę z bajki. Dla mnie to była okazja wyrwania się z nowojorskiej cyganerii i przestylizowania się na produkt eksportowy, być może kochankę

zaklętego księcia lub bohaterkę powieści szpiegowskiej. Myśląc bardziej realistycznie, podejrzewałam, że podpisałam kontrakt, który czynił ze mnie międzynarodową quasi-prostytutkę. Mnie na gorsze rzeczy stać.

Uprzedziłam rodziców, że tego dnia opuszczę miasto. Powiedziałam im, że dostałam ważną rolę w filmie kręconym w Singapurze i muszę natychmiast wyjeżdżać. Licząc się z tym, że po jakimś czasie zapytają o premierę, miałam przygotowaną wymówkę: moją rolę wycięto. Oczyszczałam sumienie z tych kłamstw, wyobrażając sobie, że marzenia o sławie się urzeczywistnią i przestaną być zmyśleniami. No dobrze, raczej nie zagram w filmie kręconym w Singapurze, ale moje rychłe gwiazdorstwo jest nieuchronne, a wtedy drobne kręactwa nie będą miały znaczenia.

Rodzice wierzyli, że zrobię karierę aktorską, i ze stoickim spokojem przyjęli nowinę o moim wyjeździe. Jeszcze zanim wsiadłam tamtego dnia na pokład samolotu, zaczęli się psychicznie przystosowywać do mojej nieobecności. Pogodzili się z tym, że mają marnotrawną córkę, która będzie stale poza domem na kolejnej egzotycznej eskapadzie, na jaką mało kto z ich otoczenia by się decydował. Wtedy w szpitalu Beth Israel już byli pogodzeni z czekaniem na powrót pełnego skruchy dziecka.

Siedziałam z matką i ciotką w poczekalni na oddziale intensywnej terapii, na oparciach wygodnych kubelkowych, krzeseł powiesiłyśmy nasze płaszcze. Moja ciotka to niegdysiejsza hipiska, nosi ekstrawaganckie fryzury, w latach sześćdziesiątych żyła w młodziżowych komunach, brała LSD

i sypiała na paryskich dachach — marnotrawna córka z urodzenia. Kiedy spotykam się z ciotką, rozpoczyna się prawdziwy maraton gadulstwa, lecz tym razem nie przychodził nam do głowy stosowny temat. Skupiłyśmy więc uwagę na ekranie telewizora zawieszzonego w kącie pod sufitem, a padały właśnie odpowiedzi w *Jeopardy**. Wszyscy w rodzinie mają bzika na punkcie tego teleturnieju. Mnie ujęła jego zgodna z zen zasada: wszystkie odpowiedzi są pytaniami. Moja babka przed samą śmiercią bez trudu radziła sobie z całą planszą, nawet w stanie otumanienia morfiną. Teraz razem z ciotką jednocześnie podniosłyśmy ręce i odpowiedziałyśmy unisono:

— Kim jest Tomasz Mann?

— Co to jest Kanał Panamski?

Brakowało mojego brata Johna, przebywającego w kolejnej szkole z internatem i najprawdopodobniej pochłoniętego w tym momencie ideą założenia hodowli grzybów halucynogennych lub planem urwania się z akademika na koncert zespołu Phish. Matka siedziała cicho, czytała. Miała stylową fryzurę à la bob, rozświetloną pasemkami, a brylantowe kolczyki pobłyskiwały w świetle jarzeniówek. Bo w sytuacjach krytycznych moja matka błyszczy — w szpitalach, na pogrzebach, w grupach wsparcia. To kobieta, którą chcesz mieć koło siebie, gdy świat się wokół wali. Nie chcę powiedzieć, że nie martwiła się o ojca, wieczna troska to jej stan naturalny. Kiedy umierała babka, matka nie skąpiła mi nauk: w szpitalu trzeba się czuć jak w domu, masz wiedzieć, gdzie trzymają

* **Polska edycja tego programu to *Va banque* prowadzony przez Kazimierza Kaczora.**

lód, musisz pilnować godzin przyjmowania leków i koniecznie zaprzyjaźnić się z pielęgniarkami. Jeżeli będziesz siedziała cicho i czekała, aż ktoś przyniesie ci szklanę wody, na pewno skonasz z pragnienia.

Poszliśmy we trzy do szpitalnej kafeterii, żeby coś zjeść. Nad ledwie ciepłą, kleistą *lasagne* siedzieliśmy zgarbione jak reszta ludzi tutaj, którzy grupkami zajmowali inne stoliki. Z kąta okupowanego przez lekarzy w szpitalnych kitlach gruchnął śmiech. Trudno mi było sobie wyobrazić, żebym mogła tu jadać codziennie. Doktor Foster, który operował ojca, stał przy rechoczących lekarzach. Przystojny młody facet z nastroszoną czarną czupryną, w rogowych okularach. Omiótł spojrzeniem salę, przez chwilę jego oczy spoczęły obojętnie na nas, by powędrować dalej. To egzotyka tego fachu: znajdujesz się w jednym pomieszczeniu z rodziną człowieka, w którego wnętrznościach dopiero co grzebałeś, i nawet nie skiniesz głową.

Odprowadziłam go wzrokiem. Kiedy rozmawialiśmy zaraz po operacji, wyczułam próbę podrywu z jego strony. (Jakby to była sposobna chwila). Padła nawet zawołowana, ale czytelna propozycja spotkania przy drinku któregoś dnia. Niejednokrotnie wyobrażałam sobie siebie w równoległej rzeczywistości, byłam Jill dokonującą innego wyboru: lekki skręt w bok i już jestem na nowej drodze.

W tamtym momencie imaginowałam sobie, że ta druga Jill zostaje w Nowym Jorku, nadaje zdarzeniom inny bieg, przestaje gonić za sławą i fortuną i poddaje się dyktatowi środowiska, w jakim się wychowała. Umawia się na drinka z doktorem

Fosterem. Łąduje w życiu jako doktorowa. Dba o nienaganną figurę, na tenisa chodzi do prestiżowego klubu, na palcu nosi pierścionek z dwukaratowym brylantem. Realizuje się jako matka i działaczka charytatywna. Czyta ekskluzywne magazyny wnętrzarskie i kulinarne i zadaje sobie trud przyrządzania domowego spaghetti, lecz nie pozwala sobie na zjedzenie więcej niż paru kęsów. Weekendy spędza w snobistycznym Hamptons, a coroczne dwutygodniowe wakacje na Karaibach.

Z matki jak zawsze emanował spokój męczennicy idącej na stos. Nigdy nie walczyła z losem. Nigdy nie podjęła próby wyrwania się z oków małżeństwa z despotycznym człowiekiem, który stale ją poniżał. Zastanawiałam się, czy niekiedy wyobrażała sobie jak ja alternatywną rzeczywistość. Czy cofała się myślą do momentów, gdy stawała niepewna na rozdrożu, czy też miała przekonanie, że siła wyższa kierowała igłą jej kompasu, skazując ją dokładnie na takie, a nie inne życie.

Wróciłyśmy z lunchu, zalegała mi kulka sera w żołądku, ojciec właśnie budził się z narkozy. Pielęgniarka poinformowała nas, że na salę intensywnej terapii nie możemy wejść razem, tylko pojedynczo, więc pierwsza poszła matka. Pojawiła się z powrotem po piętnastu minutach i nie zdradzając żadnych emocji, powiedziała tylko, że mam wejść jako następna, bo tak sobie życzy ojciec.

Balansował na granicy przytomności i nieprzytomności, oplatały go setki rurek i drutów. Schudł ponad dwadzieścia kilo w tak krótkim czasie, że skóra nie zdążyła się skurczyć do rozmiarów ciała. Wisiała na nim jak za duże ubranie. Cały skarłał.

Mam zdjęcie ojca ze mną, kiedy byłam niemowlakiem. Leży na łóżku, a ja śpię na jego brzuchu. Był wtedy dla mnie olbrzymem wielkim jak góra. Wydaje mi się, że ten moment pamiętam. Wiem, oczywiście, że to triki pamięci, zlanie się w jedno oglądanych zdjęć i rzeczywistości. Przysięgłabym jednak, że mam utrwalone wspomnienie swojej głowy blisko jego bijącego serca.

Niespokojne, przekrwione oczy ojca obiegały pokój.

— Boli. — Z trudem wydobywał głos.

— Niedługo poczujesz się lepiej.

— Nie wiedziałem, że będzie tak strasznie bolało. Stałam przy nim, trzymając go za rękę, a od zaciśniętych

zębów po palce stóp czułam narastające we mnie napięcie. Zegarek na ręku wskazywał dziesięć minut po czasie, w jakim powinnam wyjść, żeby zdążyć na samolot.

Opowiadałam o przełomowej nowej roli filmowej. Wydawało się, że go to cieszy.

— Duża rzecz — rzekł.

Mogłam po prostu nie pojechać na lotnisko, zostać i iść na drinka z doktorem Fosterem, ale to nie wchodziło w rachubę. Byłam absolutnie pewna, że nie tędy wiedzie droga, chociaż moja przyszłość rysowała się niejasno. Obiecałam ojcu, że codziennie będę dzwoniła z Singapuru. Pocałowałam go w policzek i wyszłam.

Na odchodnym usłyszałam jego szept:

— Uwierz w swoją gwiazdę, Jilly, i wspinaj się na szczyt. Okłamałam go. I opuściłam. W windzie rozplakałam się

z żalu, że on cierpi, że wszystko między nami się popsuło,

że moja lekkomyślność staje się niebezpieczna. Jednak łązy mi wyschły, gdy tylko usadowiłam tyłek na winylowym siedzeniu taksówki. Wszystkie żale i wątpliwości przyćmiła radość z wyjazdu — zielona walizka w kwiaty w bagażniku, przez opuszczoną szybę zagłada zaskakująco ciepły jak na zimę dzień, a w kieszeni trzydzieści dolarów. Łagodniejąc z wiekiem, ojciec stworzył nową wersję naszej wspólnej historii, zmieniając wraz z nią opinię o mnie. Teraz wzrusza go do łez i cieszy każdy kamień milowy w moim życiu, począwszy od małżeństwa po magisterium. Takie wydarzenia kwituje niezmiennie zdaniem nawiązującym do Frosta: „Moja córka wybrała mniej uczęszczaną drogę i to właśnie wszystko odmieniło”.

Wyświechtanym frazesem udaje mu się mnie pochwalić i jednocześnie napiętnować jako outsidera. Chciałabym mu wykrzyknąć, żeby uważnie przeczytał ten wiersz i raczył zauważyć, iż obydwie drogi są do siebie podobne. Wędrowiec wyobraża sobie jedynie, że jedna z nich jest mniej uczęszczana.

Z moich rozwidlających się dróg wybrałam tę dzikszą. Ja sama chciałam taką być.

Rozdział 2

Podróż do Brunei trwała trzy doby z postojami na nocleg w Los Angeles i Singapurze.

Długie godziny w samolocie to była okazja do refleksji nad sobą.

Obecnie moje życie toczy się w spowolnionym tempie, falującym jak przybywanie i ubywanie księżyca, a upływający czas obchodzi się ze mną delikatnie — zauważam leciutkie pogłębienie fałd marionetki, słabszy tonus mięśniowy w pozycjach jogi, osłabienie, być może, jakiejś przyjaźni, narodziny nowej. Podejmuję niekończące się próby zerwania ze złymi nawykami i przyswojenia sobie nowych, zdrowszych. Nie udaje mi się ani jedno, ani drugie, co nie ma większego znaczenia. Już nie. Czasami kupuję bilet lotniczy. Zdarzają się narodziny i śmierci, radości i tragedie. Natomiast kiedy wsiadałam na pokład samolotu lecącego do Singapuru, miałam wiele spraw do przemyślenia z przeszłości i jeszcze więcej nadziei na przyszłość. Wtedy moje życie było rozpędzoną cię

zarówką przeskakującą betonowe zapory i zmieniającą kierunek ruchu dosłownie co pięć minut.

Miałam discmana i słuchałam Talking Heads. Pytałam siebie słowami ich piosenki *And you may ask yourself, well... how did I get here?*

Możecie mi zadać to samo pytanie. Jak się tu znalazłaś? Taka sympatyczna dziewczyna jak ty w drodze do haremu... Pozwólcie mi cofnąć się w czasie.

Zaczęło się w East Hampton od szalonego sprintu przez plażę dobrze po północy w lodowatym chłodzie listopadowym. Z wyrazem potwornego strachu na twarzy startuję do biegu, wzdłuż oświetlonych reflektorami wydm. Sypki piasek zapada się pod reebokami, więc biegnę w spowolnionym tempie, jakby się to działo we śnie. Przedemną na piachu mającą wydłużone cienie. Reżyser, zanim krzyknął: „Akcja!”, powiedział mi jedynie, że na wyznaczonej trasie nie wolno mi przeoczyć trzech punktów, trzech słabo widocznych worków z piaskiem i każdy z nich muszę kopnąć. Mam na sobie prowokacyjny żółto-niebieski strój cheerleaderki zapinany z boków na rzepy, a kasztanowe włosy ściągnięte w dwa kucyki przewiązane żółtymi kokardami. Czuję suchość w gardle od słonego powietrza, moje gołe ręce i nogi pokrywa gęsia skórka. Przed trzema miesiącami skończyłam osiemnaście lat, naprawdę mogłam być cheerleaderką.

Przy kopnięciu w pierwszy worek, pod niefortunnym kątem, doznaję urazu kostki.

Tymczasem, zgodnie ze scenariuszem,

z ciemności wysuwa się upiorna ręka i zrywa ze mnie top. Wydaję okrzyk przerażenia godny Janet Leigh i z gołym biustem biegnę dalej do następnego punktu, czując ostre dźgnięcia bólu w nodze.

Nie do uwierzenia, że to ja i że to dzieje się naprawdę. Jestem Patti Smith w kucykach i wrzeszczę ile sił w płucach, a kamera pracuje — Jill znalazła się wreszcie przed kamerą. Miałam gdzieś to, że film był głównianym horrorem o wampirach, kręconym dla jakiejś lokalnej telewizji na Florydzie. To był film. To był mój debiut. Pierwszy kamień na wybrukowanej żółtą kostką drodze do spełnienia marzenia, które miałam od zawsze — zostać wielką gwiazdą sceny i ekranu. Bezskrytycznie kochaną, nie do zastąpienia, żebym już nigdy nie krążyła na orbicie czegokolwiek.

Ten film, ten najniższy szczebel na mojej drabinie do sukcesu, nosił tytuł *Valerie*. Valerie, licealistka, miała obsesję na punkcie wampirów, aż wreszcie sama przemieniła się w wampira i zaczęła siać postrach w szkole. Na ogłoszenie w „Back Stage” odpowiedziałam dwa tygodnie wcześniej i w następstwie znalazłam się w ceglanym szeregowcu w Newark, w jednym z takich, w jakich mieszkają starsze samotne Polki. To przesłuchanie różniło się od większości castingów, w których brałam udział, kiedy to trafiałam do studia agencji castingowych z prawdziwego zdarzenia i czekałam w tłumie dziewcząt, które odwrócone do ściany powtarzały teksty, niemo poruszając ustami, podnosząc i opuszczając brwi. Newark trochę znałam. Moja rodzina to jeden ze starych żydowskich rodów w tym mieście, nasi osiemdziesięciolat-

kowie udzielają wywiadów etnohistorykom. Mój prapradziadek i jego rodzeństwo, znani mi z fotografii w tonacji sepii, przybyli statkiem z żydowskiego miasteczka w Polsce. Jeden zaczynał od wózka z owocami, otwierał potem sklep spożywczy, aby stworzyć sieć takich sklepów. Drugi roznosił gazety, dostawał na wymianę pióra, a kończył, wypisując recepty. Byli lekarzami, dentykami, przedsiębiorcami i magnatami handlu nieruchomościami. Wspierali budowę najstarszej synagogi w Newark, gdzie odbyły się uroczystości mojej bat micwy i bar micwy mojego brata. Zapytajcie mojego ojca, a wszystko wam opowie. Nasza rodzina przyczyniła się do rozbudowy Newark. Kochamy Newark. Ojciec już dawno opuścił to miasto, za to jego rodzice wynieśli się ze swojej ulicy jako ostatnia rodzina białych. Stało się to dopiero po przejściu mojego dziadka na emeryturę, kiedy on i babka uznali, że są za starzy, żeby utrzymywać duży dom. Ojciec, chociaż mieszka teraz na zamożnym przedmieściu, oddalonym o dwadzieścia minut jazdy, bez wahania powie, że nie jest snobem, że nadal jest chłopakiem z Newark. Przyznaję, że jest człowiekiem sentymentalnym. Zabierał mnie, małą jeszcze dziewczynkę, na przejażdżki w białej cordobie i pokazywał stary dom na Lyons Avenue, liceum Weequahic, cmentarz żydowski. Tyle mi naopowiadał, że ulice Newark stały się dla mnie miejscem swojskim, chociaż nigdy tam nie mieszkaliśmy i nawet nie zdarzyło się, żebyśmy wysiedli tam z samochodu. Z tego powodu miałam wrażenie, że rozpoznaję szeregowy dom, gdy dotarłam pod adres zapisany na kartce, którą miałam

w torebce. Zapukałam do drzwi, otworzył mi reżyser filmu, ogarnęłam okiem wylewny uśmiech, koński ogon z rzadkich włosów i niemodny fason džinsów. Zaprowadził mnie do salonu, gdzie każdą drewnianą powierzchnię pokrywała pajęczyna koronkowych serwetek, a tapicerkę chroniły foliowe pokrowce; to musiał być dom jego matki. Stolik do kawy odsunięto pod ścianę, a na jego miejscu ustawiono trójnog z kamerą filmową wielkości tosterka.

Stałam przed nią do przesłuchania, które sprowadziło się do zdjęcia bluzki i próbki wrzasku. Reżyser i jego asystent zmarszczyli czoła i zapisali coś w notatnikach przy drażniących ucho odgłosach ugniatanych pokrowców. Zadzwonili do mnie dwa dni później z informacją, że zostałam wyselekcjonowana na Ofiarę Pierwszą. Reżyser powiedział mi także, iż facet, który grał Eddiego Munstera, to jego kuzyn, więc są spore szanse na sukces naszego projektu.

Mówi się, że nie ma małych ról, są tylko mali aktorzy, niestety wtedy nie wiedziałam jeszcze, że ten aforyzm mija się z prawdą. Przyjęłam ich ofertę.

*

Biegnę do drugiego punktu, w kadrze znowu pojawia się ręka, zrywa ze mnie spódniczkę. Mój wrzask jest mniej przejmujący, brakuje mi tchu. Ostatni odcinek morderczej trasy pokonuję w samych majtkach, skarpetkach i adidasach. Zamach nogą w ostatni worek z piaskiem i przede mną wyłania się, blokując mi drogę, Maria, aktorka grająca Valerie.

Wrzask. Cięcie.

Maria, widmowo wyglądająca blondynka, była bez wątpienia anorektyczką. Sine obwódki, których nie zdołała przykryć gruba warstwa białego makijażu, okalały jej oczy porównywalnie sinej barwy. W niechlujnej nocnej koszuli, w jaskra-wobiałym świetle reflektorów wyglądała jak kosmitka z czaszką nieproporcjonalnie wielką w stosunku do elfiego ciała. Dlaczego ta dziewczyna była gwiazdą, a ja tylko Ofiarą Pierwszą? Czekając, aż skończą się przygotowania do następnego ujęcia, otuliłyśmy się kołdrą podwędzoną z najbliższego domku przy plaży, który należał jakoby do rodziców kogoś z ekipy. Żeby było nam cieplej, przylgnęłyśmy do siebie i czułam wbite w moje ciało kościste biodro Marii pozbawione osłony, która by ją chroniła przed światem. Ludzie z obsługi uwijali się wokół nas, rozmieszczając reflektory i przygotowując nasze następne wspólne ujęcie. Moja ostatnia scena. Zabłysnę!

Operator ustawiał kamerę, a do nas podszedł reżyser. Najpierw zwrócił się do Marii. — To twoje pierwsze zabójstwo. Walczyłaś dotąd ze sobą, ale w końcu ulegasz niepohamowanej żądzy krwi. Przeżywasz ekstazę. Orgiastyczne doznanie, czujesz w sobie moc, gdy ją atakujesz. Delektuj się tą chwilą. Nie spiesz się. Zwłaszcza kiedy już wbijesz w nią zęby.

Odwrócił się do mnie i powiedział tylko: — Walcz z nią.

Myszowata dziewczyna z działu artystycznego, ubrana w puchową kamizelkę i czapkę narciarską, w gumowych rękawicach sięgających za łokcie, mieszała w wiadrze sztuczną krew. W pierwszej scenie Maria miała zedrzyć ze mnie ostatnią barierę między moim ciałem i nocą — moje własne majtki, które przyszło mi poświęcić na tę okoliczność — a potem musiała przewrócić mnie na ziemię. Druga scena to miał być homoerotyczny akt zakończony zabójstwem: moja śmierć w objęciach Marii wampira i w kałuży sztucznej krwi. Dziewczyna wbijała nam w głowę, że to ujęcie musi się udać za pierwszym podejściem, ponieważ w żaden sposób nie uda się mnie domyć do powtórzenia.

Żałosna scena walki. Maria nie ma dość siły, żeby mnie mocno chwycić za nadgarstki. Jestem żywą repliką krzepkich dziewczuch z komiksów R. Crumba z ich wielkimi zadkami, solidnymi, krągłymi udami, taliami os i hollywoodzkimi biustami, a to wszystko znaczy, że mogłabym w jednym zwarciu połamać drobne kości Marii na drzazgi. Nie zamierzam jednak z powodu jej kruchości zaprzepaścić swojej wielkiej szansy. Splatam palce z jej dłońmi i potrząsam nią jak muppetem, starając się, żeby to wyglądało, jakbym walczyła o swoje cheerleaderskie życie. Wreszcie walę się na ziemię, pociągając ją na siebie. Widzę, że jest pod wrażeniem.

Wrzask.

Cięcie.

W następnym ujęciu przewidziana była krwawa jatka. Myszowata przewiązała się czarnym gumowym fartuchem i wyglądała jak gotowy do pracy rzeźnik. Inne osoby za-

grzebywały w piasku rurę, poczułam jej wylot z tyłu szyi. Podczas tej krzątaniny leżałam na plecach i zamknawszy oczy, starałam się oddychać jak najpłycej. Zapadłam się w siebie, poczułam się dziwnie senna, mimo że skręcona kostka dawała znać o sobie piekącym, pulsującym bólem. Zastanawiałam się, czy nie grozi mi śmierć z wychłodzenia. Za moją głową zaniepokojone głosy wyrażały obawę, że przez rurę „krew” nie popłynie swobodnie, gdyż gęstnieje i upodobnia się do sorbetu. Reżysera szturchnął jego asystent i wskazał mnie palcem. Zarządzono mobilizację.

— Okay. Teraz mord. Pospieszmy się, możemy stracić Ofiarę. Na miejsca.

Maria położyła się na mnie, przekrwione oczy miała zapadnięte z wyczerpania i głodu. Sprawdziła, czy kły dobrze jej się trzymają na dziąsłach. Podeszła „rzeźniczka” i z papierowego kubka wlała mi do ust brunatne sorbetowe paskudztwo, które miałam wypluć w krytycznym momencie.

Cisza na planie.

Kręcimy.

Akcja.

Maria wybałusza dziko oczy niczym Bela Lugosi i przymierza się do dramatycznego ukąszenia. Ja nie za bardzo mogę się z nią szarpać, bo rura do efektów specjalnych przy mojej głowie to prowizorka, więc muszę grać twarzą. Uważam, że to sztuka, która odróżnia profesjonalistów od amatorów; amatorami pogardzam. Maria pochyla się, by mnie ugryźć, przerażenie na mojej twarzy, z gardła wyrywa mi się

przejmujący krzyk, prawdziwie genialny, i w tym momencie gejzer lepkiej jak gluty mazi wytryskuje z rury i oblepia nas obydwie. Wstrząsam ciałem w śmiertelnych konwulsjach, Maria wznosi twarz do księżyca, jej dzikie oczy wyrażają upojenie mordem. Ja przestaję się poruszać, głowa opada mi na bok, krew wypływa z kącików zastygłych ust, nieruchome oczy patrzą przed siebie. *Cięcie.*

— Okrycie dla Ofiary Pierwszej. Maria, idź się umyć przed następnym ujęciem — słyszymy.

Pięć osób, może więcej, zdobyło się na mało entuzjastyczny aplauz, „rzeźniczka” rzuciła mi ręcznik. Kuśtykając, uciekałam z tamtego miejsca jak najszybciej w kierunku domu. Jakiś człowiek z ekipy pilnował wejścia na ganek.

— Natrysk na zewnątrz.

— Umieram z zimna.

— Trudno.

Zdjęłam z nóg adidas i skarpetki, zafarbowane na różowo, i z ponurą miną udałam się w miejsce, które miało być ukoronowaniem tortur tej nocy. Zdumiona odkryłam jednak, że w East Hampton, w przeciwieństwie do Jersey Shore, gdzie jako dziecko spędzałam letnie miesiące, natryski na świeżym powietrzu mają gorącą wodę, a ich tarcze są wielkości dysków frisbee. Stojąc na betonie, uwolniłam zmierzwione włosy z kucyków, a gorąca woda zmywała ze mnie czerwony szlam i uczucie zimna. Z ostatnich kilku godzin przetrwało tylko usiane gwiazdami niebo nad Long Island i odległy szum oceanu. Otrząsnęłam się ze stresu skręcającego

mi kieszki. W końcu to była całkiem udana groteska, chyba tak? Następnym razem trafię na prawdziwy casting. Następna rola będzie na serio.

W pokoju na dole, na kanapie zakrytej starannie ręcznikami, siedziały cztery seksowne dziewczyny. Charakteryzatorka mozoliła się, smarując je białym podkładem do ciała, który miał konsystencję naleśnikowego ciasta i w niektórych miejscach przylegał warstwą grubą jak skorupa, w innych cienką i prześwitującą. Dziewczyny powtarzały swoje teksty przed kręceniem scen sabatu wampirzyc, na którym miały świętować inicjację Valerie. Przebrałam się w dresy, ściągnęłam do tyłu mokre jeszcze włosy i rozsiadłam się wygodnie, skazana na przeczekanie reszty nocy. Miały mi towarzyszyć wiśniowe meble, wzorzyste poduszki, tapeta w szerokie biało-granatowe pasy. Oferta na stole w rogu obejmowała litrową butelkę dietetycznej coli, zgrzewkę wody mineralnej, stertę rozmiękłych kanapek i kilka opakowań cheetos. Zlekceważyłam tę smętną propozycję, zwłaszcza że odkryłam przyzwoity barek. Wcielając się w rolę uprzejmej pani domu, może hostessy, obeszałam pokój z butelką Jamesona i wzmocniłam każdą szklanekę wody mineralnej porcją whisky.

Whisky ożywiła towarzystwo. Rozochoczone zaczęłyśmy paplać o striptizie i chłopakach, scjentologii i płukaniu jelita grubego, nauczycielach aktorstwa i knajpach w Soho. Roztrząsałyśmy podnoszoną przez feministki niebagatelną kwestię

rozpowszechnienia słowa „wampirzyca”*, podczas gdy męski odpowiednik to po prostu wampir. Mimo tej jawnej dyskryminacji naszej płci, cztery wampirzyce poszły potulnie na plan, ja zwinęłam się w kłębek na fotelu i zasnęłam, przytulona do ozdobionej haftem poduszki.

Obudziłam się, kiedy wampirzyce wróciły, wprost spod natrysku, owinięte ręcznikami i z niedomytymi białymi smugami na styku czoła i włosów. Niebo rozjaśniało się z braskiem, na zewnątrz została tylko Maria, z którą kręcono finalne sceny. Zastępca kierownika produkcji przyniósł materiał nakręcony wcześniej wieczorem i podłączył kamerę do telewizora. Podeszłyśmy, żeby popatrzeć. Nie mogłam się doczekać, kiedy siebie zobaczę. Byłam przekonana, że błysnęłam gwiazdorstwem mimo obiektywnych trudności zewnętrznych.

Ciągnęła się scena za sceną, była ich chyba setka przed tą ze mną, a każda wręcz tragiczna. Nie powinnam więc być zaskoczona, kiedy pojawiłam się na ekranie w tak marnym oświetleniu, że ledwie się rozpoznałam. W ciemności błysnęły żółte wstążki we włosach i białe dyndające cycki. Zbliżenie mojej twarzy w drgawkach przedśmiertnych było zamazane i nadawało się jedynie do wycięcia w montażu.

Stwierdziłam, że nie potrzebuję oglądać dalej, i wycofałam się na ganek, żeby obserwować wschód słońca. Nie potrafiłam się zdobyć nawet na ironiczne przymrużenie oka. To była jeszcze jedna noc prawie bez snu i jeszcze jeden czek z odroczonej płatanością, która nigdy nie nadejdzie. Przynajmniej

* **Po ang.** *vampire wife*, czyli żona wampira.

będę miała co opowiadać. Każda taka surrealistyczna i bezowocna noc stanowiła jakąś zamkniętą historię.

Na ganek wyszła za mną Taylor, jedna z wampirzyc, sobowtór Ellen Barkin, nie do odróżnienia od oryginału. Opatulone w płaszcze i pledy usadowiliśmy się na bujanej ławce. Obecność Taylor, ubranej w golfy firmy J. Crew, wydawała się jakimś nieporozumieniem w niskobudżetowej produkcji z obsadą składającą się z dziewcząt w typie aktoreczek porno. Miała gęste ognistorude włosy, na piegowatym nosie złuszczał jej się od słońca naskórek.

Gadałyśmy i podziwialiśmy pastelowe barwy nieba nad oceanem — cytrynową, bladoróżową i jasnoniebieską.

— Więc co robisz, skarbie, kiedy nie wystawiasz na mróz obryzganych krwią cycków, na dodatek za darmo? Taylor miała lekko południowy akcent, więc mogło uchodzić jej bezkarnie zwracanie się do ludzi per „skarbie”.

Powiedziałam, że pracuję jako wolontariuszka dla The Wooster Group, legendarnego nowojorskiego zespołu teatralnego. Spędzałam długie dni w Performing Garage — przerobionym na salę teatralną garażu na rogu ulic Wooster i Grand — porządkując papierzyska Spaldinga Graya i biegając z latte dla Willema Dafoe. Przesiadywałam godzinami na próbach, podczas których reżyserka zespołu, Elizabeth I. eCompte, niczym postmodernistyczna szamanka poddawała sztukę dekonstrukcji, rekonstrukcji i akuszerstwu, póki nie uczyniła z niej obrazoburczego arcydzieła.

Czasami Kate Valk albo inna z powalająco szykownych weteranek The Wooster Group użaliła się nad trzódką wolon-

tariuszy i zaprosiła nas na drinka do Lucky Strike tuż za rogiem. Byłam szczęśliwa, chociaż wino paliło mnie w pocięte papierem kąciki ust. Godziny spędzane w Performing Garage to były najlepsze godziny dnia. Towarzyszyło nam przekonanie, że wolontariusze będą gwiazdami nowej fali nowojorskiego teatru eksperymentalnego.

— To chyba najlepszy zespół świata, a ja siedzę tam i ranię sobie wargi przy zaklejanu kopert z ich ofertą sponsorską.

— Dobrze, ale musisz z czegoś żyć, więc co robisz, kiedy nie zabawiasz się w niewolnicę sztuki?

Zwykle zmyślałam, gdy ktoś zadawał mi takie pytanie, lecz z jakiegoś powodu jej powiedziałam prawdę. Przyznałam się, że dzielę czas między obskurnym, ale kultowym barem toples na Canal Street o wdzięcznej nazwie Baby Doll a o wiele bardziej obskurnym i zupełnie niekultowym peep show o nazwie Peepland na Times Square.

Tańczyć zaczęłam wkrótce po zrezygnowaniu z nauki aktorstwa w Tisch School of the Arts na Uniwersytecie Nowojorskim. Dostałam się na tam dzięki dającemu większe szanse na przyjęcie programowi wcześniejszych aplikacji, a rodzice ochoczo dostarczyli mnie do pokoju na dwunastym piętrze akademika z widokiem na Washington Square Park, zanim nawet jeszcze zrobiłam prawo jazdy. Rezygnując z nauki w Tisch School pół roku później, powoływałam się na wyższość przysłowiowej szkoły życia, ale ojciec nie kupił tej argumentacji. W restauracji Jane Street Seafood, gdy tylko podano nam krewetki z grzybami, ogłosił decyzję odcięcia mnie od finansowej pępowiny.

— To było sześć miesięcy temu, niech zacytuje: „Koniec ze szkołą średnią, pora na college”. — Twarz mu nabiegła krwią, był nabuzowany wściekłością. — Teraz słyszę: „Koniec z college'em, pora na start w życie”. Życie kosztuje.

— College również.

— Mądrzysz się jak zawsze. Uważasz, że jesteś na dobrej drodze, że będzie zabawnie? Nic ode mnie nie dostaniesz. Zobaczysz, jak na tym wyjdiesz, a wtedy zmienisz być może zdanie na temat college'u.

Miał rację. Życie kosztuje. Zwłaszcza w Nowym Jorku trzeba mieć pieniądze i głowę na karku, a ja zaczęłam fatalnie od roznoszenia drinków w Red Lion na Bleecker Street. Jedna ze stażystek w The Wooster Group pracowała w klubie Kit Kat na rogu Fifty-second i Broadwayu i przekonała mnie, że tam będą patrzeć przez palce na to, że jestem antytalenciem w sztuce kelnerskiej. Któregoś dnia poszłam z nią do tego klubu, ale po czterdziestu minutach rozwiązałam fartuszek kelnerski, zrzuciłam z siebie łańchy i w pożyczonych stringach wskoczyłam na scenę.

W osobach, które nie łączą seksualności z czerpaniem korzyści finansowych, my, które to robimy, budzimy skrajne emocje i ciekawość. Dlaczego się rozbieramy dla pieniędzy? Co nas popycha do pierwszego kroku? Dlaczego w sytuacji finansowego dołka jedna dziewczyna zostaje striptizerką, inna kelnerką na nocnej zmianie w Denny's, a jeszcze inna podejmuje studia medyczne? Mam wyliczyć powody? Każdy z was chce się przecież upewnić, że jego córka nie będzie tańczyła na rurze. Fatalny kontakt z ojcem, niskie poczucie

własnej wartości, żądza przygód zapisana w gwiazdach, marzenia o sławie, epizody depresji i lęków, skłonność do eksperymentowania z substancjami uzależniającymi — wrzucie to wszystko do jednego kotła, wymieszajcie, a otrzymacie jako produkt finalny typową pracownicę seksbiznesu, otrząsającą się z tego szlamu i zarazem ceniącą sobie jego blask. Nic dodać, nic ująć.

Sprawdźcie tę wyliczankę i przestańcie się niepokoić, bo to nie jest wasza córeczka. I nigdy nie będzie taka jak ja.

Z tańca w Peeplandzie i Baby Doli wyciągałam tyle, by starczyło na wegetariańskie obiady z patelni, drinki w nocnym barze Max Fish i czynsz we wspólnie wynajmowanym mieszkaniu w Lower Last Side. W szampanie się nie kąpałam.

— Ciężko pracujesz, zarabiasz gówniane pieniądze i zrujnujesz kolana — powiedziała Taylor. — Skończyłaś osiemnaście lat?

Moje osiemnaste urodziny były tuż, tuż.

— To dobrze, ponieważ Diane to sprawdza. Nawet nie myśl o tym, że wręczysz jej podróbkę dokumentu jak podchmielonemu ochroniarzowi w klubie.

Taylor dała mi wizytówkę, błysnął złoty nadruk Crown Club z małą koroną nad literą „o”, pod nim widniał numer telefonu. Taylor wyjęła jeszcze pióro i dopisała własny numer.

— Diane prowadzi elitarną agencję towarzyską. Najlepszą w Nowym Jorku. Teraz sprzedajesz się za tanio. Zaczynij pracować u niej jak ja, a twoje życie zmieni się w mgnieniu oka.

Ekskluzywna agencja towarzyska. Zapachniało wielkim światem. Wyobraziłam sobie Diane jako elegancką kobietę w kremowym spodniemie i czółenkach na rozsądnym obcasie oraz z brylantowymi kolczykami w uszach. Przenikliwą i chłodną na zewnątrz, ale w głębi pełną macierzyńskiego ciepła jak Candice Bergen w *Mayflower Madam*. To z pewnością osoba, którą będę mogła podziwiać i która mi pomoże. Przestanę być tak morderczo załamana i znajdę czas na zadbanie o karierę aktorską.

Taylor, nowa przyjaciółka, objęła mnie ramieniem. Nie odczuwałyśmy chłodu, gdy przytulone do siebie patrzyłyśmy w bezchmurny bezkres nieba. Słońce już wzeszło, ekipa pakowała sprzęt i ładowała go do vanów. Ci, co byli w domu, wylegli na ganek, czekając na odwiezienie do miasta.

Przyjemnie było pofantazjować na temat analogii do *Mayflower Madame*, ale wiedziałam, że raczej nie zadzwonię do Diane. Agencja towarzyska to byłby jeden krok za daleko. Wsunęłam jednak wizytówkę do kieszeni, tak na wszelki wypadek.

Rozdział 3

W Święto Dziękczynienia 1991 roku wyciągnęłam z portfela wizytówkę, którą dała mi Taylor, i wybrałam numer telefonu agencji. Kiedy robimy rzeczy, o jakich nawet nie ośmielaliśmy się myśleć, to często wciągamy się w to krok po kroku. Przekraczamy jedną cienką linię i zbliżamy się do drugiej. Zaczyna się niewinnie. Któregoś dnia dopada nas chandra, załamanie nastroju, przygnębienie albo przeciwnie, ogarnia niezdrowa ciekawość. Wyobraźcie sobie mnie w domu rodziców, gdzie pod naporem wspomnień powoli się duszę, jakby ktoś przyciskał mi do twarzy poduszkę. I do tego mam świadomość, że już jestem na złej drodze i poszłam nią za daleko — jakie znaczenie ma jeden telefon więcej?

Spędziłam ten świąteczny weekend z moją rodziną i ówczesnym chłopakiem Seanem. Zastanawiałam się, czy wziąć go ze sobą, czy nie, ale w końcu pragnienie bycia z nim okazało się silniejsze od niechęci do zapraszania kogokolwiek do domu rodziców. Być może byłam nawet zakochana w Sea-

nie, jednak towarzyszyło mi przekonanie, że romantyczna miłość zużyła się, odkąd zaczęła być wykorzystywana przez ekspansywny kapitał jako narzędzie marketingowe, a przez media jako usypiająca bajka o Kopciuszkę.

Zanim spotkałam Seana, żyłam od randki do randki, od zadurzenia do zadurzenia, od chłopaka do chłopaka (a była też jedna czy dwie dziewczyny), ale od nikogo nie oczekiwałam, że będzie ze mną dłużej, i nie roniłam łez, gdy płomień wygasał. Poznałam Seana, gdy miałam siedemnaście lat i od sześciu miesięcy pracowałam jako striptizerka. Nie miałam nigdy stałego chłopaka, nawet w szkole średniej z żadnym nie chodziłam. Sean wpadł któregoś popołudnia do Performing Garage, żeby zobaczyć się ze znajomymi. Szczupły chłopak o sarnich oczach, ciemnych kręconych włosach sięgających ramion i z cudownymi długimi palcami muzyka. Artysta bez grosza, z arystokratycznej rodziny, utalentowany aktor i gitarzysta. Wynajmował do spółki z kimś jakąś norę z dwoma sypialniami na Rivington Street naprzeciwko Streifs Matzo. Ja też mieszkałam z kimś w podobnej norze, tyle że z jedną sypialnią, na Ludlow Street, czyli tuż za rogiem. Pierwszą randkę spędziliśmy u mnie na dachu, jedząc sajgonki i pijąc piwo, a nad naszymi głowami zbierały się ciężkie, ołowiane chmury. Nagły grzmot pioruna poderwał nas na nogi, z parkingu na dole dobiegła symfonia uruchomionych alarmów samochodowych. Grube krople deszczu uderzały w papę na dachu, ale nie uciekaliśmy, mimo że przemokliśmy do suchej nitki. Pochylił się, ujął moją twarz

w obie ręce i zaczął mnie całować — pamiętam te niespieszne, pachnące piwem pocałunki i resztki chińskiego jedzenia pływające koło nas. Było banalnie. Było cudownie. Pamiętam to jako najwspanialszą randkę, jaką miałam, a Seana jako najwspanialszego faceta, jakiego w życiu spotkałam — jak dotąd.

Sean nie przywiązywał wagi do tego, że pracuję jako strptizerka. Kilka razy przychodził nawet, żeby mnie zobaczyć. Podobały mu się moje buty i stwierdził, że mój taniec go podnieca. Słuchał też cierpliwie opowieści o moich przygodach, miały coś z klimatu filmów Felliniego, choć nie krył, że skrajności go rażą.

Jadaliśmy w El Sombrero lub pizzę w Two Boots, a wieczorami spotykaliśmy się z kumplami z różnych zespołów muzycznych i teatralnych w barze Max Fish. Na Avenue B kupowaliśmy marnej jakości kokainę i wciągaliśmy ją z okładki longplaya *Houses of the Holy*, a potem przy dzinie z tonikiem w kubkach do kawy przez całą noc gadaliśmy o sztuce, społecznym wyobcowaniu, naporze mediów oraz naszej wspólnej tęsknocie do „prawdziwego” doświadczania życia. Po jakimś czasie doszłam do wniosku, że jestem zakochana. Na wszelki wypadek trzymałam za nas kciuki, bo nie wykluczałam, że mogę być w błędzie.

Do rodziców wybraliśmy się tym samym autobusem, którym przemierzałam tę trasę z tysiąc razy, gdy jako uczennica szkoły średniej jeździłam do Nowego Jorku na lekcje aktorstwa i tańca, ale także na koncerty rockowe, do czego się rodzicom nie przyznawałam, mówiąc, że zatrzymam się na

noc w domu przyjaciółki. Drzewa straciły już większość liści, trawnik jednak wciąż cieszył oko jaskrawą zielenią. Szary dwupoziomowy dom z lat siedemdziesiątych był wizytówką właścicieli, dumnym pomnikiem ich statusu społecznego. Wszystkie domy na tej ulicy były wariacjami na ten sam temat, różniąc się nieznacznie konfiguracją klocków lego.

Moi rodzice powitali nas w drzwiach nadgorliwymi uściskami. Ojca tak szczupłego jeszcze nie widziałam; z powodu przepukliny rozworu przełykowego prawie nic nie jadł. Poczulałam na twarzy dotyk jego zroszonego zimnym potem policzka. Widać było, że jest bardzo chory, i to mną wstrząsnęło. Co zrobię, jeżeli zabraknie ojca? Był zawsze twardy jak gład, był jednym z tych ludzi, którzy uważali, że lekarze są dla słabeuszy, a wizyty u dentysty to strata czasu.

Uszczypnął mnie w tyłek na schodach, potknęłam się i musiałam się złapać za poręcz.
— Nieźle się upasłaś. Dobrze, że zdecydowałaś się jeść jak człowiek.

Do mojego chłopaka rzucił:

— Jest niepowtarzalna. Nic innego nie robiła, tylko nam tu tańczyła. Wołaliśmy na nią Katrinka.

Katrinka Siłaczka to bohaterka z serii niemych filmów. Grała ją Wilna Hervey, aktorka komediowa słynna z tego, że miała metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ważyła ponad sto trzydzieści kilogramów. Takie pieszczotliwe przydomko wymyślił dla mnie ojciec, kiedy uważał mnie za niewydarzoną kluchę. On jest rzeczywiście jak gład, pomyślałam, jak gład przywiązany do mojej kostki, gdy wypadam za burtę. W jednej

chwili opuściła mnie troska o jego zdrowie i zaczęłam marzyć, by umarł z głodu jeszcze tego samego dnia podczas świątecznego obiadu, siedząc przy suto zastawionym stole. Wywinęłam się od rozpoczynających się przygotowań do uroczystej kolacji i pozwoliłam sobie na chwilę wytchnienia w saloniku na dole. Usiadłam na kanapie pod ostatnim zdjęciem rodzinnym, do którego niechętnie zgodziłam się pozować. Rodzina stoi na nim sztywno na trawniku z tyłu domu. Białe obrzeże basenu wisi nad nami jak latający spodek, a w ostrym słońcu składamy się z kontrastów jaskrawych barw i głębokich cieni. Nieprawdopodobnie patykowate nogi ojca wspierają jego wieprzowaty kadłub. Mruży oczy, w kurzych łapkach ma wyryte niezadowolenie z życia. Twarz matki lśni w słońcu, skórę ma napiętą i wciąż wygląda młodo, chociaż stoi zgięta, jakby ktoś dał jej kuksańca w brzuch. Johnny epatuje zaniedbanymi dreadami, oplatającymi jego głowę niczym węże Gorgony, ja kryję się trochę za nim w niewinnej bieli T-shirtu i z krzywym uśmiechem, który zawsze pojawiał się na mojej twarzy podczas bytności w domu rodziców, nieuchronnym jak bezwarunkowy odruch poderwania w górę nogi po uderzeniu młotkiem w rzepkę. Sean siedział w pokoju Johnny'ego, słuchali Pink Floyd. Wystawili głowy za okno, bo Johnny poczęstował gościa jointem, sam miał go prawie na stałe przyklejonego do dolnej wargi. Rodzice zaadoptowali Johnny'ego, kiedy miałam cztery lata. Czekałam na paluszkach na jego przybycie, wychylając głowę znad białej poręczy biegnącej wzdłuż górnego podestu

schodów, niecierpliwie potrząsając warkoczykami. Matka wchodziła po schodach, tuląc do piersi wielkie *burrito*, a było to zawinięte w kocyk niemowlę z pomarszczoną buzią i czarnym lokiem zakręconym jak stożek kremu na babeczce. Natychmiast pokochałam tę malutką, ciepłą istotkę. Stał się dla mnie ulubioną żywą lalką, kochałam jego niemowlęcy zapach, tłusciutkie rączki, wielkie niebieskie oczy. Uwielbiałam bawić się z nim na kanapie, łaskotać go w uszy i całować w miniaturowy nosek.

Johnny nie był łatwym dzieckiem. W przeciwieństwie do mnie nie dawał się byle czym rozbawić, pocieszyć, uciszyć. Czy naprawdę był taki od urodzenia, czy nie, to nieważne, bo jeżeli w scenariuszu zapiszą ci jakąś rolę, to od niej nie uciekniesz. Ojciec wciąż powtarza, że Johnny od samego początku stwarzał problemy, dając do zrozumienia, że jako rodzic nie jest winny temu, co się teraz z synem dzieje — że ma zaburzenia obsesyjno-kompulsywne, rujnujące zdrowie epizody kwasowych tripów, że do tego popadł w ekstremizm religijny.

Przez pierwszych kilka lat życia Johnny nie odstępował matki, uczepiony jej nogi, a ja sypiałam w T-shirtach z nadrukiem softballowej drużyny ojca. Dokonaliśmy wyboru. Kochałam brata, ale jeszcze bardziej kochałam bycie ulubienicą ojca.

Teraz Johnny jest chasydem i mieszka w Jerozolimie. Całe dni spędza w szul, kiwając się w pokłonach, a sezonowo pracuje jako zbieracz oliwek lub sprzedawca ziołowych nalewek. Marzy o kawałku własnej ziemi, trzodzie owiec i ma-

łym oliwkowym sadzie. W jego świecie kobiety i mężczyźni jadają osobno. Ten świat rządzi się własnymi prawami, nie ma w nim miejsca dla mnie. Od czasu do czasu rozmawiamy przez telefon. Jeżeli nie zapomnę, wysyłam jego synowi prezent urodzinowy. Oddaliliśmy się od siebie i jestem skłonna winić za to Johnny'ego. To on nosi czarny kapelusz z szerokim rondem i wyznaje archaiczny system wartości, nie ja. Prawda leży jednak pośrodku, gdyż to ja zostawiłam go, uciekając z domu, kiedy zrobiło się tam nie do wytrzymania. Obiecałam mu, że wrócę ze względu na niego, ale tak się nie stało. A wtedy w Święto Dziękczynienia zeszłam na dół i usadowiłam się na kanapie, nie chcąc wysłuchiwać skarg Johnny'ego na ojca, który poprzedniego wieczoru uderzył go w głowę słuchawką od telefonu.

Matka biegała między kuchnią i jadalnią, bezbłędnie panując nad niepojętą sztuką jednoczesnego nakrywania do stołu i pilnowania potraw. W salonie ojciec siedział przy ukochanym fortepianie gabinetowym. Niestrudzenie gonił od jednego musicalowego przeboju do drugiego, porzucając każdy w połowie i grając w trzykrotnie przyspieszonym tempie. Zawsze grał tak, jakby za uciekającym horyzontem, którego nie może osiągnąć, kryła się ważniejsza melodia. W takim rytmie wirowałam jako dziecko w salonie, wyśpiewując na całe gardło piosenki z *South Pacific*.

Patrząc, jak tańczę, ojciec wołał do mnie Katrinka, ale ja nigdy nie słyszałam o Katrince Siłaczce, więc czułam się Katrinką pełną wdzięku, Katrinką utalentowaną, którą urodziła kobieta tak eteryczna, że uleciała z wiatrem.

Pamiętam, że już przekraczając granicę stanu New Jersey w drodze do Livingston, ja, uciekinierka do Nowego Jorku, miałam wrażenie, że wkładam głowę w foliową torbę. Im dłużej przebywałam w domu rodzinnym, tym bardziej brakowało mi tlenu. Nie miałam czym oddychać, uczucie duszności wywoływała atmosfera tego miejsca, dźwięki muzyki, rodzinne portrety, rodzina na żywo i wreszcie mój chłopak jako uczestnik tego wszystkiego. Być może dlatego zdecydowałam się wyciągnąć z portfela wizytówkę, którą dostałam od Taylor. Próbowałam wyciąć dziurę w grożącej uduszeniem folii. Crown Club wydawał się wystarczająco ostrym narzędziem, a przynajmniej najlepszym pomysłem, jaki przyszedł mi do głowy. Z dołu dochodziła muzyka na tyle głośna, że nie musiałam się obawiać, iż ktoś mnie usłyszy. Tak naprawdę nie oczekiwałam, że po południu w Święto Dziękczynienia ktokolwiek podniesie słuchawkę w agencji, a jednak ktoś taki się znalazł.

Rozdział 4

Stanełam przed budynkiem z piaskowca, drzwi otworzyła mi z uśmiechem drobna, krótko ostrzyżona brunetka w dresie i boso.

— Dianę rozmawia przez telefon w gabinecie. Wejdz, zaczekasz chwilę. Mam na imię Julie.

Uścisnęłam jej rękę i przedstawiłam się. Uznałam za stosowne podać prawdziwe imię i nazwisko, ale dalibóg nie wiem, co mnie do tego skłoniło. W klubach striptizerskich od momentu przekroczenia drzwi posługiwałam się wyłącznie pseudonimem scenicznym. Być może imię Julie wydawało mi się bardzo prozaiczne, ale nigdy nie wiadomo, co kryje się za profesjonalnym wizerunkiem. Niewykluczone, że Julie wypracowała sobie image dziewczyny z małego miasteczka, a naprawdę miała na imię Jezebel.

Poszłam za nią krótkim korytarzem i znalazłam się w pokoju dziennym, w którym siedziała Taylor i jeszcze jakaś dziewczyna na tle monochromatycznego wnętrza utrzymanego

w kolorze lodów waniliowych. Ściany, wykładzina, kanapy i meblościanka ledwie różniły się odcieniami. Jediną kolorową plamą była zawieszona nad kanapą reprodukcja obrazu Georgii O'Keeffe. U mojej babci w holu wisiał oprawiony taki sam kwiat maku jej pędzla, tylko mniejszy. Pod reprodukcją widniał cytat z O'Keeffe: „Nikt nie widzi kwiatu tak naprawdę... patrzenie wymaga czasu. Podobnie jak zdobywanie przyjaźni wymaga czasu”. Biedne maki Georgii znowu stały się niewidzialne — nikt ich nie widzi, choć masowo reprodukowane ozdabiają ściany gabinetów lekarskich na Środkowym Zachodzie i agencji towarzyskich w Midtown.

Julie klapnęła na kanapę obok odchudzonej do rozmiaru zero dziewczyny z długimi, prostymi włosami, która mówiła z lekkim wschodnioeuropejskim akcentem. Modelka przedstawiła się i natychmiast powróciła do oglądania sitcomu *The Golden Girls*. W pokoju pachniało chińskim jedzeniem, ale żadnych opakowań nie widziałam. Taylor poderwała się z fotela, podbiegła do mnie truchcikiem i powitała uściskami.

— Tak się cieszę, że przyszedłeś — powiedziała i odwróciła się w stronę dwóch siedzących na kanapie dziewczyn. — To jest ta babka, którą poznałam podczas kręcenia filmu.

Nie było żadnej reakcji. Wszystkie trzy miały na sobie dresy, ale zadbane fryzury, pełny makijaż i biżuterię. Wyglądały jak tancerki na lodzie przed wyjściem na lodowisko.

Za pokojem dziennym była przestronna jadalnia, którą przerobiono na biuro. Długi stół zastawiony niezliczonymi rolodexami i telefonami zepchnięto pod ścianę. Wzdłuż innej ściany stały cztery kremowe szafy biurowe. Okno wyglądające na

miasto było jedynym ciemnym prostokątem w morzu nieustępliwej kremowej bieli. Przy stole stały dwa obrotowe fotele. W jednym siedziała kobieta o okrągłej twarzy i różowych policzkach, z włosami wsuniętymi pod opaskę w szkocką kratkę i z kokardą. Jej stanowisko pracy już ozdabiał wypchany bożonarodzeniowy renifer. Zerknęła na Taylor i na mnie i dała sygnał ręką, że mamy z pięć minut poczekać. Obok niej, zwrócona twarzą do okna, krzyczała poirytowanym głosem do słuchawki postać w beżowym spodniemie ukoronowana fryzurą na pieczarkę w kolorze miedzi. Jej akcent wskazywał na Queens. Diane, pomyślałam.

Te pięć minut wykorzystała Taylor, rozpoczynając moją inicjację. Pociągnęła mnie do kąta i zapytała konspiracyjnym szeptem:

— Gdzie masz ubranie?

Miałam na sobie krótką wydekoltowaną sukienkę z zielonego gniecionego aksamitu, ze stylowymi mini rękawkami — najszykowniejszy ciuch z mojej szafy — do tego siatkowe rajstopy i szpilki na pięciocentymetrowym obcasie, kupione kilka lat temu przez rodziców; wkładałam je, gdy szliśmy do synagogi. To były jedyne buty na obcasie w moim posiadaniu, które nie miały platformy przynajmniej tak grubej jak *Wielki Słownik Oksfordzki*. Całości dopełniał przerzucony przez ramię czarny płaszcz.

— Ubranie mam na sobie — odpowiedziałam.

— Naprawdę? To wszystko, co masz?

Taylor zaprowadziła mnie do szafy i wyciągnęła trzy starannie wyprasowane kostiumy, spódniczki umiarkowanie

krótkie, żakiety dopasowane. Domyśliłam się, że to strój biznesowy tancerka na lodzie.
— Nie chcesz chyba wyglądać jak prostytutka, kiedy wchodzisz do hotelowego lobby.
Obowiązuje kostium lub sukienka, seksowne, ale konserwatywne, siedmiocentymetrowy
obcas, rajstopy, ekskluzywna bielizna.

Nie posiadałam nic z tych rzeczy.

— Mimo wszystko nie wyglądasz tragicznie — powiedziała. — Widywałam gorsze okazy.
W tym momencie Dianę skończyła rozmowę i przywołała mnie skinieniem głowy.

Wystarczył jej jeden rzut oka na mnie za cały wywiad. Nie miałam do czynienia z Candice
Bergen. Obsesowa i szorstka, bez ceregieli wyceniła mnie jak towar, jakim miałam zresztą
zostać. Po kilku wstępnych pytaniach apodyktycznym tonem zaczęła dyktować moją
charakterystykę dziewczynie w opasce na głowie, nadmieniając, że ta ma na imię Ellie.
Ellie wpisywała uwagi Dianę na kartę osobową.

— Włosy: kasztanowe. Oczy: orzechowe. Wymiary: dziewięćdziesiąt, sześćdziesiąt... hm,
sto. Dla amatorów dużego zadka. Osiemnaście lat, apetyczna studentka szkoły teatralnej z
twarzą... Winony Ryder. Co będziesz robić?

— Nie rozumiem.

— Zabawa w pielęgniarkę?

— Hm, tak.

Po każdej odpowiedzi Ellie zakreślała na formularzu właściwy kwadrat.

W dominatrix? Tak.

— Dziewczyna na dziewczynie?

— Tak.

— Służąca?

— Chyba nie będę musiała sprzątać? Zwróciła się do Ellie:

— To znaczy „tak”.

— Taniec na kolanach klienta?

Nim zdążyłam odpowiedzieć, Diane podyktowała Ellie:

— Zrobi wszystko.

Ellie kiwnęła głową i zakreśliła ostatni kwadrat. Czy był tam kwadrat „wszystko”?

„Zrobi wszystko” było bliskie prawdy. Pracując przed ukończeniem osiemnastu lat w klubach ze striptizem, a tym bardziej z pokazami erotycznymi na żywo, robiłam za pieniądze niewyobrażalne rzeczy, o których większość kobiet nigdy w życiu nawet by nie pomyślała. Jakie znaczenie miał jeden krok dalej? Ale cali girl to jednak coś innego, no nie? Lekki niepokój załagał się i trzepotał gdzieś pod moją czaszką. Określcie to jakimś eufemizmem, ale przecież mowa była o dawaniu dupy za pieniądze. Byłam uosobieniem naiwności, póki nie stanęłam w tamtym pokoju w kiczowatej sukience i nie zobaczyłam, jak Ellie zakreśliła kwadrat „wszystko”. Załagała mnie fala wątpliwości. Czy nie złapię jakiejś choroby? Czy nie będę zmuszana do obrzydliwości? Zostanę zgwałcona? Zabiją mnie? Czy ten kolejny krok nie naruszy krajobrazu mojej psychiki, pozostawiając pęknięcie nie do naprawienia?

— Masz ze sobą jakiś dowód tożsamości i paszport?

Wiedziałam, że mam przyjść z dwoma dokumentami potwierdzającymi tożsamość, podałam je Diane.

Szczęśliwie wyrobiłam paszport kilka miesięcy wcześniej, traktując to jako prezent dla siebie na osiemnaste urodziny. Byłam zafascynowana opowieściami o Paryżu z lat dwudziestych i postanowiłam za wszelką cenę zawieźć tam swój tyłek. Zdawałam sobie sprawę z tego, że Paryż sprzed siedemdziesięciu lat nie istnieje. Mimo wszystko to miasto mnie wzywało, przejmowało dreszczem. Wystarczyło, bym wypowiedziała jego nazwę, a popadałam w trans i godzinami marzyłam na jawie, że jestem w samym sercu Paryża, piję wino i piszę wiersze, a moja dusza nasycy się kulturą i wyrafinowaniem Starego Kontynentu. Widziałam siebie, jak wręczam paszport celnikowi na lotnisku Charles'a de Gaulle'a. Niestety podawałam paszport Dianę w Crown Club, ale pocieszyłam się, że to tylko początek podróży, chociaż droga okrężna.

Dianę zrobiła mi wykład na temat stroju, co już uczyniła Taylor. Obiecałam, że nabiorę klasy, jak tylko będzie mnie na to stać. Tymczasem zostałam wprzęgnięta do pracy w trybie natychmiastowym. Taylor poinformowała mnie, że jestem szczęściarą, bo dostałam wezwanie już pierwszej nocy. Zapewniała mnie, że dobrze wypadnę, choćby z uwagi na wiek. Byłam najmłodszą dziewczyną w agencji i na moją korzyść przemawiała jak zawsze niewinna buzia. Nigdy nikogo nie oszukałam nawet najdrastyczniejszymi próbami zrobienia z siebie punka i twardziela — wychowano mnie na grzeczną dziewczynkę. Pomagało mi to zresztą w moich niezupełnie grzecznych przedsięwzięciach.

Tej pierwszej nocy zostałam skierowana do apartamentu gwiazdora popularnego radia. Pulchna Ellie, zapewne mistrzyni wypieków i fanka stylu Laury Ashley, a w istocie prawa ręka stręczycielki, nauczyła mnie obsługi mobilnego terminalu do akceptacji kart i poinstruowała, jak i kiedy transakcja ma być dokonana (natychmiast po przyjściu do klienta), a także zapoznała z regułami rozliczania się z agencją. Zanim wyszłam na pierwszą „randkę”, Taylor zabrała mnie do sypialni, posadziła na łóżku i udzieliła paru wskazówek.

— Cała sztuka polega na tym, żeby jak najwięcej dostać, dając jak najmniej, kapujesz? Z jednej godziny robisz dwie, potem trzy i zostawiasz faceta w przekonaniu, że zrobienie loda było lepsze niż stosunek.

Jak Szeherezada poszukiwałyśmy historii tak nieodparcie wciągającej, żeby chcieli nas zatrzymać na kolejną godzinę, by poznać finał.

— Niektóre noce są beznadziejne — mówiła. — Snujemy się tutaj, a żadnych wezwań nie ma, za to kiedy indziej przeżywamy ośmiogodzinną inwazję limuzyn z nawalonymi koką przyjezdnymi biznesmenami o sflaczałych kutasach. Więc się wyrównuje. Zawsze, ale to zawsze używaj kondomu. Nałóż go ustami, a facet nawet nie zauważy.

Wybrałam dla siebie imię Elizabeth, ponieważ mogło uchodzić za prawdziwe, ale także dlatego, że obok Janice i Eduardo, i jeszcze innych nadawałam je wyimaginowanym postaciom, w które się wcielałam w dzieciństwie. Byłam Elizabeth, królową Francji, Elizabeth w domu trzech niedźwiadków, Elizabeth, która urodziła się jako siódme dziecko

w rodzinie Bradych, dzielną Elizabeth, bojowniczką francuskiego ruchu oporu. Włączcie do tej biografii Elizabeth w roli cali girl i Elizabeth kłamczuchę. Sean i ja nie byliśmy parą, która sprawdza siebie nawzajem co pięć minut, więc w gruncie rzeczy nie okłamałam go, raczej zapomniałam mu powiedzieć, co robiłam tamtego wieczoru. Zdawałam sobie jednak sprawę, iż jeżeli pozostanę w agencji, będę musiała bezczelnie kłamać. Taylor podpowiadała mi, że dziewczyny mówią czasem, że pracują na nocną zmianę w knajpie. To raczej ryzykowne kłamstwo, bo jak chłopak zechce zrobić ci niespodziankę nieoczekiwaną wizytą, to masz przechlapane. Sądziłam, że najlepiej będzie pozwolić Seanowi myśleć, że dalej tańczę jako striptizerka. Jednakże chociaż byłam striptizerką, to nie byłam kłamczuchą. Rodziców owszem oszukiwałam, ale przyjaciół nie. Tym bardziej mojego chłopaka, sympatycznego chłopaka o cudownych dłoniach. Sean poznał mnie z Elvisem Costellem. Gdy tamtej nocy wychodziłam do pierwszego klienta, w głowie brzmiały mi słowa jego piosenki *Almost Blue. There's a part of me that's always true. Always.* Ja też w połowie zawsze jestem sobą. Druga połowa — osiemnastoletnia apetyczna studentka szkoły teatralnej z twarzą Winony Ryder, Elizabeth, która zrobi wszystko — wyszła sama na ulicę, przywołała taksówkę i pojechała do wieżowca w centrum. Wydawało mi się, że zaczyna się film z dobrym podkładem jazzowym. Jak *Manhattan* Woody'ego Allena. Jedna z postaci

to młoda, zagubiona aktoreczka, która znalazła się w taksówce wiozącej ją do centrum do klienta, radiowego gwiazdora. Gra ją Mariel Hemingway. Gram ją ja. Seans już się zaczął. Za późno na przemyślenie decyzji.

Wysiadłam z taksówki, mój oddech w chłodzie nocy zmaterializował się w mgiełkę. Z rękami w kieszeniach przeszłam obok portiera, który uprzejmie skinął głową. Pojechałam windą na przedostatnie piętro i zapukałam do drzwi. Prezenter radiowy otworzył je natychmiast. Rozpoznałam tę twarz, bo widywałam ją w wagonach metra na plakatach reklamujących jego program. Trzymał w ręku opróżnioną do połowy szklankę z drinkiem, satynowy szlafrok miał rozchylony pod luznym paskiem, tak że widziałam jedwabne bokserki.

— Jesteś Elizabeth? Mogę ci zrobić drinka, kochanie?

Skwapliwie przyjął ofertę, całkowicie lekceważąc radę Taylor, by zachować pełną trzeźwość. Chętnie pokazałabym klasę i kontrolowałabym sytuację, ale nad tym musiałam jeszcze popracować. W tamtym momencie nic nie mogło być lepsze od dodającego otuchy palącego łyku alkoholu. Kiedy weszłam za facetem do apartamentu, zdjął ze mnie płaszcz i rzucił go na oparcie fotela, wskazując mi gestem kanapę. Usiadłam, a on zajął się dopełnianiem swojej szklanki wódką z tonikiem i przygotowywaniem takiegoż drinka dla mnie.

Wnętrze było klasyczną garsonierą z elegancką strefą wypoczynkową, wyposażoną w system pięciu wysokich głośników, i z panoramicznym widokiem na miasto. Jeszcze odwrócony do mnie tyłem, gospodarz zasypał mnie pytaniami. Przyzwyczajenie, pomyślałam. Spytał, ile mam lat, i wypy-

tywał, co robię, kiedy nie robię „tego”. Powiedziałam, że jestem osiemnastoletnią studentką szkoły teatralnej przy Uniwersytecie Nowojorskim.

— Masz więcej niż osiemnaście, kochanie. Ja się nie mylę. Moja praca polega na rozszyfrowywaniu ludzi. — Oczy błysnęły mu zadowoleniem z siebie, usiadł obok mnie, podał mi drinka, położył rękę na moim udzie.

— Nie musisz mi kłamać. No więc ile masz lat? Wydawał się tak zachwycony swoim darem intuicji, że postanowiłam nie polemizować.

— No dobrze. Skończyłam dwadzieścia. W przyszłym roku zrobię dyplom.

W trakcie dalszej rozmowy przyszło mi do głowy, że zaczynam być dobra w tej sztuce. Odkrywałam w sobie nowy talent. Ćwicząc się w rzemiośle aktorskim, dążyłam do wewnętrznej autentyczności, obnażania się aż do bólu. Tutaj uciekałam się do czystych sztuczek, czegoś dokładnie odwrotnego, ale wykorzystywałam te same umiejętności słuchania i improwizacji.

Byłam dobrą striptizerką — ujmowałam naturalnością, co mi wszyscy mówili. Na tle innych dziewcząt nie wyróżniałam się ani najśliczniejszą twarzą, ani najzgrabniejszym ciałem, ale miałam w sobie to coś i ludzie chcieli mnie oglądać. Budziłam w nich poczucie, że sami też są dostrzegani, i to było ważne. Samotni faceci nigdy nie mieli tego dość. A mnie przychodziło to łatwo; grałam, do czego przecież czułam się stworzona. Sądziłam więc, że dzięki temu odnajdę się także w roli cali girl. Dzięki naturalności.

Mój gwiazdor wydawał się zachwycony tym, że jestem studentką szkoły teatralnej, a faktycznie przestałam nią być sześć miesięcy wcześniej.

— Ja poszedłem do szkoły dramatycznej przy Yale — powiedział. — Rozważ taką możliwość.

— Dobra sugestia. Rozważę ją.

— Lubisz Sama Sheparda?

— Uwielbiam Sama Sheparda.

— Przyjaźnię się z nim. Mógłbym ci załatwić przesłuchanie u niego.

Zaproponował obejrzenie galerii w holu z ekspozycją czarno-białych zdjęć, które upamiętniały go, znacznie młodszego, na scenach off-Broadwayu. Wszystkie wisiały trochę krzywo, jakby ktoś walnął w ścianę z taką siłą, że aż ją poruszył. Być może on sam, potknąwszy się w drodze z sypialni do baru.

Chwycił mnie za rękę i poprowadził dalej.

— Mam tu coś naprawdę *cool*. Chciałbym ci pokazać. Oby to nie była butelka chloroformu ani zestaw narzędzi

chirurgicznych, pomyślałam. Już miałam poprosić o kolejnego drinka, ale nie dał mi szansy. Teatralnym gestem otworzył drzwi jednej z szaf i wciągnął mnie do środka. Do garderoby, w której od podłogi do sufitu stały rzędami na półkach najróżniejsze modele butów kowbojskich.

— Ło! Naprawdę *cool*.

— Słynę z tego, że noszę buty kowbojskie — rzekł. — To mój znak firmowy. Zechcesz się rozebrać?

Sięgnęłam do suwaka z tyłu, a po plecach przebiegł mi zimny dreszcz, jaki się czuje, będąc przyłapanym na robieniu czegoś bardzo złego. — Nie, nie tutaj — rzekł, wskazując sypialnię. Miała szare ściany i szarą supełkową wykładzinę. Jedynym meblem było łóżko w odcieniach purpury, odbijające się w lustrzanych drzwiach szaf. Siadł na brzegu łóżka i przyglądał się, jak zdejmuję sukienkę i pończochy, składałam je i odrzucam w kąt. Siatkowe pończochy wycisnęły czerwony wzór plastra miodu na moich udach. Włożyłam z powrotem buty i poprawiłam stringi, których nie zamierzałam zdejmować, jak długo się da.

Gdy stanęłam przed nim sztywno, popatrzył na mnie przez krótką chwilę bez żadnej wyraźnej reakcji i zaczął grzebać w szufladce szafki nocnej. Co innego występować nago na scenie po mocnym drinku, w przyćmionym świetle reflektorów i przy hałaśliwej widowni, a zupełnie co innego stać pod jasnym oświetleniem sufitowym w wypełnionej ciszą obcej sypialni. Moje ręce wydawały mi się za długie i nie wiedziałam, co z nimi zrobić. Wymyśliłam, że oprę je na biodrach, a nogi lekko skrzyżowałam jak kandydatka na miss piękności. Wyglądało to trochę teatralnie, ale nie miałam lepszego pomysłu.

— Masz ochotę na rush? — spytał. Znalazł to, czego szukał. Trzymał w ręku małą buteleczkę poppers.

— Nie mam, ale ty robisz, co chcesz. Zdecydowałam się na żonglowanie piłą łańcuchową za

kolejnego drinka, ale nie chciałam spać się w pracy do nieprzytomności. Po raz pierwszy widziałam azotyn amylu

poza parkietem klubu gejowskiego. Może ten facet jest gejem? Dość się nasłuchałam o fantazjach erotycznych bywalców takich klubów, by wiedzieć, że jest wiele odcieni homoseksualizmu.

Gospodarz wyślizgnął się z jedwabiów i rzeczowym tonem poprosił mnie, żebym uklękła na łóżku twarzą do luster i opierając się na rękach, wypięła tyłek. Do tego momentu raz tylko położył dłoń na moim udzie i kilka razy wziął mnie za rękę, tak że coraz oczywistsze się stawało, że ma awersję do kontaktu dotykowego. Zupełnie inaczej zachowywali się faceci w klubie striptizerskim, którzy chcieli chociaż przez chwilę potrzymać moją dłoń, jakby byli na randce. Czasami zapraszali mnie do kina. Ten gość był inny. Przykleknął za mną na łóżku, okrakiem nad moimi nogami, nawet mnie nie musnął.

— Podnieś dupę bardziej w górę, żebym ją dobrze widział. Zrobiłam, o co prosił, ale nie przypatrywał się mojej cipce,

w ogóle nie budziłam jego ciekawości. Patrzył na siebie w lustrze i walił konia.

Przeczesał drugą ręką modną fryzurę, napinając przy tym mięsień piersiowy.

— Obliz usta, proszę. Przyciśnij jeden cycek do drugiego — wydawał polecenia, cały czas patrząc sobie samemu w oczy.

Kiedy już dochodził, chwycił buteleczkę z szafki nocnej, zaciągnął się głęboko oparami i zwałił się na bok z wywróconymi białkami oczu. Musiałam się tylko lekko przesunąć, żeby sperma trysnęła na materac, a nie na moje plecy. Wyplątałam się z jego nóg i wyjęłam mu z ręki niebezpiecznie

przechyloną buteleczkę. Odstawiłam ją na szafkę, żeby trujący płyn się nie rozlał. Facet bardzo szybko odzyskał przytomność i z uśmiechem wycierał ślinę z brody. — Było pięknie. Fantastycznie.

Odprowadzając mnie do drzwi, dał mi nawet spory napiwek, chcąc wspomóc studentkę. Minęłam portiera i wyszłam w wirujące tumany śniegu, niezwykle jak na tę porę wczesnego, który poruszył coś w moim sercu. Kocham Nowy Jork przykryty świeżym śniegiem, bo potem wraz z kolejnymi dniami zimy ulice zaczyna pokrywać szara breja. Pierwsza burza śnieżna, gdy całe miasto spowijają cisza i biel, to prawdziwa magia.

Rozdział 5

Miesiąc później Taylor i ja wchodziłyśmy do lobby w Ritzu —jak zawsze pewne siebie, eleganckie, nieprzystępne. Dokładnie jednakowego wzrostu: metr siedemdziesiąt pięć plus ośmiocentymetrowe obcasy. Taylor w jasnobrązowym kostiumie z dopasowanym króciutkim zakietem, pod spodem seksowna haleczka, na szyi nieodłączna obroża z pereł, którą dostała od swojej babki na dwunaste urodziny. Jej znakiem firmowym był bardzo dyskretny makijaż i falująca burza ognistorudych włosów. Ja byłam jej fotograficznym negatywem w czarnym długim zakiecie z ledwie zaznaczoną talią, kasztanowymi włosami do ramion i karminową szminką na ustach. Jaskrawa szminka sygnalizująca, że będzie seks bez całowania. Tak, historia *Pretty Woman* jest w tym aspekcie prawdziwa. Seks bez całowania odpowiada rzeczywistości, reszta w tym filmie to obrażające intelekt pieprzone bzdury.

Opanowałam do perfekcji sztukę unikania kontaktu wzrokowego z kimkolwiek w drodze od wejścia do wind. Nie

chciałam dać się zbić z tropu wymownym spojrzeniom, jakimi nas obrzucano, tej kąśliwej dezaprobachie przechodzącej w pełen satysfakcji uśmiezek mądrali z elity, że oto w ekskluzywnym hotelu natknęli się na prostytutki.

Taylor namówiła mnie na porzucenie tańca w podłych klubach na rzecz łatwiejszych pieniędzy i życia w luksusie. W ciągu miesiąca poznałam prawie wszystkie pięciogwiazdkowe hotele w Nowym Jorku, w żadnym nie pozostając przez całą noc. Wchodząc tamtego dnia do Ritza, czułam się niespokojna i wyczerpana. Poprzedni wieczór spędziłam w St. Regis z podstarzałym włoskim handlarzem obrazami, który raczył się wolnozasadową kokainą tak namiętnie, że wreszcie w kącikach ust zebrała mu się żółta ślina i gdy mówił, ściekała strużkami po brodzie. Palił, zamieniając się w impotentą, więc zdecydował się na film porno i wsadzanie we mnie suchych, niespokojnych paluchów, co w moim odczuciu ciągnęło się chyba przez dziesięć godzin, choć faktycznie trwało dwie. Rzeczywiście zarabiałam dużo więcej niż przedtem, ale nie wszystko było tak łatwe, jak chciała mi wmówić Taylor.

Okazało się, że pracuje czasem na własną rękę, poza wiedzą agencji. Zdarzało się nawet, że podejmowała duże ryzyko, podkradając klientów Crown Club. Dianę się nie bałam, ale ona nie była na najwyższym szczeblu w hierarchii władzy. Nigdy nie widziałyśmy ani nie słyszałyśmy tej niewidzialnej ręki, która zarządzała ekskluzywną stajnią prostytutek w naszej dzielnicy, lecz dla bezpieczeństwa należało założyć, że na samej górze są ludzie, których lepiej nie okradać. Taylor

miała jednak łwie serce i niezależnego ducha, w jakimś sensie była socjopatką. Ja łaknęłam jej towarzystwa, przyjaźni i aprobaty. Wyimaginowałam sobie, że jestem do niej podobna. Niestety równie odważna byłam tylko we własnym wyobrażeniu.

Mimo że pozornie jechałam w życiu po bandzie, to gdy zostawałam sama, ogarniały mnie irracjonalne lęki i każdej nocy zaglądałam pod łóżko, czy nie czają się tam potwory.

Sprawdzałam zamki w drzwiach i w oknach trzy razy w ciągu nocy i do tego samego zmuszałam Penny, moją współlokatorkę. We wczesnych godzinach rannych budziły mnie koszmary senne, nękające mnie od dzieciństwa; leżałam zeszywniała ze strachu, ledwie oddychając, niezdolna wstać i iść do łazienki. W obecności Taylor stawałam się nieustraszona, więc gdy dzwoniła do mnie z prośbą, żebym jej towarzyszyła w ryzykownych lewych eskapadach — jak kawalerski wieczór w Westchester, wieczór u profesora masochisty z Uniwersytetu Kolumbijskiego, seans z japońskim biznesmenem, który lubił rozprawiać o lewatywach, patrząc, jak uprawiamy petting — zawsze mówiłam „tak”. Pieniądze nie stanowiły głównej motywacji. Takie same mogłam zarobić jako cali girl na zleceniach z agencji, jednak ryzykowne wyskoki z Taylor miały coś z podniebnego nurkowania — wszystko mogło się zdarzyć — i dlatego mnie ekscytowały.

Gdy szłyśmy tamtego dnia na interview, Taylor nie bardzo wiedziała, o jaką pracę chodzi. Powiedziała mi tylko, że jakiś impresario z Los Angeles załatwił jej spotkanie z kobietą, która poszukuje w Nowym Jorku dziewcząt do towarzystwa

dla bogatego biznesmena z Singapuru. Gaze miały rzekomo sięgać dziesiątków tysięcy dolarów.

— A jeżeli sprzedadzą nas do jakiegoś azjatyckiego burdelu? — spytałam w windzie.

— Na wszystko patrzysz w czarnych kolorach.

Taylor uczęszczała na kursy dianetyki. Wciąż mówiła

o pozytywnym nastawieniu do wszystkiego i potrzebie uwolnienia się od wplecionych w tkanę jej egzystencji psychicznych śladów z dotychczasowego życia własnego i w poprzednich wcieleniach. Wierzyła, że sukces jest jej przeznaczeniem i że dzieli ją od niego tydzień lub dwa. Ta wiara była zaraźliwa.

Drzwi do apartamentu otworzył nam mężczyzna w garniturze. Nie potrafiłam odgadnąć jego narodowości. Pers czy inny Azjata? Taylor wyciągnęła rękę, na co nie zareagował. Wrócił w głąb pokoju i usiadł koło swojego towarzysza, obydwaj przez resztę popołudnia pozostali milczącymi obserwatorami.

Inne dziewczyny już były, przyszłyśmy ostatnie. Wstała, po czym podeszła do nas kobieta, która przedstawiła się jako Arabelle Lyon. Pracując jako cali girl, starałam się nie mieć żadnych oczekiwań, niczego z góry nie zakładałam, jednak Ari była prawdziwym zaskoczeniem. Uścisnęła nam ręce i obdarowała mnie szerokim mlecznobiałym uśmiechem. Makijażu prawie nie miała, a jej włosy były w naturalnym kolorze słonecznego blondu — jak u pięcioletniej dziewczynki, która zwykle wyrasta potem na my szatą brunetkę. Dwaj bierni widzowie siedzący w kącie dawali do myślenia, ale to kobieta z francuskim nazwiskiem, kopia Gidget, wzbu-

dziła mój niepokój. Niemożliwe, żeby taka powierzchowność nie maskowała czegoś podejrzanego.

Rozejrzałam się po pokoju. Siedem dziewcząt, jeżeli dobrze policzyłam, siedziało na sofach, z czego dwie uznałam za kompletne nieporozumienie, dwie za ostrą konkurencję, zaś jedna, która przedstawiła się jako Destiny, to była anomalia.

— Jesse? — upewniła się Ari.

— Nie, Destiny. Tak widnieje na mojej licencji. Odjazdowej fryzury z przedłużanych włosów mógłby jej

pozazdrościć sam Jon Bon Jovi, a zielone szkła kontaktowe upodabniały ją do jakiejś postaci z *Ludzi-kotów*. Kilkucentymetrowe pazury wymalowała w jaskrawe neonowe paski odpowiadające wzorowi na rękawiczkach bez palców. Jak to się miało mieć do klasycznego kostiumu? Nie mogłam oderwać od niej wzroku. Fascynowała mnie.

Ari siedziała naprzeciwko nas na krześle z prostym oparciem. Wyglądała jak wychowawczyni przedszkolna, która za chwilę zacznie czytać dzieciom bajkę. Na wstępie wyjaśniła nam, że pracuje dla biznesmena z Singapuru, który co wieczór bawi się z przyjaciółmi na organizowanych przez siebie przyjęciach. Poszukuje amerykańskich dziewcząt, które zechciałyby przez dwa tygodnie uczestniczyć w tych imprezach, wynagrodzi je podarunkiem przy wyjeździe, a będzie to gotówka rzędu dwudziestu tysięcy dolarów. Zapewniła, że bezpieczeństwo i traktowanie z należyтым szacunkiem mamy zagwarantowane, ba, będą nam we wszystkim dogadzać.

Obserwowałam reakcję jednej z dwóch dziewczyn, które w moich oczach stanowiły dla mnie silną konkurencję. Mog-

łabym się założyć, iż blondynka z długimi włosami i super-wydatnymi policzkami już czuje kontrakt w kieszeni. Obudził się we mnie duch rywalizacji. Nie byłam pewna, czy można mieć zaufanie do Ari ani nawet czy chcę zostać wybrana. Ari zadawała nam pytania.

— Czy w ogóle odbywałyście podróże zagraniczne?

— Byłam w Londynie i na Ibizie — bajerowała Taylor — a wiosną planuję podróż na Bali.

— Nie — odparło Nieporozumienie Numer Jeden.

— Kiedyś wybrałam się na Hawaje — padło z ust blondynki.

Pomyślałam, że lepiej nie wspominać o rodzinnej wyprawie do Izraela. Powiedziałam, że byłam na Kajmanach i oszczędzam na podróż do Paryża. Zgodnie z prawdą.

— Czy Bronx się liczy? — spytała Destiny. — Coś mi się widzi, że szkoda mojego czasu.

Ari zamilkła i przechyliła głowę, przyglądając się Destiny jak egzotycznemu okazowi zwierzęcia. Natychmiast przełączyła się jednak na tryb biznesowy i zaczęła mówić o tym, że zajęcie wymaga dojrzałości i szacunku dla innych kultur, więc poszukuje dziewcząt, z którymi jej mocodawca będzie mógł łatwo nawiązać kontakt. Poczułam, że zarażam się od niej przebojowym duchem Gidget. Gidget zostaje gejszą...

Kocham podróże — powiedziałam. — Uwielbiam poznawać inne kultury i jestem osobą towarzyską. Sprawdzę się w tej pracy.

Miałam wrażenie, że ubiegam się o pracę wolontariusza w Korpusie Pokoju, póki nie zaczęła się druga część castingu

i nie przeszliśmy do sąsiedniego pokoju na zdjęcia. Łóżko było tam odsunięte na bok, a jego miejsce zajął zestaw oświetleniowy. Ustawiliśmy się rzędkiem pod ścianą i czekałyśmy na swoją kolejkę do pozowania. Pełen werwy fotograf zrobił każdej z nas zdjęcia w bieliźnie i każdej wręczył wizytówkę, na wypadek gdyby któraś potrzebowała kiedykolwiek fotografii portretowej.

Cała impreza wydawała mi się wątpliwa i szybko o niej zapomniałam. Zdarzył się po prostu jeszcze jeden wieczór w jakimś hotelowym pokoju i w bieliźnie. Niecały tydzień później zadzwoniła jednak do mnie Ari z informacją, że selekcję przeszłam ja i Destiny. Destiny w rękawiczkach bez palców. Nie Taylor. Bałam się jej powiedzieć, że zostałam wybrana, a ona nie. Znałam ją dobrze i wiedziałam, że nasze relacje zależą od utrzymania nierównego układu sił między nami, a myśl o utracie jej przyjaźni przerażała mnie. Ona jedyna spośród moich przyjaciółek wiedziała, co robię w nocy dla zarobku i mimo to mnie lubiła. Kochałam Seana. Ceniłam sobie przyjaciół z kręgu teatru, którzy daleko ją przerastali pod względem wyrobienia artystycznego i intelektualnego. Byli jednak po drugiej stronie niewidzialnej przesłony, bariery odgradzającej mnie od większości świata, od każdej osoby nietrudniającej się striptizem i prostytutką. Taylor bez wątpienia znajdowała się po mojej stronie muru i nie chciałam zostać tu sama.

W toku rozmowy Ari wyjaśniła, że nie pracuje dla biznesmana z Singapuru, tylko dla sułtańskiej rodziny z Brunei.

Wchodziły także w grę większe pieniądze, niż wcześniej zapowiadała, ale tego bliżej nie sprecyzowała. Przyjęcia, w których miałabym uczestniczyć, będą wydawane przez młodszego brata samego sułtana, księcia Jefriego, a ja znajdę się na liście jego prywatnych gości.

Odpowiedziałam pytaniem:

— Książę... jakiego kraju?

Rozdział 6

Ari poprosiła o przesłanie paszportu FedExem, gdyż musi błyskawicznie załatwić mi wizę. Fantazje na temat tańca z siedmioma welonami w pałacu pod kopułą walczyły o lepsze z lękiem, że zostanę sprzedana i będę zmuszana do plugawego seksu na gołym materacu. Czy mogę wierzyć tej kobiecie? Intuicja podpowiadała mi, że tak. Ta historia była zbyt niesłychana jak na oszustwo. Skąd jednak miałam mieć pewność? Pod wpływem irracjonalnego impulsu zdecydowałam się przyjąć ofertę, licząc na to, iż ewentualnie wycofam się w ostatnim momencie. Trzęsąc się z emocji, że podejmuję tak karkołomny krok bez aprobaty Taylor, poszłam do punktu pocztowego na Houston Street, zakleiłam kopertę z paszportem i nadałam do Los Angeles.

Jeszcze nic nie mówiłam Penny. Chciała zostać reżyserką i w godzinach wolnych od zajęć w The Wooster Group oraz obsługiwanie gości we włoskiej restauracji w centrum praco-

wała nad awangardową sztuką teatralną, obsadzając w niej kilkoro naszych przyjaciół. Jechałam z Penny linią F do mieszkania jednej z tych osób w Park Slope, bo tam odbywały się próby. Zamierzałam powiedzieć jej o Brunei podczas jazdy metrem, lecz z jakiegoś powodu nie zdobyłam się na to. Nie mogłam. Przez te parę tygodni do wyjazdu chciałam dalej uczestniczyć w próbach, jednak nie o to głównie chodziło. Penny była inteligentna, ambitna i ciężko pracowała. To samo mogłam powiedzieć

o sobie, tyle że ja nie ustawałam w poszukiwaniu sposobu na uniknięcie ciężkiej pracy. Penny nic nie wiedziała o tym, że chodzę z pagerem i nocą jeżdżę taksówkami, że jestem jedyną chyba dziewczyną przemierzającą o drugiej nad ranem Ludlow Street w biznesowym stroju. Potrafiłam jednak spojrzeć na siebie jej oczami i wystawić sobie ocenę.

Przez cały czas trwania próby nic jej nie powiedziałam. Mieszkanie podzieliliśmy na cztery kwadranty i w każdym odgrywano inną sztukę. Jeśli chodzi o moją rolę, to ważna była w niej blond peruka z marketu, koszyk z kosmetykami i rozmowa telefoniczna z naszym przyjacielem, artystą performerem, który równocześnie pisał doktorat z filozofii niemieckiej. Jako Ed the Meat Poet (w antytezie do Beat Poet) zasłynął ze skandalizującej poezji. W dzień moich urodzin wybraliśmy się wszyscy zobaczyć jego happening. Zaprosił mnie na scenę i obdarował surowym befsztykiem (w antytezie do tortu). Potem poszliśmy na drinka do Max Fish i tam znowu wręczył mi prezent, ale w opakowaniu. To był frank.

- Przyda ci się, jak będziesz w Paryżu.

Powróciłam więc do marzeń o Paryżu. Pojawiła się nadzieja, że dzięki nowej pracy zdobędę na to środki.

Gdy wracałyśmy metrem do domu, gapiłam się w czarne okno, za którym nic nie było, za to patrzyło na mnie odbicie mojej twarzy. Siedziałyśmy przez pół drogi w niekrepującym milczeniu, jak zżyte ze sobą osoby, aż wreszcie odwróciłam się do niej i poinformowałam o pracy w Brunei, mówiąc tyle, ile sama wiedziałam.

Wstrzymała oddech.

— Chyba żartujesz?

Chociaż przekonałam ją, że nie żartuję, nie próbowała mnie zniechęcić, bo na to za dobrze mnie znała. Po chwili zastanowienia zaczęła obmyślać plany ratunkowe. Penny była dziewczyną czynu.

— Ile mamy czasu? Muszę mieć kopię twojego prawa jazdy, karty kredytowej i paszportu. Musimy wymyślić jakieś sekretne hasło, którym się posłużysz — nie mogąc inaczej skontaktować się ze mną—jako sygnałem, że jesteś w niebezpieczeństwie. Co jeszcze możemy zrobić?

Po sekundzie miała kolejny pomysł.

— Pójdziemy do salonu ezoterycznego.

Penny miała takie miejsce, gdzie chodziła na oczyszczanie energetyczne, czytanie z kart i palenie rytualnych świec. Ja ani wierzyłam, ani nie wierzyłam w talizmany, ale są takie sytuacje, kiedy chwytam się wszystkiego.

— Po co?

— Po ochronę.

Zgodziłam się, chociaż zdawałam sobie sprawę, że jeżeli ta eskapada miałyby się okazać groźna, to łupina kokosu czy świeca na pewno mnie nie uratują. Zatrzymałyśmy się jednak w drodze do domu, żeby kupić świecę. Był na niej wizerunek Michała Archanioła w zbrojnym pancerzu, z gęstwą lśniących włosów zamiast kasku i stopą przygniatającą głowę szatana. Wolałam Marię, ale sprzedawczyni usilnie namawiała na Michała. Miałam wątpliwości, czy mężczyzna, nawet anioł, zechce w tym przypadku interweniować. Mimo to zapaliłam świecę. Później tego popołudnia zatroszczyłam się jednak dodatkowo o własne bezpieczeństwo i z plecakiem przewieszonym przez ramię wybrałam się do centrum. Pomyślałam, że spróbuję uzbroić się także w informację. Minęłam sprzedawców kadzidełek i kamienne lwy strzegące kolumnowego wejścia do nowojorskiej biblioteki publicznej. Byłam jedną z pionierek profesji otwieranej przez Ari, bowiem dopiero druga grupa amerykańskich dziewcząt została zaproszona na imprezy księcia. Nie miałam z kim porozmawiać, nie było żadnego sposobu, żeby sprawdzić wiarygodność oferty. Ponieważ był to jeszcze wiek internetowego paleolitu, przed stworzeniem Wikipedii, więc koczowałam w bibliotece przez całe popołudnie, wyszukując informacje o Brunei i sułtańskiej rodzinie.

Przewracałam strony encyklopedii i albumów fotograficznych, znalazłam nawet plotkarską książeczkę typu „wszystko o...” (w rzeczywistości „niewiele o...”) pod tytułem *The Richest Man In the World: Sultan of Brunei* (Najbogatszy człowiek świata: Sułtan Brunei). Książka opisywała głównie biznesowe układy sułtana, między innymi z takimi ludźmi jak Kashogi i Fayed.

Dowiedziałam się, że malezyjskie Brunei jest sułtanatem muzułmańskim położonym na północnym wybrzeżu Borneo. Pełną niepodległość kraj odzyskał w 1984 roku, ale w dalszym ciągu łączy go z królową angielską silne więzy dyplomatyczne. W tamtym czasie sułtan Brunei był, dzięki ropie i zagranicznym inwestycjom, najbogatszym człowiekiem na planecie, chociaż później zdystansował go Bill Gates. Obecnie plasuje się na czwartym miejscu między Paulem Allenem z Microsoftu i Fahdem, królem Arabii Saudyjskiej. Dane statystyczne spisałam do notesu. Brunei zajmuje obszar około pięciu tysięcy siedmiuset siedemdziesięciu kilometrów kwadratowych, czyli nieco mniej niż stan Delaware. Kraj, zwany złośliwie państwem Shell-dobrobytu, zamieszkuje 374 577 obywateli i każdy ma dostęp do bezpłatnej edukacji i leczenia na koszt sułtana. Sułtan ma trzech braci: Mohammeda, Sufriego i Jefriego, który ma mnie gościć. Mohammed, jak przeczytałam, jest najbardziej religijny z braci, ma tylko jedną żonę i często wypowiada się głośno na temat liberalnych (i libertyńskich) poglądów braci.

Znalazłam wiele zdjęć samego sułtana i jego dwóch żon, jedno jego brata Mohammeda, ale nie natrafiłam na żadne zdjęcie Jefriego. Sułtan wyglądał niezwykle dostojnie w monarchicznych strojach i wojskowych insygniach. Trudno było sobie wyobrazić jakąkolwiek komunikację z kimś takim. Ambicje Żydów z klasy średniej z New Jersey nie sięgają królewskich progów. Większość dziewcząt, z którymi chodziłam do szkoły, rozjechało się do college'ów w Michigan czy Syracuse, a po kilku latach wracały do domów z akademickimi odznakami

korporacyjnymi i wychodziły za mąż w rodzinnym mieście za dentystów czy optometryków.

Wreszcie na końcu jakiejś pożółkłej książeczyny odkryłam niewielkich rozmiarów zdjęcie księcia Jefriego. Był w kasku ochronnym i niebieskim stroju do gry w polo. Stał obok konia, od którego lśniącej sierści bił blask. Jefri wydał mi się niewysoki, ale męski, wysportowany i bardzo przystojny. W jego oczach wychwyciłam coś zimnego, jakby przebłysk perfidii. To i wąsy w stylu Errola Flynna nadawały mu wygląd podejrzanego drania trochę z innej epoki. Zakłęty książę z domieszką łotra. Nagle nabrałam pewności, że mimo wszystko pojedę do Brunei. Tam w bibliotece poczułam psychiczną gotowość pofrnięcia do równoległego uniwersum pałaców i balów, wyobrażając sobie, że moje życie w Nowym Jorku pozostanie nienaruszone, poczeka na mnie.

Tego wieczoru poinformowałam Taylor. Zachowała się tak, jak można się było po niej spodziewać: zażądała procentu od moich zarobków. Ja też zareagowałam tak, jak można się było po mnie spodziewać: zgodziłam się na to.

*

Kiedy przedstawiałam sytuację Seanowi, dotarło do mnie pierwsze ostrzeżenie, że nie wszystko potoczy się tak gładko, jak sobie wyobrażałam. Trzeba będzie ponieść ofiary. Wcześniej pozwoliłam na to, żeby Sean myślał, iż nadal tańczy w klubie, ale z powodu tego oszustwa czułam się podle. Podejmując ofertę pracy w Brunei, wiedziałam, że muszę powiedzieć prawdę.

— Mój sprzeciw — powiedział spokojnie. — Nie możesz tego zrobić.

Staliśmy w jego wąskiej kuchni, gdzie ze ścian schodziła żółta farba, a chromowane nogi stołu kuchennego pokryły się rdzą.

— Czy dasz mi dwadzieścia tysięcy dolarów?

— Pieniądze nie zawsze są najważniejsze. W klubie zarabiasz dosyć.

Miał rację, ale to mnie tylko rozeźliło, skłoniło do walki. Z powodu kręcenia na temat pracy w klubie miałam poczucie winy i to tym bardziej wyzwalalo we mnie bojowość. Do tego w jakimś sensie wierzyłam, iż moje „kontakty” z klientami i bycie z Seanem nie mają ze sobą żadnego związku. W krajobrazie moich emocji byli oddaleni od siebie o całe lata świetlne. Uważałam, że powinien to rozumieć i, co więcej, zaakceptować.

— Potrzebuję tych pieniędzy, żeby chociaż przez jakiś czas się o nie nie martwić.

— Z pieniędzmi jest inaczej, niż myślisz. Im ich więcej, tym więcej powodów do zmartwienia, nie mniej.

— To jest praca jak każda inna, okay? — powiedziałam wyzywająco, jakbym uważała go za idiotę. — To nie ma nic wspólnego z nami.

Sean zrobił się ze dwadzieścia centymetrów wyższy i szerszy.

— Czy wiesz, że jesteś cholerną wariatką?

— Nie jestem wariatką. Ty jesteś mieszczańskim, kontrolującym dupkiem.

Wydawało mi się, że chce mnie uderzyć. Rozpoznałam to spojrzenie; widziałam je z tysiąc razy u ojca. Różnica polegała na tym, że Sean nigdy by się do tego nie posunął, a mnie wpojono w domu, że kto kocha, ten bije, więc nie miałam takich oporów i żeby to udowodnić, wycelowałam talerzem w jego głowę. Uchylił się i talerz roztrzaskał się o ścianę. Poczułam się jak idiotka. Sprzątanie skorup zastawy kuchennej, którą się rzucało w poprzek kuchni, jest upokarzające. Sean się rozejrzał, westchnął, widać było, że jest tego samego zdania: powinnam się wstydzić. Poprosił, żebym wyszła.

Nie rozumiałam, dlaczego stanął między mną i moimi planami. To miała być przygoda, stos pieniędzy, zagraniczny książę, nic więcej. Czy nie stać nas było na danie sobie nawzajem odrobiny wolności? Zaoomniałam, że to ja czytałam jego korespondencję, odsłuchiwałam wiadomości na sekretarce, przekopywałam jego mieszkanie w poszukiwaniu śladów po dawnych przyjaciółkach. Teraz sędzę, iż zdawałam sobie sprawę z własnej hipokryzji, ale nie zmieniałam stanowiska. Zawsze robiłam to, co chciałam. Nikt nie mógł mnie powstrzymać od wejścia na pokład tego samolotu.

Zatrzymałam się na najbliższym podeście. W górze w drzwiach mieszkania stał Sean, w dole było wyjście na Kivington Street. Naprawdę kochałam Seana. Marnie to rozegrałam. Nie zostawiaj mnie — poprosiłam. Ja nikogo nie zostawiam. Ty to robisz.

Rozdział 7

Na przejazd ze szpitala Beth Israel na lotnisko Kennedy'ego wydałam ostatnie trzydzieści dolarów. W terminalu, pod wznoszącymi się daleko w górze łukami dźwigarów i kopułami sufitów, przeszłam transformację z pulsującego poczuciem winy kłęбка nerwów w zagubionego w jasności południa anonimowego podróżnika. Zasuwiają się za tobą drzwi lotniska i natychmiast znajdujesz się w stanie zawieszenia: już nie jesteś tutaj i tam też jeszcze nie, jesteś „na progu”.

Dostrzegłam towarzyszkę podróży, stała odwrócona do mnie plecami w długiej kolejce do odprawy. Tapir na jej głowie był absolutnym szaleństwem, a spandeksowa sukienka tuba mieniła się neonowymi kolorami różu i pomarańczy jak zachód słońca w tropikach. Góra sukienki obciskała jej cycki tak, że tworzyły jednolity bezkształtny masyw. Matka mawia, że takie topy robią ci z biustu świąteczną chałę. Swoją chałą Destiny wykarmiłaby ludność rozwijającego się kraju. Przywitałam się z nią zdawkowym uściskiem, stwierdzając przy

tej okazji, że śmierdzi tanimi wodami Aqua Net i Amarige. Miałam podróżować z superstriptizerką. To byłoby na tyle, jeśli chodzi o anonimowość, dyskrecję i gubienie tożsamości, na jakie można liczyć w podróży.

Zgodnie z planem miałyśmy lecieć do Los Angeles, spędzić tam noc, a następnego dnia przyłączyć się do Ari i dziewczyny imieniem Serena, której jeszcze nie znałyśmy. Kolejny etap podróży to Singapur, tam nocleg i potem krótki lot do Bandar Seri Begawan, stolicy Brunei. Przerazała mnie myśl o długich godzinach podróży w towarzystwie Destiny. O czym będziemy rozmawiać? O zadziwiająco wygodnych butach na akrylowych platformach marki Lucite?

Gdy szłyśmy do naszej bramki wyjściowej, wszystkie oczy oderwały się od gazet i wlepiły w Destiny. Przejście stało się wybiegiem. Natychmiast moje nastawienie do Destiny przeszło metamorfozę od odrazy do lojalności. Moje oczy mają patrzeć twardo wprost przed siebie. Byłam przyzwyczajona do ciekawskich spojrzeń — jako nastolatka z czerwonymi włosami w prywatnej szkole, jako bywalczyni klubów przebrana pewnego Ipcowego wtorku za Marię Antoninę, jako kompanka transwes-lytów upijających się na schodkach przed domami w Lower East Side. Spojrzenia gapiów stawały się wyzwaniem i budziły we mnie większą pewność siebie, niż ją faktycznie miałam.

Co zrobiłaby Patti Smith, gdyby przyszło jej odbywać trzydniową podróż międzynarodowymi liniami w towarzystwie gwiazdki filmów porno? Wyprostowałaby kręgosłup i wbiła w gapia wzrok mówiący: „Widzę cię. Ja też ciebie widzę, skurwysynu”.

Podczas jazdy autobusem na pas startowy dowiedziałam się, że Destiny sama szyje sobie sukienki i własnoręcznie je maluje farbami akrylowymi, lubi podnoszenie ciężarów, pozowała do rozkładówki „Hustlera”, kocha Jezusa i wyżywa się artystycznie w kolażu. Wszystko to brzmiało znacznie bardziej interesująco, niż mogłam się spodziewać. Powiedziała mi także, że zostawiła w domu pięcioletnią córeczkę pod opieką swojej matki. Nie zgorszyłam się tym, iż zostawiła dziecko. Robisz to, co w danej sytuacji musisz, tak? Zdarza się dziewczynie, że ma córkę, którą na jakiś czas opuszcza. Położyła na języku małą niebieską tabletkę na uspokojenie i z wilgotnymi oczami wyciągała jedno zdjęcie portfelowe za drugim, pokazując mi swoją małą dziewczynkę przy ryku zwiększających obroty silników odrzutowca. Ja nie miałam za kim wylewać łez, nawet nie za Seanem. To jest prawdziwa wolność, pomyślałam.

*

Następnego ranka zjadłyśmy śniadanie na tarasie lotniskowego hotelu. Na kolejny lot miałyśmy się stawić dopiero za parę godzin, więc postanowiłyśmy spędzić ten czas na Venice Beach. Zachęczone obrazkami ze *Słonecznego patrolu*, zapragnęłyśmy umoczyć stopy w Pacyfiku, pogapić się na plażowe króliczki w bikini wylawiające z wody piłki do siatkówki, poczuć się przez chwilę w klimacie *Surfin' USA*. Nie rozczarowałyśmy się. Wiatr spiętrzał fale i przepędzał z nieba każdą chmurkę, tak że lśniło błękitem, jaki malarze nadają mu na religijnych obrazach. Przy dobrej pogodzie

słońce w Los Angeles napęła twoje serce nadzieją; potrafi zamienić niechlujny deptak w promenadę z filmowego kiczu. Promienie raziły w oczy, więc zwabiły nas stojaki z okularami przeciwsłonecznymi, błyszczącymi w słońcu jak lizaki.

Kiedy dziś idę tym samym deptakiem, widzę znowu charakterystyczne postacie, które niczym wizerunki na kameach utrwaliły się w pamięci z pierwszego pobytu w Venice. Śmiga koło mnie na rolkach wysoki mężczyzna z gitarą elektryczną i wzmacniaczem na plecach, grając *Purple Haze*. Oczywiście nie mogę przysiąc, że ten sam. Za to na pewno rozpoznaję pseudo-Cyganek w dziwnym stroju, reklamującą przepowiednie na zwykłej tekturze, gdyż krzyczy do mnie to samo co wtedy: „Jesteś w ciąży. To dziewczynka. Czy chcesz się dowiedzieć więcej?”.

Przeszłam wtedy obok. Nie dlatego, że uwłaczałoby mojej godności wysłuchanie, co odczytuje z kart szarlatanka przy plaży, ale budził odrazę podły trik stosowany, żeby zwabić kobiety. Grała na ich emocjach: największych marzeniach i największych lękach. Nie byłam zainteresowana fantomową ciążą. Co innego, gdyby powiedziała: „Przed tobą podróż do egzotycznych krajów” albo „Poznasz przystojnego księcia i zakochasz się w nim do szaleństwa”. Wtedy błagałabym Destiny o pięć dolarów, żeby usłyszeć ciąg dalszy. Pomogłam współtowarzyszce wybrać pocztówki i T-shirty dla córeczki. Zjadłyśmy w połączonej z kawiarnią księgarence przy plaży, a potem zabawiałyśmy się na huśtawkach. Mam zdjęcie w czarnych dżinsach i wielkich czarnych okularach przeciwsłonecznych. Śmieję się histerycznie, gdy zaczynam

lot w dół z rozwianymi przez wiatr włosami. Destiny uchwyciła mnie dokładnie w momencie, kiedy zawisłam w górze, zanim grawitacja pociągnęła mnie ku ziemi. Tego wieczoru przy kasie biletowej na lotnisku spotkałyśmy się z Ari. Miała zaczerwienioną po peelingu twarz i wielką torbę podręczną z monogramem. Kalifornia to nie Nowy Jork, pomyślałam. Poznałam przecież ileś osób znaczących w nowojorskim seksbiznesie i były to znerwicowane, starannie uczesane, wyrachowane baby albo typy jak z gangu Aniołów Piekieł. Obok Ari stała Serena. Platynowa blondynka, porcelanowa cera, wredne spojrzenie niebieskich oczu, zadarty nos z rozdętymi chrapkami — o takim nosie moja babka mówiła, że łapie krople deszczu. W sumie Marilyn dla ubogich. Od razu nie wzbudziła we mnie zaufania.

Gdy stałyśmy w kolejce, Ari opowiedziała co nieco o sobie. Nie zaczynała kariery jako stręczycielka. Była miłą dziewczyną z północnej Kalifornii, bogatą, z kochającej się rodziny, która zajmowała się importem francuskich win, sprzedając je do ekskluzywnych restauracji w rejonie zatoki San Francisco. Dla królewskiej rodziny w Brunei zaczęła pracować jako zarządca nieruchomości i doradca, a do jej obowiązków należało pilnowanie jednej z ich wspaniałych rezydencji w Bel Air. Regularnie latała między dwoma krajami, żeby spotykać się z księciem.

Podczas jednego ze spotkań książę napomknął mimochodem, że nie miałby nic przeciwko temu, gdyby następnym

razem przywiozła przyjaciółkę, najlepiej podobną do Marilyn Monroe. Domyślam się, iż według niego kopie Marilyn Monroe chodzą tłumnie po Los Angeles, więc każdy jakąś zna. Nikt nigdy nie mówił księciu „nie”, dlatego Ari tak długo przeczesywała miasto, póki nie znalazła Sereny. Dziewczynie marzyła się kariera gwiazdy filmowej, a męczyła się jako sprzedawczyni w Beverly Center. Gdy następnym razem Ari leciała do Brunei, towarzyszyła jej Serena.

To były kobiety, z którymi przelatywałam nad połową kuli ziemskiej: kochająca Jezusa dziewczyna z rozkładówki „Hustlera”, niewydarzony klon Monroe i skautka, która zeszła na złą drogę. Serena leciała do Brunei po raz trzeci, ale nie zasypała nas pomocnymi wskazówkami. Spędziłam z nią pół godziny w barze na lotnisku, próbując ją przekupić ehardonnay, niestety bezskutecznie, więc nadal nie wiedziałam, co mnie czeka. Serenę cieszyła uprzywilejowana pozycja i gdy wchodziła z Ari do pierwszej klasy, a ja z Destiny zostawałyśmy w biznes class, pożegnała nas lekceważącym machnięciem ręki.

Podczas lotu my dwie przeciągałyśmy się dość często, narzekałyśmy jeszcze częściej, sączyłyśmy szampana i prosiłyśmy śliczne stewardesy o ponadprzy działo we ciasteczka. (Oglądałyśmy *Piękną i bestię* i na koniec zapadłyśmy w lekką drzemkę. Biznes class to jak latający hotel, ale nawet latający hotel może się w końcu sprzykrzyć. W półśnie zobaczyłam matkę i ciotkę, jak przycupnięte na plastikowych krzesłach czuwają przy łóżku ojca. Odgoniłam ten obraz. Nie było sensu zamartwiać się czymś, na co nie miałam wpływu. Nie

było sensu przetrwać decyzji, która już zapadła. W Tokio przesiadaliśmy się do kolejnego samolotu i znowu przerabialiśmy to samo, w sumie przez całe osiemnaście godzin. Tak zaczęła się dla mnie trudna nauka samokontroli i studzenia temperamentu, naprawdę niełatwa dla niespokojnego ducha, jakim byłam. Gdybym przyłożyła się bardziej do nauki, byłabym dzisiaj o wiele bogatsza.

Przetarłam oczy i oparłam czoło o szybę, patrząc na rozciągający się jak okiem sięgnąć kobaltowy błękit, przesuwany pod nami. Zanim ukazał się wąski pasek plaży u wybrzeża Singapuru, byłam tak zmęczona, że jak tylko przymknęłam powieki, widziałam gwiazdne błyski, a wokół każdego światła jaskrawe halo. Nie tylko mój język pokrył się obrzydliwym kożuchem, ale i mózg także. Czuję się wdzięczna losowi, że mamy odpowiedzialną „zastępową”, Ari, która swoją trzódkę przeprowadzi przez cło i zawiezie taksówką do hotelu. Podczas jazdy Serenie wysnęło się, że to rodzina królewska jest właścicielem tego hotelu i że trzydzieste szóste piętro, gdzie się zatrzymamy, jest wyłącznie do dyspozycji ich gości.

Westin Stamford Singapore to najwyższy hotel na świecie, siedemdziesięciotrzytętrowy cylinder górujący nad portem. Kiedy tam dotarliśmy, zabrakło mi energii na zwiedzanie reszty hotelu, tym bardziej ulic miasta. Zamówiłam satay do pokoju i zasnęłam przy niezgaszonych światłach. Otworzyłam oczy osiem godzin później przed świtem, całkowicie wybu-

dzona i z zespołem nagłej zmiany strefy czasowej. Wstałam z łóżka, skrzyżowałam ręce na nagich piersiach i podeszłam do okna. Rozsunęłam ciężkie zasłony. Granatowe niebo zmieniało barwę na kobalt, dojrzałam jeszcze parę gwiazd. Wyszłam na balkon w ciepłe, przyjazne powietrze i obserwowałam wyslizgujące się z portu łodzie rybackie. Byłam sama, o pół globu od miejsca, gdzie to się zaczęło, a przede mną rozciągał się ocean nieznanych możliwości.

Długo czekałam na chwilę, żeby tak właśnie się poczuć.

Rozdział 8

Na lotnisku w Bandar Seri Begawan powitali nas dwaj zacni panowie w białych koszulach, krawatach i okularach przeciwsłonecznych. Rozbawiło mnie ich uderzające podobieństwo do agentów służb specjalnych, a nawet przeszedł dreszczyk podniecenia, gdy wyobraziłam sobie, że dostali o mnie notatkę, a więc mam główną rolę w filmie szpiegowskim. Teraz rozumiem, że to rzeczywiście byli agenci. Trochę czasu jednak upłynęło, zanim naprawdę dotarło do mnie, że byłam sekretnym gościem przywódców obcego rządu — bardzo bogatego, a tym samym potężnego. Nad organizowaniem naszych podróży do Brunei pracował zespół ludzi, ale my nigdy nie poznałyśmy człowieka ukrytego za kurtyną. W Brunei wszystko podporządkowano specyficznemu kodowi — stroje, posiłki, gesty — to był zaszyfrowany język, którego nie znałam.

Na ścianach terminalu w Bandar Seri Begawan wisiała triada ogromnych portretów. Takie same wizerunki ozdabiały ściany każdej restauracji, firmy, banku i salonu kosmetycznego

w kraju. W środku Hassanal Bolkiah Mu'izzaddin Waddaulah, sułtan Brunei, którego poznałam później jako Martina. Na portrecie sułtan uwieczniony jest w obwieszonych medalami białej marynarce i okrągłej, wysokiej czapce na głowie, pierś przepasuje mu złota szarfa. Nieco niżej, z jednej i drugiej strony podobizny sułtana, wiszą portrety jego dwóch żon: dostojnej pierwszej żony, Salehy, i zamieszanej w głośny skandal drugiej żony, Miriam, byłej stewardesy Royal Brunei Airlines. Obydwie żony, w makijażu jak na konkurs piękności, mają na sobie bogato zdobione klejnotami szaty, a na głowach diamentowe tiary.

Przyglądałam się tym portretom, gdy czekałyśmy przy taśmie bagażowej, i wyobrażałam sobie dzieci bawiące się w króla i królową. Dwie małe dziewczynki rywalizują ze sobą o tytuł królowej, a matka kończy spór, mówiąc, że mogą być dwie królowe. Czym prędzej wycina z żółtego kartonu dwie korony. Dziewczynki cieszą się ząbkowanymi ozdobami głowy, ale w głębi duszy każda pragnęłaby być jedyną królową. Uczą się jednak, że czasami trzeba się zadowolić tym, co się dostaje.

Rozsunęły się drzwi terminalu i uderzyła w nas fala gorącego i wilgotnego południowoazjatyckiego powietrza. W jednej chwili zrosiło moją skórę i spowolniło ruchy. Nasiąkła wilgocią walizka wydawała się dziesięć razy cięższa. Czubkiem pantofla zahaczyłam o nierówność chodnika, potknęłam się, wypuściłam walizkę z rąk i zamachałam nimi jak wiatrakami. Scena żywcem wzięta ze slapstickowej komedii z Katrinką Siłaczką. Udało mi się złapać równowagę, nie

przewróciłam się. Wszystkie oczy naszej nielicznej grupy zwróciły się w moją stronę, co spowodowało mnie do wykonania kilku tanecznych ruchów. Miały sugerować, że zrobiłam to umyślnie.

Chciałam być dziewczyną z gracją, tymczasem wciąż chodziłam z posiniaczonymi kolanami i plastrami na łokciach. Striptizerka, która marzy o balecie. Cyrkowy kłown, który marzy o akrobacjach w powietrzu. Rzeczywiście, często trzeba się zadowolić tym, co się od losu dostaje.

Władowaliśmy się do dwóch mercedesów z zaciemnionymi, niemal nieprzezroczystymi szybami i po krótkiej jeździe zanurzyliśmy się w prawdziwą dżunglę, bowiem Brunei tonie w zieleni — strzelistej, majestatycznej, wiekowej. Przez prześwity między drzewami widziałam miszmasz nowoczesnych biurowców, nijakich domów i kopuł meczetów. Gdy jechaliśmy wzdłuż wody, rozpoznałam kampungi, wioski na mokradłach, które oglądałam na zdjęciach podczas zbierania informacji w bibliotece. Taka wioska to skupisko krzywych domków na palach, pod nimi ciemna woda nadbrzeżnych bagien. Wydawało się, że te wątłe konstrukcje mogą się w każdej chwili ześlizgnąć w wodę. Pomyślałam, że na drewnianych pomostach łączących domki ze sobą nie czułabym się bezpieczniej niż na liściach lilii wodnych pod nimi.

— Sułtan zaproponował ludziom z bagien przeniesienie się do normalnych domów, ale woleli tu pozostać — powiedziała Serena, marszcząc nos. — Tu jest smrodliwie. Nawet nie ma kanalizacji.

Przypomniała mi się opowieść o perskich nomadach, którą kiedyś słyszałam. W latach siedemdziesiątych szach irański, ogarnięty obsesją na punkcie nowoczesności i kultury zachodniej, zmusił nomadów do zrezygnowania z migracji i osiedlenia się w domach. Nomadowie wprowadzili do nich swoje kozy i wielbłądy, a sami sypiali w namiotach na podwórkach. Gdy szacha zdetronizowano, wrócili do poprzedniego koczowniczego trybu życia. Tak bardzo byli pewni tego, kim naprawdę są. Opuszczone przez nich domy nadal stoją na zboczach irańskich gór.

W czasie drogi przed oczami migwały spoza drzew różne atrakcje turystyczne, rozbudzając ciekawość, więc zapytałam Ari, kiedy będziemy miały możliwość zwiedzenia miasta.

— Nie będzie do tego okazji.

— Czasem uda się wam wyskoczyć do centrum handlowego Yaohan, jeżeli poprosicie o to z wyprzedzeniem — powiedziała Serena. — Wtedy obowiązkowo czapki bejsbo-lowe i długie rękawy, a i tak ludzie będą się na was gapić. Kiedyś na parkingu obnażył się przede mną jakiś zboczeniec.

Serena ożywiła się, odkąd znalazłyśmy się w Brunei. Poczwała się dobrze w skórze przewodniczki podróży, która wie więcej od nas. Zauważyłam jednak coś jeszcze. Bezustannie pocierała paznokciem środkowego palca opuszkę kciuka. Nerwowy tik stawał się coraz bardziej natrętny, w miarę jak wyrzucała z siebie wiedzę o kraju. Dawało się wyczuć, że Serenę ogarnia jakiś niepokój.

Po dwudziestu minutach dotarliśmy do wydzielonego terytorium wielkości chyba małego miasta. Otaczały je kremowe gładkie mury, a nad nimi można było dojrzeć jedynie wierzchołki drzew i dalej wielką niebieską kopułę. Podjechaliśmy przed budynek straży, przy którym stał żołnierz w czapce, która pasowałaby ulicznemu sprzedawcy wody z sokiem. Pewien marine, który bywał w barze Baby Doli i opowiadał mi swoje przygody wojenne, zdradził mi, że takie furażerki żołnierze amerykańskiej piechoty morskiej nazywają niecenzuralnym słowem *piss-cutters*. W głowie mam przepastną szafę, a w niej przechowuję takie ciekawostki.

Żołnierz zwolnił bramę i gdy się rozsunęła, odsłoniła widok przypominający kurort w Fort Lauderdale przeniesiony w świat Aladyna. Osiem pawilonów gościnnych, każdy z czterema sypialniami, stało półkolem naprzeciwko pałacu. Gdy podjeżdżaliśmy pod jeden z nich, z werandy machało do nas pięć tajskich pokojówek w różowych mundurkach i jak tylko auta się zatrzymały, podbiegły i wyciągając bagaże, świergotały monotonie: „Halo. Witamy. Halo. Witamy”, wcale nie czekając na odpowiedź.

Wyłożone włoskimi marmurami i aksamitnie miękkimi dywanami wewnątrz było samo w sobie miniaturką pałacu. Kilometry brzoskwiniowej draperii otulały okna i w każdej niszy ustawiono wielkie aranżacje ze sztucznych kwiatów. Zwrócił moją uwagę dość specyficzny szczegół: w każdym pokoju wyłożono jednorazowe chusteczki w zdobnych, złożonych pudełkach.

Stałam na werandzie i przyglądałam się posiadłości sułtana.

Od wielkiego jak hotel pałacu, nieco przesłoniętego przez wzgórze, oddzielały mnie akry trawnika. Po lewej stronie przy drodze widziałam turkusową taflę basenu, a jeszcze dalej korty tenisowe. Zaczynało się ściemniać i poczułam się straszliwie głodna. Zdjęłam szpilki i dopiero wtedy ośmieliłam się postawić nogi na brzoskwińowej wykładzinie ze świeżymi smugami po odkurzaczu i ruszyć na piętro w poszukiwaniu mojego pokoju.

Zastałam tam swoją walizkę i Destiny, która już się rozpakowywała. Ari zajmowała główną sypialnię, Serena została ulokowana naprzeciwko nas, a ja miałam wspólną sypialnię właśnie z Destiny. Rozejrzałam się. Nasz pokój był obudowany lustrami, na środku stało wielkie łóżko, w kącie toaletka, wzdłuż jednej ściany ciągnęły się metry szaf wnekowych. Destiny dała wyraz rozczarowaniu.

— Wydaje się, że tu mieszka handlarz dywanami. Włożyła luźną bluzę i w jednej chwili zaatakowały mnie

słowa *Queen Büch*, jakby nagle ktoś je namazał sprayem na każdej powierzchni. Nie było takiej płaszczyzny w pokoju, na której by nie było naszego lustrzanego odbicia pod takim czy innym kątem.

— Ta Serena to marudna gówniara — powiedziała szeptem Destiny, wykładając na łóżko swoje skąpe sukienki i stringi.

- Nie ma wątpliwości. Otworzyłam walizkę i straciłam hart ducha. Na tle tego przepychu jawiłam się sobie jako nędzny oszust. Nie miałam balowych kreacji na dwa tygodnie. Tak naprawdę miałam za mało na dwa dni. Nie byłam nigdy na wytwornym przyjęciu koktajlowym. Przywiozłam szmaty z lumpeksów i kostiumy

call girl z nadzieją, że nadrobią niedostatki dodatkami i fantazją. Wieszając w szafie swoje ciuchy, czułam się jak nieszczęśnik, który uczepiony burty walczy w wodzie o życie, podczas gdy wszyscy na pokładzie raczą się szampanem. Postanowiłam się nie poddawać. Wiedziałam, że sobie poradzę. Zawsze tak było.

Na kolację zeszliśmy do jadalni, gdzie zasiadliśmy przy wielkim, okrągłym, marmurowym stole. Serena miała na sobie długą suknię, podkreścone włosy i twarz odświeżoną tonikiem. Prawie gotowa, i to na każdą okoliczność, wyglądała pięknie. Ja nie zdjęłam jeszcze podróżnego stroju i czułam się nadal oblepiona kurzem, jakby nie udało mi się go zmyć z twarzy i oczu.

Pokojówki wniosły na półmiskach i w wazach prawdziwą ucztę. Dwadzieścia razy tyle jedzenia, ile przy najlepszych chęciach byłybyśmy w stanie zjeść. Wspaniałe tajski makaron smażony na oliwie i pikantne potrawy z kurczaka, i sałatki, i owoce, i wreszcie torty i ciasta na ogromnej paterze. Taca z owocami śmierdziała jednak jak niemyte nogi. Ari wyjaśniła nam, że sprawcą jest owoc zwany durianem. Zaczęła także zaznajamiać nas z protokołem. Jedzenie na następny dzień trzeba zamówić poprzedniego wieczoru. Cokolwiek sobie zażyczymy, zmaterializuje się w cudowny sposób, a jak będziemy miały dość, równie cudownie zniknie.

— Wyjątkiem jest papaya. Tutaj jej nigdy nie zobaczycie. Robin jej nie znosi — powiedziała Serena, zeskrobując łyżką sos z kawałka kurczaka.

— Kto to jest Robin?

Ari wyjaśniła nam, że z wyjątkiem żarliwie pobożnego Mohammeda, każdy z królewskich braci — sam sułtan, a także książę Sufri i książę Jefri — ma przybrane zachodnie imię i obowiązkowo takich mamy używać. Księcia Jefriego miałyśmy nazywać Robinem. Zabrzmiało to pięknie, zapachniało lasem Sherwood i pobudziło we mnie kobiecość. Dobry Robin Hood i ja, jego piękna Marian. Byłam straszną idiotką.

— Raz chciałam go rozdrażnić i nazwałam go Jefrim — odezwała się Serena.

— Nigdy tego nie próbujcie — przykazała Ari.

Dzień śmignął, zaskoczyła mnie noc i godzina rozpoczęcia imprezy. Na koniec ledwie zdążyłam zmienić buty. Ubierając się na przyjęcie, wybrałam kostium, w którym wyglądałam seksownie i który był najdroższym strojem w moim posiadaniu. Miałam nadzieję, że przynajmniej będę wzbudzać zaufanie.

Destiny, Serena i ja czekałyśmy na Ari na dole w holu. Zdążyłam się przyzwyczaić do naszego pawilonu i już mniej kojarzył mi się z pałacem, a bardziej z domem weselnym, więc wyobrażałam sobie przez moment liczną grupę druhen upozowanych na schodach. Byłyśmy jednak tylko trzy. Ukradkiem się lustrowałyśmy i każda punktowała i niedoskonałości, i atuty rywalek. Górowałam nad Destiny i jej akrylowymi szponami urodą, choć nie drapieżnością, a nad Sereną i jej oczami porcelanowej lalki elegancją, lecz urodą niekoniecznie.

Serena stała naprzeciwko mnie, opierając się o kolumnę. Ona

była blondynką, ja brunetką. W musicalu ona byłaby sopranem, ja altem. Ja dziewczyną z wielkim zadkiem, która robiła wszystko dla draki. Serena niewiniątkiem z talią osy, i to ona w końcu zdobyłaby upragnionego chłopaka. W *Grease* ja byłabym Rizzo, a ona Sandy. W *Oklahoma!* ja Ado Annie, ona Laurie, dla której chłopak wynajął karecię. Mierzyłyśmy się spojrzeniami, aż wreszcie Serena lekko wzruszyła ramionami, najwidoczniej lekceważąc mnie jako zagrożenie. O jednym każda Sandy zawsze zapomina: to Rizzo śpiewa najlepszą partię wokalną.

Pałac był za daleko, żeby iść tam pieszo, więc pojechaliśmy wózkami golfowymi parkującymi pod naszym domem. Ari jechała z Destiny, ja z Sereną, która w milczeniu prowadziła wózek oświetlonymi alejkami, mijając baseny, korty tenisowe i palmy.

Powietrze było parne i przesycone zapachem tropikalnych kwiatów. Nie upłynęła godzina od wyjścia spod natrysku, a już się spociłam. W głowie huczało mi od planów.

Wykorzystam czas tutaj jak najlepiej, postanowiłam. Podciągnę się w grze w tenisa. Opalę się. Odchudzę. Być może nawet rozkocham w sobie księcia i całe moje życie ulegnie olśniewającej i nieoczekiwanej odmianie. Jak zawsze marzyła mi się magiczna pigułka, która by uciszyła ten cholerny niepokój we mnie. Nie wiem, dlaczego uważałam, że znajdę ją w Brunei, ale z pewnością nie byłam pierwszą osobą wyskakującą z samolotu na drugiej półkuli z przekonaniem, iż tu czeka na nią prawdziwa tożsamość.

Gdy podjeżdżałyśmy pod pałac, przypomniało mi się oglądane kiedyś zdjęcie zamku Hearsta. Złote kopuły, kolumny

i dwa ciągi marmurowych schodów, które jak wstęgi wiodły do głównego wejścia.

— Wchodzimy zwykle z boku, żeby oszczędzić nogi, ale chcę wam pokazać główne foyer

— powiedziała Ari. — Na pewno się wam spodoba.

Na szczyt schodów dotarliśmy potężnie zasapane. Weszliśmy do pomieszczenia wielkości katedry, z fontanną pośrodku. Miałam wrażenie, że znalazłam się w wytwórni MGM z lat trzydziestych na planie filmowej wersji *Salome*. I że za chwilę grupa dziewcząt w spodniach aladynach spłynie ze schodów i odtańczy rewię według choreografii Busby'ego Berkeleya.

— Tu wszystko jest prawdziwe — powiedziała Serena.

— O czym mówisz?

— Złote nici w dywanach są naprawdę ze złota. Rubin jest prawdziwym rubinem — powiedziała, wskazując porcelanowego tygrysa ustawionego przy fontannie, który trzymał w pysku okrągły czerwony klejnot wielkości piłki tenisowej.

Naprzeciwko wejścia dostrzegłam obraz, z daleka wyglądał mi na Picassa i z góry założyłam, że to też autentyk. Szliśmy grzecznie za Ari, bokiem wzdłuż ściany, do miejsca, gdzie w połowie długości foyer zaczynał się korytarz. Tu na piedestale stała rzeźba Degasa, kilkunastoletnia tancerka uwieczniona w brązie. Ręce złączone z tyłu, piersi wyzywająco wysunięte do przodu, stopy w pozycji trzeciej. Wyglądała zupełnie tak samo jak ta, którą uwielbiałam odwiedzać, gdy przy specjalnych okazjach w jakąś niedzielę ojciec zabierał mnie do Metropolitan Museum of Art. Wędrowaliśmy po cudownych galeriach, a na koniec napychaliśmy się na scho-

dach hot dogami. Za każdym razem wybieraliśmy inną galerię. Siadywaliśmy na ławce przed gigantycznym płótnem Jacksona Pollocka i w plamach rozpryskanej farby doszukiwaliśmy się nacierających byków, kwitnących irysów, ukrytych znaczeń. Kiedy indziej ćwiczyliśmy oczy, próbując poskładać pocięte na kawałki postacie Picassa. Skapani światłem lejącym się przez szklaną ścianę staliśmy przed Świątynią Dendur i rozmawialiśmy o podróżach w czasie. Jednak pod koniec dnia odwiedzaliśmy zawsze moje ukochane baletnice Degasa, tajemnicze i zastygłe w czasie, przyszpilone niczym motyle do ściany.

Ari zauważyła, że przyglądam się rzeźbie, i nie omieszkała powiedzieć, iż Robin jest zapalonym kolekcjonerem sztuki. Ma przy tym niekończące się kilometry ścian do dekorowania. Jest właścicielem trzech innych pałaców, w których mieszka sam, i kolejnych trzech, które zajmujajego trzy żony, wieżowców służących mu za biura, no i wreszcie hoteli oraz posiadłości w Singapurze, Londynie i Los Angeles. Dodała, że wiele ulubionych dzieł sztuki zgromadził właśnie tutaj. Stałyśmy w pałacu, w którym szukał odprężenia, tu było jego sanktuarium rozrywki.

— Chodźmy już — ponagliła Ari, jakby z lekką nutą niepokoju.

Byłyśmy tak blisko rzeźby Degasa, że mogłabym do niej podejść i jej dotknąć. I czułam przemożną ochotę, żeby to zrobić. Postanowiłam, że spróbuję się później wymknąć.

Ludzie oglądający piętę dotykają stóp Jezusa z nadzieją na błogosławieństwo, ja dotknę stóp tancerki z nadzieją na to, że będę miała tyleż co ona gracji.

Rozdział 9

Weszliśmy do sali, gdzie niemal każdy centymetr wytwornej tapicerki obsiadły piękne dziewczyny. Gości rozmieszczano tu grupkami wokół licznie rozstawionych niskich stołów ze szklanymi blatami, podpieranymi przez wyrzeźbione w drewnie srebrne i złote tygrysy. Dlatego azjatyckie dziewczyny dekorujące wygodne fotele i kanapy natychmiast skojarzyły mi się z przyczajonymi na skałach tygrysicami w zoo. Rzucały się w oczy ich długie i lśniące czarne włosy oraz to, że siedziały ramię przy ramieniu, jakby podtrzymując się nawzajem w pozycji wyprostowanej. Wszystko to na tle niebieskich mebli, nefrytowej zieleni zasłon, ciemnego brązu wielkiego baru i kremowej wykładziny.

Dziewczęta były różnej narodowości: Tajki, Filipinki, Indonezyjki, Malajki, a na oko było ich około czterdziestu. W odległym kącie sali znajdował się parkiet taneczny i tam migotała dyskotekowa lustrzana kula, leniwie rzucając naokoło refleksy świetlne. Gdy wchodziłyśmy, wszyscy utkwili w nas

oczy z wyjątkiem dziewczyny, która z zamkniętymi oczami zatraciła się w karaoke. Za nią na wielkim ekranie zobaczyłam film wideo — kobieta i mężczyzna na karuzeli, na dole nieczytelne dla mnie żółte napisy.

Wejście Ari zauważyła stojąca przy barze kobieta — nieatrakcyjna, z szerokim czołem, w drucianych okularach na nosie — i natychmiast podeszła do nas. To była Madge, brunejski odpowiednik Julie — dyrektorki rejsu ze *Statku miłości*. Madge, Brytyjka, organizowała przyjęcia, zarządzała personelem rezydencji i ogólnie czuwała nad tym, żeby wszystko przebiegało zgodnie z planem i księżę Jefri był zawsze zadowolony. Z jednej strony paska miała zaczepiony telefon komórkowy, w tamtych czasach wciąż jeszcze rzadkość, z drugiej walkie-talkie.

Ari i Madge uścisnęły się czule i wymieniły niezdawkowe uprzejmości, a potem Madge poprowadziła nas do przyznanego nam królestwa. Miałyśmy bowiem honorowe miejsca, prawie na wprost drzwi. Destiny i ja, małpując Ari i Serenę, zagłębiłyśmy się w przepastne fotele i zamówiłyśmy szampana u jednego z kelnerów, których cała armia stała w pogotowiu. Alkohol był w Brunei objęty zakazem spożywania publicznie, ale na imprezach księcia lał się strumieniami. Sącyłam go ostrożnie. Wyczuwałam, że wszyscy rozmawiają wyłącznie o nas. Kobiety gapiły się bezczelnie i szeptały do siebie, obce wyrazy mieszały się z dźwiękami przetworzonego na potrzeby karaoke, tandetnie brzmiącego azjatyckiego popu.

Ari i Madge plotkowały o Londynie i ludziach, których jeszcze nie znałam. Po jakimś czasie zadzwonił telefon Madge

i gdy wyszła z sali, żeby swobodnie porozmawiać, Ari skorzystała z okazji i zaczęła nas instruować, bo za chwilę miałyśmy poznać członków rodziny królewskiej, ministrów, generałów lotnictwa i VIP-ów z międzynarodowej finansjery.

— Mężczyźni, którzy przyjdą z księciem, to jego najbliżsi przyjaciele. Nie odzywajcie się do nich, póki was nie zagadną. Pamiętajcie, że pokazywanie podeszwy buta jest źle widziane; w krajach muzułmańskich uważa się to za zniewagę.

*

Wysłuchując instrukcji, w jaki sposób ustawiać stopy, żeby uszanować muzułmańskie obyczaje, zastanawiałam się z rozbawieniem, ale i gorzką ironią, co rabbi Kapłan mógłby powiedzieć, gdyby mnie tu widział. Ocieężały, żółtawaty rabbi Kapłan z zaciśniętymi ustami, który stał przy mnie, gdy śpiewnie recytowałam swój fragment haftarah. Byłam rzadkim okazem — dziewczyną, która z całą powagą traktowała ceremonię bar micwy i naukę hebrajskiego.

To było zaledwie pięć lat temu. Pokwitałam późno i wtedy nawet nie musiałam nosić stanika. Do tej pory pamiętam ciężar trzymanego w ręku srebrnego jadu, którym przesuwałam po wersach Tory spisanych ręcznie na zwoju pergaminu. Pergamin z koziej skóry był trochę ziarnisty i tłustawy, wyglądał jak najcieniej rozwałkowane ciasto. Mienił się w świetle wpadającym przez wysokie witrażowe okna. Chciałam go powąchać, żeby się przekonać, czy pachnie zwierzęciem, czy olejem, czy srebrem, czy prawdą. Z jakiegoś powodu uważałam, że ma zapach jesieni, wilgotnych liści opadłych

na ziemię. Nie wiem w końcu, jaka to woń, ponieważ nie ośmieliłam się w obecności rabiego pochylić głowy i powąchać Tory.

Wierzyłam, iż gdzieś w zwoju jest Bóg, gdzieś między słowami Tory. Bóg żył w negatywnej przestrzeni, czyli w pustce pod sklepieniem synagogi, między dachem mojego domu i chmurami, między gałęziami drzew. Nie kwestionowałam istnienia Boga, ponieważ czułam jego obecność. Namacałam jego ciepło za plecami. Rozmawiałam z nim bez końca, z wyjątkiem chwil, kiedy w nocy budziłam się przerażona w łóżku. Wtedy Bóg nie istniał i byłam o tym równie silnie przekonana, jak o jego istnieniu przez resztę czasu. Żeby stawić czoło koszmarom sennym, musiałam myśleć szybko i natychmiast zaczynać pertraktacje z potworami. Takie negocjacje — zawieranie umowy, składanie obietnic — rozmywały się z nadejściem świtu.

Miałam nie trzynaście, a dwanaście lat w dniu mojej bat micwy. Dopuszcza się młodszy wiek u dziewcząt, zwłaszcza gdy urodziny dziewczyny wypadają latem, a nie w ciągu roku szkolnego, kiedy wszyscy się już rozjadą. W tamtym czasie w naszym mieście popularne stało się organizowanie po ceremonii bar i bat micwy przyjęć tematycznych — im bardziej zwariowanych, tym lepiej. Ten religijny obrządek przejścia w dorosłość, symbolicznego przekroczenia progu, koledzy z mojej klasy różnie świętowali: urządzano na ich cześć zabawy przebierańców, dyskoteki kostiumowe i bale w strojach wieczorowych. Jeden z miejscowych potentatów w handlu nieruchomościami wynajął stadion Giants i na nim

zorganizował imprezę dla syna, którą uświetnili swoją obecnością, i to w pełnym rynsztunku, członkowie drużyny Giants i ich cheerleaderki. Jedliśmy koszerne hot dogi w stadionowej restauracji, a maszerująca po murawie orkiestra wykrzykiwała imię Greg — tak nazywał się chłopak obchodzący swoją bar micwę.

Tematem mojego przyjęcia były (chyba was jednak zaskoczę) broadwayowskie spektakle. Na każdym stole stała w centralnym miejscu dekoracja nawiązująca do jakiegoś musicalu — na moim stole scena z *A Chorus Line*. We foyer domu bankietowego urządzono punkt fotograficzny, gdzie można było dostać afisz teatralny z wydrukowanym własnym zdjęciem. Gwoli ścisłości został nazwany afiszem Jill i, jak słyszę, stał się obiektem kolekcjonerskim. Przy wejściu do sali bankietowej stał facet, znany jako RJ, który połykał ogień i żonglował. Wiedziałam, że był w premierowej obsadzie *Barnum*, a ja uważałam wówczas ten spektakl za rzecz absolutnie super. Być może dostrzegłabym w tej sytuacji złowieszczą wróżbę dla siebie, gdybym choć przez moment pomyślała, że na liście marzeń RJ o karierze występ na prowincjonalnej ceremonii bat micwy nie plasował się wysoko. Matka włożyła wiele trudu, żeby wyjść naprzeciw moim oczekiwaniom, więc miałam suknię z dobraną do niej torebką i pantofelkami (wszystko mojego pomysłu, ozdobione sztucznymi różami i kryształkami Swarovskiego), a sala udekorowana była mnóstwem kwiatów i girlandami z balonów, atrakcją był bar z lodowymi deserami, no i cyrkowy połykacz

ognia. Jednak przy ostatnim kęsie tortu miałam wrażenie, że połykam robaka niepokoju, który zadomowi się w moich wnętrznościach i będzie rósł przez najbliższe miesiące. Jeżeli Bóg rzeczywiście wziął mnie w ramiona i przeniósł przez próg dzielący mnie od kobiecości, czy przypadkiem nie znajdę się w pokoju, gdzie czekają na mnie rozczarowania? Towarzystwo rozpaskudzonych nastolatek, z którymi się nie zaprzyjaźnię, bo nie noszę na głowie krabów z pianki i nie lubię podrygiwać do muzyki B-52s? Wkrótce potem w ogóle zważyłam w mądrość Boga. Nie przez błahostki jak cheerleaderki Giants czy kraby z pianki na głowę. I nie przez potworności jak Holocaust czy głód w Afryce. Nie to rozdzieliło Boga i mnie. Stało się to raczej za sprawą trenera łucznictwa, którego poznałam na obozie letnim i w którym się zadurzyłam, a zgadzał się on z Bogiem co do bat micwy, bo też uważał, iż dwunastoletnie dziewczynki są całkiem dorosłe. I najgorsze było to, że kiedy nasz flirt wyszedł na jaw i stanęliśmy przed dyrektorem obozu i resztą kadry, a na drugim końcu linii telefonicznej byli moi rodzice, nikt wówczas nie wystąpił w mojej obronie. Ani mój ojciec, ani nikt inny. Czuję się często wyobcowana, co wiązało się z podejrzeniem, iż nie tylko mam inne geny, ale i zupełnie inną duszę. Byłam księżniczką z innego królestwa, porzuconą na obcym progu przez matkę, która nie mogła się mną opiekować, ponieważ została przez czarnoksiężnika zamieniona w łabędzia. Po incydencie z Nathanem wyobcowanie stało się bardziej dotkliwe. Dołączyło się poczucie winy. Nie winiłam

już dłużej czarnoksiężnika za to, że nie jestem kochana przez rodziców czy przez Boga, czy przez kogokolwiek innego — kochał mnie tylko facet dziewięć lat starszy ode mnie. To była niczyja wina, wyłącznie moja.

Ten incydent nie był bezpośrednią przyczyną utraty wiary w Boga, zadziałał raczej jak wyzwalacz. Najpierw przestałam rozmawiać z Bogiem, potem jakbym o nim zapomniała. A kiedy znalazłam się w college'u, odkryłam, że mnóstwo ludzi nie uznaje Boga. Ulżyło mi.

Teraz byłam w Brunei i chociaż nic wierzyłam w żydowskiego Boga i żywiłam przekonanie o szkodliwości każdej zorganizowanej formy religijności, to jednak poczułam się żydówką.

*

— Twoja głowa nie może być wyżej niż głowa Robina. Ukłoń się, jeżeli będziesz przechodziła koło niego, gdy siedzi — pouczała nas Ari.

— Jak mam się kłaniać?

— Zobaczysz.

Miałam wrażenie, iż doświadczam *déjà vu*. Jestem na musicalu *Król i ja*.

„Kiedy ja siadam, ty siadasz. Kiedy ja klękam, ty klękasz” — mówił król Syjamu.

I baczcie na to, co mówicie. Myślicie, że was nie słysza., a ktoś jednak słyszy. Myślicie, że was nie widzą, a ktoś widzi — mówiła Ari.

Dawała do zrozumienia, że w Brunei inwigilacja jest na

porządku dziennym, nawet w łazienkach; stąd te lustra. Wśród dziewcząt to był przedmiot niekończących się spekulacji i paranoi. Więc niezupełnie jak w musicalu *Król i ja*.

Z sofy naprzeciwko podniosła się Filipinka i nie zmieniając znudzonej miny, szła w naszym kierunku, zatrzymując się, żeby zamienić parę słów przy tym czy innym stoliku. Wyglądało na to, że jest jedyną kobietą, której na tej imprezie wolno przełamywać niewidzialne bariery między grupkami dziewcząt. Miała więcej lat niż przeciętna osoba na sali i w czarnej sukni bez dekoltu ze zwisającymi z uszu brylantowymi kolczykami wyglądała trochę jak matrona. Gdy się przedstawiała, wyczułam lekki akcent brytyjski.

— Jestem Fiona. Witajcie w Brunei.

Serena wstała i ucałowała ją w obydwie policzki. Witały się z entuzjazmem studentek z jednej korporacji spotykających się po długim rozstaniu, które mogą się wreszcie podzielić ostatnimi plotkami.

Gdy Fiona odeszła, Serena rzuciła kąśliwą uwagę:

— Widzę, że nadal nie zgoliła wąsów.

Fiona była wrogiem numer jeden Sereny i wkrótce miała zostać moim najbliższym sprzymierzeńcem.

Po półgodzinie byłam na siebie wściekła za wybór stroju. W małym czarnym kostiumie czułam się jak sztywniak przy Serenie ubranej w zalotną, powiewną suknię i uczesanej w kok a la Grace Kelly. Poruszyłam się niespokojnie i wcisnęłam głębiej w fotel, żeby się nie zsunąć po śliskim obiciu.

Nagle karaoke ucichło, przygasły światła, a DJ stanął przed konsolą. Półsennie dekoracje na kanapach zmieniły się z przygarbionych znaków zapytania w wykrzykniki. Ślicznie ułożyły nogi i patrzyły na kobietę, która stanęła obok didżeja. Zaczęła śpiewać przebój Lisy Stanfield *AU Around the World*.

Czułam, że nadchodzi, zanim zobaczyłam go w drzwiach. Tamtego wieczoru księżę Jefri pojawił się w szortach i sportowej bluzie od Sergia Tacchiniego. Niósł rakietę do squasha, jakby właśnie zszedł z kortu. Dziewczyny rozkwitły, mając się do kogo wdzięczyc.

Zdjęcia nie kłamały. Był przystojnym mężczyzną mimo niemodnie nastroszonych włosów i rzadkiego wąsika. Fala charyzmy płynęła przed nim przez salę. Niemal widoczna, jak rozedrgane powietrze unoszące się nad rozgrzanym asfaltem w upalny dzień. Za nim kroczyło z dziesięciu podobnie ubranych mężczyzn. Towarzysząca mu świta zastygła w bezruchu, gdy stanął w miejscu, żeby ogarnąć wzrokiem salę.

Zatrzymał oczy na nas, dłużej na Serenie. Udał zdziwienie i podszedł wolnym krokiem, pocałował Serenę i Ari w policzki. Z bliska zauważyłam, iż jest krzepko zbudowany, mięśnie grały mu pod napiętą skórą. Pachniał zbyt intensywnie drogą wodą kolońską. Przysiadł lekko na oparciu fotela Ari. Co takiego było w niej, że wydawała się tu nie na miejscu? Naturalność to jeszcze nie dość adekwatne słowo, żeby to opisać. Była jak świeża truskawka między truskawkowymi tartinkami.

Ari przedstawiła mnie i Destiny Robinowi, zaszczycił nas wyćwiczonym uśmiechem i przestał zauważać. Zwrócił się do Sereny, która dała nietuzinkowy pokaz wstydlivych gestów

i zalotnych spojrzeń — broda w dół, oczy zerkające na niego, subtelny chichocik, potrząsanie główką, ledwie widoczne wygładzanie sukni, delikatne sygnały dłońmi. Zastrzeła mnie. Miewałam różne wcielenia, ale nigdy, niestety, nie byłam subtelną panienką.

W trakcie rozmowy Robin patrzył na Serenę z rodzajem fascynacji, póki coś w głębi sali nie przyciągnęło jego uwagi. Tam skierował wzrok i na moment zainteresowanie Sereną zniknęło. Dla mnie jakby otworzyło się okno. Pokiwał jeszcze kilka razy głową, poufale klepnął Serenę po udzie i odszedł. Gdy tylko książkę przysiadł się do sąsiedniego stolika, Eddie, jego przydupas i prawa ręka, teleportował się na fotel obok mnie. Śliski facet, nigdy nie było wiadomo, kiedy się przy tobie pojawi. On również miał dbać o nasz komfort. Wypytywał o nasze potrzeby, wybałuszając oczy, jakby za chwilę miały wyskoczyć mu z oczodołów i wylądować na cyckach Destiny. Czyżbyśmy miały „zabawiać” przyjaciół księcia? Na tym miało polegać uczestnictwo w przyjęciach? Nie wiedziałam, skąd to rozczarowanie u mnie. Z pewnością nie byłam tak wyczulona, gdy chodziło o klientów Crown Club. Czy jest czysty? Czy ma pieniądze? Czy jest w miarę normalny, a przynajmniej czy nie jest typem zabójcy? To były jedyne kryteria. Ta podróż coś zmieniła, gdyż w mojej głowie zaległa się myśl, że zostanę kochanką księcia. Eddie się ulotnił. Podeszło dwóch innych facetów. Dan i Winston. Przywitali się. Wyglądało na to, że dobrze się znają z Sereną i Ari, nie przyprawili mnie o gęsią skórkę jak Eddie, zresztą też po chwili poszli dalej.

Występowały trzy utalentowane piosenkarki, zmieniając się co kilka kawałków, a do zaoferowania miały tanią składankę malajskich i amerykańskich piosenek pop. Te amerykańskie to były z rodzaju tych, jakie wyciskają ci łzy z oczu, gdy słyszysz je w nocnym sklepiku, do którego samotna wpadłaś

0 drugiej nad ranem po płatki śniadaniowe i tampony.

Pod koniec nocy szczypałam się w uda, żeby powstrzymać opadające powieki. Czułam się jak w przegrzanej klasie szkolnej na lekcji matematyki, kiedy to strzelałam gumką na nadgarstku, broniąc się przed snem. Księżę skończył obchód sali i spoczął na fotelu pod ścianą obok Fiony. Z drugiej strony stał pusty fotel i chociaż wiele osób podchodziło do księcia

i rozmawiało z nim, nikt tego fotela nie tknął. Mężczyźni przysiadali się do stolików i pili z azjatyckimi dziewczynami. Niektórzy obejmowali je ramieniem lub trzymali za rękę.

Nami już nikt się nie interesował. Zastanawiałam się, czy oczekuje się ode mnie czegoś więcej niż siedzenia w fotelu i popijania szampana, ale byłam zbyt zmęczona, żeby o to pytać. O skandalicznie późnej godzinie światła przygasły jeszcze bardziej i z głośników rozbrzmiał taneczny przebój sprzed dwóch lat. Parkiet błyskawicznie zapełnił się dziewczętami, panowie tylko im się przyglądali. Wczepiona w fotel jak pukła zeszywniałam od bezruchu, więc gdy Destiny wzięła mnie za rękę i poprowadziła na parkiet, nie protestowałam.

Szło się tam wąskim przesmykiem wzdłuż ściany i trzeba było przejść przed fotelem księcia. Cały wieczór obserwowałam ukłony defilujących przed nim kobiet. Teraz miałam szansę pokazać, co potrafię. Naśladując je, zbliżyłam się

posuwistym krokiem i zgiąwszy się w pasie, zwiesiłam głowę w głębokim ukłonie. Niemal oczekiwałam, że wykrzyknie: „To zadziwiające!” jak Yul Brynner w musicalu *Król i ja*. W ogóle się nie odezwał. Czułam jednak na sobie jego gorące spojrzenie, krew napłynęła mi do twarzy. Czy tylko dlatego, że wykonałam tak niski skłon?

Destiny przeszła z wyzywająco podniesioną głową.

— Jestem Amerykanką, do cholery — syknęła, gdy byliśmy już poza zasięgiem uszu Robina. — Sorry, ale karku nie zginam.

Na parkiecie rozszalała się ku uciesze zarówno tańczących dziewcząt, jak i obserwujących je mężczyzn. Przez morze ciał udało mi się dojrzeć księcia, który z głową przechyloną do ucha Fiony słuchał jej szeptu. Wszystkie oczy były wbite w Destiny, ale jego nie. Robin patrzył na mnie. Przeszył mnie elektryzujący dreszcz — typowa reakcja, gdy jest się obserwowanym — i rozbłysła jak żarówka pod zwiększonym napięciem. Piękni tego świata muszą stale tego doświadczać. Odwróciłam wzrok, ale moje stopy pewniej sunęły po podłodze, a ruchy bioder perfekcyjnie zsynchronizowały się z linią basową.

Po godzinie dyskotekowej zabawy Robin wstał. Mężczyźni wyczuli to szóstym zmysłem i poderwali się z krzeseł w ułamku sekundy. Z kilkoma pożegnał się podaniem ręki i wyszedł z nieodłącznym Eddiem. Jak tylko pokonał schody i zniknął z pola widzenia, muzyka ucichła i rozbłysły światła. Goście zgromadzili się przy drzwiach, gdzie z ręką na walcie-talkie zagradzała przejście Madge — niczym rewolwerowiec gotowy

do strzału. Kilka minut później, gdy z jej biodra dobiegły trzaski i odezwał się niewyraźny głos, wyciągnęła walkie-talkie zza paska i podziękowała temu komuś na linii. Dopiero wtedy usunęła się na bok. Wszyscy, zmęczeni, zaczęli wychodzić. Nawet mężczyźni mieli zobojętniałe miny strip-tizerów odbierających wypłatę po nocy. Z sali wychodzili inni ludzie niż ci, którzy byli tam pół godziny temu.

— Na co czekaliśmy przed wyjściem? — zapytałam Ari, gdy szliśmy do wózków golfowych.

— Trzeba czekać, póki nie wyjdzie z budynku, bo może zmienić zamiar i wrócić.

Nie zdarzyło się, żeby kiedyś wrócił. Po prostu lubił wiedzieć, że ludzie na niego czekają.

Rozdział 10

Książę był czarujący, dynamiczny, tajemniczy, był graczem w polo, playboyem, ministrem finansów. I w ogóle nie zwracał na mnie uwagi. Pod koniec pierwszego tygodnia pozostawałam wciąż na marginesie brunejskiego imprezowego mikrokosmosu. Serena znajdowała się w jego centrum, chociaż nie rozumiałam, na czym to polegało. Destiny, osoba specyficznego gatunku, gwizdała na wszystko. Ari, jak każdy profesjonalny marketingowiec, była fajna i przystępna, ale miała serce biznesmena i nie zdradzała żadnych sekretów firmy.

Zbliżała się połowa mojego pobytu, a tymczasem wbrew ambitnym planom nie złapałam żadnej opalenizny, ani razu nie wzięłam do ręki rakietki tenisowej, nie zakochałam się w księciu i nie straciłam na wadze ani grama. Czas przeciekał w Brunei między palcami. Zanim na dobre przetałam oczy, dzień miał się ku końcowi. Czasami trochę czytałam. Zwykle pomalowanie paznokci stawało się wielkim dokonaniem. Zestaw taśm do nauki francuskiego, który przywiozłam, stał

nierozpakowany na półce. Którejś nocy dzięki Ari mogłam zadzwonić do rodziców. Dowiedziałam się, że stan zdrowia ojca się poprawia, chociaż nie na tyle, iżbym mogła się pozbyć choć części poczucia winy. Ojciec mówił to, co zawsze, ale jakby uszło z niego trochę powietrza. Matka miała głos znużony. Nie przedłużałam rozmowy, powiedziałam tylko, że jestem potrzebna na planie. Na planie filmu kręconego w Singapurze, jak się domyślacie.

We wtorki, czwartki i soboty przyjęcia ciągnęły się aż do wpół do piątej nad ranem. W pozostałe dni kończyły się o wpół do czwartej. Nie kładłyśmy się do łóżek wcześniej niż o piątą rano, na szczęście gęste zasłony pozwalały spać do pierwszej, drugiej po południu. Zapuchnięte, skacowane, potwornie głodne, schodziłyśmy w szlafrokach do kuchni, gdzie w wielkich pojemnikach ustawionych rzędem na blacie czekał lunch, który pochłaniałyśmy z wilczym apetytem i potem w salonie na górze zwałałyśmy się na kanapę i oglądałyśmy filmy z płyt. Czasami zdołałyśmy się wybrać do przypałacowej siłowni lub na basen, żeby złapać ostatnie promienie popołudniowego słońca. Potem obiad i znowu trzeba było się szykować na nocną imprezę.

Byłam rozczarowana Brunei i sobą. Nie udało mi się błysnąć na żadnym z przyjęć, noce upływały w otumanieniu na głupich rozmowach i picciu szampana. Jedyną korzyścią wynikającą z tego, że pozostawałam niezauważana podczas tych długich nocy, była możliwość obserwowania subtelnych gier uprawianych w tym towarzystwie. Na przyjęciach rozwijały się błyskawicznie żywe zażyłości i jeszcze żywsze animozje niczym drobnoustroje w laboratorium na pożywcę.

Zorientowałam się, że stoliki są rozmieszczone według kryterium narodowości. Malezja, Tajlandia, Filipiny, Indonezja. Istniała hierarchia prestiżu. Nie uszeregowałamby dokładnie wszystkich, ale dziewczęta z Filipin plasowały się najwyżej, a Tajki najniżej. Filipinki zawdzięczały swój status Fionie, która była faworytą księcia, jedyną, która mogła siedzieć obok niego. Inne dziewczyny liczyły się, jeżeli udało im się zdobyć szczególną łaskawość księcia lub któregoś z jego kumpli, co znaczyło, iż przesuwwały się często w rankingu, a to pociągało za sobą antagonizmy i sojusze wewnątrz obozów i między obozami.

Dla przykładu Winston miał kiedyś dziewczynę w obozie indonezyjskim, ale wypadła z łask i jej miejsce zajęła Tootie związana z grupą, którą nazwałam „małą Tajlandią”. Teraz więc tajskie dziewczyny i indonezyjskie praktycznie toczyły ze sobą wojnę gangów, niemal niedostrzegalną, oczywiście, dla otoczenia. Preferowały jednak cichsze okrucieństwo niż walkę wręcz czy strzały z jadącego samochodu. Dziewczęta zwykle unikają napaści fizycznej, one ranią duszę. Taką ranę trudniej wyleczyć.

Dowiedziałam się, że tajskie dziewczyny namówiły tajskie kelnerki do preparowania drinków Indonezyjek. W niektóre noce miały dostawać wzmocnione drinki, w inne bardzo słabe. Chodziło o to, by traciły kontrolę nad piciem, jednego wieczoru upijały się i ośmieszały, a kolejnego ograniczały liczbę słabych drinków i siedziały drętwe, nienaturalnie spięte. Taka zabawa mogła potrwać kilka dni, do czasu gdy potrzeba zawarcia sojuszu znowu z wrogów uczyni przyjaciół.

Tego typu poufne informacje uzyskiwałam od pięknej Tajki imieniem Yoya, z którą się zaprzyjaźniłam. Zdobyła sobie miejsce na liście ulubienic księcia, ale sama nie wiedziała, na ile znaczące. Yoya była okrągłym cukierczkiem, z błyszczącymi oczami, pucułowatą dziecinną buzią i grubym jak koński ogon warkoczem, który omiatał jej pośladki. Bystra i zuchwała, chętnie ćwiczyła angielski, w którym to języku знаła niewiele wyrazów. Ja potrzebowałam odetchnąć od Amerykanek, które mnie maksymalnie znudziły i budziły wręcz mordercze instynkty. Zanim na imprezie pokazywali się pierwsi mężczyźni, zaczynałam ziewać nad espresso, nie będąc w stanie słuchać niewiarygodnych, okraszonych nazwiskami gwiazd opowieści Sereny o hollywoodzkich przyjęciach („Byłam wtedy na Halloween party i był tam ten gość, wyobraź sobie, w czarnym make-upie... i przez całą noc próbował mnie podrywać, a ja wiedziałam, że znam ten głos, już, już rozpoznawałam faceta, a zgadnij, kto to był? No, spróbuj zgadnąć. Okay, to sam Jack Nicholson! Właściwie mi się nie podobał, ale dałam mu swój numer telefonu i dzwoni od czasu do czasu: — Cześć dziecinko, mówi twój tatuś...”). Nie wytrzymałam tego i spływałam do „małej Tajlandii”. Liii, najbliższa przyjaciółka mojej Yoi, wskakiwała sąsiadce na kolana, robiąc miejsce dla mnie. Dziewczyny przytulały się do siebie i opowiadały mi niestworzone historie. Yoya zawsze mówiła o sobie w trzeciej osobie.

- Wczoraj Yoya iść na siłownię nago.
- Tak, to prawda — przytaknęły inne dziewczyny, kiwając głowami.

— Poszłaś ćwiczyć nago? No nie! Dlaczego?

— Ktoś gdzieś nas podgląda — powiedziała dramatycznym szeptem i rozejrzała się naokoło dla wzmocnienia efektu. — Robin nas podgląda.

Byłam pewna, że mnie nabierają.

— Pieprzycie.

— Yoya nie pieprzyć. Iść nago. I być na stepper. Było strasznie.

— Yoya jest taka nieśmiała — podpuszczała ją Liii.

— Yoya jest nieśmiała — potwierdziła Yoya. Nie byłam pewna, czy mówi szczerze, czy z ironią. Może jedno i drugie. Jej deklaracja wydawała się komiczna po tym, co wcześniej usłyszałam, ale dziewczyna mogła być z natury nieśmiała.

Yoya nie musiała mi mówić, że Robin jest tutaj jedynym punktem odniesienia. Każda impreza była spektaklem robionym pod niego, pod jednoosobową widownię. Mężczyźni, nawet ci uchodzący za najbliższych przyjaciół, byli opłacanymi kompanami tak samo jak kobiety. Ponieważ jednak Robin nie wykazywał żadnego zainteresowania mną, pomyślałam o innej publiczności, jaka być może zechce docenić moje talenty. Piłam szampana i wpatrzona w kryształowe żyrandole snułam plany o karierze aktorskiej. Jak dostać się na casting prowadzący do sukcesu? Gdzie spotkać właściwych ludzi? Czy sprawdzę się w prawdziwym aktorstwie? Co porabia ten dupek Sean i czy tęskni za mną wbrew rozumowi? Czy wróci do mnie, kiedy to się skończy i wszystko pójdzie w niepamięć? Co się dzieje w The Wooster Group? Czy Penny finiszuje ze swoją sztuką? Jak się ubiorę na przyj-

mowanie Oscara, chociaż uważam te nagrody za sztampe i przeżytek?

Gdy tak dumalam, zaskoczył mnie Eddie, który klapnął na fotel obok i w typowo brunejski sposób, czyli bez zbędnych wstępów, zastrzeżił mnie pytaniem:

— Czy zaśpiewasz jutro?

Właściwie to nie było pytanie. Jeżeli Eddie prosił mnie o coś, to znaczyło, że tak mu kazał Robin. Spojrzałam na Robina i Fionę, patrzyli na mnie i obydwójce zachęcająco skinęli głowami. Potraktowałam to jako żarcik z ich strony, a mimo to poczułam się szczęśliwa, że wreszcie dano mi szansę pokazania, że nadaję się do czegoś jeszcze poza odgrywaniem roli mebla.

— Oczywiście. Z przyjemnością.

Eddie tryskał zadowoleniem. Ludzie w Brunei, nawet zdroworozsądkowi jak Madge, zachowywali się tak, jakby każda najdrobniejsza rzecz była sprawą życia i śmierci. Tak jakby moja odmowa miała się skończyć doraźną egzekucją.

Nie wiedzieli, że piosenkarką trochę jestem. Przez całe lata przy akompaniamencie fortepianu ojca śpiewałam wieczór w wieczór piosenki z jego muzycznego repertuaru. Idę o zakład, że zaśpiewam każdy musicalowy przebój, jaki sobie tylko zażyczycie. I potrafię aktorsko ożywić występ, dzięki czemu nie zauważycie, że nie mam szczególnie dobrego głosu.

Zaczynałam „wielką” karierę piosenkarską, występując jako solistka. Formalnie rzecz biorąc było nas dwoje, ale tylko formalnie. Staliśmy przed innymi wykonawcami w osobnym

rzędzie. Reszta siedmiolatków z grupy 5A miała cylindry i ogony posmarowane klejem i obsypane czerwonym brokatem, a my złotym. Randy Klein i ja mieliśmy złote cylindry i ogony.

Podejrzewam, że wytypowano nas do głównych ról tylko dlatego, że znaleźliśmy teksty. Ja miałam płyty z nagraniami *A Chorus Line*, *Kotów* i *Grease* i wszystkie solowe partie mogłam odśpiewać z pamięci. Do każdej piosenki opracowałam numer taneczny wyćwiczony do perfekcji na próbach, które odbywałam przed zapatrzoną publicznością złożoną z wypchanych zwierzątek ustawionych w rzędach na łóżku. Wszelkie braki talentu nadrabiałam zaangażowaniem i entuzjazmem. Gdybyście mnie wtedy zapytali, kim chciałabym być, gdy dorosnę, odpowiedziałabym, że białą kotką z *Kotów*, tą, która w świetle reflektorów punktowych tańczy swoją partię solową.

Przed zbliżającym się pokazem obozowych talentów część dnia przeznaczona była na próby. Nasza opiekunka siedziała ze skrzyżowanymi nogami w kącie kortu do gry w koszykówkę, przeżuwała wielką kulę gumy bubblicious i niezmordowanie cofała, i cofała taśmę w starym magnetofonie, odliczając rytm i podpowiadając figury.

Ogony w górę. I na kucki. Skoki w górę i w dół.

Raz. Niezwykłe uczucie, ważny każdy krok.

I zwrot.

Dadadadadadada. I skoki.

Próby tańca były dla mnie żenująco łatwe. Co pięć minut

odpoczywałyśmy, pijąc sok jabłkowy ze zgniecionych kartonów i drapiąc się w pokąsane przez komary nogi. Denerwowały mnie te ciągłe przerwy i brak poświęcenia. Inne dziewczynki się nudziły i opóźniały wszystko, obserwowały ruchy nóg u innych zamiast zapamiętywać kroki. Jako solistka próbowałam nimi dyrygować.

— Nie zapominajcie o uśmiechach. To najważniejsze — upominałam.

Nic mnie nie obchodziło, że wywracały oczami. Nie zależało mi na tym, by im się przypodobać. Chciałam, żebyśmy dobrze wypadły. Żebyśmy się spodobały w dzień występu. Randy myślał tak samo. Przerwy na odpoczynek wykorzystywaliśmy na ćwiczenie kroków i figur. Postanowiliśmy wykonać *kickline* przy ostatnich taktach piosenki. Tylko my dwoje.

Umyśliłam sobie, że gdy rodzice zobaczą mnie na scenie jako gwiazdę, zmienią zdanie na temat Stagedoor Manor. Marzyłam o wyjeździe w następnym roku na ten letni obóz dla przyszłych adeptów sceny, a nie na zwykły obóz, gdzie całymi popołudniami gra się w piłkę nożną albo robi plecione smycze. Wszyscy wiedzieli, że dziewczynki po Stagedoor Manor grają na Broadwayu w *Annie* i *Really Rosie*. Broadwayowskie dzieciaki kładły się spać bardzo późno, chodziły do specjalnych szkół, spędzały noce między orkiestrą i rusztowaniami, sceną i widownią, w magicznym królestwie, gdzie konflikty rozwiązuje się w scenie finałowego tańca. To było królestwo, o którego obywatelstwie marzyłam.

Oto jak odpowiedział ojciec na moje żarliwe błagania:

— Jeżeli chcesz być mistrzynią w jeździe figurowej na lodzie albo tancerką, albo gimnastyczką, kimś wyjątkowym, będziesz musiała wstawać o czwartej nad ranem i trenować codziennie przed szkołą, będziesz musiała zrezygnować z przyjaciółek i sportowych rozrywek, lodów i chodzenia na przyjęcia, z chłopaków także. Jeżeli wybierzesz los tej ślepej dziewczyny z *Zamków na lodzie*, nie pójdziesz do college'u, zrujnujesz stopy i kręgosłup, a twoja kariera skończy się przed trzydziestką. To wszystko jest dobre jako hobby. Miej kontrolę nad swoimi pomysłami.

Starał się okazać mi miłosierdzie i chciał mnie uchronić przed bolesnym zawodem. Byłam za gruba jak na przyszłą tancerkę, to byłaby strata czasu. Brakowało mi gibkości ciała do jazdy figurowej na lodzie. Miałam zbyt przeciętny głos, by śpiewać. Powtarzał swoje ukochane motto: „Nie próbuj, a nie doznasz zawodu”. Ja też oglądałam *Zamki na lodzie* i wiedziałam, że nie zrozumiał przesłania.

Wierzyłam, że gdy rodzice zobaczą mnie na scenie jako solistkę, usłyszą mój silny głos prowadzący wszystkie inne, popatrzą na mój błyszczący w popołudniowym słońcu złoty ogon, zdołam ich potem przekonać, że jestem stworzona do śpiewu i tańca, i gotowa zniekształcić dla nich stopy. Nie martwiłam się tym, że będę musiała wcześniej wstawać. A lodów i chłopców w gruncie rzeczy aż tak bardzo nie lubiłam. Rodzice zobaczą, że potrafię zabłysnąć, i nawet ojciec przestanie wątpić w moje przeznaczenie.

W dzień występu rodzice siedzieli w samym środku przedniego rzędu. Robili zdjęcia i wyrażali zachwyt. Byłam cudowna. Sprawiałam im radość. Obsypywali mnie pocałunkami

i pochwałami. Kiedy jednak ponawiałam nalegania, słyszałam znowu o wczesnym wstawaniu i lodach. Mimo oszałamiającego debiutu scenicznego nigdy nie przeforsowałam idei Stagedoor Manor i cierpiałam męki czyścicowe na letnich obozach, śpiąc pod namiotem i uczestnicząc w głupich konkurencjach drużynowych. Przyszedł wszakże czas, kiedy ojciec wsparł moje aktorskie aspiracje. W końcu teatr to było także jego hobby.

To było po latach. Stałam przy fortepianie w salonie, odbywaliśmy z ojcem próbę przed przesłuchaniem do szkolnego spektaklu.

— Nie jesteś świetną piosenkarką — powiedział. — Musisz więc dobrze dobierać repertuar, a potem starać się go jeszcze lepiej sprzedać.

Jako wzięty makler giełdowy był ekspertem od sprzedawania powietrza. Razem wybraliśmy piosenkę *Dupa i cycki* z *A Chorus Line*. Śmiały wybór jak na występ czternastolatki, ale się sprawdził. Nie obsadzono mnie wprawdzie w sztuce — lecz moją przyjaciółkę Alexis, która rzeczywiście potrafiła śpiewać, ale to ja rozbawiłam widownię i przykuwałam uwagę. O mnie się mówiło. Czegoś się wtedy nauczyłam. Do tej pory nic umiem jeździć na łyżwach, za to wiem, jak się dobrze sprzedać.

*

Odciągnęłam Anthony'ego — keyboardzistę — na stronę. - Jaka jest ulubiona piosenka Robina? Bo ja wiem? Lubi parę malajskich, jakieś amerykańskie. Tak naprawdę nie wiem. Co możesz zaśpiewać?

— Zaśpiewam malajską.

— Ile masz czasu?

— Do jutra.

— Nie damy rady.

Naszą rozmowę usłyszała Angélique, najlepsza z tutejszych piosenkarek i, jak wieść niosła, obiekt nieodwzajemnianych westchnień księcia Sufriego. Przerwała nam.

— Zaśpiewaj *Kasih*. To jego ulubiona. Nauczysz się jej. Pomogę ci.

Wydarła czystą kartkę z jednego z wielu kołonoatników Anthony'ego. Za kontuarem baru znalazła jakieś pióro. Wytarła powierzchnię blatu przed sobą i zaczęła fonetycznie — krągłym pismem nastolatki — zapisywać słowa.

— To piosenka miłosna. *Kasih* znaczy „kochanie”. Następnie uczyła mnie tekstu słowo po słowie, poprawiając

wymowę. Anthony wręczył jej kasetę z nagraniem, którą zawinęła w kartkę z tekstem.

— Śpiewaj to z naturalnością—powiedziała. — Dasz radę. Wzruszyła mnie jej życzliwa zachęta. Gdy wciskała mi

w rękę kasetę, przemknęło mi przez głowę, że kiedyś ta dziewczyna będzie dobrą matką.

Wróciłam na swoje miejsce, Serena spojrzała na mnie spod zmrużonych powiek.

— Masz śpiewać jutro? — zapytała. — Co zaśpiewasz?

— *Kasih*.

— Oh, Boże! Tak ci podpowiedział Anthony? Mówił, że Robin ją lubi, sugerował coś takiego? Ja nienawidzę tych strasznych popowych przebojów. Ja też jutro wystąpię.

— Co zaśpiewasz?

— Jestem piosenkarką jazzową. Lubię jazz. Mam w repertuarze *Fever*. Robin uwielbia słuchać, jak to śpiewam. Wciąż śpiewam ten przebój dla niego.

*

Umówiliśmy się z Anthonym, że próbę odbędziemy następnego dnia o czwartej po południu. Tej nocy leżałam z otwartymi oczami, a koło mnie w najlepsze spała Destiny. W ogóle nie cierpiała na bezsenność, zakładała na oczy opaskę w gepardzie cętki i zasypiała w trzy sekundy po położeniu się do łóżka. Zazdrościłam jej.

Jak do następnego wieczoru zdołam się nauczyć piosenki w nieznanym języku? Powinnam wybrać jakiś erotyczny kawałek retro jak Serena. Opuściła mnie początkowa pewność siebie i leżałam teraz bezsennie ze ściśniętym żołądkiem.

Nastawiłam budzik na wczesną godzinę, zesłam na dół i przed ściszonymi głośnikami raz po raz odsłuchiwałam piosenkę, potykałam się o obce słowa, a tymczasem moje współlokatorki smacznie spały na górze. Byłam tym zajęta praktycznie przez cały dzień, póki nie udałam się na spotkanie z Anthonym. Weszłam do pustego pałacu głównym wejściem. Światło dzienne wlewało się przez wysokie okna i gasło w wodzie fontanny. Sztuczne kwiaty, które w nocnym oświetleniu wyglądały jak prawdziwe, demaskowały się łączeniami i plastikową rosą na płatkach.

Drzwi na lewo nie były zamknięte jak pierwszej nocy, kiedy wchodziłam do wejściowego holu. Zobaczyłam salę

balową z żyrandolem wielkości małego auta. Ktoś z obsługi woskował maszyną podłogę. Przypomniał mi się ulubiony bon mot babci, z którym zwykła wchodzić na przyjęcie: „*J. Bali**, krzyknęła królowa, gdybym miała dwa, byłabym królem”.

*

Wyłożone dywanami korytarze doprowadziły mnie do sali imprezowej. Lśniła czystością i była pusta, czekała, by znów się zapełnić kobietami. Bardziej magiczne są oczywiście teatry za dnia, zanim otworzą podwoje, zanim zacznie się widowisko, ale uwielbiam każde wnętrze „tuż przed” gotowe na przyjęcie gości. Gdy znajdę się w domu, w którym zapalono każde światło bez wyjątku, lubię myśleć, że wszystko może się zdarzyć. Niestety przyjęcie się kończy i kiedy jest już po wszystkim, przychodzi moment nieuchronnej konstatacji, że nie było tak, jak się oczekiwało.

Przy akompaniamencie Antony'ego śpiewałam do mikrofonu, uśmiechając się do fotela, na którym miał usiąść Robin. Spłaszczalam melodię i wciąż plątałam słowa, widziałam powątpiewającą minę keyboardzisty.

— Czy znasz jakąś inną piosenkę?

— Dam sobie radę z tą. Zaśpiewałam jeszcze raz i znowu źle.

— No dobrze, może nie potrafię.

— Za późno. — Anthony spojrział na zegarek. — Pójdzie ci świetnie. Musisz czymś nadrobić, gdy zapomnisz słów.

* **Ang. a bali** znaczy „bal”, a także „jajo” jako wulgarne określenie męskiego jądra.

— Super. Spodobam mu się.

Wychodząc, podeszłam do rzeźby tancerki. Przypomniało mi się — gdzieś o tym czytałam — że dziewczyna, która pozowała Degasowi, została prostytutką i taki los spotykał wiele tancerek w jego czasach.

Przejechałam palcem po brzegu jej brązowej baletki, gdzie stykała się ze stopą. Człowiek bogaty może kupić takie dzieło sztuki. Wstawi je do jakiegoś kąta, gdzie nikt nie zwróci na nie uwagi z wyjątkiem przechodzącej przypadkiem dziewczyny — jeszcze półkobiety — która kiedyś miała na nogach także baletki i wyobrażała sobie, że jest łabędziem.

Przy słowie *fever* Serena za każdym razem wyrzucała dłonie do przodu i lekko poruszała biodrami. Piosenkarką jazzową to ona nie jest, pomyślałam z zadowoleniem.

Na początku przyjęcia do naszego stołu dosiadła się kobieta, której tu jeszcze nie widziałam. Miała na imię Leanne. Aktorka oper mydlanych, obywatelka Hongkongu, pół Angielka, pół Chinka, kobieta wamp. Przymglone oczy, długie falujące włosy, akcent brytyjski dodany do ochryplego głosu palacza — wyobraźcie sobie aliaż Janis Joplin i księżnej Di. Ubrana w prostą w kroju, długą do ziemi suknię od Armaniego. W Brunei była nie po raz pierwszy. Owiana tajemnicą brunejskiej przeszłości jak Serena, w odróżnieniu od niej otwarcie mówiła o swojej miłości do księcia Jefriego. Aż tyle się od niej dowiedziałam niemal w pięć sekund od poznania jej. Leniwie rozparta na fotelu, z dłońmi na oparciach, czekała wytworka i uległa.

— Zrezygnowałam z roli filmowej, żeby tu przyjechać, ale on o tym nie wie. Nie znoszę oddalenia. Gdy wyjeżdżałam stąd ostatnio, przysięgałam sobie, że nie wrócę, niestety zbyt cierpiałam.

Wyczuwałam w niej naturalność i sztuczność. Intuicja podpowiadała mi, że Leanne kocha naprawdę, z drugiej strony potrafiłam bezbłędnie rozpoznawać aktorstwo. My aktorki lubimy pisać dla siebie dramatyczne teksty.

Zorientowałam się, że Leanne i Serena są zaprzyjaźnione, musiały być w zмовie, połączone jadem niechęci do Fiony. Przed występem Sereny podsłuchałam ich rozmowę. Serena mówiła, że w swojej sypialni przyłapała Fionę na rzucaniu jakichś zaklęć voodoo. To by jej zdaniem tłumaczyło wszystko. Ta filipińska krowa używała czarów, żeby omotać księcia. Czy robi się coraz grubsza z wiekiem? A właściwie ile ma lat? Przeraziły mnie te podłe dziewczuchy, ale takich jest pełno jak brudu. A ja? Czy byłam ich przeciwieństwem? Byłam dobra? Nie. Co jest przeciwieństwem podłości? Słabość?

Podszedł do mnie Eddie.

— Zaśpiewasz po niej?

Włożyłam na siebie mój najlepszy klasyczny zestaw i pomalowałam powieki grubymi pociągnięciami eye-linera. Imaginowałam sobie, że wyglądam jak nieco pulchniejsza Audrey Hepburn w *Zabawnej buzi*. To była moja szansa, żeby nareszcie zabłysnąć.

Gdybym nawet miała nawalić, to przynajmniej nie będę pseudojazzowym obciachem popisującym się przebrzmiałym przebojem Peggy Lee.

Kiedy Anthony zaczął intro, poczułam pustkę w głowie.

Zapomniałam o wszystkich jego wskazówkach. Byłam pewna, że oto na jawie rozpoczyna się koszmar senny, w którym widzisz siebie na scenie i nie wiesz, po co się tam znalazłaś. A jednak nie spanikowałam; wierzyłam w siebie. Nie brakowało mi obycia ze sceną. Wiedziałam, że gdy zagraża wielka fala i ma cię za moment pochłonać, musisz machać ramionami najszybciej, jak potrafisz. Więc miałam się uśmiechać i dobrze się sprzedać.

Kasih dengerlah hariku berkata

Aku cinta kepada dirimu sayang...

Książę przesłał mi nieprzenikniony uśmiech, palcem wybijając takt o kolano. Siedząca obok niego Fiona uśmiechała się aprobująco. Jaki miałyby w tym interes? Nie sprawiała wrażenia smoka pożerającego młode dziewczęta, jak ją postrzegały Serena i Leanne.

Skończyłam śpiewać i na sali rozległy się oklaski. Wiwatowały też moje tajskie przyjaciółki. Na twarzy Sereny pojawił się uśmiech typowy dla zdobywczyni drugiego miejsca w konkursie na Miss Ameryki w momencie rozstawania się z myślą

o koronie. Wracając na swoje miejsce, przechodziłam koło księcia i gdy składałam mu ukłon, złapał mnie za rękę. Zatrzymałam się, spojrzałam mu w twarz, wciąż zgięta w pasie i z lekko pochyloną głową.

Ujął moją dłoń i przytrzymał — miał suche ręce, miękkie i wypielegnowane paznokcie.

— Śpiewałaś pięknie — powiedział i puścił moją rękę.

— Tak, uroczo — dodała Fiona.

Byłam z Nowego Jorku. Pracowałam w środowisku gwiazd

filmowych. Zdarzało się, że adorowali mnie bliscy sławy aktorzy i od czasu do czasu przepity gwiazdor rocka nad ranem. To dotknięcie i skąpa pochwała nie powinny zrobić na mnie żadnego wrażenia. Widocznie jednak przeszłam w ciągu tygodnia pranie mózgu, ponieważ jedno midasowe dotknięcie księcia sprawiło, że błyszczałam przez całą noc. Gdy przygasły światła i zaczęła się dyskoteka, ruszyłam do toalety uszminkować usta. Nagle rzucił mi się w oczy obraz, koło którego przechodziłam obojętnie poprzednich nocy. Przedstawiał orientalne odaliski o alabastrowej skórze w otoczeniu ciemnoskórych niewolnic, odpoczywające w leniwych pozach w łaźni w haremie. Interesowałam się tym rodzajem sztuki i lubiłam analizować każde rasistowskie, imperialistyczne pociągnięcie pędzlem. I teraz stałam przed wyidealizowanym, dziewiętnastowiecznym zachodnim płótnem przedstawiającym harem, przed obrazem, który po stu pięćdziesięciu latach zawisł na ścianie — gdzie? — w haremie. To na pewno był postmodernizm. Harem. Dlaczego to słowo nie przyszło mi wcześniej do głowy? Nie byliśmy ani gośćmi, ani prostytutkami. Byłyśmy dziewczętami z haremu.

Rozdział 11

Chociaż mój pokój na wyspie Borneo był oddaloną od reszty świata złotą szkatułą, w moich snach do drzwi pukało gestapo. Hitlerowcy stanowili istotną składową moich koszmarów sennych od czasu, kiedy w wieku ośmiu lat przeczytałam *Pamiętnik Anny Frank*. W snach to ja byłam Anną i przykładałam ucho do podłogi, nasłuchując odgłosów buciorów na schodach, przerażona, że oni po nas idą. W snach byłam Anną już martwą, ale wędrowałam przez stosy butów i ubrań. Szukałam swojej walizki. Wiedziałam, że tam jest. Próbowałam ją znaleźć, żeby stamtąd odejść.

W dzieciństwie koszmary nocne przenikały do mojego życia na jawie. Myśli o Holokauście stały się obsesją. Po lekturze pamiętnika Anny zaczęłam sięgać po inne podobne książki, które nie pozwalały patrzeć z nadzieją na naturę ludzką. Szczególnie zapadła mi w pamięć książka z miejskiej biblioteki z zajętą płomieniami gwiazdą Dawida na okładce i mapa. obozów koncentracyjnych na wyklejce. Wewnątrz

były zdjęcia. Znacie je — ziarniste, czarno-białe, cienie między żebrami najczarniejsze z czarnych, skóra na ciałach ułożonych w stosach najbielsza z białych.

Uważałam, że to tylko kwestia czasu, kiedy Holokaust się powtórzy, i zastanawiałam się, jak zachowa się moja rodzina, kiedy po nas przyjdą. Czy można wiedzieć, jakim się jest naprawdę w głębi duszy? Wszyscy wierzyliśmy, że nie opuści nas odwaga. Każdy myślał, że zachowa się jak bohater filmowy, że poświęci siebie dla ratowania innych, że okaże się prawy, mimo że świat jest zły. Wybór dobra jest łatwy w kinie. Wychodzimy z kina dowartościowani, bo możemy powiedzieć: widziałem siebie, postąpiłbym tak samo.

Nikt nie powie, że zachowałby się jak tchórz. Że doniósłby na sąsiada, by ratować własną skórę. Niestety tak najczęściej czynią ludzie. Wiedziałam o tym już w wieku ośmiu lat.

Więc kim się okażę, gdy przyjdą? Czy będę nieustraszona? A moi rodzice? Czy będą próbowali nas ukryć, znaleźć sposób na ucieczkę? Czy raczej zabiją nas i siebie jak Izraelici w Masadzie? Czy wybiorą opór i będą rzucać cegłami jak Żydzi w getcie warszawskim. A może potulnie podadzą dokumenty i potem będą śpiewać w drodze do łaźni? W głębi duszy żywiłam podejrzenie, że rodzice nie są ludźmi walki. Uważałam, że to ja będę musiała nas wszystkich chronić, więc obmyślałam szczegółowe plany ucieczki z założeniem, iż wrócimy, by walczyć. Zdawałam sobie sprawę z tego, że opór byłby daremny, a mimo to byłam gotowa na walkę do końca.

Jak mogłam zdobyć pewność, że wykażę się odwagą i zo-

stanę bohaterką? Musiałam przemyśleć każdy ruch, wciąż przerabiać w głowie ten straszny scenariusz. Rezygnowałam ze snu na rzecz mentalnych przymiarek. Bałam się, że zaskoczona nagle zachowam się w sposób niegodny. W głębi duszy nie czułam się Anną. Nie miałam jej serca zdolnego do miłości wielkiej i czystej, ducha, którego nie da się zniszczyć jak ciało.

Matka walczyła o moje spokojne noce, uświadamiając mi, iż żyjemy obecnie w innych czasach i na pewno hitlerowcy nie przyjdą po mnie do szkoły i nigdzie nie wywiozą. Nie dawałam się przekonać. Uważałam ją za naiwną. Czy naprawdę nie rozumiała, że to ludzie robili takie rzeczy? Czy nie tacy sami, jacy byli wokół nas? Nie zmieniło się tak wiele. — To się już nigdy nie zdarzy — zapewniała matka po raz setny. — Dlatego utrwalamy pamięć o tym, żeby się nigdy więcej nie powtórzyło.

— Mama Anny Frank też mówiła jej, że to się nie może zdarzyć.

Zafiksowanie na nocnym czuwaniu, związane z obsesyjnymi myślami o Holokauście, wygasło z czasem, ale w snach lemat się pojawiał. W Brunei nie zaskoczyły mnie więc sny o gestapo pukającym do drzwi. Tym razem jednak pukanie nie ustało, chociaż szeroko otworzyłam oczy. Stawało się coraz bardziej natarczywe. Destiny również usiadła na łóżku, patrzyłyśmy na siebie i żadna nie ruszyła się, żeby otworzyć.

Kiedy tu przyjechałyśmy, Ari zabrała nam paszporty i prze-

kazała ochronie. Powiedziała, że chodzi o przedłużenie wiz czy coś w tym rodzaju. To drażniło mnie jak trudny do usunięcia włos, który dostał się do ust. Czy bystre skądinąd dziewczyny powinny się na to godzić? Wybierać się do południowoazjatyckiego kraju w odpowiedzi na wątpliwą ofertę i oddawać na dzień dobry paszporty?

Sprawa paszportów jak błyskawica przemknęła mi przez głowę, gdy z wałącym w piersi sercem i pulsującą krwią w skroniach uchylałam drzwi. Za nimi stał strażnik w mundurze. W marynarce a la Nehru i czapce sprzedawcy wody z sokiem. Gdy otworzyłam drzwi szeroko, spojrział z przerażeniem na moją koszulkę nocną.

— Niegotowa?

— Na co?

— Proszę się ubrać. W ciągu pięciu minut.

Skoro nie mówił, o co chodzi, pozostawało tylko jedno sensowne pytanie. Odpowiedź na nie mogła wyjaśnić wszystko, co dziewczyna powinna wiedzieć, żeby się odpowiednio przygotować, jakakolwiek próba ją czekała.

— Jak mam się ubrać?

— W sukienkę. Nie wkładać na nogi szpilek. Nie robić makijażu. Za pięć minut wyjeżdżamy.

Pomyślałam, żeby pobiec do pokoju Ari, ale przypomniało mi się, że wcześniej rano wylatywała do Stanów załatwiać jakieś sprawy biznesowe i przywieźć nowe dziewczęta. W nocy zapewniła mnie, że bez obaw możemy zostać tu same, a ona wróci przed naszym wyjazdem, żeby wszystkiego dopilnować. Zerknęłam na Destiny, która wzruszyła ramio

nami równie dezorientowana jak ja i wyraźnie zadowolona, że padło na mnie, nie na nią. Dziesięć minut później, w czarnej letniej sukience w różyczki, zapinanej z przodu na guziki, w sandałkach na nogach, wychodziłam z ochroniarzem głównym wejściem, by po raz drugi wsiąść do mercedesa z zaciemnionymi szybami. Pachniał nowością i rozgrzaną skórą.

— Gdzie jedziemy?

Ochroniarz udął, że nie słyszy pytania, wziął do ręki telefon komórkowy i odbył rozmowę po malajsku. Ci ochroniarze byli nieprzemakalni i do tego wydawało się, że jest ich wszędzie pełno, zwłaszcza tajniaków. Co myśleli o wożeniu kobiet księcia dzień w dzień? Wtulona w oparcie siedzenia czułam się dziwnie spokojna. Wyglądałam przez okno i obserwowałam krajobraz przesuwany się niczym dekoracja sceniczna na szynach. Byłam na obrotowej scenie w nieruchomym kabriolecie, powietrze z wentylatorów rozwiewało mi włosy, a ekran za mną pokazywał wijącą się przez dżunglę drogę. Sceneria na ekranie się zmieniła i znaleźliśmy się w mieście, mknąc szerokimi alejami. W Brunei niezmiennie oddzielała mnie od świata albo ściana, albo szyba samochodu.

Auto zatrzymało się przed tylnym wejściem wysokiego biurowca, sztabowej konstrukcji ze stali i szkła. Kierowca przekazał mnie w ręce kolejnego ochroniarza, który bez słowa poprowadził mnie do windy, a potem korytarzami do jakiegoś pokoju. Podał mi szklanekę wody i zostawił wewnątrz, zamykając drzwi na klucz.

Wnętrze nie pasowało do biznesowego budynku. Spodziewałam się, że zobaczę pomieszczenie biurowe, a tymczasem w pokoju znajdowały się bogato zdobione meble, współczesne podróbki stylu Ludwika XIV, i detale w stylu art déco. Wydawać się mogło, że architekt księcia ma wiele osobowości. Na blacie wielkiego mahoniowego biurka stały liczne fotografie, jak się domyślałam, żon i dzieci księcia. Przyglądałam im się, próbowałam coś wyczytać z ich twarzy, odgadnąć, jak może wyglądać ich życie. Osobą uwidoczną na większości zdjęć był młody mężczyzna, który wyglądał jak ogromny nalany bobas, najczęściej w opinającym go ciasno stroju do polo. Czy to był książę Hakeem, najstarszy syn Robina i dziedzic fortuny? Ten olbrzym to progenitura drobnego Robina? Hakeem przypominał Francisa z *Wielkiej przygody Pee- Wee Hermana*. Wyobraziłam sobie zadowolonego z siebie małolata siedzącego w wannie wielkości basenu i bawiącego się modelami okrętów wojennych. Kobiety na zdjęciach wyglądały olśniewająco, zawsze w pełnym makijażu, owinięte brokatowymi sukniami i w udra-powanych chustach skrywających włosy. Czy to były jego żony? Była też uśmiechnięta dziewczynka z kucykami. Zastanawiałam się, kiedy będzie musiała zamienić je na chustę. Czy to jego córka? Na żadnym zdjęciu nie widziałam go z kobietami, natomiast na jednym czy dwóch stał obok Hakeema. Nie wiedziałam, na co czekam, ale miałam nadzieję, że na księcia. Myślę teraz, iż wtedy musiałam się dziwnie czuć,

patrzając na liczne wizerunki żon Robina i jednocześnie licząc na jego przyjście, ale z drugiej strony po kilku nocach spędzonych w pałacu zdażyłam się przyzwyczaić do tego, że otacza się miliardami kobiet. Ułożyłam się w atrakcyjnej, a pozornie niedbałej pozycji na sofie i tak zastygłam, mimo że w klimatyzowanym pokoju panowała subarktyczna temperatura, tak że dziwiło mnie, iż nie widać pary z ust. Według złotego zegara po przeciwnej stronie pokoju upłynęło dziesięć minut, potem pół godziny. Zrezygnowałam z upozowania i podciągnęłam kolana pod sukienkę. Pocierałam ramiona, na których pojawiła się gęsia skórka. Zwinęłam się w możliwie najmniejszy kłębek, gotowa jednak na najłżejszy obrót gałki w drzwiach powrócić do seksownej pozy. Lecz drzwi pozostawały zamknięte.

Minęła godzina. W pokoju nie było książek, pism, telewizji. Zaczęłam chodzić w kółko. Znowu usiadłam. Sprawdziłam, czy jest łazienka. Spróbowałam otworzyć drzwi, były zamknięte na klucz. Usiadłam. Kolejna godzina. Poczulałam się jak gwiazda w sztuce Sartre'a, tylko nie miałam widowni. Zastanawiałam się, czy nie zrobić siusiu do kosza na śmieci. Dostałam dreszczy z zimna, głodu, zdenerwowania. Staralam się coś wymyślić mimo bólu głowy z braku kofeiny. Jeżeli zapomnieli o mnie, czy zgniję tutaj jak Antygona zamurowana żywcem w grobie?

A może jest jeszcze gorzej i wcale nie wybrano mnie na piękność dnia dla jego wysokości? Czeka mnie zupełnie inny los? Jeśli zniknę, kto zacznie mnie szukać? Rodzice, oczywiście, gdzie jednak rozpoczną poszukiwania? Na nieistniejącym

planie filmowym w Singapurze? Z kim będą kojarzyć moje zniknięcie? Byłam świadoma tego, że gdybym teraz przepadła bez wieści, nikt nie zostanie obciążony winą.

Uspokajałam się, że niepotrzebnie histeryzuję. Poza tym nic sensownego nie mogłam zrobić. Miałam upleść drabinkę linową z pociętych białych skórzanych poduszek kanapowych, żeby zejść po niej na ulice Bandar Seri Begawan?

Zamknęłam oczy i próbowałam wywołać uczucie ciepła. Wyobraziłam sobie, że jestem na słońcu, może na plaży. Kiepskie. Więc raczej na jednym z obrazów Robina ze sceną haremową — zanurzam stopy w parującej wodzie. Za mokro. W końcu zobaczyłam siebie we własnej norze na Ludlow Sreet — opatuloną kołdrą, na futonie leżącym na podłodze. Zateęskniłam za domem. Marzyłam już o powrocie, wolontariacie w naszym teatrze, jeździe metrem. Zasnęłam na sofie z kolanami pod brodą.

Obudził mnie odgłos otwieranych drzwi i wybałuszyłam oczy, zobaczywszy Robina w obwieszonym medalami szarym mundurze i w wojskowej czapce na głowie. Po raz pierwszy widziałam go w stroju innym niż szorty i adidas. Tak ubrany odpowiadał częściowo wyobrażeniu księcia. Poderwałam się do pozycji siedzącej w jednej sekundzie jak przyłapanie na drzemce dziecko, które miało siedzieć nad zeszytem. I natychmiast zapadłam na syndrom sztokholmski, czyli zakochałam się w facecie, który skazał mnie na czterogodzinne zamknięcie w lodowato zimnym pokoju i co gorsza bez dostępu do łazienki. Poczułam głęboką wdzięczność i jednocześnie po-

trzebę spodobania się człowiekowi stojącemu przede mną. W sytuacjach skrajnych takie połączenie wydaje się miłością.

— Długo tu byłaś? — zapytał, siadając koło mnie i przesuwał dłoń po moim zimnym jak lód ramieniu.

— Tak.

Jakby cień zadowolenia mignął na jego twarzy.

— Zmarzłaś.

Położył mi rękę na karku i przyciągnął do siebie na delikatny pocałunek — takiego nie spodziewałam się w wykonaniu notorycznego, zadufanego playboya. Nie wpadałam w ramiona księcia wyrwana nagle zza sklepowej lady. Dziewczynom jak Serena wydawało się, że przyjechały tu na spotkanie tęczy, a garniec złota na jej końcu to przypadek.

Ja starałam się uniknąć okłamywania siebie, miałam wystarczająco dużo innych wad charakteru. Oceniajcie to, jak chcecie, ale uważam, że przymusowe siedzenie co noc na przyjęciu po to, żeby wylądować na koniec w łóżku gospodarza, a potem niby za sprawą czarów dostać forszę przed wyjazdem, to zwykła prostytutka. Jednakże każda prostytutka ma odrobinę złotego serca. Niektóre serca są tylko pozłacane, inne ze szczerego złota, a jeszcze inne, jak moje, są podzielone na pół: jedna część błyszczy, a druga jest zacieniona. Zdawałam sobie sprawę z tego, że jestem prostytutką, ale gdy Piękny Książę prowadził mnie za rękę do bocznych drzwi, które teraz nie były zamknięte na klucz, poczułam się jak Kopciuszek. Niemal oczekiwałam, że uklęknie przede mną, wyciągając z kieszeni szklany pantofelek. Byłam awanturnica, ale z romantyczną duszą, a książę coś w sobie miał.

Jak każdy prawdziwy wielbiciel płci pięknej patrzył na kobietę w taki sposób, że natychmiast czuła się cudowna. Kobiety wybaczą każdą zdradę i okrucieństwo, zdepczą rozum szklanym obcasikiem, jeżeli tylko mężczyzna potrafi im wmówić, że są godne piedestału w Luwrze.

Moja złota karetka nie jechała jednak na zamek, tylko do burdelu. Gdy Kopciuszek wrócił z łazienki i wszedł do sąsiedniego pokoju, zobaczył sypialnię, której nie wymyśliłby Hugh Hefner w najśmielszych fantazjach. Ściany zdobiły czarne błyszczące draperie, z takiego samego atłasu były prześcieradła i obicie wezgłowia. Do tego lustra na suficie i drzwiach szaf ściennych, przynajmniej trzy kamery wideo, szynszyłowa narzuta rzucona na łożo, ekran telewizyjny zamontowany pod sufitem. Dwa czarne skórzane fotele, między nimi ornamentowany drogimi kamieniami stolik-szachownica ze złoto-srebrnymi połami. Przypomniało mi się, co Serena mimochodem rzuciła, gdy wchodziłyśmy po raz pierwszy do pałacu: „To wszystko jest prawdziwe”. I prawdziwie bezużyteczne. Kto w tym pokoju gra w szachy?

Patrzył na mnie niewinnie. Odwzajemniłam spojrzenie.

— Co robisz u siebie?

— Studiuję. I jestem aktorką.

— Aktorką— powiedział, jakby go to zainteresowało. — A może występujesz i w takich rolach? — Machnął niedbałym gestem w kierunku łóżka.

Poczułam, że fala gorąca uderza mi do twarzy. Serena. Ta suka. Popełniłam błąd, wspominając kiedyś przy lunchu o agencji towarzyskiej. Straciłam na chwilę czujność, bo

zachowywała się przyjacielsko. Oczywiście powiedziała mu o tym. Musiałam przełknąć tę kroplę goryczy. Nie chciałam w tym momencie odgrywać cali girl, i to nie tylko dlatego, że nie życzyłam sobie, by tak mnie postrzegał Robin, ale także dlatego, iż w fantazjach z nim związanych nie widziałam się w tej roli. Stłumiłam wzbierającą furię i oblekłam twarz w maskę niewiniątka. Zaczęło się. Weszłam do gry o niego. A Serenie się odpłacę.
— Nie przejmuj się — rzekł. — Lubię aktorki. Znam wiele. Są bardzo wrażliwe moim zdaniem. Bardzo interesujące. No chodź.

Wyciągnął rękę i zsunął ramiączko mojej sukienki. Zbliżyłam się bardziej i ułożyłam sobie jego ręce na biodrach. Pociągnął mnie w stronę łóżka, usiadł na nim, ja stałam. Z rękami na kolanach patrzył na mnie wyczekująco jak ktoś, kto nigdy w życiu nawet przez minutę nie zawracał sobie głowy uczuciami drugiej osoby, jak ktoś, komu nigdy nie przyszło do głowy, że sama jego obecność nie wystarczy, żeby kobieta poczuła się komfortowo. Zsunęłam drugie ramiączko, sukienka opadła ze mnie, a ja uklękłam przed nim i położyłam głowę na jego kolanach. Przesunęłam palcami po jego udach, ale chwycił mnie za łokcie i podniósł z klęczek. Usiadłam mu na kolanach i całowaliśmy się może przez minutę, a potem on wstał, a ja, która bezlitośnie atakowałam matkę za noszenie futra z norek, wczółgałam się z wdzięcznością pod szynszylowe nakrycie, które zakrywało nagość i zapewniało ciepło. Byłam tak zziębnięta, że nie miałam czucia w opuszkach palców.

Robin zdejmował kolejno części ubrania, jakby się szykował pod prysznic, i odkładał je pedantycznie na oparcie fotela, wreszcie wsunął się pod szynszyle. Pachniał nieskazitelną czystością— tylko mydłem i wodą kolońską (Egoistę Calvina Kleina, co wiedziałam po wizycie w łazience). Miał gładką skórę, rozwinięte mięśnie, był nieowłosiony. Nie miał skaz, widocznych emocji, nic naturalnie ludzkiego. Cały czas patrzył na mnie swoimi obsydianowymi oczami, jakby z wyrazem przebiegłości. Mogłabym przysiąc, że udaje orgazm, gdyby nie fizjologiczne świadectwo. Dałam pokazówkę robienia loda z utrzymywaniem kontaktu wzrokowego, a wydawał się prawie znudzony. Taki był początek.

Robin miał na szyi rodzaj talizmanu, który wyglądał jak mezusa. Pamiętam z dzieciństwa, że ojciec nosił coś takiego. Przez srebrny ażurek przyglądałam się małemu zwitkowi pergaminu, który był w środku. Nie powtórzę dokładnie zapisanych na nim słów, ale tekst brzmiał mniej więcej tak: „Weźcie słowa, które wam dziś przekazuję do serc waszych. Powtarzajcie je wiernie dzieciom waszym”. Wciąż miłe brzmią mi w uszach słowa tej modlitwy, chociaż wierzę w znaki zodiaku, duchy i duszki, i muzy greckie, i może w anioły, ale nie w Boga.

Jeśli chodzi o stan mojego umysłu, to było jak zawsze przy numerku z bywalcami klubu, klientami agencji i, szczerze mówiąc, z chłopakami także. Mój mózg się wtedy wyłączał. Ulatywał w górę i znikał, tak iż w połowie przypadków nie pamiętałam po kontakcie seksualnym, jak on przebiegał. Dobrze jest porównanie z jazdą metrem linią, którą się jechało

już tysiąc razy. Świadomość usypia, wracasz do przytomności na swojej stacji, mając zatarte w pamięci poprzednie. Zdarza się, że tak głęboko zapadasz w nieświadomość, iż przegapisz swoją stację i wylądujesz w niebezpiecznej dzielnicy.

I tak się stało. Wyłączyłam się i znalazłam w Queens. Oprzytomniałam bowiem dopiero, gdy Robin posuwał mnie bez kondomu, a ja nie mogłam wydobyć z siebie głosu, żeby go powstrzymać. To były czasy szczytowej fali epidemii AIDS i moi przyjaciele z teatru umierali w domach jak w średniowieczu. Ogarnęła mnie panika, ale natychmiast odepchnęłam złe myśli. Kolana ślizgały mi się po futrze, ręce przyciskałam do chłodnego jedwabiu wezgłowia.

Napisał coś potem na moich plecach krawędzią swojego talizmanu. Przypomniała mi się gra z obozów letnich. Zamykałaś oczy, a któraś z dziewczynek siadała obok ciebie. Na twoim ramieniu wypisywała paznokciem jakieś słowo i musiałaś je odgadnąć. Zmysł dotyku praktycznie w ogóle nie był pomocny. To był raczej test na to, jak dobrze znasz koleżankę, czy na tyle, żeby się domyślić, jaki wyraz wybrała dla ciebie.

W podobną grę bawiłam się później z kochankami, gdy leżeliśmy nago w łóżku.

Paznokciem rysowałam im na plecach moje imię, udając, że ich łaskoczę. Na plecach Seana wypisywałam: „Kocham cię”, na długo przed wyznaniem mu tego. Nie wiem, co napisał Robin.

Leżałam potem na brzuchu, Robin obok, ale nie minęły trzy sekundy, kiedy klepnął mnie w pośladek, pocałował w policzek i wyrzuciło go z łóżka, jakby wcisnął przycisk katapulty.

— Było bardzo przyjemnie. Jestem spóźniony na spotkanie.

Wiedziałałam, że nie powinnam go zatrzymywać i prosić: „Daj mi jeszcze jedną szansę, a będziesz chciał zostać”. Wiedziałałam tym bardziej, że nie powinnam czuć się zraniona, a jednak byłam. To do mnie niepodobne.

Czy naprawdę zadurzyłam się w księciu, w najmniej osiągalnym mężczyźnie na tej planecie, a zarazem najprawdopodobniej seksoholiku, który rżnie dziewczyny między jednym a drugim biznesowym spotkaniem? A może po prostu nie chciałam znowu zostać sama?

Robin brał prysznic i się ubierał, a ja układałam malowniczo włosy na poduszce, patrząc w lustro na suficie. Chciałam wryć mu się w pamięć, żeby przypomniął sobie o mnie zniecka w trakcie spotkania lub jazdy samochodem. Kiedy wychodził, wyglądał równie reprezentacyjnie i wytwornie, jak wchodząc.

Powiedziałam sobie, że jestem ambasadorem dobrej woli, działającym z własnego nadania na rzecz poprawy stosunków między żydami i muzułmanami. Nie byłam przecież pierwszą żydówką w łóżku sułtana. Hadassah zmieniła imię na Estera, żeby poślubić perskiego króla. Żydzi czczą jej pamięć w radosne święto Purim.

Prawdopodobnie nikt nie upamiętni moich dokonań przez ustalenie święta. Jako ambasador reprezentowałam jedynie interesy mojego portfela i marzenia o byciu obiektem pożądania. Interesowała mnie własna dupa, nikogo nie próbowałam ratować. Trudno byłoby zliczyć kobiety podobne do mnie, które kładły się do królewskiego łóżka i nikt o nich nie słyszał, bo kto zaprzętałby sobie tym głowę?

Nabrawszy pewności, że Robin nie wróci, poszłam do łazienki pod prysznic. Lustrzane ściany i marmurowa posadzka kabiny nie obciekły jeszcze z wody po wyjściu Robina spod natrysku. Gdy strumienie wody spływały mi po plecach, powędrowałam myślą do tamtego ranka, kiedy po nocy spędzonej u Seana nie chciałam wracać do domu w opiętej wieczorowej sukience, więc włożyłam na siebie jego starą bluzę licealną i dzinsy, podwijając kilkakrotnie za długie nogawki. Znalazłszy się w domu, wyczerpana i brudna, z włosami śmierdzącymi dymem papierosowym, nie weszłam pod prysznic, bo chciałam czuć na sobie zapach Seana. Wpełzłam na łóżko i zapadłam w drzemkę w jego ubraniu. Minęły trzy godziny, zanim w mojej głowie zrodziło się podejrzenie, że o mnie zapomnieli. Znowu wpadłam w panikę.

— Halo! Pomocy! Niech mnie ktoś wypuści.

Bębniłam w drzwi i wrzeszczałam przez dobre piętnaście minut, nim ktoś przyszedł i przekręcił klucz w zamku.

Rozdział 12

Dopiero późnym popołudniem weszłam do naszego pawilonu. Miałam nadzieję, że dziewczyny będą na basenie, lecz niestety oglądały w salonie na górze film *Henry i June*, tworząc na kanapie dziwną plątaninę rąk i nóg. Serena podniosła wzrok i uśmiechnęła się. Oparłszy rękę na udzie Leanne, sięgnęła po truskawkę do wazy stojącej na środku stolika do kawy.

— Martwiłyśmy się o ciebie — skłamała bezczelnie. Z uśmiechem spojrzałam jej prosto w twarz.

— Niepotrzebnie. Oto jestem.

— Wszystko w porządku? — spytała, nadgryzając truskawkę i marszcząc brwi dla zademonstrowania troski. Serena prawie nie jadła. W wyrazie jej oczu pod fałszywą słodyczą wcale nie kryło się okrucieństwo, co dostrzegłam po raz pierwszy. To był głód. Rzecz do wykorzystania. Na moment zamarło mi serce, ale niczego nie dałam po sobie poznać. Nie zamierzałam pierwsza odkrywać kart tylko dlatego, że obydwie cierpiałymy z tego samego powodu.

— Film się podoba?

— Jestem fanką Henry'ego Millera.

— Naprawdę? Którą jego książkę lubisz najbardziej?

— *Henry i June*. Na niej oparty jest film.

— Muszę to przeczytać. Mogłabyś mi ją pożyczyć? Wyznanie Sereny, że czytała nieistniejącą powieść Millera,

wzbudziło we mnie współczucie dla tej idiotki. Idąc do swojego pokoju, przeszłam przed nią lekkim, niemal skocznym krokiem. Postanowiłam, że przestanę się irytować, cokolwiek ona jeszcze powie. Gdy przekręcałam gałkę od drzwi, usłyszałam za plecami jej głos.

— Nie martw się. Prawdopodobnie już cię nie wezwie. Nie ma takiego zwyczaju.

Moje postanowienie nie wytrzymało próby trzynastu sekund.

Tamtej nocy zakręciłam włosy i uprasowałam ostatnią sukienkę, ciuch z lat pięćdziesiątych, w kolorze szmaragdowym, z głębokim dekoltem i dzwonowatą spódnicą. Wywoływała marzenia o butach w tym samym kolorze i randce z kimś, kto potrafi zaszaleć na parkiecie.

Na nocnym stoliku z mojej strony dzielonego z Destiny łóżka stało zdjęcie mojej babki jako młodej kobiety. Gotowa do wyjścia na wieczór, miała na sobie podobną sukienkę i białe rękawiczki zapinane na perłowe guziki. Zanim wyszła za mąż i osiadła w Newark, jeździła po świecie. Studiowała w Wiedniu razem ze słynnym psychologiem Alfredem Adlerem, wynajmując od zbankrutowanej hrabiny pałacyk jak

z bajki. Babka także była niespokojną duszą. Gdyby żyła, mogłabym jej powiedzieć prawdę o Brunei.

Za mną Destiny wsunęła brązowe stopy, opalone na kolor rękawicy bejsbolowej, w platformy Lucite. Na jej stoliku nocnym również stało jedno zdjęcie. Córki. Skapanej słońcem, roześmianej, na tle oceanu.

Nie bacząc na dodatkowy ciężar, zabieramy w podróż oprawione w ramki fotografie bliskich osób, tych, co do których mamy pewność, że będą nas kochać bez względu na to, co zrobimy.

Tej nocy Yoya i Liii popisały się porywającym występem karaoke. Śpiewały *Paradise by the Dashboard Light*. Najwyraźniej poprzedziły to próbami, gdyż były elementy choreografii, głównie efektowne shimmy ramion przy frazie „zaledwie siedemnaście lat”, choć całość to genialny przebój i wzruszył nas, gdyż każda mogła odnieść słowa tekstu do siebie.

Pomyślałam to samo co zawsze, gdy słucham tej piosenki. Jest wiele tekstów o uroku siedemnastu lat. Zwrócił mi na to uwagę długowłose, chudy i przystojny facet, wyglądający jak kubański rewolucjonista. Zaczepił mnie, gdy zdeorientowana, straciwszy z oczu koleżanki, słuchałam odurzona LSD koncertu Grateful Dead, a miałam wtedy nie siedemnaście, lecz zaledwie czternaście lat. To raczej zły pomysł przyznawać się do czternastu, więc skłamałam, że skończyłam siedemnaście. Potem powiedziałam, że się zgubiłam.

— Jest mnóstwo piosenek o tym, jak to jest, gdy ma się siedemnaście lat — stwierdził. — Nie zgubiłaś się, raczej znalazłaś się w niewłaściwym miejscu.

Wróciłam z facetem do miasta i wylądowałam w jego galerii na strychu. Artysta śmierdział terpentyną i potem, a dzinsy miał w różnokolorowych plamach od wycierania **O** nie pędzła. Miałam z nim stosunek, a raczej on miał ze mną — to był mój pierwszy raz — bo ja w ciemności za jego głową oglądałam jak kreskówkę halucynogenne wizje. Uważałam mimo wszystko, że to było lepsze niż samotne błąkanie się w środku nocy po Long Island. Rano wyciągnęłam mu z dzinsów trzydzieści dolarów na powrót do domu. Z piątego piętra schodziłam z butami w rękach, żeby nikogo nie obudzić, włożyłam je na dole i puściłam się biegiem do stacji metra.

Rodzicom powiedziałam, że spędziłam noc w domu mojej przyjaciółki Julie.

Opowiadałam jej później tę historię

i zaśmiewałyśmy się do łez, gdy cytowałam jego słowa: „Jest mnóstwo piosenek o tym, jak to jest, gdy ma się siedemnaście lat”.

Siedziałam wyprostowana i udawałam rozbawioną, nie żałując sobie szampana, którym kelnerzy napełniali przepastne kieliszki. Drzwi miałam za plecami, ale wyczułam go, gdy wchodził, i moje ciało zareagowało stanem napięcia, jakbym duszkiem wypić trzy mocne kawy. Nerwowo wygładziłam sukienkę; odgarnęłam z oka niesforny lok. Kilka minut później, kiedy Robin znalazł się w zasięgu mojego wzroku, obojętnie się ze mną przywitał, patrząc ponad moją głowę. Nie zamienił ze mną słowa do końca wieczoru. Wyciągnął

za to rękę do Leanne i poprowadził ją do baru, porozmawiali chwilę, zanim spoczął na zwykłym miejscu obok Fiony.

Leanne wróciła do nas, usiadła obok Sereny i zaczęły demonstracyjnie i z ożywieniem plotkować o mnie. Stłumiłam odruch wymiotny. Miałam ochotę przeczołgać się przez stół, szarpnąć za ten cholerny kok i przycisnąć jej szelmowatą buźkę do szklanego blatu.

Zamiast tego włączyłam się do rozmowy o relacjach między znakami zodiaku.

— Robin — poinformowała nas Leanne — jest Skorpionem, stąd jego charyzma, pewność siebie, siła i wybujały erotyzm.

Serena była spod znaku Byka, Leanne Ryby. Destiny powiedziała im, że jest chrześcijanką, na tym koniec, i mogą się wypchać.

— Skorpion to znak wodny — mówiła Leanne. — Jak Ryby. Więc ja i Robin płyniemy razem, ale czasem na fali zbyt silnych emocji. Obydwoje.

Trudno mi było wyobrazić sobie Robina podlegającego zbyt silnym emocjom.

— Jaki jest twój znak? — zapytała mnie.

— Lew.

— Znak ognia — rzekła z nutą triumfu w głosie.

Każdego wieczoru Robin znikał na przynajmniej pół godziny, zwykle około północy.

Rozglądałyśmy się wtedy, próbując ustalić, która dziewczyna wyparowała z sali. Tamtej nocy było puste krzesło Leanne dokładnie naprzeciwko mo-

jego po drugiej stronie stołu. Upiłabym się — urzęnęła w trupa — gdyby nie to, że Robin zakończył wcześniej przyjęcie, wychodząc z Fiona u boku.

Byłam na siebie wściekła za uleganie zawiści. Kiedy poszłam do łazienki, żeby podmalować usta, w lustrze zobaczyłam na swojej twarzy taki sam nieszczerzy uśmiech, jaki widziałam u Sereny i Leanne. Dziewczęta przy innych stołach, Azjatki, wydawały się mało przejmować tym, gdzie jest Robin i z kim wyszedł. Fiona i Leanne też były Azjatkami, jednak z uwagi na status osób publicznych i znajomość angielskiego uniknęły zdegradowania do gości niższej rangi siedzących przy gorszych stolikach.

My, najwyżej stojące w hierarchii, siedziałyśmy pod nieobecność Robina podirytowane, z ciasno skrzyżowanymi rękami, podczas gdy dziewczyny z innych stolików szły mimo wszystko chętnie na parkiet. Te, którym sprzyjało szczęście, tańczyły pod koniec nocy z głowami opartymi na ramionach swoich Romeów, jak bywa przed zakończeniem balu. Dziewczynom, które przybyły z Zachodu, nie uchodziło szukać kochanków w otoczeniu księcia. Więc rywalizowałyśmy ze sobą o jego względy.

Kolejna noc minęła w ten sam sposób. Przestałam zmuszać się do uśmiechu, kiedy patrzyłam na obcasy jego butów znikające w górze schodów.

Któregoś ranka Serena obudziła nas, oznajmiając, że uzyskała pozwolenie (od kogo, nie zdradziła) na naszą wyprawę

do centrum handlowego Yaohan. Trzymała w garści plik brunejskich banknotów. Po raz pierwszy od przyjazdu do Brunei zobaczyłam pieniądze. Przez blisko dwa tygodnie żyłam wolna od myślenia o nich. Powiedzmy, że do pewnego stopnia.

Patrzyłam na banknoty, które rozdzielala między nas, jakby rozdawała karty. Znowu zobaczyłam sułtana: z brodą, dostojnego. Migał na banknotach pomarańczowych, zielonych i niebieskich.

— Jaki jest kurs wymiany?

— Nie wiem. To nieważne. Mamy kupę pieniędzy. Schowajcie włosy. Nie jesteś blondynką, więc nie ma problemu, ale zakryj głowę.

Władowałyśmy się do czekającego mercedesa, Serena usiadła z przodu, wdała się w rozmowę z kierowcą. Ona przeniknęła do tego świata, ja nie. Zobaczyłam niewiele, jeszcze mniej zrozumiałam, za trzy dni miałam wyjechać do domu, nadgryziona jak pralinka z pomarańczowym nadzieniem wyjęta z bombonierki, gdzie zostawały inne smakowe atrakcje. Co ze mną było nie tak? Dlaczego wciąż zbliżałam się do czegoś, czego chciałam, by w ostatniej chwili zostać od tego odcięta? Zwykle brałam to na siebie i rezygnowałam, nim mnie odrzucono. Lecz tym razem nie miałam takiej możliwości.

Dziewczyna w rozpaczy rzuca się na zakupy. Wpadłyśmy do Yaohan w różowych okularach na oczach jak typowe turystki. Nie sposób się było oprzeć żadnemu drobiazgowi, gdyż kusił egzotyką, a skoro pieniądze się nie liczyły, więc

niejako brałyśmy udział w grze wideo z brzękliwą azjatycką pop muzyką w tle i uśmiechniętymi ekspedientkami o szerokich buziach. Świergotały do nas melodyjnie i chichotały zadziwione cudzoziemkami. W tej grze wideo zdobywało się punkty, kupując słodczyce, T-shirty, wypchane zwierzątka, słodko pachnące mydełka i różnokolorowe błyszczuki do ust.

Kobiety w Brunei, jak zauważyłam, niekoniecznie zakrywają włosy, jak to jest w zwyczaju w innych krajach muzułmańskich, ale ubierają się skromnie. Daleko im do wyglądu przyciągających oko, nadażających za modą kobiet, które podpatrywałam podczas krótkiego pobytu w Singapurze.

Chodziłam w parze z Leanne i rywalizacja z poprzedniego wieczoru zupełnie poszła w niepamięć, gdy zaciągnęła mnie do stoiska z kosmetykami. Dziewczęta z obsługi służyły radą, porozumiewając się z nami na migi. Leanne posadziła mnie na stołku przy ladzie i w odruchu miłosierdzia uczyła tajników makijażu oczu, żebym nie wyglądała, jak osoba wybierająca się na casting do filmu *Mężczyźni wolą blondynki*.

— Piękna cera — powiedziała Leanne, rozprawdzając mi róż na policzkach. — Jak Królewna Śnieżka. Skąd jesteś?

— Z New Jersey.

— Nie o to pytam, raczej kim jesteś?

To pytanie zawsze wydawało mi się dziwaczne. Kim jesteś? Jesteś dobrą czarownicą czy złą czarownicą? Jestem po prostu Dorotką Gail z Kansas.

— Rosjanka. Polka.

— A nie wyglądasz.

Zostałam adoptowana. Przerwała zabiegi wokół mojej twarzy i spojrzała na mnie z mieszaniną zainteresowania i współczucia. Znasz prawdziwych rodziców?

— Matka adopcyjna i ojciec adopcyjny są moimi prawdziwymi rodzicami.

Na to pytanie adoptowane dziecko jest przygotowane, słyszy je milion razy. Prawdę mówiąc, słyszy je tak często, że puszcza je mimo uszu.

— Tak, ale jednak...

Nie ciągnęłam dalej tej rozmowy. Z nią nie miałam ochoty o tym mówić. Broniałam rodziny i żebym mogła wyjść poza to, musiałabym wiedzieć, że rozmawiam z kimś, kto pojmie złożoność sprawy. Prawda była taka, że Leanne miała rację. Prawda była taka, że dręczyły mnie pytania. Moja rodzina to prawdziwa rodzina, ale jednak... Wciąż zastanawiałam się przecież, czy gdzieś w moim DNA nie znalazłabym wyjaśnienia tego wewnętrznego niepokoju i czy nie jest tak, że biologiczne pochodzenie przesądza o kierunku, w którym powinnam zmierzać.

Leanne pozwoliła mi wreszcie spojrzeć w lustro. Makijaż był subtelny, doskonały.

Kupiłam niezbędne kosmetyki. Pierwszy w moim posiadaniu zestaw, którego nie wynosiłam z drogerii Rite Aid, i także pierwsza porada kosmetyczna, która nie pochodziła od transwestyty czy striptizerki. Każda z nas wychodziła z torbą pełną pudełeczek, słoiczków i flakoników. Ja kupiłam jeszcze dietetyczną herbatę i dres, przyrzekając sobie, że następnego dnia rano pójdę ćwiczyć. Po raz kolejny

w życiu postanowiłam zamieszkać w szczuplejszym i atrakcyjniejszym ciele. Do diabła z biologią. Zamierzałam dopracować się takiego image'u, jakiego tylko zapragnę. Doceniłam wolność, jaką się ma, nie wiedząc, po kim się dziedziczy kolor oczu. I miałam dość Audrey Hepburn. Nawet jeżeli Piękny Książę mną wzgardził, to znajdzie się następny i tego nie zrobi. Miałam zamiar o to zadbać.

Na obiad zjadłam tylko surówkę i kawałek kurczaka. Nic nie potrzebuję, wmawiałam sobie. Prawie nic. Niektórzy mnisi żyją o ziarnku ryżu dziennie. Potrzeba jedzenia to iluzja. Jest tylko głód, a osoba silna potrafi go nie zaspokajać. Musiałam być jednak sama sobie cheerleaderką, bo nie widziałam chętnych do tego zajęcia. Bądź silna. Do gry! Czułam się jak nowo narodzona i zdeterminowana, póki nie zasiadłam do zrobienia nowego makijażu i nie spojrzałam w lustro, co przywołało mnie do rzeczywistości. Pożegnałam się z rolą cheerleaderki równie szybko jak niegdyś z zapinaniem na rzepy kostiumem Ofiary Pierwszej. Żołądek dał o sobie znać głośnym burczeniem. Mimo szczytnych zamiarów nie zagłodzę się, żeby być piękną. I mogę przeczytać wszystkie poradniki sukcesu dostępne w bibliotece, a i tak nie zrobię olśniewającej kariery. Niezbyt urocza, niezbyt bystra, niezbyt popularna, niezbyt utalentowana, niezbyt oryginalna. Byłam zwykłą dziwką, która od czasu do czasu potrafiła przebić się tam, gdzie chciała. Patrzyłam w lustro i w nowych cieniach na powiekach czułam

do siebie takie samo obrzydzenie jak przedtem. Westchnęłam, ale wzięłam do ręki nowy pędzelek do makijażu i zabrałam się do pracy.

Wieczorem podszedł do nas Eddie, usiadł na kanapie między mną i Sereną i jak zawsze nerwowo i lubieżnie wybałuszał oczy. Mężczyźni zajmowali zwykle kanapy, a nie przepastne niskie fotele, prawdopodobnie dlatego, że przy żadnym stoliku nie zagrzewali długo miejsca. Dziewczyny natomiast parkowały w fotelach przez całą noc, stopniowo zapadając się w nie jak zapomniane marionetki, póki nie wszedł książę, a wtedy każda prostowała szyję, jakby za pociągnięciem sznurka przymocowanego do głowy.

Eddie zwrócił się najpierw do Sereny.

— Czy zaśpiewasz dzisiaj?

No tak, oczywiście ona. Nie stanowiłam zagrożenia dla tej zimnej i rasowej blondyny. Nie pomyliła się, gdy we wstępnych rachubach nisko mnie oszacowała. Jednego zawsze można być pewnym: to sopran zdobywa serce mężczyzny.

Potem Eddie odwrócił się do mnie, a ja czułam, że na swoim fotelu z każdą minutą coraz głębiej zapadam się w niebyt.

— Też zaśpiewasz?

Czaszka Sereny zatrzeszczała od rozsadzającej ją irytacji.

— Zaśpiewasz teraz.

Idąc do mikrofonu, drżałam cała pod wpływem silnej dawki adrenaliny, która zaczęła krążyć w moim krwiobiegu. Byłam nieprzygotowana. Wprawdzie trzy doby temu udało mi się

w cudowny sposób odnieść sukces z *Kasih*, ale byłam pewna, że bogowie nie staną po mojej stronie po raz drugi. Okazało się, że się myliłam jak w wielu innych sprawach. Znowu śpiewałam *Kasih* świetnie, widziałam aprobujące uśmiechy na twarzach gości i samego księcia.

Serena wykonała piosenkę *Someone to Watch Over Me*. Żenująco bezbarwnie. Słuchałam z prawdziwą satysfakcją. Sandy z *Grease* to ona mogła być tylko w swoich fantazjach. Przy refrenie Fiona dała mi znak, żebym podeszła do niej i Robina. Stałam przed trzema krzesłami ustawionymi pod ścianą, czyli przed centrum władzy.

— Siądź tutaj — odezwał się Robin, wskazując fotel z lewej strony. Fiona zawsze siedziała z prawej.

To był fotel marzeń, przeznaczony dla drugiej w kolejności faworyty. Siedziałam na nim przez resztę nocy, nie zapominając o *savoir-vivre*: kolana razem, nie odzywać się bez pytania. W bliskości Robina czułam się spięta i miałam się na baczności. Rozmawiał głównie z Fioną, ale czasami odwracał się do mnie i zadawał nieoczekiwane pytania.

— Czy lubisz konie?

— Kocham konie. Słyszałam, że ty, książę, grasz w polo. — Bynajmniej koni nie kocham, okay, lubię je, ale jestem raczej psiara/kociara. Wolę zwierzęta, które na kanapie oglądają z tobą telewizję. A gry w polo nigdy w życiu nie oglądałam.

— Tak, gram.

— Polo jest niebezpieczne — nie tyle wiedziałam, co zgadywałam. — Musisz być bardzo odważny. Chętnie zobaczyłabym, jak grasz, książę.

Myśla, że zobaczysz. Jak ci się podoba nasz kraj? Tak mniej więcej przebiegała nasza rozmowa. Kiedy zaczęła się dyskoteka, obserwowaliśmy dziewczęta tańczące do przebojów *Things That Make You Go Hmmm...* i *Like a Prayer*. Wszyscy na parkiecie podchwytywali najbardziej wpadające w ucho fragmenty i śpiewali, niekoniecznie rozumiejąc słowa. Kiedy dziewczyny się upiły, zniknęły różnice między tymi ze Wschodu i tymi z Zachodu, bo wszystkie zaczynały szaleć — w rytmie longa wirowały w kółko, zadzierały spódnice, kręciły biodrami. To była reakcja na nudę. Nudę, która macerowała mózgi.

Tym razem nie byłam znudzona. Na przyjęciach księcia jego ministrowie i jego kochanki na równi walczyli o miejsce w rankingu, a moje notowania właśnie poszły w górę. Przesunięcia dokonywały się z nocy na noc i były subtelne. Przeszłam pierwszy test: udało mi się adekwatnie odpowiedzieć na ignorowanie mnie. Byłam zła, ale nie do przesady, zazdrosna też nie do przesady. Jeżeli toczyła się tu gra w węże i drabiny, to ja znalazłam się na najdłuższej, sięgającej końca planszy drabinie, przeskakując kilka pól. W konsekwencji miałam stać się bardzo nielubiana.

Fiona wychyliła się do przodu i zza Robina spojrzała na mnie, jakby dla potwierdzenia tego, o czym mówili.

A on, chyba kończąc rozmowę, powiedział do niej, ale tak, żebym mogła słyszeć: — Myślę, że naprawdę spodoba się mojemu bratu.

Fiona przytaknęła.

Co to, do jasnej cholery, miało znaczyć?

Rozdział 13

Słońce odbijające się od kadłuba z włókna szklanego było tak jaskrawe, że gdy się odwróciłam, wciąż miałam plamki przed oczami. Przy ogromie jachtu poczułam się jak karzełek. Wyglądał raczej na statek pasażerski niż prywatną łódź. Dwunastoosobowa załoga stała na pokładzie, by mnie przywitać.

Upał wyciskał kropelki potu na górnej wardze i na linii stanika. Plułam sobie w brodę, że ubrałam się w rybaczkę i bolerko, pożyczone zresztą od Destiny. Kiedy rano rozległo się pukanie do drzwi, byłam pewna, że znowu zostanę zamknięta w pornołodówce, a tymczasem przywieziono mnie do portu. Żałowałam, że nie miałam bikini, kapelusza z szerokim rondem i długich polakierowanych na czerwono paznokci, które by pięknie harmonizowały z kieliszkiem szampana. Bo jak dziewczyna powinna się ubrać na jacht księcia? Ale czy dobrze ubrana, nieważne, miałam przed sobą wielce satysfakcjonującą perspektywę interesującego rejsu z dwunastoosobową obsługą do mojej dyspozycji.

Byłam niereformowalna. Jachty i szampan. Femme fatale o międzynarodowej sławie kołyszącym krokiem wchodząca po trapie.

Kiedy jednak znalazłam się na pokładzie i stanęłam twarzą w twarz z załogą w nieskazitelnych uniformach, zobaczyłam ich skonfundowane miny. Rozbiegane gałki oczne, każdy patrzy to na osobę z prawej, to z lewej, widać niezdecydowanie, kto ma się odezwać pierwszy. Wreszcie kapitan, młody opalony Australijczyk, powitał mnie i natychmiast przekazał w ręce dwóch energicznych dziewczyn, a reszta załogi rozeszła się do swoich zajęć.

Odezwała się ta wyższa, z szerokimi zębami, brunetka.

— Myślę, że mamy mniej więcej te same rozmiary. Jedna przez drugą rzucały melodyjnym głosem pytania,

prowadząc mnie wzdłuż burty i potem w dół do pomieszczeń dla załogi.

— Czy pływasz na innych rodzinnych jachtach?

— Nie.

— Zostaniesz z nami? Nie zajmie nam więcej niż minutę przygotowanie dla ciebie koi po Allison. Allison odeszła z jachtu trzy tygodnie temu i myślałyśmy, że popłyniemy w rejs z jedną osobą mniej.

Otworzyły szafę wypełnioną mundurkami takimi, w jakie same były ubrane. Wszystkie wisiały okryte folią w idealnie równych od siebie odstępach. Kilka, wciąż na wieszakach i w folii, przyłożyły do mnie, sprawdzając rozmiar, wybrały pasujący. Podejrzewałam zawsze, że ludzie, którzy porządnie rozwieszają w szafach ubranie, są lepsi ode mnie, mają czystsze dusze.

— Czy to Leslie cię zatrudniła?

— Nie...

— Jak to? Ktoś inny się tym teraz zajmuje?

— Nigdy nam nic nie mówią — dodała blondynka. Czekwały na jakieś wyjaśnienie. Nie doczekały się, liczyłam,

że to ja czegoś dowiem się od nich. Te australijskie dziewczyny były tak czyściutkie i zdrowe, że aż poczułam ukłucie w sercu, patrząc na nie. Miałam wrażenie, że ograniczona przestrzeń jachtu nie pozwala na żaden bałagan ani na sekrety. Jak wygląda życie, w którym nie ma miejsca na żadne kłamstwo?

— Czy długo byłaś stewardesą'?

— Nie jestem stewardesą.

— Co? — Były skonsternowane, popatrzyły na siebie, potem znowu na mnie.

— Nie chcę być niegrzeczna, ale co tutaj robisz? — odezwała się blondynka.

Z pobytu w Brunei wyniosłam bardzo przydatną umiejętność, a mianowicie nie udzielać zbyt wielu informacji. Nauczyłam się czekać, póki się nie zorientuję, o co chodzi. Nie być tą osobą, która pierwsza wszystko zdradza.

- Co wam powiedzieli? — zapytałam.

- Nic — odpowiedziała brunetka.

Kazano nam wyjść na pokład powitać nową stewardesę. Więc skoro nie jesteś stewardesą... Rozumiesz, dlaczego jesteśmy zdezorientowane. Powiedzmy, że nią jestem. To im wystarczyło. Wybrany mundurek pasował na mnie. Wykrochmalone spodnie ciągnęły się trochę w miejscu, gdzie

tyłek styka się z udami, ale taki problem zawsze miałam ze spodniami. Gdy już byłam ubrana tak samo jak one, rozmowa stała się bardziej przyjacielska. Uchwaliliśmy, że będę po prostu robiła to co one. Poddały mnie krótkiemu, acz intensywnemu kursowi, ponieważ już za godzinę przybywał na jednodniowy rejs sułtan z rodziną. Dokładniej miały mnie podszkolić później. Byłam pewna, że to nie będzie potrzebne, ale wyraziłam wdzięczność. Zaczynało docierać do mnie, że księżę uwielbia stawiać ludzi w dziwacznych sytuacjach i sprawdzać, jak się zachowają. Byłyśmy jego szczurami laboratoryjnymi. Zastanawiałam się, co takiego w nim tkwi: czy chodzi o nutę sadyzmu, czy cechy osobowości z pogranicza. A może to tylko problem zbyt dużych pieniędzy i zbyt dużej władzy.

Dziewczyny otworzyły trzy puszkietki dietetycznej coli, popijałyśmy z nich i szkolenie szło dalej. Były profesjonalnymi stewardesami i zostały wynajęte na jacht wraz z całą załogą, z którą wcześniej pływały. Praca na jachcie sułtana była najłżejsza z dotychczas przez nie wykonywanych. Zatrudnione były tu od sześciu miesięcy i spodziewały się wypłynąć w jeszcze dłuższy rejs.

Praca stewardesy na jachcie wydała mi się z ich relacji całkiem niezłą. Noce na kołyszącej się koi i szum fal rozbijających się o burzę. W ciągu dnia kursowałam po pokładzie z tacą pełną drinków. W wolne od dyżuru noce sączyłam merlota i flirtowałam z kapitanem. Zastanowiłam się nad taką perspektywą. Może udałoby się zostać na jachcie i nikt by się nawet nie zorientował, że nie powinnam tu być.

Wyzwoliłabym się spod uroku i kontroli księcia, zanim mnie unieszczęśliwi jak Serenę i Leanne.

Australijki opisywały dalej, na czym polega nasza praca. Przyjmujemy zamówienia na drinki i jedzenie. Zbieramy kieliszki i talerze, pilnując, żeby żadne puste szkło ani przez moment nie było na widoku. Stoimy w drzwiach sali gotowe spełnić każde życzenie. Mamy być widoczne i niewidoczne zarazem. Podajemy przystawki. Sprzątamy każde pomieszczenie natychmiast po wyjściu użytkownika, tak by po powrocie zastał je w stanie nieskazitelny.

Zabrały mnie do łazienki, żeby zademonstrować najważniejszy trik: fantazyjne zawijanie końca papieru toaletowego po czyjejs wizycie w ubikacji.

— To lubią najbardziej. Daje im poczucie, że cały czas ktoś jest blisko i czuwa.

Po namyśle doszłam do wniosku, że praca stewardesy na jachcie nie jest dobrym pomysłem na życie. Pozwoliłam sobie na przerwę w nauce zawijania papieru toaletowego i wyszłam na pokład, gdzie słońce grzało mi plecy przez sztywną białą bluzkę koszulową. Powietrze pachniało solą morską i z powodu odpływu lekką wonią zgnilizny. Było znośniej sze niż tropikalna duchota na lądzie. Przypomniało mi się Jersey Shore.

Każdego lata wyjeżdżaliśmy całą rodziną do Beach Haven na Long Beach Island. Johnny i ja zaprzyjaźniliśmy się z gangiem miejscowych dzieciaków. Nasza rozhukana banda biegała od oceanu do basenu przy Engleside Motel i z powrotem. Rzucaliśmy się na spienione fale, nurkowaliśmy,

potem znów pędziliśmy po białym piasku, by skoczyć do basenu „na bombę”. Tam i z powrotem, przez okrągły dzień, z krótkimi przerwami na lody kupowane z samochodu lodziarni.

Pod koniec dnia, spieczeni słońcem i z piaskiem we włosach, szliśmy z rodzicami nad zatokę do restauracji Morrison's na kanapki ze smażonymi małżami. Po obiedzie zaś na molo popatrzeć na jachty wracające do portu.

To zapach odpływu unoszący się nad portem w Brunei obudził wspomnienie z dzieciństwa, bo tak samo pachniały noce w Beach Haven. Tam było jednak zupełnie inaczej. Pamiętam to niesamowite uczucie, że skóra nie odgradza mnie od otoczenia. Wchłaniałam w siebie jaskrawe kolory parad ulicznych, smak gorących i pachnących cynamonem donatów, łaskotanie piaskowych krabów — doznania ze świata zewnętrznego stawały się częścią mnie samej. Tak było zawsze. Brunei odczuwałam inaczej. Z każdym dniem coraz bardziej oddalałam się od własnego ciała i coraz mniej łączyło mnie z otoczeniem. Odnotowałam to ze smutkiem, lecz nie bez pewnej satysfakcji. Oddzielenie od własnego ciała oznaczało zamknięcie się w swego rodzaju bezpiecznej przystani i swoistą wolność.

Z miejsca, gdzie stałam, obserwowałam podjeżdżającą kawalkadę wszechobecnych tu czarnych mercedesów. Tajniacy i umundurowani wyskoczyli z aut, wbiegli na pokład i rozproszyli się we wszystkich kierunkach, żeby skontrolować jacht. Wycofałam się na dół do kabiny.

Służba bezpieczeństwa działała dyskretnie. Po wejściu na pokład stali się prawie niewidoczni. Mało spostrzegawcze

oko mogło nie zauważyć, że sułtan i jego rodzina są pilnie strzeżeni, a my bacznie obserwowani. W Brunei wszystko było tak zorganizowane, żeby stworzyć iluzję, iż sułtan, jego bracia i ich rodziny prowadzą zwyczajne życie, a w istocie jego mdłą, cieplarnianą wersję, gdzie każda ich potrzeba i pragnienie jest zaspokajane, zanim zdążą sobie uświadomić, że je mają. Prawdopodobnie myśleli, że papier toaletowy sam się magicznie skręca w artystyczny zawijas za każdym razem, gdy już wytarli nim dupę. Żadnych problemów. Nic dziwnego, że księżę nic tylko chciał się pieprzyć i pieprzyć.

Tajniacy w nienaganych garniturach krążyli po jachcie i czuwali, płynnie przechodząc z malajskiego na brytyjski angielski i odwrotnie. Jeden z nich rozmawiał jakiś czas z blondwłosą stewardesą. Mówili ściszymi głosami w drugim końcu pomieszczenia, w pewnym momencie na pewno

O mnie. Zorientowałam się, gdyż mężczyzna przyjrzał mi się

1 dopiero po chwili namysłu kontynuował rozmowę. On też nie wiedział, po jaką cholere się tu znalazłam, ale wiedział więcej niż załoga jachtu. Tyle, ile trzeba.

Blondynka zmieniła ton na zdawkowo uprzejmy, gdy informowała mnie, że będę stała w salonce sułtana i zbierała zamówienia na drinki. Żadnego sprzątnia łazienek. Nie mogę być pewna, co usłyszała od rozmówcy, ale cokolwiek to było, zbudowało niewidoczny mur między mną i stewardesami. Ta z szerokimi zębami ustawiła mnie przy drzwiach przestronnej salonki, wyłożonej lśniąca ciemną boazerią i z oknami na wszystkie strony. Zostawili mnie tam i przez resztę dnia

jedyną osobą, z którą wymieniałam jakieś słowa, był barman realizujący zamówienia. Nie czekałam długo, nic nie robiąc. Wkrótce zrobił się tumult, gdy tabun dzieci i niań przetoczył się koło mnie i wdarł do salonu. To nie mogła być tylko najbliższa rodzina, gdyż było ich mnóstwo. Sułtan i królowa szli za nimi. Sułtan wyglądał mniej dostojnie niż na banknotach. Królowa w luźnej, mieniącej się tradycyjnej szacie prześcigała go rozmia-rami. Obserwowałam ją w trakcie rejsu. Przez cały dzień siedziała, milcząc i uśmiechając się łaskawie do każdego rozmówcy. Patrzyła z przyjemnością na bawiące się dzieci, ale ani razu nie wstała, by się do nich przyłączyć.

Dzień minął mi na podawaniu napojów i uprzątnięciu pustych szklanek oraz roznoszeniu tac z zakąskami. Królowa uśmiechała się do mnie i szukała mojego spojrzenia, a nawet wydawała się mieć skruszoną minę, gdy prosiła o podanie czegoś. Jakby mnie odrywała od innych zajęć. Boże, czułam się jak kurwa. Domyślałam się przecież, że serwuję tu colę dzieciakom faceta, który dzięki temu ma okazję przyjrzeć się dokładnie mojej dupie. Sułtan był jak Robin przystojnym mężczyzną. Trochę starszy, trochę poważniejszy, bardziej mi przypominał detektywa Magnuma niż Errola Flynna, z którym kojarzył mi się książę. Nie zwracał na mnie uwagi. Zaczęłam podejrzewać, że nastąpiło jakieś niedopatrzenie komunikacyjne. Ktoś wymyślił, żeby wysłać mnie na jacht, nie mówiąc nikomu — nawet sułtanowi — w jakim celu. Pod koniec rejsu jednak, kiedy sułtan i królowa wychodzili z salonki, on po raz pierwszy

spojrzał mi w oczy, uśmiechnął się porozumiewawczo i właściwie puścił do mnie oko. Postarałam się odwzajemnić spojrzeniem mówiącym, że jestem pod nieodpartym urokiem. Był sułtanem i skoro miałam zostać przekazana w kolejne ręce, postanowiłam wykorzystać to jak najlepiej.

Odezwał się we mnie instynkt przetrwania. Nie miałam wprawdzie przesłanek, żeby sądzić, iż gdy w jednych oczach stanę się dziewczyną niechcianą, nieinteresującą i niepożądaną, to zostanę strącona ze skały, ukamienowana na publicznym placu lub wsadzona do bagażnika i już nikt nigdy mnie zobaczy. Byłam jednak zdecydowana walczyć wszelkimi sposobami, by nie wypaść z łask królewskich, chociaż balansowałam na cienkiej linii. Po co zresztą mówić o strachu przed fizycznym zagrożeniem, prawdopodobnie wystarczał strach przed uznaniem mnie za obiekt niegodny pożądania. Patrząc wstecz, muszę przyznać, że słusznie budził się we mnie instynkt walki, gdyż miał mi się wkrótce przydać.

Gdy dobiliśmy do portu, nikt się nie pojawił, żeby mnie zabrać, ale tym razem nie wpadłam w popłoch, że o mnie zapomniano. Zwróciłam mundurek i przedrzemałam się w kambuzie, póki nie trącił mnie w ramię barman, mówiąc, że przyjechał kierowca. Kolejna bardzo użyteczna umiejętność nabyta w Brunei: błyskawicznie zapadam w drzemkę, cokolwiek się dzieje wokół. Potrafię skulić się na ławce w centrum handlowym, w hotelowej wannie, na podłodze na lotnisku i zasnąć w ciągu kilku sekund. Gorzej, gdy jest ciemno i leżę

we własnym łóżku. Z jakiegoś powodu nikłe jest zagrożenie, że cię nawiedzą potwory, gdy śpisz na ławce.

Po powrocie na teren pałacu zorientowałam się, że wszyscy udali się już na przyjęcie. Chodząc po pokoju, zdejmowałam z siebie ubranie, po czym z pluskiem wskoczyłam do wanny, obliczywszy, że mam jeszcze pół godziny, żeby zdążyć na imprezę przed pojawieniem się Robina. Rozumiało się samo przez się, że lepiej umrzeć na malarię, niż się tam w ogóle nie pokazać. Ryzykowało się utratą kilku pól, cofnięciem na miejsce startu, ukaraniem, skazaniem na niedostrzeżenie. Przypudrowałam nos, który zaróżowił się, mimo że na pokładzie stałam króciutko, podpięłam włosy w górę i wsiadłam do wózka golfowego.

Było już po godzinie dziesiątej, gdy weszłam na salę, niestety spóźniona. Robin już tam był, nachylony nad oparciem kanapy rozmawiał z Yoyą. Gestykulowała żywo z szeroko otwartymi oczami. Wyglądała jak mała dziewczynka opowiadająca tacie o jakimś strasznym zdarzeniu, które miało miejsce na szkolnym podwórku. Robin słuchał ze skrzyżowanymi rękami i pobłażliwym uśmiechem. W wyrazie jego twarzy dostrzegłam coś, co spowodowało, że zawadziłam czubkiem pantofla o dywan i się potknęłam. Dostrzegłam ciepło i naturalność. Wyglądał jak osoba kochająca. Nie miłością namiętą, raczej ojcowską. Wrażenie spowodowane grą światła na jego twarzy czy figlem mojego mózgu, ale dało mi do myślenia.

Serena i Leanne ostentacyjnie nie patrzyły w moją stronę, ale biła od nich zdradliwa energia, której siła, tak to czułam,

rozpęta burzę nad moją głową. Zdenerwowałam się. Narzucając sobie spokój, szłam w stronę ciężkich chmur burzowych, ale drogę zastąpił mi Eddie i wyciągnął z sali.

Najwyraźniej czekał na mnie.

To Eddie dawał sygnał wybranej danej nocy przez Robina dziewczynie, że ma się wymknąć z sali. Tej nocy to byłam ja. Sprowadził mnie schodami do miejsca, gdzie jeszcze nie byłam. Wielka, okrągła sala z licznymi drzwiami. Jakby gotowa do teleturnieju z nagrodami. Za drzwiami numer jeden jest nowa lodówka, za drzwiami numer dwa tygrys, za drzwiami numer trzy... sypialnia, gdzie zostawił mnie Eddie, zamykając od zewnątrz drzwi na klucz. Wyglądało na to, że wszystkie pokoje w pałacu zamykane są od zewnątrz. Robin wszedł piętnaście minut później.

— Opowiedz, jak minął ten dzień. Co się zdarzyło? Czy go poznałaś?

Wyczułam, że dla Robina jest ważne, czy jego brat mnie zaaprobował. Opowiedziałam mu o niektórych szczegółach z dnia na jachcie. Uważałam, że lepiej nie mówić o żonie sułtana. Temat żon traktowano tutaj jak sekret rodzinny, o którym wszyscy wiedzą, ale każdy udaje, że go nie zna.

— Co myślisz o moim bracie?

— Puścił do mnie oko. Uśmiechnął się. Był miły.

— Puścił oko?

Wydawało mi się, że jest zadowolony, wyciągnął aparat cyfrowy. Takiego jeszcze nie widziałam. Czy miał zamiar zrobić mi zdjęcia i wysłać je sułtanowi?

- To dla nas — rzekł, odpowiadając na niezadane pytanie.

Istniejemy my? Poczułam ulgę. Nie chciałam być przekazywana. Czułabym się, jakby Robin zametkował mnie przed wysłaniem na aukcję. Nawet jeżeli byłam nabytą własnością, pragnęłam być doceniana.

W jakichkolwiek się znajdziesz okolicznościach, staną się normalnością, jeżeli na to przyzwolisz. Ta sama dziewczyna, która parę tygodni temu doradzała przyjaciółce, żeby zerwała ze zdradzającym ją chłopakiem, teraz potrafiła bez cienia refleksji, siedząc na krawędzi łóżka, mieć nadzieję, że rozkochała w sobie mężczyznę, który miał niejedną, lecz pewnie ze czterdzieści kochanek, a wszystkie znajdowały się w odległości kilkudziesięciu metrów — a jeszcze trzeba by do tego doliczyć jego żony. Przerzuciłam się z Patti Smith na Patty Hearst. Co zrobiłaby Patty Hearst? Zakochałaby się w Robinie, żeby tylko uratować się przed nudą i odrazą, przed obrzydzeniem do siebie i do wszystkich innych. Wpadłam w pułapkę.

Robin kształcił się w najlepszych szkołach w Anglii, był liczącą się postacią w sferach finansjery i polityki, był patologicznym narcyzem, wprawnym manipulatorem, seksoholikiem i mistrzem w kolekcjonowaniu kobiet. Nie miałam żadnych szans.

Myślałam jednak, że z pewnością nie spotkał dotąd kogoś takiego jak ja. Może ze mną będzie inaczej. Może właśnie ja go wreszcie uszczęśliwię. Może ja będę dzięki temu również szczęśliwa.

Podłączył aparat do monitora ustawionego na stoliku w kącie pokoju i zaczął pstrykać zdjęcia. Widziałam monitor

z łóżka, na którym leżałam. Pojawiłam się na ekranie jako pornograficzna parodia — dziewczynka z okrągłą buzią i pulchną dupcią w samych tylko pończochach.

— Spójrz na siebie. Jesteś doskonałością— mówił później, przeglądając kolejne ujęcia. — Nie wolno ci niczego w sobie zmieniać.

Byłam doskonałością. Rzuć mi jeszcze swój odlotowy beret, Patty — mogłabym krzyknąć. Odtąd będę go dumnie nosić.

Byliśmy już ubrani i gotowi wrócić na przyjęcie, kiedy Robin wręczył mi pudełko. Był w nim złoty naszyjnik z brylantem w kształcie serduszka. Pierwsza sztuka biżuterii, jaką mi podarował, nie tak ekskluzywna jak późniejsze oprawne w brylanty rolexy i kosztowności Bulgari, ale właśnie ta pozostała najbardziej intymnym i osobistym prezentem od niego.

Mocno zabiło mi wtedy serce. Zostałam jedną z tych dziewczyn, którym dane było otwierać szkatułki i odkrywać w nich skrzące się diamentowym blaskiem niespodzianki, jedną z tych dziewczyn, które podnosiły włosy, gdy na ich szyi zapinano kolbę.

Naszyjnik stanowił przypieczętowanie umowy. Kiedy wróciłam na swoje miejsce, Serena i Leanne nawet na mnie nie spojrzały. Mówiły półgłosem, lecz dosłyszałam słowo „tłusta”.

Potem doleciało mnie słowo „dziwka”. Byłam zmęczona, piekła mnie twarz od słońca.

Dopadły mnie, gdy miałam cienką skórę, więc łzy nabiegły mi do oczu. Nie chodziło tylko o Serenę i Leanne. Odzywały się lata dzieciństwa, kiedy uciekałam w czasie lunchu do pracowni plastycznej, żeby się ukryć przed takim właśnie okrucieństwem, przed gotowymi

do kąsania zębami, a zmieniło się tylko tyle, że tamte były za płotem aparatu dentystycznego. Moglibyście pomyśleć, że zdążyłam wyrobić w sobie odporność, tymczasem nigdy nie przyzwyczaiałam się do uządleń. Złość mnie ogarnęła na siebie za chwilę słabości — nie mogą zobaczyć, że płaczę.

Przez dźwięki muzyki przebił się głos Fiony. Odwróciłam się. Machała ręką, przyzywając mnie. Podeszłam tam i usiadłam, puste miejsce między nami czekało na Robina, który odbywał rundę wokół sali. Twarz mnie paliła, siłą woli powstrzymywałam łzy. Nie chciałam, żeby ktokolwiek zauważył, że wycieram oczy, więc pozwoliłam jednej potoczyć się po policzku i wytarłam ją ukradkiem, podnosząc do ust drinka.

Fiona nie komentowała moich łez ani tego, że przyszła mi na ratunek. Była niezwykła. Niczego nie robiła byle jak. Ja jestem z natury niechlujna. Zszyję jeden szew, za chwilę pęka drugi.

Potrzebowałam psychicznego wsparcia i Fiona mi je dała. Nie ufałam jej do końca, ale zaczynałam rozumieć jej strategię. Korzystny z jej punktu widzenia był sojusz z dziewczyną zasiadającą po lewej ręce Robina — w myśl przysłowia „ręka rękę myje, noga nogę wspiera”. Więc ode mnie oczekiwała, jak się domyślałam, że nie będę próbowała wysadzić jej z siodła. To mi odpowiadało. Jeżeli na tym polegało usytuowanie drugiej faworyty, wcale nie chciałam wiedzieć, jak to jest być Fioną.

Rozdział 14

Przez kolejne dwie noce byłam dziewczyną, która zniknęła z przyjęcia.

Na sygnał od Eddiego wyślizgiwałam się ukradkiem z sali i czekałam na Robina w sypialni. Ostatniej nocy przypomniało mi się z okresu szkolnego przyjęcie urodzinowe u dziewczyny, której nie znosiłam, chociaż w szkole cieszyła się wielką popularnością i dlatego niestety nie mogłam odrzucić zaproszenia, a matka nalegała nawet na nową sukienkę i nowe uczesanie. To była dziewczyna z rodziny tak bogatej i dużej, że jako jedną z atrakcji wymyślili wydmuchiwanie ze szklanej tuby banknotów dolarowych. Goście starali się zbierać ich jak najwięcej, a mieli na to trzydzieści sekund.

Przypomniało mi się to przyjęcie, bo z niego też się wymknęłam.

Czmychnęłam na spotkanie z chłopakiem, do którego popularności było mi daleko.

Szerszy w ramionach od rówieśników, atrakcyjny, znał jednak ciemną stronę życia. Miał podkrążone oczy, lekkie zażółcenie oliwkowej cery i nie-

odłączne opakowanie igieł insulinowych w plecaku. Nauczyciele trzymali w biurkach specjalne plastikowe misie z miodem dla diabetyków na wypadek, gdyby niebezpiecznie spadł mu poziom cukru.

Nie wiem, dlaczego Danny mnie akurat wybrał tego wieczoru spośród innych dziewcząt na przyjęciu. Dał mi sygnał skinieniem głowy i spotkaliśmy się na polu golfowym. Szliśmy blisko siebie, ja zdjęłam różowe atłasowe pantofelki i białe pończochy, żeby czuć pod stopami trawę. Trawnik lśnił fluorescencyjną zielenią, nocne powietrze było łagodne. Leżałam potem na jego marynarce, całowaliśmy się w osłoniętym drzewami miejscu i te pocałunki Danny'ego Rosena w wiosenną pełnię księżyca były przeżyciem nowym i słodkim.

Wymykanie się z imprezy księcia nie miało aż takiego posmaku nowości i świeżości, ale budziło we mnie zbliżone emocje. Bycie obiektem pożądania i przebywanie w tak dziwnym miejscu też miało w sobie coś z magii.

Wciąż miałam jednak bilet powrotny datowany na następny dzień. Ari powinna wrócić rano z Los Angeles, żeby wyprawić mnie i Destiny. Zastąpi nas nowa zwierzyna upolowana i przywieziona przez nią. Wyciągnęłam już swoją walizkę z szafy na dole i byłam prawie spakowana.

Na spotkaniu ze mną tej nocy Robin nie wspomniał ani słowem o moim jutrzejszym locie. Byłam rozczarowana, że rozstaje się ze mną z taką łatwością, ale próbowałam się pocieszać, wmawiając sobie, że summa summarum przeżyłam coś ciekawego. Nie dramatyzowałam; wiedziałam, że zafascynowanie Robinem mi przejdzie i pobyt w Brunei posłuży

do opowiadania barwnych historii. Mimo wszystko przynajmniej będzie o czym opowiadać.

Nie do pogardzenia miały być też pieniądze. Z plotek wiedziałam, że dostaje się je w kopercie, wręczanej „w prezencie”. Należy schować ją do torebki i otworzyć później. Dziewczyny zapewniały, że sumy są o wiele wyższe od przyrzeczonych. Książę w końcu nie zakochał się we mnie, trudno. Moje fantazje na temat noszenia tiary się rozwiały. Tak czy owak nie byłam wolna od zadowolenia, że wracam do domu do spraw, na których mi zależało: do przyjaciół, teatru, wielkiej miłości, jaką był Nowy Jork, po prostu do życia, które się dla mnie dopiero zaczynało.

Ja siedziałam na swoim fotelu, Fiona na swoim, a Robin krążył leniwie po sali z wódką z tonikiem w jednej ręce i niewidocznym berłem w drugiej. Fiona chętnie wdawała się ze mną w rozmowę i równie chętnie milczała. Nie wyczuwałam w niej fałszu jak w innych dziewczynach. Chyba że jej zakłamanie było wyjątkowo wyrafinowane, że aż niewykrywalne.

Staralam się zapamiętać twarze dziewcząt, sztukaterię w rogach sufitu, odwróconego plecami Robina. Wrzucałam te szczegóły do albumu w mojej pamięci, żebym mogła potem wyjąć je z niego i pokazać ludziom w Max Fish tuż przed zamknięciem knajpy. Widziałam, jak Eddie wyprowadza Destiny, żeby jej wręczyć słynną kopertę. Mrugnęła do mnie, gdy wróciła na salę. Patrzyłam, jak na pożegnanie rzuca się na szyję dziewczynom, mężczyznom, kelnerom, każdemu, kogo tu poznała. Wszyscy

ją lubili. Była naprawdę atrakcją ze swoimi wielkimi cyckami, szokującymi strojami i ciętym językiem.

— Była bardzo lubiana — zauważyła Fiona. — Na swoje nieszczęście. Popularność i sukces nie muszą chodzić w parze.

Szykowałam się, że za chwilę wezwie mnie Eddie, ale to się nie stało. Podzieliłam się zaniepokojeniem z Fioną.

— Ty nie wyjeżdżasz. Zrelaksuj się.

Po raz pierwszy usłyszałam, że w grę wchodzi taka możliwość. Nie uwierzyłam Fionie. Ona nie pociągała tu za sznurki. Nie o wszystkim wiedziała. Zanim powiedziałam jej, że prawdopodobnie jest w błędzie, usiadł między nami Robin. Noc miała się ku końcowi, a Eddie do mnie nie podszedł, nie zamienił ze mną słowa — ani Madge, ani nikt inny. Poddawałam się mimo woli panice. Dlaczego mi nie płacą? Czy zrobiłam coś złego? Wreszcie Fiona poruszyła temat, przewróciwszy z irytacją oczami.

— Ona się denerwuje, że musi wracać do domu. Na mój użytek odegrał wielkie zdziwienie.

— Nie chcesz wyjechać?

— Oczywiście, że nie chcę. Mam jednak bilet zabukowany na jutro.

— Zostajesz oczywiście. Odwrócił się do Fiony.

— Powinnaś jej powiedzieć.

— Powiedziałam.

To było wszystko. Usiadłam wygodniej, musiałam przemeblować sobie w głowie. Zostaję. Na jak długo? Nie mam więcej ubrań, w każdym zestawie pokazałam się przynajmniej

trzy razy. Mam co robić w domu. Właśnie, mam zrobić... co? Przebiegłam myślą listę. Przyjaciele zaczekają. Nowy Jork się nie przemieści. Sean miał mnie więcej niż dosyć. Rodzina i ja przeżywaliśmy ze sobą gorsze momenty; przetrwamy i to. Jeśli chodzi o moją karierę, kompletnie zabrakło mi argumentów. Pracowałam w teatrze z superludźmi, co nie znaczyło, że też jestem super. Do dorobku mogłam zaliczyć rolę w sztuce Penny — wciąż w fazie przygotowania — udział w trzech przedstawieniach studenckich, dwóch studenckich filmach i prawdopodobnie najgorszą życiową rolę w najgorszym filmie o wampirach, jaki kiedykolwiek powstał. Obiektywnie patrząc, to było nic. Nic poza wielkimi planami. Te mogły poczekać. Przeżywałam biegunowo różne emocje: byłam w euforii, a zarazem czułam się zdołowana. Unosiłam się i tonęłam.

Rozdział 1 5

Dnie mijały, z dwóch tygodni zrobiły się trzy, a przy naszym stoliku pojawiła się nowa kolekcja pięknych i nie mających o niczym pojęcia amerykańskich dziewczyn. Obok mnie zajmowała miejsce Taylor. Nie zdziwiło mnie, że wywalczyła sobie drogę do Brunei. Natarczywością, przymilaniem się, a najpewniej hipnozą wymusiła na Ari, żeby wysłała jej bilet. Taylor się niczego nie odmawiało. Witałam ją z lękiem, ale jej uraza do mnie rozplynęła się, gdy Taylor stanęła w obliczu wszystkich innych rywalek i wyzwania. Wróciłyśmy do dawnej przyjaźni.

Amerykanki i Europejki zajmowały teraz piąty i szósty pawilon. Większość Azjatek, z wyjątkiem Leanne i Fiony, mieszkała gdzie indziej, w czymś w rodzaju akademika. Mnie i Taylor przydzielono wspólny pokój w pawilonie szóstym. Po drugiej stronie holu był pokój Leanne, Serena dostała apartament. Ari również — w pawilonie piątym. Mniej znaczące osoby były niczym czwartorzędne aktorki w teatrze —

nie warto się było do nich przywiązywać, wymieniały się szybko. Wspomnę tylko blondwłosą Kimmee, siatkarkę, i Brittany, *groupie* z Los Angeles, która nosiła pierścionek, rzekomo zaręczynowy, od Vince'a Neila, i Suzy, antysemitkę, która zafundowała mi swego rodzaju wstrząs, bo po raz pierwszy w życiu usłyszałam czasownik utworzony od słowa „żyd”, gdy chwaliła się kolczykami, mówiąc: „wyzydziłam rabat na nie”.

Księżciu wolno było mieć cztery żony, a miał tylko trzy. Wobec tego w podtekście zaciętej rywalizacji między dziewczynami kryła się myśl o wielkiej nagrodzie, czyli ewentualnej koronie. To była gra o wysoką stawkę: przebij się przez wszelkie ograniczenia, przebij się przez niewidzialne hierarchie, rozbudź miłość, która pokonuje wszystkie przeszkody i przemienisz się z pasierbicy świata — tajskiej nastoletniej prostytutki, cali girl z pierwszymi zmarszczkami, pośledniej aktorki, wirtualnej gwiazdki rocka — w księżną. Z brzydkiego kaczątka w łabędzia.

Dziewczyny przyjeżdżały i odjeżdżały — wymieniające się twarze uwiecznione na komicznych zdjęciach pstrykanych w pawilonach, kiedy byłyśmy zbyt zalane i rozbawione, żeby pójść spać. (Wstydziłam się później tych zdjęć, bo jakaś idiotka sprzedała swoje telewizyjnemu programowi *El True Hollywood Story*). Niektóre dziewczyny przebywały tu miesiącami, godząc się na występowanie w roli ozdób kanapowych. Inne podrywały się z ławki rezerwowych i wchodziły do gry, kładąc na szalę wszystko. Każda się zmieniała pod wpływem sytuacyjnej presji, paranoi, niepewności podstępnie

wpełzających w psychikę, gdy porównujesz się noc w noc z salą pełną innych kobiet. Jaka się okażesz? Zabłyśniesz czy się załamiesz? Zostaniesz i przystąpisz do ataku czy uciekniesz?

Jednym z ulubionych tematów naszych rozmów było rozważanie, co powiedzieć rodzicom, kochankom, mężom. Kiedy widzi się nową gwiazdkę w filmie porno, człowiek zawsze zastanawia się, jak wytłumaczyła to swoim rodzicom.

Serena rodzicom powiedziała, że wyjechała z szefem. Facetowi, z którym mieszkała (rudzielcowi, który podwiózł ją na lotnisko, a przeniósł się z nią do Los Angeles z Kansas, choć nie był jej kochankiem, co podkreślała) mówiła, że wyjeżdża jako niania. Taylor, o ile dobrze wiedziałam, nie miała rodziców. Nigdy o nich ze mną nie rozmawiała ani do nich nie dzwoniła. Kiedy się poznałyśmy, zmyśliła jakąś dziwnie brzmiącą historię o plantacji brzoskwiń, więc już więcej nie pytałam. Nie chciałam prowokować jej do kłamstwa.

Sama zwlekałam z tym problemem zbyt długo i była najwyższa pora, żeby coś ujawnić rodzicom, jeśli nie chciałam dopuścić do międzynarodowego incydentu. Krótkie telefony niby to z singapurskiego planu zdjęciowego zaczęły wyraźnie wzbudzać ich podejrzliwość. Siadłam w swojej piżamce w kotki przy stoliku z telefonem w marmurowym holu, podniosłam słuchawkę, wybrałam numer.

Rozmowa szła ciężko, z przykrymi przerwami z powodu

złej jakości połączenia międzynarodowego, co przypominało o dzielącej nas odległości. Powiedziałam, że w trakcie kręcenia w Singapurze owego mitycznego filmu poznałam pewnego mężczyznę, że zaczęłam pracować jako jego asystentka, że ten mężczyzna to książę Brunei.

— Czego? — zapytał ojciec.

— Brunei.

— Brunei? Co to jest do cholery?

Mogłam wymyślić coś mniej jednoznacznego, nie podsuwając im historii z „asystentką”, bo to był kod łatwy do złamania. Warto jednak spleść kłamstwo z prawdą, żeby nie związało rąk jak chińska pułapka na palce.

Poszło gorzej, niż mogłam przypuszczać. Rodzice byli skonsternowani. W ich głosie wyczuwałam niepokój i bezradność, ojciec zaczął się jąkać z wściekłości, oddał słuchawkę matce, ta próbowała zorientować się, co się do cholery ze mną dzieje, ale jak zawsze doszukiwała się pozytywów — niepoprawna dyplomatka, nawet wbrew oczywistym faktom. Wyobraziłam sobie, że stoi z palcami zaciśniętymi na oparciu kuchennego krzesła, ze zbielejącymi kostkami; widziałam za jej plecami patelnię z bulgoczącym sosem pomidorowym.

— Kiedy wracasz?

— Nie wiem dokładnie. Za dwa tygodnie. Za trzy. Może to potrwa dłużej.

Poczucie winy dusiło mnie jak pętla na szyi. Czułam jego gorzki smak w gardle. Mdlilo mnie od tych kłamstw. Przykro nu, że nie jestem lepszą córką, chciałam powiedzieć.

Przykro mi, że nie byliście lepszymi rodzicami. Przykro mi, że was

ranie. Przepraszam za ten cały bałagan. Przepraszam, ale dalej będę robiła swoje. Mimo wszystkich zaszłości między nami wciąż czułam wewnętrzny przymus, żeby mówić „przepraszam”.

Miałam szesnaście lat, gdy podjęłam decyzję o opuszczeniu rodzicielskiego domu. Pamiętam, że to była sobota, bo w weekendy pracowałam jako babysitterka. Wybrałam kod na drzwiach garażowych i weszłam na dolny poziom. Matka, w dżinsach i młodzieżowym T-shircie, stała w oświetlonej gołą żarówką pralni przy desce do prasowania. Spojrzałam na jej zaciśnięte usta i wyprostowane ramiona. W pomieszczeniu śmierdziało parującą wilgocią. Głowę miałam zaprzątniętą lekturą szkolną, Holdenem Caulfieldem ukrywającym wyimaginowaną ranę, i rozważaniem, dlaczego kwiecień to najgorszy miesiąc — poważne, istotne sprawy. Przeszłam obok matki.

— Mogłabyś się przynajmniej przywitać.

— Cześć. — Szłam dalej, nie miałam czasu dla matki, chociaż zawsze miałam go mnóstwo dla ojca, tak jak on dla mnie, i każdego dnia wymyślałam nowy manewr w naszej nieustannie toczącej się wojnie. Matka poczuła się dotknięta. Moje burknięcie uznała za zniewagę.

— Spójrz na mnie — zażądała. — Co robiłaś?

— Prowadziłam po pijanemu.

— Nie rozmawiaj ze mną w taki sposób.

— Niby w jaki?

Ojciec był w połowie schodów; rozpoznałam jego ciężkie stąpanie nad naszymi głowami. Matka przerwała prasowanie i prowokująco stanęła mi na drodze. Chciałam ją wyminąć, ale chwyciła mnie za nadgarstek.

— Nie odchodź. Spójrz na mnie. Brałaś coś?

To było jej ulubione pytanie. Zasiadała w najróżniejszych komitetach: edukacja antynarkotykowa, problem gwałtów na randce, organizowanie cichych aukcji na rzecz szkoły i tak dalej. Na skutek udzielania się w Komitecie profilaktyki antynarkotykowej wpadła w paranoję. Prawda była taka, że rzadko się odurzałam, a tamtego wieczoru niczego nie brałam, chyba że potraktować poważnie wążanie azotanów z puszek z bitą śmietaną.

— Odczep się ode mnie! — wyszarpałam rękę.

Ojciec stał już przy drzwiach. Gdy wyrywałam rękę z chwytu matki, wydawało mu się, że chce ją uderzyć.

Potrafił się poruszać z niewiarygodną szybkością. Był niewysokim mężczyzną, wyglądał jak Humpty Dumpty, ale gdy popadał w furję, zaprzeczał prawom fizyki. Oczy nabiegły mu krwią i niemal wyskakiwały z orbit. Na szyi wystąpiły mu żyły absolutnie nienaturalnej grubości, a naczynka włoskowate na nosie i policzkach pociemniały z wysiłku, walcząc o przyjęcie gwałtownego napływu krwi do twarzy. Był tak szybki, że dosłownie nie wiedziałam, kiedy znalazł się przy mnie.

- Nigdy, ale to nigdy nie podnoś ręki na matkę.

Zacisnął mi rękę na gardle i pchnął z całej siły na ścianę. Bezwstydna! Wstrętna!

Niewdzięczna mała suka!

Każdej inwektywie towarzyszyło szarpnięcie mnie za gardło i ponowne walnięcie moją głową o ścianę. Kiedy przestał, skuliłam się na podłodze, podciągając kolana pod brodę. Nazywałam to manewrem obywatelskiego nieposłuszeństwa. Zamykałam oczy i zwijałam się w jak najmniejszą kulkę. Nie odsłaniałam słabych miejsc.

— Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię.

Chodził wte i wewte przede mną, zaciskając i rozwierając pięści. Bicie porównywałam ze słowami. Zdarzało się nieczęsto, za to słowa padały codziennie. Wiedziałam, że nie ma racji, że zachowuje się w sposób niewybaczalny. Najgorsze były jednak słowa. Trochę się zacinał, gdy wyrzucał je z siebie. Chaotyczny słowotok i piana dosłownie tocząca się z ust.

— Jesteś świnią ubrana jak pieprzony flejtuch robisz z siebie straszidło wyglądasz jak brzydka lezba tak chcesz się podobać ludziom znaleźć porządnego chłopaka nie znajdziesz wstydzimy się ciebie jesteś zero cholerne rozczarowanie śmieć pieprzony śmieć a nie człowiek co się z tobą stało co się stało co takiego zrobiłem nie zasługuję na to wszystko na takie gówniane życie takie pieprzone dzieci to żart a ty to czysta drwina ze mnie.

Byłam oswojona z napadami wściekłości ojca i wiedziałam, jak je skrócić. Wiedziałam, że przez minutę będzie jeszcze gorzej i wkrótce po wszystkim. Sprowokowałam go.

— A ty tylko to potrafisz?

— Jak się odzywasz do mnie w moim własnym domu? Chwycił mnie za włosy i odciągnął spod ściany.

— Brałaś?

Wyłączyłam się. Rozluźniłam mięśnie i wywróciłam do góry gałkami oczu, udając martwą. Usiadł okrakiem na mojej klatce piersiowej i bił mnie po twarzy na zmianę to otwartą dłonią, to paskudniej wierzchem dłoni. Przy każdym wymierzonym policzku pytał: „Brałaś?”.

Rozdzwoniło mi się w uszach i ten dźwięk był jak nić. Schwyciłam jej koniec i podciągnęłam się w górę pod sam sufit, lekka jak piórko, i wypłynęłam w ciemnozieloną podmiejską noc pachnącą przystrzyżoną trawą i rozbrzmiewającą bzykaniem świerszczy, rozjaśnioną przenikającymi zza zasłon światłami i mruganiem telewizorów z salonów. Płynęłam nad West Orange i Newark, wzdłuż Parkway i nad Hudsonem i nie spojrzałam w dół, póki zza linii horyzontu nie wyłonił się Nowy Jork, moje Szmaragdowe Miasto, z iglicami zalanyymi światłem księżyca. Wiedziałam coś ważnego o Nowym Jorku. Wiedziałam, że tam nie będę brzydka.

Matka stała przy wejściu na schody ze zwieszonymi rękami. Wyglądała jak postać z filmu, która zastygła na moment w bezruchu, podczas gdy pozostali bohaterowie są w akcji. Akcja trwała widać za długo, bo matka zaczęła krzyczeć. — Dość. Proszę. Dość. Nie byłam pewna, czy woła do ojca, czy do mnie, czy do Boga. Ojciec wstał, cofnął się kilka kroków, wyglądał na zażenowanego i zrezygnowanego. Odgadywałam, co w takiej chwili może myśleć: iż jego życie daleko odbiega od tego, na co miał nadzieję, do czego dążył, o czym marzył, kiedy pragnął mieć rodzinę. I że jest innym człowiekiem, niż sobie wyobrażał. Było mi go żal.

Te dzieci są moim przekleństwem — powiedział i wyszedł garażowymi drzwiami. Kiedy tracił panowanie nad sobą jak wtedy, to po kilku godzinach — w najgorszym wypadku następnego dnia — zupełnie inna osoba pukała z zakłopotaniem do moich drzwi, pytając, czy nie zejdę na dół posłuchać muzyki przy kominku albo czy nie mam ochoty pójść na lody do Baskin-Robbins i wypożyczyć przy okazji film.

— Łatwo wpadam w złość — lubił mówić o sobie. — Ale mi szybko przechodzi. — Jakby krótkim biciem można było zastąpić długą, poważną rozmowę.

Po tamtej nocy powiedziałam matce, że opuszczam dom. A ona, ta sama kobieta, która wysyłała paczki na obozy letnie w ramach akcji charytatywnych, z radością podwoziła do szkoły cudze dzieci, była prezesem komitetu rodzicielskiego i niezmordowaną wolontariuszką, która skrupulatnie pisała listy z podziękowaniami, wydawała wykwintne przyjęcia, opiekowała się chorymi w rodzinie i wśród przyjaciół — ona powiedziała, że to dobry pomysł. Zasugerowała, żebym przystąpiła do egzaminu GED1 i ubiegała się o przyjęcie na studia rok wcześniej.

Dostałam się na Uniwersytet Nowojorski i matka zabrała mnie do Loehmann's, żebym obkupiła się przed rozpoczęciem roku akademickiego. Zawsze podczas zakupów wykazywała hojność aż do przesady. Później często ponosiła tego konsekwencje, kiedy przychodził rachunek i ojciec ciskał gromy, złościąc się na jej bez troskę i bezużyteczność. Nie potrafi

1GED — państwowy egzamin „maturalny” dla np. tych, którzy muszą skończyć wcześniej liceum, dający certyfikat uprawniający do dalszej edukacji.

nawet sprzątać domu, narzekał. Dobra jest tylko w wydawaniu pieniędzy w marketach. Takie zarzuty pod adresem matki formułował za każdym razem, gdy przychodził rachunek, ale ona mimo to biegła po sklepach.

— Musisz zrozumieć mężczyzn — mówiła mi. — Trzeba pozwolić im się wykrzyczeć, a potem robić swoje.

Matka chciała iść do Loehmann's, a ja do jedyne go w całym New Jersey sklepu z punkowymi ciuchami, ostatecznie zgodziłyśmy się na kompromis. W Loehmann's ja przeżyłam wstrząs, zmuszona patrzeć w przebieralni na potężne uda żydowskich dystyngowanych dam, ona w punkowym butikku z przerażeniem patrzyła na ekspedientkę, która z każdej strony irokeza miała wytatuowaną swastykę. Mimo wszystko byłyśmy dla siebie miłe tego dnia.

— Z taką okrągłą twarzą nie powinna się strzyc w ten sposób — skomentowała matka wygląd sprzedawczyni i to wszystko.

Zjadłyśmy razem lunch, ale nie pamiętam, o czym rozmawiałyśmy. Cieszył mnie sam uroczy rytuał wędrówki po sklepach przed opuszczeniem domu na dobre. Jakbym była zwyczajną dziewczyną wyjeżdżającą z domu do college'u. I w pewnym sensie tak było. Dwie rzeczywistości istniały równolegle. W jednej żyła nastoletnia anorektyczka na granicy załamania nerwowego, ukrywająca się za burzą czerwonych włosów i ratująca się ucieczką z domu, w drugiej nad wiek intelektualnie rozwinięta dziewczyna z ambicjami artystycznymi, która dostała się na dobre studia i miała całą listę marzeń i planów, spisanych na dziesięciu stronach pamiętnika.

W równoległych rzeczywistościach żyły również dwie matki. Matka, która zamglonymi oczami patrzyła tępo w przestrzeń, stojąc ze zwieszonymi rękami, gdy mąż poniżał jej dzieci, i matka, która z oddaniem przyszywała monogramy do każdej części odzieży, jaką córka miała zabrać do college'u. Tego dnia w Brunei słyszałam po drugiej stronie linii telefonicznej obydwie matki jednocześnie.

— Zapytaj ją, czy wybiera się z nami na Kajmany w tym roku — usłyszałam w tle głos ojca.

— Kochanie, czy zdążysz wrócić, żeby pojechać z nami na Kajmany? Bylibyśmy szczęśliwi, gdyby ci się udało — mówiła matka obsadzona w roli tłumacza.

— Nie, mamó, nie sądzę.

— Co ona mówi? — pytał ojciec matkę.

— Że nie. Powiedziała nie. Nie może pojechać z nami w tym roku.

— Co? Jestem skazany na jej brata? Powiedz jej, że rujnuje mi wakacje.

Matka „nie przetłumaczyła” pretensji w tle. Zamiast tego zapytała:

— Czy naprawdę u ciebie wszystko w porządku?

— Jest wspaniale. To poważna praca. Nie mogę przepuścić takiej okazji.

Gdy się rozłączyłam, poczułam ulgę, że powiedziałam im coś bliskiego prawdy, i jednocześnie ulgę, że przez jakiś czas nie będę ich widywać. Nikt nie czekał w kolejce do telefonu,

więc zadzwoniłam do Seana. Wybierałam numer i płakałam. Tęskniłam za domem. Odwróciłam się i popatrzyłam w lustro na swoją pobladłą i rozmazaną twarz. Gdy nikt nie widział, lubiłam patrzeć na siebie lejącą łzy. Jakbym obserwowała kogoś innego.

Znajdowałam potwierdzenie, że jeszcze coś czuję. Przez większość czasu odgrywałam jakieś role i w końcu nie wiedziałam, czy są we mnie jakiegokolwiek uczucia, czy w ogóle kiedykolwiek przeżywałam coś naprawdę.

— Więc wróć do domu, Jill. Po prostu wróć do domu — powiedział zmęczonym głosem. Był mną zmęczony. Po chwili zapewniał, że nie jest mną zmęczony, tylko zmartwiony, niepokoi się tym, co z siebie robię i że nie potrafi zawrócić mnie z tej drogi.

— Nie mogę wracać.

— Nie umiem ci pomóc.

Zadzwoniłam do Penny i dowiedziałam się, że wprawdzie sztuka ma się ku końcowi beze mnie, ale zawsze będę miała co robić w teatrze. Napiszemy wspólnie coś nowego, kiedy wrócę. Tyle że ja nie wiedziałam, kiedy to nastąpi. Było mi przykro, że nie uśmierzyłam niepokoju matki, że nie wracam do Seana i nie zacznę pisać z Penny nowej sztuki, ale musiałam zostać i powodów nikomu z nich nie byłabym w stanie wyjaśnić. Po prostu nie mogłam stąd odejść. Nie mogłam wyjechać i pozwolić Serenie zwyciężyć. Nie chciałam się poddać tak łatwo.

Na przyjęciach promieniałam uśmiechem, lecz po powrocie do pawilonu robiłam się ponura, dręczyła mnie nostalgia.

Serena była konsekwentna. Odsyłała jedzenie, zanim rano zesłam na dół. Organizowała koktajle przy basenie i zawsze zapominała mnie zaprosić. Oglądając w salonie przez ścianę film, włączała telewizor na cały regulator, żebym nie mogła się zdrzemnąć.

Dziewczynom mówiła, że śmierdę, że jestem prostytutką i mam opryszczkę, nazywała mnie pijaczką, grubasem, bulimiczką i flejtuchem. Wszystko, co mówiła, trafiało do uszu odpowiednich służb, które nas podsłuchiwały i obserwowały, więc nic dziwnego, że w następstwie plotki o opryszczce zostałam nieoczekiwanie zawieziona do lekarza.

O knowaniach Sereny wiedziałam od Taylor, która mnie na bieżąco o wszystkim informowała, dlatego że sama nienawidziła Sereny, a być może dlatego, że byłam jej jedyną przyjaciółką w Brunei czy również jedyną w Nowym Jorku, może w ogóle jedyną, którą miała, chociaż to jej nie przeszkadzało domagać się w dalszym ciągu prowizji ode mnie. Leżałyśmy razem na łóżku, patrząc na podświetlony schodkowy sufit. Miało się wrażenie, że tam jest salon do góry nogami.

Taylor szeptała mi do ucha przy włączonej muzyce, żeby nikt nas nie usłyszał. Nakłaniała mnie do zemsty na Serenie.

— Musisz wziąć odwet.

— Nikt mnie nie będzie słuchał, nadstawiają uszu, gdy ona plotkuje.

— Robin cię słucha. Myślisz, że z jakiego innego powodu ona ci bruździ.

Zaczynałam wierzyć, że w jakiś sposób budziłam w ludziach pierwotny instynkt plemienny, nakazujący wykluczanie osoby postrzeganej jako obca.

— Nie o to chodzi, że jesteś odmieńcem, groszku — mówiła Taylor. — Przestań się bawić w psychologię i rozstań się z negatywną koncepcją własnej osoby. To dzieje się dlatego, że jesteś lepsza. Dlatego, że on woli ciebie. Niestety ta suka może mu zamącić w głowie, jeżeli nie wkroczysz i nie będziesz bronić swojej pozycji.

Nie mogłam sobie przypomnieć, żebym kiedykolwiek szukała na kimś zemsty.

Przeciwnie, wycofywałam się w siebie i uciekałam. Czepiałam się myśli o gwiazdorstwie i uważałam, że to ma być mój sposób na odwet. Taylor obstawała przy szybkim załatwieniu sprawy i pod jej wpływem zaczynałam się nad tym zastanawiać. W końcu jestem to sobie winna, pomyślałam.

Powiedzcie, jak trzeba się zachowywać, znalazłszy się nieoczekiwanie na dworze królewskim? Należy knować. Spiskować. Zaciekle walczyć o pierwsze miejsce. Mścić się. Czy nie tak powinnam postępować? Czy warto być prostoduszną dziewczyną, której każdy wchodzi na głowę, dziewczyną nieuchronnie rzadziej widywaną na wizji, ponieważ są inne o wiele bardziej interesujące?

— Musisz się bronić. Powiedz mu o niej coś takiego, żeby migiem odesłał ją do domu — podpowiadała Taylor, z roztargnienia zawijając na palcu pasemko moich, a nie swoich włosów.

Jest sprytny. Przejrzy mnie na wylot. Niekoniecznie. Też bądź sprytna. Sprytniejsza.

Potrafisz, wiesz o tym. On ma słabą stronę. Rozbuchane ego.

Pobyt Taylor w Brunei skończył się ku mojemu rozczaro-

waniu szybko, kładąc kres układaniu planów spiskowych, została odesłana do domu po trzech tygodniach i nie proszono, by wróciła. Robin i Taylor nie przystawali do siebie. Taylor potrafiła na swój sposób olśniewać, ale przy swoim wyrachowaniu nie odślaniała czy nie miała czułych miejsc. W zasadzie była do niego podobna i natychmiast ją rozgryzł. Lubił dziewczyny poddające się jego urokowi, takie łatwo mógł zranić. Taylor nie brakowało talentu aktorskiego, lecz siebie nie mogła przeskoczyć. Nie potrafiła wejść w rolę istoty bezbronnej. W każdym razie w Brunei pozostała wystarczająco długo, żeby zasiać we mnie twarde, zimne ziarno złych emocji.

Zasiane przez Taylor ziarno podlała Fiona. Popołudniami uciekałam do jej pawilonu na papierosa i czekoladki. Ona jedna miała na terenie posiadłości dom tylko do swojej dyspozycji. Spała w apartamencie, a dwie sypialnie w całości przeznaczyła na garderoby. Kazała wynieść łóżka i zainstalować szafy na ubrania. Kostiumy, suknie, ubrania do tenisa i po domu, a nawet piżamy wisiały posegregowane według rodzajów i kolorów. Oczywiście sama tego nie robiła, wydawała obsłudze polecenia z poczuciem, że ma do tego pełny tytuł.

Miała w swoim pawilonie więcej służby niż my w dwóch naszych i te dziewczyny cały czas się uwijały przy różnych zajęciach. Fiona porozumiewała się z nimi wyłącznie w języku tajskim i wydawało się, że jest przez nie lubiana. Ja wobec służby przyjmowałam postawę przepraszającą. Jak widać, miałam się czego uczyć.

Fiona była popularną aktorką telewizji filipińskiej. Zwierzyła mi się, że Robin zakochał się w niej, oglądając jej występ, dotarł potem do niej i zaprosił do Brunei. Najpierw ją zaintrygował, potem wzbudził niechęć, wreszcie ją zdobył. Pierwszej nocy w Brunei przyszła na party, by po chwili wyjść. Robin odpowiedział na to przysłaniem kosztownego prezentu. Fiona wyciągnęła naszyjnik z szuflady pełnej pudełeczek z biżuterią i przymierzyła go dla mnie. Wyobrażał pumę z pyskiem zaciśniętym na własnym ogonie. Owinięta wokół szyi Fiony wyglądała jak dzika kotka w niewoli, pozbawiona pazurów. Fiona była w Brunei od sześciu miesięcy.

Piliśmy herbatę w salonie, Fiona spoczywała w pozycji półleżącej na sofie i paliła papierosa za papierosem. Nigdzie nie wolno było palić, Robin tego nie tolerował, ale ona nie przestrzegła zakazu.

Pożaliłam się jej i rozbeczałam tak, że aż się zasmarkałam. Skarżyłam się na podłość dziewczyn. Na brak Taylor. Tęsknotę za Nowym Jorkiem i za Seanem. Narastał we mnie niepokój, zbyt często miewałam ciężkie kace, budziłam się z poczuciem, że czarna chmura wisi nad moją głową i nie chce się rozpuścić.

— Nie jestem w stanie znosić dłużej tych podłych suk. Nie wytrzymuję tego wszystkiego.

— Nie bądź głupia. Czy przyjechałaś tutaj szukać przyjaciół? — spytała. — Błędne założenie. Ja też nie jestem twoją przyjaciółką. Robin nie jest przyjacielem. A te kretyнки już z całą pewnością nie. Twoim przyjacielem są pieniądze.

Chciałam być jak Fiona. Jako piętnastolatka uważałam, że jestem dorosła. Teraz zmieniłam zdanie.

Głowa do góry, dopadniesz je. Nie brakuje mi pomysłów, jak im dać nauczkę — powiedziała. — I te pomysły wiążą się z zakupami.

Wkrótce potem usłyszałam rano alarmujące, ale już znane pukanie do drzwi, więc szybko zeszłam na dół i zdumiałam się, widząc w aucie Fionę.

— Jedziemy na zakupy — oznajmiła. — Robin lubi nas oglądać w tradycyjnych strojach. Nie martw się, normalne ciuchy kupimy później. Na razie coś na przystawkę.

Kierowca zrobił objazd tradycyjnych malajskich sklepów, a w każdym po kolei kobiety z wyrazistym makijażem i we wzorzystych jedwabiach z zapalem nas obsługiwały, przebierając w jaskrawe sarongi — kebaja i baju kurong — z dobranymi do nich sandałkami, chustami i biżuterią. Kupiliśmy chyba po dziesięć takich zestawów każda.

Kierowca wyłuskiwał banknot za banknotem i zanosił torby z zakupami do samochodu. Tej nocy Robin robił mnie i Fionie zdjęcia portretowe przy fontannie w holu głównego pałacu. Owinięta byłam w tradycyjny jedwabny sarong, naszywany koralikami, we włosy miałam wpięty lśniący, różowy sztuczny kwiat. Większość zdjęć pstrykał każdej z nas z osobna, ale na niektórych siedzimy obok siebie, trzymając się za ręce, upozowane jak do zdjęcia ślubnego.

Fiona stała się dla mnie kimś więcej niż przyjaciółką; myślałam o niej jak o starszej siostrze, może nawet z nutą

erotyzmu. Zawsze pragnęłam mieć siostrę. Tamtej nocy miałam wrażenie, że wspinając się coraz wyżej w hierachii haremu, staję się uczestniczką misterium przenoszącego mnie w dawne czasy. Ten świat, w którym pozostający zagadką mężczyzna sprawował nad nami kontrolę, był po części zdradliwy i straszny, a po części wcale nie taki zły.

*

Następna nasza wyprawa na zakupy wyglądała zupełnie inaczej.

Z tylnego siedzenia kolejnego mercedesa, którym dojechałyśmy na lotnisko w Bandar Seri Begawan, przeskoczyłyśmy na pokład prywatnego samolotu i poleciałyśmy do Singapuru. Wnętrze było luksusowe — biała skóra, złote okucia i ściany imitujące marmur ze złotymi żyłkami. Szykowne stewardesy podawały drinki i lunch, a potem rozłożyły magazyny mody.

— Dziękuję, Siti. Dziękuję, Jing — zegnała Fiona uśmiechnięte dziewczyny, gdy wychodziłyśmy z samolotu. Dbała o to, by poznawać imiona i żadne nie ulatywało jej z pamięci. Przez lotnisko szła zdecydowanie, jakby do wytyczonego celu, ale nie przyspieszała kroku. Nosila buty na wysokich obcasach, dzięki czemu wprawiała biodra w lekkie kołysanie — nie było w złym guście, lecz miało wystarczającą siłę przyciągania, by wodziły za nią męskie oczy. Staralam się naśladować jej chód, gdy szłyśmy do czekającego samochodu i potem, gdy wchodziłyśmy do Hiltona, gdzie miałyśmy się zatrzymać w prywatnym apartamencie księcia. Zajmował całe piętro, miał własną obsługę, właściwie to była raczej willa

niż apartament w hotelu. Wnętrze w typowym dla Robina stylu: fontanna w holu i złote gałki w drzwiach.

Tiona, kobieta z klasą, pasowała tuja czułam się jak pijana w sztok Courtney Love w pałacu Buckingham. Skoro jednak miałam mieć w perspektywie do swojej dyspozycji stewardesy i pilotów, i kierowców, i służące, postanowiłam być tego godną. Zaczęłam od świadomego oczyszczenia mowy z wyrazów „pieprzyć” i „fajny”, które wtykałam do każdego zdania. Naśladowanie brytyjskiego akcentu Fiony było zbyt ambitne, ale starałam się zgrać tempo moich sylab z jej poprawną dykcją. Próbowalam pozbyć się resztek twardej wymowy typowej dla Jersey, nie wytępionej do końca w toku nauki aktorstwa, i nadać głosowi jedwabistość jej kontrami.

Obserwowałam ją przy stole wyprostowaną jak trzcina, a jednocześnie swobodną. Zaczęłam trzymać widelec w lewej ręce i odkrajać nożem małe kawałki kurczaka, uczyłam się przeżuwać z zamkniętymi ustami, nie przerywając rozmowy. Traktowałam to jak ćwiczenia aktorskie. Rzeczywiście uczyłam się nowej roli, tym razem takiej, z której się łatwo nie wychodzi. Kiedy stałam na balkonie w Singapurze, czułam, że dokonuje się we mnie wielka przemiana. Nie myliłam się.

Noc spędziłyśmy w hotelu, rano zamówiłyśmy na śniadanie jajka na bekonie. Fiona zachowywała się przy stole jak dama, ale nie skubała jedzenia. Nie przejmowała się dietą. — Sama zauważysz, że Robin nie trzyma przy sobie długo chudych dziewcząt — powiedziała. — No więc powiedz, czy można się oprzeć takiemu mężczyźnie? Czysta prawda. Która kobieta nie lubi mężczyzny lubiącego

pulchne babki? Odsunęłam na talerzu bekon, ale beztrąsko sięgnęłam po więcej jajek. Czuję ulgę.

Rozmawiałyśmy o tym, jak wygląda nasze życie, gdy jesteśmy u siebie. Ona wcześniej zdołała kupić sobie i rodzicom domy w mieście z zarobków aktorskich. Ostatnio swój dom podarowała siostrze, a dla siebie kupiła następny za pieniądze zarobione u Robina, a raczej za jego „prezenty”.

Próbowałam jej wyjaśnić, co to jest teatr eksperymentalny, lecz jej mina świadczyła o tym, że uważa to za najgłupszą rzecz pod słońcem.

— To jest rzeczywiście sztuka — skomentowała jednak uprzejmie.

Domyślałam się, że jeżeli nawet Fiona nie uważa mnie za jakąś rewelację, to przynajmniej za osobę zabawną, jeżeli nie za równą sobie, to przynajmniej taką, z którą można się zakolegować. Zaświtało mi nagle w głowie, że po drabinie wspinałam się szybko nie dzięki temu, że Robin zakochał się we mnie po uszy, chociaż zdawał się rzeczywiście coraz bardziej mnie lubić, awans zawdzięczałam Fionie, która szukała przyjaciółki. To Fiona mnie wybrała i nakierowała jego uwagę na mnie.

— Powiedziałam Robinowi, że tym razem jadę na zakupy z tobą. — Przypominała mi, kto tutaj kontroluje sytuację.

*

Po śniadaniu wyruszyłyśmy oddzielnie, każda z innym kierowcą. Myślałam, że pojedziemy razem i wyraziłam zdziwienie, na co Fiona mnie zbyła, mówiąc, że nie będzie miejsca

dla nas obydwu w tym samym sklepie, co wydało mi się śmieszne. Obok kierowcy siedział ochroniarz z neseserem Louis Vuitton wypchanym banknotami niczym groteskowy gangster z niemego filmu z pełnym workiem po skoku na bank.

Zapytał mnie, gdzie chcę jechać, i dodał, że zna adresy wszystkich magazynów w Singapurze, tak że mogę dowolnie wybierać. Wymieniłam nazwę domu mody, jaki pierwszy przyszedł mi do głowy: Dolce & Gabbana. Załatwione.

Singapur robił wrażenie srebrzystego miasta z science fiction, nakrytego kopułą wdmuchującą tlen. Podobnie jak sam mikrokosmos metropolii, również centra handlowe epatowały nowoczesnością. Weszliśmy do pierwszego, wewnątrz lśniło bielą, a pasaż z butikami ciągnął się spiralnie w górę niczym galeria w Muzeum Guggenheima. Ostrożnie dotykałam palcami ubrań, otwierając oczy na widok licznych zer przy cenach.

Ekspedientka nie odstępowała mnie i ściągała z wieszaka każdą rzecz, której dotknęłam.

Gdy miała pełne ramiona ubrań, podawała je innej dziewczynie, a ta biegła z nimi do przebieralni. Działy jak brygada podająca z rąk do rąk kubły wody przy pożarze.

Kiedy weszłam, żeby przymierzyć ubrania, zaskoczyło mnie inne niż w Urban Outfitters zachowanie singapurskich ekspedientek. We trzy wtłoczyły się ze mną do kabiny i praktycznie zdjęły ze mnie ubranie.

Zaczełam, nie spiesząc się, każdą rzecz przymierzałam dwa razy, pytałam asystujące mi dziewczyny o ich opinię. Cmokały, wyglądały tkaninę i aprobująco kiwały głowami.

Marszczyłam czoło i obracałam się przed lustrem, póki ochroniarz nie stracił cierpliwości i nie ujął mnie za ramię.

— To dopiero pierwszy sklep — rzekł.

Wziął z ławki odłożoną suknię, zdjął trzy inne z wieszaka i podał wszystkie ekspedientce, coś jej wyjaśniając po malajsku. Poszła z nimi do lady.

— Bierz wszystkie. Takie zakupy robisz pierwszy i ostatni raz w życiu.

Zdjął jeszcze damską torebkę z podświetlonej szklanej półki i podał ją drugiej ekspedientce.

— Ile mogę wydać? — Nie chciałam przekroczyć limitu wydatków i wylądować z kupą ciuchów, którymi niekoniecznie byłam zachwycona, tym bardziej że miały to być zakupy życia.

— Bierzemy to i idziemy dalej. Powiem ci, kiedy zaczniesz się zbliżać do limitu.

Chanel, Hermes, Versace, Dior, Armani, Gucci. Wyeksploatowaliśmy możliwości pierwszego centrum i przejechaliśmy do następnego i jeszcze do kolejnego, aż wreszcie wszystkie rzeczy, nawet te najdroższe — a może szczególnie te najdroższe — zaczęły wyglądać tandetnie i mdło się od nich robiło. Nawet nie zabieraliśmy ze sobą toreb i pudeł, od razu były wysyłane na adres. To było jakieś szaleństwo. Czulałam się jak matka z jakiegoś zadupia, na której los padła wygrana w karnawałowej loterii, więc mając dziesięć minut na darmowe zakupy w jednym z dziecięcych sklepów sieci Toys "R" Us, biega między półkami, wrzucając do wózka wszystko jak leci.

Byłam świadoma, że to obrzydliwy konsumpcjonizm. A co

ze zmuszanymi do niewolniczej pracy ośmioletnimi dziećmi w Chinach, które zszywały te ciuchy, wycenione potem absurdalnie wysoko? Co z głodującymi na świecie? Bezdomnymi? Z krajami nękanymi nędzą i głodem? I ulicami w Nowym Jorku, których chodniki zamienione zostały w obozowiska z tektury?

Powiedziałam sobie tak: To nie ja wydaję te pieniądze, tylko Robin, a on nie chce wydawać ich na bezdomnych, tylko na swoje kochanki, i nawet jeżeli nie kupię jakiejś sukienki, nikomu przez to nie pomogę, żadna zniewolona szwaczka nie zachłyśnie się dzięki temu wolnością choćby na sekundę. I w ogóle głupotą jest udawanie, że serce jakiegokolwiek burżuja potrafi krwawić. Nie kupować sukienki, bo ludzie głodują? Samo poczucie winy wywoływało zakłopotanie, zupełnie jak eksperymentalny teatr. Fiona by mnie wydrwiła. Uznałaby to za niewybaczalną głupotę. Rozgrzeszyłam się ostatecznie argumentem, że Robin uprawia działalność charytatywną. W końcu każdy obywatel Brunei ma zapewnioną bezpłatną służbę zdrowia i bezpłatną edukację. Więc cóż złego w tym, że książę chce, by jego kochanki pięknie wyglądały?

Sklepy zamykano o godzinie dziewiątej wieczorem, ale ochrona otwierała drzwi przed nami, a ekspedientki zostawały dłużej. Kontynuowaliśmy zakupy, niemal biegiem przemierzając butik, w których światła już przygaszono, a ja nie zważałam na bolące w podbiciu stopy. Rzucałam na ladę suknie od Chanel, w ogóle ich nie przymierzając. Uznałam, że będę kupować aż do wyczerpania limitu na stroje, niestety

zderzyłam się ze ścianą — dopadło mnie skrajne zmęczenie i musiałam się poddać. Do hotelu wróciliśmy krótko przed północą. Chodziłam po sklepach od jedenastej rano.

— Jaki był mój limit? — zapytałam ochroniarza jeszcze w samochodzie. Nie mogłam uwierzyć, że go nie przekroczyłam. A bardzo się starałam.

— Nie było żadnego — usłyszałam. — Dla niektórych dziewcząt nie ma limitu. Tylko dla nielicznych.

— Wobec tego, powiedz chociaż, ile wydałam.

Podał mi taką sumę, że mnie zamurowało. Przekraczała znacznie wysokość zaliczki na dom, w którym obecnie mieszkam. Poczułam odurzenie.

Kolację zjadłyśmy w milczeniu. Byłam odwodniona i żułam spaghetti jak gumę.

Natychmiast poszłyśmy spać, obydwie zmęczone. Piętnaście identycznych waliz stało w moim pokoju pod ścianą. Znajdowały się w nich starannie poskładane moje nowe ubrania. Położyłam się do łóżka i podkuliłam kolana pod brodę, wbijając je jak najmocniej w klatkę piersiową, jakbym dzięki temu mogła wyrzygać obrzydzenie, które do siebie czułam.

Rozdział 16

Lustro u mnie w łazience zaczęło odstawać od ściany, nie więcej niż o włos, ale to wystarczyło, żebym mogła dostrzec czerwone światełko włączające się tam od czasu do czasu w ciemności. Ściągnęłam dziewczyny do sypialni, żeby to potwierdziły. Jedno było pewne: światełko czasem mrugało.

Nie było nowością, że jesteśmy obserwowane, ale po tym odkryciu można było wpaść w paranoję. Kto podglądał? W jakim celu? Po wyjeździe Taylor pozwolono mi wprawdzie zatrzymać pokój tylko dla siebie, ponieważ miałam tyle ubrań, że potrzebowałam dodatkowej przestrzeni w szafach, ale nigdy nie miałam wrażenia, że jestem w nim naprawdę sama. To było jak groszek pod materacem — źle się z tym czułam, ale nie na tyle, żebym potrafiła sobie wyjaśnić, dlaczego aż tak mi uwiera.

Prywatność, jak czytałam, to przywilej. Wyrastałam w uprzywilejowanych warunkach, ale prywatności nie miałam za grosz. Ojciec zabrał klucze od naszych pokoi. Matka

czytała mój pamiętnik i mówiła potem, że wypadł z szuflady podczas sprzątania. Nigdy nie uważałam za rzecz oczywistą, iż w moim nowojorskim mieszkaniu nikt nie otwiera drzwi bez pukania, nie przeszukuje szuflad i nie muszę używać skomplikowanego szyfru do zapisków w dzienniku, których w rezultacie sama nie potrafiłam później odczytać. W Brunei znowu zaczęłam żyć w świecie, w którym nawet słowo pisane nie było prywatne. Gdziekolwiek bym usiadła do notowania w dzienniku, zawsze za mną było jakieś lustro, a za nim kamera rejestrująca każde pociągnięcie pióra.

Co widziała kamera? Czego miałam się najbardziej wstydzić? Wosku do usuwania włosów nad wargą? Udawania, że gram na gitarze bez gitary? Wibratora? Naprawdę nie było się czym przejmować.

Tym rzeczywiście nie; natomiast przeklinałam się za to, że oglądają dziewczynę, która przez dwa dni siedzi na podłodze i gapi się na walizy, nie rozpakowując ich, a kiedy już połowę rozpakuje, pokój wygląda jak splądrowany przez złodziei i w takim stanie pozostaje przez kolejne trzy dni. Że oglądają dziewczynę, która jakoś daje radę wyszukać w tym poboju coś do włożenia na siebie i zebrać się do kupy, żeby iść na party, ale każdego dnia budzi się z nerwami w strzępach. Jedyne, co mogłam robić, to czytać i słuchać muzyki. Przestałam ćwiczyć, przestałam pływać, przestałam nawet odbijać piłkę tenisową wyrzucaną przez maszynę.

Dopadło mnie nagle. Gdzieś między Singapurem i Brunei kula armatnia dosięgła mnie z nieba, przebiła wnętrzności i wypuściła ze mnie całe powietrze. Każdego dnia ślubowałam

sobie, że to się zmieni i będę sprawna i radosna jak Ari, ruchliwa i dowcipna jak Madge, skalkulowana i wspaniała jak Fiona. Taka lub inna, byle nie leniwa, niezdyscyplinowana i ponura. Być kimkolwiek, byle nie sobą.

Ogarnęła mnie depresja, która co jakiś czas wyciągała po mnie swoje macki, czasem kłusząc delikatnie, a czasem wywołując kompletny paraliż. Nie po raz pierwszy z nią przegrywałam. Kiedy cień depresji przesłaniał mi pole widzenia w czasach szkolnych, winiłam za to ojca lub szkołę. Obecnie te czynniki nie odgrywały roli i uświadomiłam sobie, że wtedy byłam w błędzie, bowiem trzeźwo na to patrząc, wina leżała po mojej stronie. Oskarżałam więc siebie o brak silnej woli, lenistwo, folgowanie sobie. Listę oskarżeń pod własnym adresem mogłabym ciągnąć dalej.

Byłam pewna, że jeśli się zmobilizuję, będę praktykowała jogę, śpiewała Hare Krysna, czytała Freuda i Junga, i Dalaj Lamę, i Rama Dassa, przestanę jeść czekoladę, zacznę się częściej gimnastykować i sięgnę po te pieprzone taśmy do nauki francuskiego, które przywiozłam ze sobą, to ozdowieję. Byłam pewna, że gdyby mi się udało zrobić wyłom w tej fortecy, dostanę się na sam szczyt i pod niebieskim niebem odetchnę świeżym powietrzem. I już tam zostanę, zmieniona i niepodatna na zniszczenie. Nie miałam pojęcia, z jakim potworem miałam do czynienia.

Gdyby mi ktoś sugerował wówczas, że moje problemy wynikają z tego, że zostałam wadliwie zaprogramowana, że jakaś chemiczna reakcja nie przebiega prawidłowo w moim mózgu, odpowiedziałabym, że tym samym ten ktoś sugeruje

mi, iż nie muszę brać odpowiedzialności za własne życie. Teraz wiem, że się myliłam. Prześladowana latami i wciąż jeszcze przez depresję, rozumiem, czym ona jest. Nie rozmontowuję już swojego życia, gdy depresja wyskakuje zza drzewa. Wtedy jednak byłam przekonana, że uda mi się przed nią uciec, jeżeli będę szybsza i zdążę zmienić otoczenie lub sama się zmienić.

Ta iluzja była częściowo wzmacniana przez to, że zmiana scenerii w moim przypadku się sprawdzała. Kiedy trafiałam do nowego środowiska, przez minutę czy dwie, dzięki zastrzykowi adrenaliny i endorfin, wyrywałam się z otępienia. I to właśnie endorfiny dały mi kopa, kiedy dowiedziałam się — oczywiście z typowym brakiem wyprzedzenia, gdyż dopiero poprzedzającego wieczoru — że jestem z Fioną włączona do księżęcej świty i mam mu towarzyszyć w dwutygodniowej podróży dyplomatycznej do Kuala Lumpur. Z samego rana wyskoczyłam z łóżka i wreszcie rozpakowałam resztę walizek, jednocześnie pakując jedną na podróż do Malezji.

Ari widziała, jak podle traktują mnie dziewczyny, i miałam wrażenie, że mi trochę, ale tylko trochę, współczuje. Opłacana była sownie za ciężką pracę, ale nie spływał na nią deszcz klejnotów ani pieniędzy, jak na niektóre z nas. A my w ogóle nie pracowałyśmy ciężko, jej zdaniem. To ją irytowało, jednak potrafiła zdobyć się na dystans. Co do swojego zajęcia miała odrobinę wątpliwości. W końcu obowiązki zarządcy posiadłością w Bel Air rozszerzyła na stręczycielstwo.

Trzeba zacząć od tego, że dziewczyny zwożone przez Ari do Brunei nie były prostytutkami, jednak nie widziałam żadnej,

która odrzuciłaby awanse księcia, jak już się zorientowała, jakie czekają, gratyfikacje. Każda osoba w Brunei miała swoją cenę i Robin poruszał się w tej materii bezbłędnie. Raz, dosłownie raz, słyszałam od którejś o wyrzutach sumienia, ale wielkie pudło kosztowności stłumiło je po kilku dniach. Co ciekawe, dziewczyny, które oderwały się od normalnej pracy, normalnych chłopaków, normalnej codzienności, najszybciej ulegały fascynacji nowym stylem życia. Wstyd mi było za nie, gdy nie mogły oderwać oczu od urodzinowych rolexów. Trafiły, owszem, do istniejącego w równoległej rzeczywistości haremu, co nie znaczy, że nie powinny zachować choć trochę poczucia własnej godności.

Ari za to miała w sobie godności w nadmiarze. Zachowała tożsamość mimo wykoślawiającej charakteru brunejskiej presji. Utrzymała także związek z narzeczonym. John był dobrze prosperującym przedsiębiorcą. Miał jedno oko niebieskie, drugie zielone i był zabójczo przystojny, jakby właśnie wyszedł z reklamy płynu po goleniu. A do tego jeszcze jako wolontariusz raz w tygodniu uczył pływać autystyczne dzieci. Idealny bohater komedii romantycznej, jeżeli je lubicie.

Chociaż Ari w żadnym wypadku nie romansowała z nikim w Brunei, imię Johna było tabu. Ari i Madge powierzono trudne i odpowiedzialne obowiązki, operowały dużymi sumami i poufnymi informacjami, lecz miały zakaz wiązania się małżeństwem czy narzeczeństwem. A przynajmniej taka była niepisana umowa. W przypadku Ari i Madge posiadanie kochanka byłoby równoznaczne z naruszeniem reguł, dla którejkolwiek dziewczyny Robina równałoby się samobój-

stwu. Gdyby ktokolwiek to ujawnił, odlatywałyby najbliższym samolotem do domu. Bywało, że nawet Ari dokuczała w Brunei samotność, więc czasem szukała kontaktu ze mną. Chociaż w tamtej sytuacji sama nie uważałabym siebie za „godną zaufania”, mimo wszystko prawdopodobnie nie mogła dokonać lepszego wyboru. Nie wierzę zresztą, żeby Ari mi ufała, uznała mnie raczej za wystarczająco inteligentną, bym rozumiała, że zadzieranie z nią nie wyjdzie mi na dobre. Opowiadała mi, jak wyobraża sobie weselne przyjęcie, starannie omijając słowo „małżeństwo”. Rozmawiałyśmy w taki sposób, żeby przechytrzyć podsłuch. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami na łóżku, wyjadając łyżeczką awocado z łupiny, a ja się pakowałam.

— Jestem trochę niespokojna, gdyż skracają mi o cztery dni pobyt w Stanach, a inaczej planowałam, wobec tego nie spotkam się z firmą cateringową ani z organizatorem. Prezydent porozmawia z architektem. Ale nie narzekam.

Ari miała wyjść za mąż za Johna za sześć miesięcy. W naszych kodowanych rozmowach mówiła o nim „prezydent”, gdyż nazywał się John Adams. Miała dwadzieścia pięć lat i budowała własny dom w Malibu. Nie dziwiłam się, że chce zawiesić na kołku buty podróżnika i osiąść w jednym miejscu, zakładając rodzinę. Czy nie widziała dosyć świata, chociaż miała zaledwie dwadzieścia pięć lat?

— Czy matka nie może tego za ciebie załatwić?

— Tak, tak, na to wygląda, że matka zajmie się wszystkim. Wiem, że to zrobi. Jednak to się dzieje tylko raz w życiu,

więc chciałabym zobaczyć chociaż zaproszenia, zanim zostaną ro/cslanc do ludzi — powiedziała. — Czy mówiłam ci już, że w Kuala Lumpur nie wolno ci pod żadnym pozorem opuszczać pokoju hotelowego, chyba że przyjdzie po ciebie ochrona? To bardzo ważne.

Zainteresowała ją suknia, którą pakowałam.

— Och, ta mi się podoba. Od kogo?

— Od Diora.

— Tę weź koniecznie.

Zamknęłam walizki i nawet nie zaprzętałam sobie głowy zdejmowaniem ich z łóżka. Wiedziałam, że zaraz ktoś przyjdzie i w magiczny sposób znajdą się w miejscu przeznaczenia.

Robin rozglądał się za kolejną żoną i ponieważ to miała być czwarta, nie można było wykluczyć, że wybierze ją spośród dziewcząt, które gościł na przyjęciach. To byłoby nie do pomyślenia, gdyby chodziło o pierwszą czy drugą żonę. Skoro jednak ciągłość rodu była już zapewniona, królewski playboy miał większe pole manewru. Czasami myślałam, jak by to wyglądało, gdybym została jego żoną. Nie tak źle mieć męża, który pokazuje się tylko od czasu do czasu, a przy tym ma się do dyspozycji służbę, która dba o wszystkie twoje potrzeby, i do tego odrzutowiec, którym polecisz do Singapuru, gdy najdzie cię taki kaprys. Niestety swoboda kupowania to nie to samo, co swoboda w ogóle. Wiedziałam, że jako żona księcia nie zagrałabym już nigdy w żadnej sztuce, nie wędrowałabym z plecakiem po Europie, nie poszłabym z przyjacielem do kina, nie chodziłabym na zakupy bez ochroniarza.

Czasami dręczyły mnie fantazje o zostaniu księżną. Było dziwne, że w ogóle znalazły się w orbicie rozpatrywanych przeze mnie możliwości. Ale powiedzcie, która amerykańska dziewczyna z głową nabitą disneyowskimi bajkami nie kładzie się do łóżka, marząc o tym, że obudzi ją ze złego snu pocałunek księcia? Że otworzy oczy i bez żadnego wysiłku z jej strony zmieni się jej bezbarwne życie? Kto w mojej sytuacji by nie myślał o złotej obrączce i koronie na głowie?

Nie miałam jednak wypranego mózgu aż do tego stopnia. Tak naprawdę nie chciałam być żoną Robina, nawet w szczytowym okresie mojej brunejskiej kariery. Bo gdyby tak się stało, już nigdy nie miałabym randki na dachu w strugach deszczu.

*

Po wyprawie do Singapuru na zakupy zorientowałam się, że nawet te nieliczne dziewczyny, które miały do mnie stosunek obojętny, obrosły w kolce. Więc wybierając się do Kuala Lumpur, ubrałam się z wielką satysfakcją w mój najwytworniejszy kostium Chanel z tweedu o splocie różowo-szarym. Doprowadziły mnie do ostateczności i były tak podłe, że przestałam czuć potrzebę przymilania się im, żeby być lubianą. Zaprzyjaźniać się z tymi kretynkami? Tak samo myślałaby Fiona i po kilku tygodniach ich okrucieństwa naprawdę zgadzałam się z jej postawą. Wyzwoliłam się. Coś pokrewnego przeżywałam, gdy jako dwunastolatka odkryłam zespół Ramones i w konsekwencji uległam później fascynacji punk rockiem. Stworzyłam sobie nową rzeczywistość. W niej celowo starałam się być inna niż ci rówieśnicy, którzy mnie

dręczyli i czynili nieszczęśliwą. Przyjęłam raz na zawsze, że nic ze mną było coś nie tak, tylko z nimi.

W szkole średniej zadawałam się z osobami z kółka teatralnego i spędzałam czas w pracowni plastycznej. Szyłam własnoręcznie ubrania, farbowałam włosy na zmianę na trzy podstawowe barwy i pasjonowałam się punk rockiem. Ponieważ ja i moi przyjaciele nosiliśmy ubrania w ponurych kolorach, lalusie i panienki z dobrych domów, stanowiący szkolną większość, nazwali nas Dziećmi Ciemności i to przezwisko zaakceptowaliśmy, wypisując je na ścianie nad naszym ulubionym stołem w kafeterii.

Dzieci Ciemności tworzyły zgraną bandę, nosiliśmy dzikie fryzury, pisaliśmy opery rockowe i rysowaliśmy autobiograficzne komiksy. To byli przyjaciele, którzy rozłożyli poły swoich peleryn i obszarpanych płaszczy, otulając mnie nimi z pełną aprobatą. Mogłam mieć najbardziej idiotyczne pomysły na szkolne pokazy talentów i zawsze mogłam liczyć na owacje tej części publiczności. Tworzyliśmy coś w rodzaju plemienia. Ale przynależność do akceptującej grupy wiązała się z chowaniem przed rodzicami czarnego eye-linera i agrafek, które służyły jako ozdoby. A idiotyczne pomysły, jakie prezentowałam na pokazach talentów, to nic więcej niż proste stepowanie czy akustyczne covery zespołu Siouxsie and the Banshees.

Dla mojego ojca to wszystko oznaczało daleko idące odejście od akceptowalnego zachowania, wstyd dla rodziny, osobistą zniewagę. Przez cały czas był na krawędzi wybuchu. Dlatego kiedy byłam w domu, wyobrażałam sobie, że jestem

punkową wersją Glindy z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz* i płynę w różowej bańce mydlanej nad tym wszystkim. Byłam nietykalna wtedy i po latach, gdy podniosłam rękę i pomachałam na pożegnanie żmijom z Brunei. — *Ciao*.

Co zrobiłaby Patti Smith? Powiedziałyby: „Pieprz je”. Prawdopodobnie mówiąc to, nie miałyby na sobie kostiumu Chanel, ale wyobraźcie ją sobie, jak chcecie.

Leciałyśmy w kawalkadzie królewskich samolotów z prywatnego lotniska. Widziałam twarze, które rozpoznawałam — Dan i Winston, i doktor Gordon zapamiętani z przyjęć — ale żadnych kobiet. Zastanawiałam się, czy wreszcie zobaczymy którąś z żon Robina na żywo, ale nie było żadnych żon, ba, nie było samego Robina. Tylko grupa nieznanymi mężczyzn w garniturach, którzy nas ignorowali. A Dan tylko skinął głową, Winston się uśmiechnął.

Winstona lubiłam najbardziej. On i jego dziewczyna, Tootie, stanowili słodką parę, na imprezach rozmawiali, trzymając się za ręce. Czasami przyglądałam im się z ukłuciem zazdrości, ale to nie trwało długo. Z pewnością ona nie zarabiała nawet jednej tysięcznej tego co ja, za to jej chłopak naprawdę ją lubił. Gdybym jednak miała wybierać, wybrałabym pieniądze.

Znowu leciałam z Fioną własnym samolotem, tak się tu widać podróżowało. Na lotnisku w Kuala Lumpur zostałyśmy błyskawicznie przeprowadzone pod ochroną służb do wyjścia wprost do czekających aut. Nie ma odprawy celnej, kiedy się

podróżuje pod szyldem dyplomaty. Nikt nie kwestionował naszej obecności. Ja już się nauczyłam chodzić z obstawą i nic zadawać pytań. Jestem jak liść w potoku, mówiłam sobie. Żyję chwilą. Jestem mnichem zen.

Zawieziono nas pod opieką ochroniarzy do hotelu i zostawiono w osobnych pokojach, na szczęście obok siebie. Ochroniarz przykazał, że nie wolno wychodzić z pokoju, chyba że ktoś po nas przyjdzie. Stał między naszymi drzwiami. Powiedziałam Fionie do widzenia i weszłyśmy do sąsiadujących luksusowych cel. Po pięciu minutach zadzwoniła, żeby pogadać.

— Dlaczego nie możemy się nawet zobaczyć? — spytałam.

— Nie martw się. Nie będzie tu stał cały dzień. Zjemy razem obiad.

Parę godzin później pojawiła się w pizamie, za nią wjechała butelka wina i weszła obsługa. Namówiła mnie do złożenia zamówienia. Zamów jedną butelkę wina; zamów trzy.

— Czy masz pojęcie, ile jest tu teraz osób? — uświadamiała mi. — Martin i Robin mają do dyspozycji swojej i towarzyszącej każdemu świty po jednym pięttrze w całości. Do tego i jeden, i drugi ma apartament dla siebie na ostatnim pięttrze. Czy tu ktokolwiek sprawdza rachunki?

Spędzałyśmy dzień za dniem bądź w moim, bądź w jej pokoju, zamawiając kawior, który jadłyśmy łyżkami ze słoika, oglądając filmy i pijąc drogie wina. Szampan i kawior — obrzydliwie banalne połączenie — ale smakują wspaniale, gdy się je konsumuje w T-shirtach przy oglądaniu programu *Today Show* przez satelitę. Zamawiałyśmy masaż, słuchałyśmy

muzyki, układaliśmy sobie nawzajem włosy, a raz wymknęliśmy się nawet na pedikiur do hotelowego salonu kosmetycznego. Byłam tak zdenerwowana, gdy byłyśmy na dole, że dostałam pokrzywki. Nie wiedziałam, co Fiona robi w nocy, nie rozmawialiśmy o tym. Robin kompletnie mnie ignorował przez całe sześć dni. Po rozstaniu się wieczorem z Fioną czytałam Artauda

i Hessego i regularnie dostawałam świra. Zatrzymałam się przy słowach Artauda: „Nie jestem całkiem sobą” i pomyślałam: to o mnie. Nie jestem całkiem sobą. Nawet nie wiem, kim ja jestem. Przysięgłam sobie, że muszę się stamtąd wydostać jak najszybciej — robić coś na serio, poczuć się wolna.

Zadzwoiłam do Johnny'ego, który był akurat w domu na krótki antrakt między opuszczeniem jednej szkoły z internatem, skąd go wylali, a znalezieniem kolejnej. Rodzice byli zaniepokojeni, ponieważ obsesyjno-kompulsywne zaburzenia bardzo się u Johnny'ego nasiliły od czasu, kiedy go ostatni raz widziałam. W trakcie poprzedniej rozmowy telefonicznej matka opowiadała mi, że nie mogła wyciągnąć Johnny'ego z domu, ponieważ odprawianie niezliczonych rytuałów przed wyjściem zabierało mu mnóstwo czasu. Żył uwięziony w swoim świecie tików, wybuchów złości, okrzyków, dotykania framugi drzwi, spluwania w kałuże, uderzania łyżką o krawędź talerza.

— Braciszku. Siostrzyczko. Co u ciebie?

Spoko. Rezyduję na razie w rodzinnych pieleszach. Ralph Reuben słyszał od swojej matki, że jesteś niewolnicą w Chinach.

Jestem w Malezji, gwoli ścisłości. A skąd matka Ralpha ma takie wiadomości?

— Spotkała mamę w ShopRite.

Świetnie. Najwidoczniej matka opowiadała o mnie każdemu, kogo spotkała w supermarkecie.

— Czy mógłbyś poprosić ją w moim imieniu, żeby była bardziej dyskretna?

— Jasne. Powiem jej. To powinno załatwić sprawę.

— Co teraz z tobą będzie? — zapytałam.

— Mama i tata widzieliby mnie chętnie w kolejnej edukacyjnej placówce.

— Z jakiego powodu opuściłeś szkołę tym razem?

— Czuję się tam tak, jak wtedy, kiedy chodziłem do kościoła z Anthonyem Dantem.

Podobało mi się do momentu, kiedy przez ławki przechodziła cicha fala, bo odrywali plecy od oparcia i wszyscy przyklękali, a ja jeden siedziałem dalej w ławce. Tak samo było w szkole. Byłem jedynym żydem w kościele.

— Rozumiem cię.

Nawet w zwykłej rozmowie Johnny nie przestawał być poetą. Martwiłam się o niego.

Wydawał mi się kruchy i przezroczyisty jak szkło. Na poezji daleko nie zajędzie. Byłam o sześćdziesiąt tysięcy kilometrów oddalona od niego i niewiele mogłam zrobić, żeby nakłonić go do próby utrzymania się w następnej szkole. Sama nie potrafiłam nigdzie zagrzać

na dłużej miejsca. Jak mogłam przekonywać go, by skazywał się na coś, co sama uważałam za więzienie?

— Kocham cię, braciszku — powiedziałam. Mój głos powrócił do mnie na linii niewyraźnym echem. Czułam, że słowa nie wystarczają. Potem nastąpiła cisza, ale do tych pauz w połączeniach międzynarodowych już przywykłam. Czekałam.

— Ja ciebie też kocham, siostrzyczko.

Zapomniana, a dni płynęły, rozpaczliwie zapragnęłam wrócić do Nowego Jorku, do prób w teatrze. Robin mnie lekceważył i to zmniejszyło jego siłę przyciągania. Życie wymykało mi się z rąk, godziny mijały bezpłodnie, gniłam zamknięta w klatce hotelowego pokoju. Gdy spróbowałam porozmawiać z Fioną o Artaudzie, stwierdziła autorytatywnie, że to maniak, a ja jestem nieznośnym dzieciakiem.

— Czy nie potrafisz choć przez pięć minut posiedzieć spokojnie? Przecież nikt ci nie każe kopać rowów. Weź się do pisania poezji, jeśli o tym marzysz. Naucz się na pamięć dwunastu nowych monologów. Pomęcz się nad czymś. Twój problem nie wynika z tego, gdzie jesteś.

Fiona była ode mnie starsza. Ja nie nauczyłam się cenić wartości dolara, mogłam zjeść słoiczek masła orzechowego zamiast lunchu czy opakowanie herbatników zamiast obiadu. Nie przejmowałam się tym, że jestem biedna, więc wzbogacenie się dzięki nicnierobieniu nie przemawiało do mnie. W tamtym czasie wciąż głęboko wierzyłam, że czeka mnie wielka kariera sceniczna.

Roznosiło mnie, ale byłam wewnętrznie rozdarta. Jeszcze nic machnęłam ręką na Brunei, nie chciałam przyznać się do porażki. Więc gdy dostałam telefon, że Robin zaprasza mnie na górę, ożywiłam się. Postanowiłam zabłysnąć. Miałam nadzieję, że wykrzeszę iskłę, która go zgalwanizuje, a zainteresowanie z jego strony zmotywuje mnie do pozostania. Na odebranie brunejskiego Oscara ubrałam się w suknię od Armaniego, naszywaną cekinami i z sięgającym poniżej talii dekoltem na plecach. Robina kręciły zadki, więc ubrałam się odpowiednio.

Nasz ochroniarz eskortował mnie do apartamentu na najwyższym piętrze, gdzie Robin wydawał uroczystą kolację. Posadzono mnie obok niego, byłam jedyną obecną kobietą. Rozpoznawałam wielu mężczyzn siedzących przy stole, ale widziałam także nowe twarze i słyszałam wymowę różniącą się od angielszczyzny Robina i jego świty. Niektórzy nowi goście byli Brytyjczykami, niektórzy być może Irańczykami. Wszyscy wydawali się w wyjątkowo dobrych humorach, jakby świętowali jakiś sukces.

To była jedna z tych nocy, podczas której unosisz się na zaczarowanym dywanie, magiczny jest szampan i każda chwila; noc, kiedy wszystko jest jak trzeba i czujesz się piękna i mądra. Wiedziałam, że jest ze mnie zadowolony. Nie wydawał mi się niedostępny i krytyczny, a tak go zwykle odbierałam mimo jego sztucznego uśmiechu. Jego twarzy nie zakrywała chmura niezadowolenia, zwiastująca karę, wygnanie z jego łóżka na niejeden dzień, triumf na twarzy rywalki.

Na koniec jednak, jak każdej innej nocy z nim, przyjęcie się przeciągało ponad wytrzymałość uczestników. Należał do tych ludzi, którzy nie potrzebują snu i dziwią się, że ktokolwiek chce marnować na sen te niewiele godzin, które są nam dane na ziemi. Gdyby był zwyczajnym człowiekiem, musiałby spędzać samotnie wiele nocnych godzin. Ponieważ jednak był obrzydliwie bogatym arystokratą, miał pieniądze na przyjęcia, na których mógł trzymać ludzi choćby przez całą dobę, jeśli przyszłaby mu na to ochota. Robin przeprosił gości i zabrał mnie do sypialni. Panoramiczne okno od podłogi do sufitu tworzyło owalną ścianę i miałam wrażenie, że rozświetlone miasto znalazło się w naszym prywatnym akwariium. Zabawialiśmy się przy odsłoniętych zasłonach i zgaszonych światłach.

Po wszystkim oczekiwałam, że przeprosi i wyjdzie, da mi jak zwykle na pożegnanie klapsa w zadek i buziaka w policzek. Tymczasem zdarzyło się coś nie do pojęcia. Wcisnął przycisk pilota, zasuwał zasłony, po czym przytulił się, objął mnie ramieniem i powiedział dobranoc.

Kompletnie zgłupiałam. Taki przeskok do intymności? W obecności Robina byłam zawsze jak pod napięciem, grałam swoją rolę, miałam go zadowolić, nie myśląc o sobie. Tak zaprogramowana nie śmiałam nawet wystawić spod nakrycia gorących nóg z obawy, że mu przeszkodzę zasnąć. Leżałam, czuwając, nogi mi się pociły, serce waliło, ścisnęło mnie w żołądku. Miałam nadzieję, że zaśnie pierwszy i nareszcie się odprężę. Udawałam, że śpię.

— Nie śpisz.

Nie dał się oszukać. Poczułam się, jakbym oblewała egzamin. Ostatecznie dał mi tabletkę nasenną i sam wziął jedną.

Kiedy się obudziliśmy, zjedliśmy razem śniadanie przyniesione do pokoju i potem oglądaliśmy CNN, podczas gdy Robin się ubierał. Do końca tego wyjazdu w ten sposób spędzaliśmy wieczory i noce. Jak normalna para. Czasem tylko przemykało mi przez głowę, że teraz Fiona czeka samotnie na zmianę.

Pierwsza wojna w Zatoce Perskiej właśnie się skończyła, w mediach wciąż jednak walcowano ten temat. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej protestowałam przeciwko tej wojnie w Tompkins Square Park, ale w Brunei to wszystko wydawało się dalekie — wojna i Tompkins Square Park na równi. Na ogół, gdy ludzie pytają mnie o Brunei, okazuje się, że myślą

o Bliskim Wschodzie, pewnie z powodu skojarzeń z ropą i ciemną skórą. Jednak Azja Południowo-Wschodnia jest daleko od Iraku i nie widziałam między nimi żadnego związku. Tymczasem jest oczywisty. Każdy wzbogacony na roponośnych złożach sułtan, król, prezydent czy premier nieustannie ślizga się na jakiejś plamie ropy.

Robin był włączony w sieć oplatającą rynek naftowy, ale na czym to polegało, nie rozumiałam i nigdy z nim na ten temat nie rozmawiałam. Ciekawiło mnie to jednak, bo widziałam, że przez cały czas śledzi bieżące wiadomości i ten nieustanny potok informacji towarzyszy wszystkiemu, co robi. Leżałam w wielkim hotelowym łóżu, czterdzieści pięter niżej

hałasowało miasto Kuala Lumpur, oglądałam stale obecną CNN, a Robin szykował się do pracy. Na ekranie pokazała się pomarszczona twarz Nelsona Mandeli obwieszczającego koniec apartheidu.

Ponieważ Robin stawał się dla mnie kimś bardziej na podobieństwo kochanka niż pracodawcy, od czasu do czasu ośmielałam się pytać o jego opinie na temat wydarzeń, które wspólnie oglądaliśmy w telewizji. Odpowiadał raczej wymijająco, więc nie zadawałam zbyt wielu pytań. Wiedziałam, że w Brunei nie ma wolności prasy, że sułtan jest autokratą (choć genialnym) i nie wolno go krytykować. Nie było co podziwiać, starałam się o tym nie myśleć. Nie znalazłam się tutaj jako przedstawicielka Amnesty International. To nie był mój kraj. Nie moja sprawa.

Dotychczasowe poglądy polityczne, lata aktywistycznej postawy, nagle przestały być istotne. Nie oznaczało to, że nagle stałam się zwolenniczką teokracji, poligamii i niekontrolowanego konsumpcjonizmu, przestało być jednak ważne, w co mam wierzyć.

W szkole średniej jeździłam autobusami do Nowego Jorku, żeby brać udział w marszach na rzecz prawa kobiet do aborcji i w wiecach homoseksualistów. Pisałam artykuły o zapatystach i planowałam wyprawę do Chiapas. Nigdy tam nie pojechałam. Postanowiłam pożenić aktywizm z ambicjami artystycznymi i dołożyć swoją cegiełkę do barwnej historii teatru protestu, lecz odkryłam szybko, że nie ma z tego pieniędzy i w zderzeniu z realiami samodzielnego życia moje ideały zaczęły ulegać erozji. W brunejskim świecie, a ten w miarę upływu

miesiący stawał się rzeczywistością, w której z wyboru żyłam, nie mieściły się ani sztuka, ani polityka.

Co się tyczy zainteresowań Robina, ciekawszy od apartheidu był dla niego rozwód brytyjskiego następcy tronu. Jeszcze ciekawsze relacje z notowań na międzynarodowych giełdach, które obserwowaliśmy w programach anglojęzycznych, a dla mnie równie dobrze mogły być podawane po malajsku, bo nie miałam bladego pojęcia o indeksach Dow Jones i S&R Ojciec nie przekazał mi żadnej takiej wiedzy, prawdopodobnie dlatego, że o to nie prosiłam. Powiedziałam Robinowi, że moja rodzina jest związana z finansami, zrobiło to na nim pewne wrażenie, ale po minucie stracił zainteresowanie. Używałam wszelkich chwytów, żeby go zabawić.

Któregoś ranka zaczęłam z niego żartować, że nie chce brać ze mną kąpieli.

— Do wanny wejść mogę tylko z kaczką.

Tegoż popołudnia wysłałam ochroniarza po gumową kaczkę i dałam ją w prezencie Robinowi, żeby nie czuł się samotnie w wannie. Przyszedł wieczór i zdawało się, że jest bardziej niż zwykle pod moim urokiem. Nie zaplanowałam tej rozmowy, ale ziarno posiane przez Taylor mocno zapuściło korzenie.

Robin lubił wspomnieć czasem Serenę, i to w takich momentach, kiedy między nami układało się tak sympatycznie, że popadałam w samozadowolenie. Nie wiem, jak ten temat wypłynął. Czy rozmawialiśmy o teatrze? Śpiewie?

— Serena, jak wiem, jest piosenkarką jakiegoś zespołu w Los Angeles. Tak?

— Tak, pamiętam, że mówiła mi o zespole swojego chłopaka — potwierdziłam. Jak gładko poszło. Podał mi okazję do donosu na talerzu.

— Czy tak mówiła? — zapytał ostro.

— Że jest piosenkarką jazzową? — Udawałam, że wzmianka o chłopaku wypsnęła mi się i nawet nie zwróciłam na to uwagi. — Tak, tak mówiła.

Pocałowałam go na do widzenia i potem podeszłam do okna. Wyglądałam na miasto przez długi czas. To samo robiłam każdego ranka. Zawsze miałam do zabicia parę godzin, zanim przyszedł ochroniarz, żeby mnie zaprowadzić do mojego pokoju, gdzie ucinałam sobie drzemkę, zamawiałam coś do jedzenia, czytałam, wreszcie się ubierałam i powtarzałam ten cykl od początku. Najbardziej lubiłam czas po wyjściu Robina do pracy, pierwsze chwile samotności. Kiedy mi się znudziła, próbowałam dzwonić do Fiony, ale nigdy jej nie zastałam. Staralam się nie myśleć, co robi.

Każdego dnia rano żegnałam Robina pocałunkiem i każdego wieczoru siedziałam u jego boku przy obiedzie. Zupełnie jakbym miała kochankę, tyle że to był brat dyktatora, żenił się trzy razy, miał czterdzieści innych kochanek, z których jedną próbowałam niewątpliwie pozbawić godziwego źródła utrzymania. Trudno mi wyjaśnić, dlaczego tak ostro walczyłam o Robina. Czasami wydawało mi się, że jest intrygujący, fascynujący, bardzo sexy, choć drań. Niekiedy czułam się przy nim naprawdę godna miłości. Czasami widziałam w nim nędznego kutasa i miałam wprost niepohamowaną ochotę, żeby walnąć go w głowę pilotem. Jednak prawda przedstawiała

się smutno i brzydko: dzieliłam z Robinem łóżko i czułam się częścią świata władzy i znaczenia. Nigdy przedtem nie zastanawiałam się, co daje panowanie nad innymi. Nie jestem pewna, czy kochałam Robina jako osobę, ale zakochałam się ekstatycznie w potężnym władcy. Być może mieszało mi się jedno z drugim.

Władza smakowała jak ostryga, jakbym połykała morze z jego pamięcią, spokojem, rozkładem i siłą. Smakowała jak ostryga, którą, jeszcze drgającą życiem, kosztowałam jako dziecko. Ojciec uwielbiał owoce morza. Podczas wyjazdu do Bostonu, miałam wtedy siedem lat, zabrał mnie do Faneuil Hall i postawił między nami półmisek z tuzinem surowych ostryg i następny z tuzinem surowych małży. Nadział pierwszą ostrygę na widelczyk, zanurzył ją w sosie i połknął, rzucając mi wyzwanie, żebym zrobiła to samo. Zebrała się koło nas garstka osób, które chciały zobaczyć małą dziewczynkę jedzącą ostrygi.

Przez sekundę trzymałam zwierzątko w górze przed sobą, zwyczajnie chciałam stchórzyć. Wyglądała jak język od spodu, wilgotna, nawet nie powinno się na nią patrzeć. Włożyłam ją do ust i próbowałam przeżuwać, ale wślizgnęła mi się do gardła i zaczęła dławić. Ludzie się rozchichotali. Klaskali: „No dalej, dzieciaku, dasz radę!”. Zakrztusiłam się ponownie, zanim zorientowałam się, jak rozluźnić mięśnie gardła i to połknąć.

Miałam odruch wymiotny, ale połknęłam tę ostrygę, a potem jeszcze cztery. Byłam pewna, że ojciec jest ze mnie dumny. A z każdą ostrygą wiedziałam coraz więcej. Są obrzydliwe, są przepyszne i połykasz je, żeby udowodnić, że potrafisz.

Zawsze marzyłam o czymś niezwykłym i trafiło mi się. Zostałam królewską kochanką i stałam sobie w bieliźnie firmy La Perła, spoglądając na Kuala Lumpur z apartamentu na najwyższym piętrze. Jeżeli czułam, że ostryga zatruwa mi krew, jeżeli błąkała się w głowie myśl, że przehandlowuję coś nie do odzyskania, odpychałam te odczucia i myśli od siebie.

Rozdział 1 7

Ochroniarz zapukał w środku dnia i poinformował mnie, że mam się ubrać w wieczorową suknię. Zdziwiłam się, gdyż w trakcie tej malezyjskiej podróży Robin wzywał mnie dopiero wieczorem. W windzie ochroniarz dotknął przycisku ostatniego piętra. Ścisnęło mnie w piersiach. Wpadłam w panikę. Wiedziałam za dużo i postanowili się mnie pozbyć. Niestety nic nie mogłam zrobić. Byłam w pułapce niczym facet w filmie gangsterskim, który wie, że go zaraz wykończą za nielojalność, ale nie ma wyboru i wsiada do auta ze swoim przyszłym zabójcą. Wyobraziłam sobie nagłówki gazet.

Odtrącona kochanka rzuca się z rozpaczy z malezyjskiego więzowca

Amerykańska prostytutka ginie podczas transakcji narkotykowej w Hiltonie w Kuala Lumpur

Nastolatka z Jersey zniknęła podczas wakacji w Azji Południowo- Wschodniej

Przynajmniej umrę w wieczorowej sukni. Nikt mnie jednak nie strącił z dachu. Na lądowisku dla śmigłowców czekał na mnie helikopter, wzniesając podmuchy powietrza. Po raz pierwszy znalazłam się w helikopterze, a słuchawki na uszy, które podał mi pilot, zrujnowały moje wyrefinowanie niedbałe upięcie włosów. Wyglądałam niechybnie jak aktorka grająca bohaterkę Hitchcocka po nakręcaniu pościgu w górach z gumowatej pianki, gdzie wiatr z przemysłowych wentylatorów skręcał jej suknię w harmonijkę. Przelot trwał śmiesznie krótko, taki skok Spidermana z jednego dachu na drugi. Patrząc jednak na samochody wlokące się w korkach ulicami Kuala Lumpur, byłam pewna, że jazda zajęłaby co najmniej trzy godziny, a nie trzy minuty. Lot śmigłowcem, przejazd z lotniska do hotelu i z powrotem oraz widoki z hotelowych pięter, to była moja turystyka w Kuala Lumpur. Nigdy nie poczułam zapachów na tyłach restauracyjek, nie kupowałam szalika od ulicznego sprzedawcy, nie zamówiłam w barze filiżanki herbaty, moje stopy praktycznie nie dotknęły malezyjskich chodników, jeśli nie liczyć paru kroków od hotelowych drzwi do samochodu, a to zdarzyło się dwa razy. Byłam w Malezji i nie byłam. Byłam na wyspie Borneo, ale nie naprawdę.

Na docelowym lądowisku powitali mnie dwaj panowie w lustrzanych okularach i dostarczyli do kolejnego hotelowego apartamentu. Ten nie miał końca. Poprawiłam fryzurę i przygotowana na maraton oczekiwania, postanowiłam rozejrzeć się po wnętrzu. Obejrzałam się i w dalekim końcu sali zobaczyłam go. Na dwuosobowej kanapce siedział sułtan. Aż

podskoczyłam i omal nie krzyknęłam z przerażenia, że nie jestem sama.

Jak ci się podoba mój kraj? — zapytał, klepieniem dłoni wskazując mi miejsce obok siebie. Robin zadał mi takie samo pytanie.

Oczywiście w tej dokładnie chwili nie byliśmy w jego kraju, ale wiedziałam, co ma na myśli. Świat był dla niego ostrygą, wszędzie był jego kraj. I zupełnie w innym sensie niż w *Nowhere Man* Johna Lennona.

Wydawało mi się, że siedzi w odległości boiska do piłki nożnej. Przed nim na stoliku do kawy była zastawa z porcelany kostnej ze złotymi obrzeżeniami. Gdy usiadłam i nalewałam herbatę dla nas obojga, poprosił, żebym mówiła do niego Martin. Swobodniej mi się z nim rozmawiało niż z Robinem. Był bardzo uprzejmy i niemal wesoły, a jego uśmiechnięta twarz odbiegała od dystyngowanego wizerunku na banknotach i billboardach. Wypiliśmy po filiżance herbaty i dopiero w połowie następnej przeszliśmy do sypialni. Apartament, gdzie spotkałam się z sultaniem, był z całą pewnością dziesięć razy większy od mojego obecnego domu. Sam papież nie mógłby sobie wymarzyć takiego przepychu.

Więc jednak przekazano mnie z rąk do rąk. Z drugiej strony byłam w Brunei wystarczająco długo, żeby potraktować to jako komplement, a nie zniewagę. Zostałam złożona w daninie jako wyraz braterskiego hołdu i estymy. Uczyniono ze mnie prezent.

Całując Martina, od razu zorientowałam się, jak bardzo różni się od brata. Nie miał tak skomplikowanej natury,

zapotrzebowania na uwagę, skłonności do manipulacji. Robin żądał miłości. Martin chciał, żeby mu ssać kutasa. Poprosił mnie uprzejmie właśnie o to zaraz po tym, gdy polecił mi, żebym się rozebrała, przeszła się, obróciła kilka razy w kółko i potańczyła chwilę. Gdy skończyliśmy, w uśmiechach odesłał mnie do helikoptera, zapewniając na pożegnanie, iż brat ma dobry gust.

Nigdy więcej sultana nie widziałam, za to wydawało mi się strasznie zabawne oglądanie jego twarzy na brunejskich banknotach. Angélique, piosenkarka, w której kochał się książę Sufri, powiedziała mi później, bym nie ubolewała, że więcej mnie nie wzywał. Powinno mi raczej schlebiać, iż w ogóle go poznałam. Zdradziła, że sultan prawie nigdy nie pieprzy się z dziewczynami z Zachodu, a jeżeli już to się zdarzy, nie zatrzymuje ich dla siebie.

Tej nocy Robin koniecznie chciał wiedzieć, czy spodobałam się sułtanowi. Zupełnie jak mały chłopiec, któremu zależy na ojcowskiej aprobacie. W oczach Robina wiecznie czaił się głód. Ten rodzaj głodu, którego nigdy nie zaspokoisz. Trzymał go co noc na nogach do piątej nad ranem, kazał mu pieprzyć dziewczynę za dziewczyną i kupować coraz to nowe egzemplarze maserati.

Zachowywał się jak alkoholik przed zamknięciem lokalu, jak ktoś, kto ma wszystko, czego kiedykolwiek pragnął, i rozpacza, odkrywając, że wciąż mu czegoś brak. Nie po raz pierwszy podejrzewałam, iż w nieustającym pościgu za przyjemnościami ciężko mu było czymkolwiek się cieszyć. Nie ma dość dziewcząt i samochodów na świecie, żeby zaspokoić aż taki apetyt.

Spalam w ramionach Robina i przyśniło mi się, że jestem sułtanem, a właściwie nie sułtanem, tylko po prostu mężczyzną.

Jestem mężczyzną i wchodzę do klubu Kit Kat na Fifty-second Street, rozsuwam ciężką błyszczącą kotarę w drzwiach, omijam lustrzane kolumny, idę dalej. Siadam w jednej z kabin rozmieszczonych wzdłuż ściany, kupuję striptiz na kolanach klienta, twarzy dziewczyny praktycznie nie widzę, ale czuję jej gorące ciało. Dziwię się, że jej nagość odczuwam aż do głębi trzewi. We śnie czuję podziw dla jej miękkości. I myślę: można kupić dziewczynę, gorącą, aksamitną dziewczynę.

Nigdy wcześniej nie rozumiałam, o co chodzi. Nie rozumiałam, dlaczego chcą kupować dziewczyny, póki mi się to nie przyśniło. W moim śnie odczuwałam wdzięczność, że jestem mężczyzną.

Rozdział 18

Gdy wróciłam z Kuala Lumpur, Sereny już nie było.

— Wyjechała?

— Wyjechała. Szafy puste. Bilet w jedną stronę. Nie ma jej. Boże, jaki szczęśliwy dzień!

Nie ma Sereny! Z radości

zatańczyłam, dając popis freestyłu z krokami *running man*. Nagle mnie olśniło. Czy to nie ja zadałam jej cios, wspominając chłopaka w rozmowie w łóżku z Robinem? A jeśli nawet tak, to czym się przejmować? Powinnam czcić zwycięstwo. Ona próbowała zrobić to samo mnie, tylko jej nie wyszło, bo ją przejrzał.

Przypomniało mi się, jak jadła truskawkę. Znam to uczucie wodzenia językiem przed prawdziwym posmakowaniem, udawanie, że jeden kęs wystarczy, że nie trzeba najeść się do syta, żeby mieć satysfakcję. Poczułam lekkie ukłucie w sercu. Nie wyrzuty sumienia. Wstręt. Do Sereny i do siebie. Była podłą harpią, która sprowadziła mnie do swojego poziomu. Czy jednak nie chciałam być równie podłą? Bez-

wględna, walcząca aż do zwycięstwa, choćbym miała splamić ręce krwią?

Przeciwieństwem fightera nie jest kochanek, tylko uciekinier. Kim chcecie być?

Zapyłałam Ari o powód wyjazdu Sereny i wreszcie puściła farbę, opowiadając jej historię. Serena była numerem jeden, zanim pojawiła się Fiona. Serena była numerem jeden, zanim pojawiła się w Brunei pierwsza dziewczyna z Zachodu. Robin uwielbiał ją. Niestety, jak żona Sinobrodego nie potrafiła się powstrzymać od złamania jedyne go zakazu, który jej narzucił.

W pierwszym okresie pobytu w Brunei, przed ośmioma miesiącami, Ari, Serena i Leanne regularnie dostawały pozwolenie na wyprawy do Hiltona na lunch i basen. Także do Singapuru, gdzie robiły zakupy i potem razem szły sobie do zoo. Każda miała oddzielny gościnny pawilon.

W tym złotym okresie na przyjęcia przychodził co wieczór książę Hakeem, najstarszy syn Jefriego. Ten olbrzym miał przyjaciela o imieniu Arif, który był jego przystojnym odpowiednikiem. Arif zaczął się pojawiać w pewne dni na basenie w hotelu Hilton, a tak się dziwnie składało, że w te same dni bywała tam Serena.

Umawiała się na schadzki przez telefon. Do tego nasza ulubienica, zimna niebieskooka piękność, miała upodobanie do świntuszenia na linii, ale nie w rozmowach z księciem. Robin zresztą rzadko używał telefonu do rozmów towarzyskich. Bo i po co? Jeżeli chciał z kimś rozmawiać, wystarczyło słówko do personelu, by dana osoba wkrótce przed nim stanęła.

Serena była niejako pionierem w Brunei. Nie wiedziała, że telefony są na podsłuchu. Nie podejrzewała, że nagrania jej prywatnych rozmów zostaną przekazane do odsłuchania księciu, który zresztą nie czynił jej potem zarzutów wprost, tylko w intymnych momentach bawił się w aluzje, powtarzając co pikantniejsze zwroty z jej rozmów z Arifem.

Wyobrażam sobie, jaką miał satysfakcję, gdy jej ciało sztywniało i ziębło, gdy w oczach pojawiał się lęk i przyznanie do winy, których nie potrafiła ukryć, gdy pokryta potem próbowała za wszelką cenę go zadowolić, udając namiętność.

Książę nie obciął jej głowy w trybie doraźnym. Nawet nie ukarał jej biletem w jedną stronę. Cóż to by była za frajda? To nie w jego stylu. On w roli wielkiego inkwizytora trzymałby ofiarę na kole przez wiele dni. Obracałby koło powoluteńku, tak że nieszczęśnik ledwie by zdawał sobie sprawę, że jest na torturach, póki by nie zobaczył własnych wnętrzności leżących obok na ziemi. Robin udawał, że przebaczył Serenie. Zaprosił ją ponownie i ignorował całymi miesiącami, romansując z każdą kobietą, która znajdowała się na sali, a szczególnie ostentacyjnie z najgroźniejszą rywalką. Taką rywalkę zobaczył we mnie.

Ari opowiedziała mi to przy kanapkach z serem i porcjach arbuza. Obląłam się zimnym potem. Fiona, moja kumpelka Fiona, musiała o tym wszystkim wiedzieć, a nigdy się nie wygadała. Co nie znaczy, że mnie nie ostrzegła. „Nie jestem twoją przyjaciółką”, padło z jej ust. Jeszcze jedna nauka wyniesiona z Brunei. Kiedy ktoś ci mówi: „Nie uważaj mnie za swoją przyjaciółkę”, uwierz tym słowom.

Taylor namawiała mnie do zemsty na Serenie za podłe traktowanie i gdy leżąc obok siebie na łóżku, gadałyśmy o tym, wyszeptała mi do ucha: „Też bądź sprytna”.

Czy byłam? Uczyniłam ruch, który wydawał mi się wówczas dobry, niestety okazało się, że inni gracze posiadają więcej informacji ode mnie. Skoro Serena wyjechała, czy zostanie odtrącona jako osoba bezużyteczna z punktu widzenia Robina, bo zrealizował już harmonogram tortur? Podobały mu się konflikty między dziewczynami. Przestaną być atrakcyjna bez rywalki? Wrócę do Nowego Jorku i będę czekała na telefon od Ari, która nigdy nie zadzwoni, i z upływem miesięcy moje nadzieje zaczną się rozwiewać? Nawet jeżeli przyczyniłam się do odesłania Sereny do domu, czy nie wykazałam się krótkowzrocznością, podejmując te manipulacje?

Czy Fiona przewidziała to wszystko? Czy użyła mnie do pozbycia się Sereny, licząc na to, że Robin przestanie się mną interesować po jej wyjeździe? A może piszę w głowie scenariusz opery mydlanej?

Pomyślałam, że powinnam trzymać się tego, w czym jestem dobra: wyglądam na rozgarniętą, potrafię opowiadać zabawne historie i dobrze się sprzedawać. Przypomniały mi się słowa ojca, więc je zmodyfikowałam adekwatnie do sytuacji: „Nie jesteś cali girl o międzynarodowej sławie, więc musisz się dobrze sprzedawać”. Zdawałam sobie sprawę, że nie wygram meczu z Fioną, ale nauczyłam się dostatecznie dużo, żeby podjąć z nią grę. Za każdym razem, kiedy zaczynałam wariować z nudów albo rzygałam nienawiścią do siebie i byłam

gotowa błagać o bilet do domu, wydarzało się coś takiego, co mnie przed tym powstrzymywało.

Robin kupił nowe lamborghini. Zanim weszłam na salę bankietową, dopadł mnie ochroniarz i doprowadził do tylnego wyjścia z pałacu, skąd Robin zabrał mnie na przejażdżkę nowym autem. Wsiadłam, drzwi zamknęły się automatycznie jak włąz w wehikule czasu. Na niskim fotelu czułam się, jakbym leżała na ziemi. Na pierwszym progu szorowałam dupą po jezdni.

Pędziliśmy drogami oświetlonymi tylko naszymi reflektorami, po obu stronach ściany dżungli. Jazdę samochodem z Robinem odebrałam jako nową i szczególną intymność, jakbyśmy byli normalną parą, która gdzieś się właśnie wybierała, może na kolację lub do kina. Tymczasem mieliśmy oczywiście wrócić do tego samego miejsca, w którym spędzaliśmy każdą noc. Zerkałam na Robina patrzącego na drogę. Jakieś napięcie pulsowało pod jego skórą, pod gałkami oczu, w żyłach na szyi. Jakby za wszelką cenę chciał się powstrzymać od przyspieszenia do tysiąca kilometrów na godzinę. Zdawał się nieświadomy mojej obecności. Pomyślałam, że pochłonięty pędem gna dziko prosto przed siebie, żeby znaleźć się w miejscu, gdzie nie będzie księciem.

— Co na to powiesz? — zapytał, wyrywając mnie nagle z tych refleksji. „Myślę, że powinniśmy się urwać i pojechać do Tajlandii, niemal mi się wypsnęło. Nie zabierając nic ze sobą. Kupić ubrania, kiedy się tam znajdziemy, zamieszkać w chatce na plaży w Phuket i skakać do morza z klifów”.

Co na to powiesz? — powtórzył pytanie. Na co?

Pytam o auto — zniecierpliwiał się. Jasne, auto. Jakby nie istniało nic poza tym.

Szukałam w głowie przymiotnika, który by go ucieszył. A naprawdę myślałam: pokraczne, błazeńskie, żalosne. Powiedziałam: „Solidne”.

— Solidne?

Wydawał się niezadowolony.

— Piękne. To piękne auto.

Słowo „piękny” wypływało mimowiednie z każdych ust w Brunei. Wszystko było piękne: dżungla, naszyjnik, dziewczęta, samochody, dzieła sztuki, pałac. I on to posiadał.

Wszystko wyglądało tak samo. Chciał słyszeć, że wszystko jest piękne. Posiadać rzeczy piękne; trzymać je w garści.

Podczas naszej nieobecności zmieniła się trochę paleta twarzy. Najbardziej rzucało się w oczy, że gdy zabrakło Sereny, powrócił na przyjęcia książę Hakeem. Wyglądał jak nadmuchana do granic możliwości lalka, trzy razy potężniejsza od ojca. Robin zostawił mnie przy schodach, sama zeszłam na dół. Przed drzwiami do sali bankietowej zobaczyłam Hakeema z pilotem w ręku, którym wprawiał w ruch miniaturową replikę lamborghini, z jakiego dopiero co wysiadłam. Dwie szczupłe Tajki, które wiekiem i strojem mogłyby uchodzić za nastolatki wybierające się na szkolną potańcówkę,

stały na schodach oparte o siebie ramionami i rozchichotane przyglądały się groteskowemu widokowi.

Przeszłam obok Hakeema i zgodnie z obyczajem ukloniłam się. Czym innym było kłaniać się Robinowi, a czym innym schylać głowę przed facetem w moim wieku bawiącym się wielkim pilotem. Ukłon przed Robinem miał odcień poddania i seksualności. Przed Hakeemem zdawał się parodią.

Miejsce po Serenie zajęły dwie nowe dziewczyny, Delia i Trish. Powitał mnie zbiorowy pisk Tajek. Yoya, Tootie i Liii niemal udusiły mnie w uściskach. Zastanawiałam się, dlaczego są aż tak słodkie w stosunku do mnie. Być może dlatego, że wbrew konwencji często dryfowałam na ich wysepkę, omijając inne w naszym dziewczynskim archipelagu. Przysiadłam na oparciu ich kanapy, na której ledwie się mieściły, i zapytałam, jak po tajsku powiedzieć „proszę” i „dziękuję”. Zachwycone traktowały mnie jak odnalezioną po latach szkolną koleżankę. Niektóre dziewczyny w Brunei były poczciwe, naprawdę słodkie. Fiona przywitała mnie w moim odczuciu ciepło, co w jej wykonaniu mogło sprawiać wrażenie nonszalancji, jednak nie lekceważenia. Robin z kumplami wszedł w momencie, gdy Angélique śpiewała namiętnym głosem przebój *Boltona How Am I Supposed to Live Without You*. Godzinę po ich przyj ściu Eddi e klepnął mnie w ramię. Wyszłam z sali, a ochroniarz zaprowadził mnie do holu z mnóstwem drzwi. Za drzwiami numer jeden nagroda w postaci zapasu na życie autokosmetyków firmy Turtle Wax, za drzwiami numer dwa stosik złotych sztabek, za drz w i am i numer trzy... pokój kąpielowy. Wielki, przeogromny.

W rogu powinien siedzieć malarz orientalista z pędzlem w ręku. Na środku stała wanna wielkości małego basenu, obłożona drobnymi złotymi płytkami, które odbijały błyski światła w lekko zaparowanym powietrzu. Srebrna taca z owocami, ciasteczkami i czekoladkami stała na stoliczku obok wanny. Gumowa kaczka, którą kupiłam Robinowi w Malezji, pływała na wodzie, smętnie przechylona na jedną stronę. Nie chciałam wejść do gorącej kąpieli, żeby się nie spocić przed przyjściem Robina, z drugiej strony było mi głupio siedzieć w łazience w wieczorowej sukni, więc rozebrałam się do naga i położyłam na kozetce niczym odaliska wyjęta z któregoś z obrazów Robina. Jedynym elementem zakłócającym pozór autentyczności orientального haremu był zamontowany na ścianie telewizor z włączoną oczywiście stacją CNN. Zrozumiałam, że Robin chce mi udowodnić, iż nie boi się kąpieli z dziewczyną.

Odniosłam wrażenie, że zaaranżował romantyczne inter-ludium dla nas, lecz wszedł z miną chłodną i surową. Wcześniej w aucie zamienił ze mną zaledwie dwa słowa. Nasza zażyłość z malezyjskiego pobytu się rozwiła. Podejrzewałam, że spotkało go rozczarowanie, gdy po powrocie nie zastał Sereny, chociaż to przecież sam jednym telefonem spowodował jej wygnanie. Nie pozostawiłam mu wyboru. Odkąd wiedział, że Serena ma chłopaka i że ja o tym wiem, nie mógł pozwolić jej zostać. Wyjechała przeze mnie i nie miał kogo za to ukarać, kara musiała spaść na mnie.

Nawet gdyby nie chodziło o Serenę, poznałam go wystarczająco dobrze, żeby się nie dziwić, iż zmienił do mnie

stosunek. Nie musiał mieć żadnego powodu. Denerwowałam się, kiedy wiało od niego chłodem, ale jeszcze bardziej, kiedy robił się uprzejmy. Kiedy był uprzejmy, można było mieć pewność, że wystawia cię do odstrzału. Miałam nadzieję, że póki co spotka mnie łagodniejsza kara.

— Wyglądasz ponętnie — powiedział.

Rozebrał się w pokoju obok i gdy wrócił, odwiesił szlafrok i wszedł do wody, zanurzając się tylko do pasa. Wślizgnęłam się za nim, odwrócił mnie tyłem, nawet nie pocałowawszy. Miałam wrażenie, że uniosę się pod sufit, gdy zaczął mnie rżnąć. W jego intencji miało to być rżnięcie upokarzające, ale nie było. Bowiem im dłużej tu byłam, tym bardziej traciłam kontakt z własnym ciałem. Potrafiłam na życzenie oddzielić się od ciała i zostawić za sobą tylko hologram. Z góry widziałam, jak hologram chwyta za nogę kozetki, żeby utrzymać równowagę. Ale ja byłam wolna. Nie byłam płaszczącym się przed nim obiektem. Nie byłam nawet obiektem podlegającym prawom grawitacji.

Kiedy był już ubrany i gotowy wrócić na przyjęcie, wypróbowałam na nim jedno z zapamiętanych zdań po malajsku. To zachowywałam na specjalną okazję.

— *Aku cinta padaniu* — powiedziałam.

Jak już mówiłam, sułtan chciał, żeby mu possać kutasa, lecz Robin miał zapotrzebowanie na miłość. Ludzie, którzy pragną, by wszyscy ich kochali, są o wiele, wiele bardziej

niebezpieczni od tych, którzy zadowalają się władzą i pieniędzmi. Znacznie trudniej uczynić ich szczęśliwymi. To miłe — rzekł.

Moje słowa niezupełnie odpowiadały prawdzie. Niby go kochałam, ale chyba nie do końca. Czułam coś jak miłość i obojętność równocześnie.

Kiedy wróciłam na przyjęcie, Fiona skinęła na mnie, więc zajęłam miejsce po lewej stronie Robina i czekałam na wyrok.

Rozdział 19

Po dłuższym pobycie w Anglii uczestnictwo w przyjęciach wznowił książę Sufri. Zmieniła się organizacja przyjęć. Zaczynaliśmy wieczory na kortach do badmintonu. To był wielki hangar, jak dla samolotów, z gąbczastą wykładziną, o którą zahaczały szpilkowe obcasy, tak że łatwo było się przewrócić, jeżeli nie podnosiło się stóp wysoko jak clydesdale.

Robin, jeżeli pojawiał się na kortach, to z miną łaskawej tolerancji. Stał z boku ze skrzyżowanymi ramionami i co chwila zerkał w stronę drzwi. Sufri był jednak starszym bratem, więc mu ulegał. Nazywaaliśmy księcia Sufriego Benem. Sympatycznie dla ucha.

Ilekcio na niego patrzyłam, rozbrzmiewał mi w uszach przebój czternastoletniego Michaela Jacksona, słuchany przez nas namiętnie na jednym z letnich obozów.

Początkowo myślałam, że to piosenka o brzydkim przyjacielu, póki moja przyjaciółka Liz nie uświadomiła mi, że jest o szczurze.

Prawdziwy Ben był zeszpecony chorobą skórą, a wy-

glądalo TO tak, jakby obsypały go czyraki wielkości kulek do gry. Ari mówiła, że to następstwo terapii antynowotworowej, w co nie chciało mi się wierzyć, gdyż widziałam wiele osób chorych na raka i nie miały podobnej dolegliwości. Moja nowa współlokatorka, Delia, z którą się zaprzyjaźniłam, wykoncypowała, że to piętno związków kazirodznych w rodzinie.

Nowotwór gardła skończył się laryngektomią i Ben mówił do aparatu wielkości telefonu komórkowego, który nakierowywał na krtań. Z powodu blizny na szyi i zmian na skórze przypominał trochę brodawkową ropuchę mówiącą ludzkim głosem. Guzki napinały skórę, co skutkowało wytrzeszczem oczu. Rzadkie, mysiego koloru włosy sterczały mu kępkami na głowie.

Jego wygląd odrzucał amerykańskie dziewczyny, które trzymały się od niego z daleka w obawie, że mogą się zarazić lub wpaść mu w oko, a w konsekwencji być zmuszone głaskać księżycowy krajobraz jego ciała. Były głupie. Jeżeli ma się wybierać między potworem i playboyem, zawsze wybierajcie potwora. Będzie was lepiej traktował. Chociaż miałam już przydzielony boks w stajni Robina, zaprzyjaźniłam się z Benem. Oddychałam, rozmawiając z kimś nie tak okrutnym i manipulującym, mężczyzną, na którym robiłam większe wrażenie niż kiedykolwiek na Robinie. Patrzyłam na Bena i widziałam siebie z trzewiami na wierzchu.

Yoya i Tootie również kleiły się do Bena i my trzy bardzo się do siebie zbliżyłyśmy. Zdradziły mi swoją opinię o Amerykankach. Uważały nas za rozpaskudzone, niewdzięczne marudy. Nie podobał im się nasz sposób mówienia.

— *But, um, like, totally, ummmmm* — Yoya przedrzeźniała kalifornijskie dziewczyny. Nie było dla mnie taryfy ulgowej. Mnie także uważały za mięczaka.

— Ty także narzekasz. Marudzisz i marudzisz — oznajmiła Tootie z zadowoleniem.

— Ja? Naprawdę?

— Ale i tak cię lubimy — zapewniła. — Jesteś naszą przyjaciółką.

Ben miał swoje ulubienice wśród filipińskich i indonezyjskich dziewcząt, ale nie sędzę, by posuwał się dalej niż do próśb o grę w badmintona w deblach, by mógł sobie nasycić oczy. prostytutki z nagimi stopami i w wieczorowych sukniach grające w badmintona — rzeczywiście było na co popatrzeć. Kiedyś, gdy razem oglądaliśmy takie widowisko, Ben zwierzył mi się, że jest beznadziejnie zakochany w Angélique, ale ona odrzuca jego awanse i zwraca prezenty.

Zwraca prezenty? Zamurowało mnie. Nikt nie zwracał tego typu prezentów. Takie rzeczy ogląda się tylko w kinie. Świadczyło to albo o wyjątkowej porządności Angélique, albo o wyjątkowej odrazie, jaką w niej budził Ben. Lubiłam Angélique i chciałam wierzyć, iż znalazła się kobieta, która nie dała się przekupić, i tu postawiłabym kropkę, żeby nie myśleć, iż znalazła się jedynie kobieta, która nie chciała sprzedać się ropusze.

Ben ustalił porządek, zgodnie z którym po obejrzeniu gry dziewczyn w badmintona, zaganiał całą trzódkę do sali bankietowej na słuchanie z kolei śpiewu Angélique. Póki Ben był na sali, żadna z innych piosenkarek jej nie wymieniała.

To był wielki show Angélique. Po jakimś czasie Ben wychodził... ręce w kieszeniach, spuszczone głowa — niemal demonstracyjnie okazując, że ma złamane serce. Po chwili atmosfera wracała do imprezowej rutyny, jak przed jego powrotem z Anglii.

Obserwowałam go i myślałam sobie, że jako jedynemu z braci dane mu było poznać zwykłe ludzkie doświadczenie, jakim jest nieszczęśliwa miłość. W przeciwieństwie do Robina nie musiał mieć wszystkiego, czego zapragnął, by się potem dziwić, dlaczego nie daje mu to satysfakcji. Być może łatwiej jest żyć brzydacom i odmieńcom, ludziom z zeszpeconymi twarzami i nastolatkom, które jedzą lunch w kabinie w toalecie, żeby nie wchodzić do kafeterii. Nie wszyscy mamy jednakowe wyobrażenia o szczęściu.

Kilka rzeczy się zmieniło po wyjeździe Sereny. Po pierwsze przydzielono mi nową współlokatorkę, porządną, stąpającą po ziemi babkę. Delia była modelką prezentującą kostiumy kąpielowe, z niesamowitą figurą, i chociaż najlepsze lata miała już za sobą, z czego zdawała sobie sprawę, wcale temu, co zadziwiające, nie zaprzeczała. Zamiast ratowania się radykalną chirurgią plastyczną, żeby dostosować wygląd do swojego CV, otworzyła poważną firmę: zdjęcia weselne, ślubne i portretowe. Dzięki na poły autoironicznemu wizerunkowi cheerleaderki i długim, sięgającym zadka blond włosom dopracowała się stabilnej pozycji w Brunei, a taką tylko nielicznym dziewczynom udawało się utrzymać.

Robin wezwał Delię raz i to się nigdy nie powtórzyło, co było standardem, od którego odstępował w rzadkich przypadkach, ale ona przeszła nad tym do porządku dziennego. Znalazła inne sposoby na przetrwanie: przymilanie się do Ari i Eddiego, rolę inicjatorki korowodów podczas dyskotekowej części wieczoru i od czasu do czasu, pod pretekstem upicia się, szaleństwo na parkiecie, by wirująca spódnica odsłaniała nogi. Delia bardziej rzucała się w oczy w Brunei niż którakolwiek z nas, płacąc za to mniejszy haracz diabłu czy komukolwiek, kto go ściągał.

Podczas wizyt w Brunei dygnitarze szukali sposobów, żeby nacieszyć oczy widokiem Delii, znanej ze zdjęć pięknej surferki, a mnie zwykle proszono, żebym jej towarzyszyła. Czasami musiałyśmy siedzieć całymi godzinami przy najwyżej położonym basenie, choć kto mógł, dawno uciekł przed gorącem i duchotą, wyciskającymi ostatnie poty. Zabierałyśmy ze sobą książki, magnetofon i tony kremu z filtrem, żeby nie ulec poparzeniom. Nigdy nie widziałyśmy podglądaczy, ale Madge zdradziła nam, że za przyciemnionymi pałacowymi oknami wychodzącymi na basen znajdują się sale konferencyjne i jadalnie, więc, jak rozumiem, stanowiłyśmy atrakcję dla oka. Poza mną i Delią z tych okien można było oglądać jedynie pawilony gościnne na zboczu wzniesienia i niekończącą się zieleń dżungli otaczającej teren.

Wytypowano nas też do jeszcze innego zajęcia urozmaicającego gościom czas. Któregoś dnia pojawił się w naszym pokoju ochroniarz ze strojami do tenisa i zabrał nas na kort do squasha, gdzie z protekcjonalną miną udzielił nam instruk-

cji jakiś dupek z Dubaju. Nie wiedział, że ojciec włożył mi w rękę raketę do tenisa, kiedy miałam cztery lata. Rzuciłam ten sport jako nastolatka, ale wciąż potrafiłam odbijać piłkę. Okazało się również, że Delia ma nie tylko sportową sylwetkę. Chociaż pozwalałyśmy wygrywać ambasadorom z Dubaju, byli pod wrażeniem i gdy wieść się rozniosła, zostałyśmy osobliwą atrakcją i często byłyśmy wzywane, żeby zagrać z kolejnymi śliniaczami się dygnitarzami. Z trudem mieściło im się w głowach, że kobiety coś potrafią — a mówiąc dokładniej, że coś potrafią dziewczyny takie jak my.

Pomimo pewnej poprawy sytuacji — nieobecności rywalki, zawarcia nowej przyjaźni, zyskania czasem poklasku — nużący kierat codzienności nadwątlał mi psychikę. Robin często mnie ignorował, zamieniając ze mną kilka zdawkowych zdań raz na parę dni.

Spędzałam noce, siedząc obok pustego krzesła i czasem wdawałam się w pogawędkę z Fioną. Bez emocji przerzucałyśmy się plotkami, jakbyśmy siedziały na ławce rezerwowych w grze w krykieta.

Któregoś dnia obmawiałyśmy Yoyę i Liii.

— Zdaje mi się, że Robin zaprasza je do siebie razem, tak jest najczęściej — rzuciła Fiona.

— Naprawdę? To skandal.

— Czyżby? Chcesz więcej skandali?

— Jasne.

— Jak myślisz, ile lat ma Yoya?

— Nie wiem. Wygląda jak dziecko. Siedemnaście?

— Czy siedemnastolatka to dziecko? Zejdź niżej.

— Szesnaście?

— Mniej.

— Co? To straszne.

— Nie dramatyzuj. Jest szczęśliwa, że ma płatne zajęcie. To samo Liii. Ale z Liii jest jeszcze większy skandal niż z Yoyą.

— Mów.

— Liii jest parę lat starsza niż Yoya, ale kiedy była w jej wieku, urodziła dziecko. Nie mogła zostawić go rodzicom, bo o niczym nie wiedzieli. Musiała oddać dziecko do sierocińca, żeby tu przyjść.

— Skąd o tym wiesz?

— Wiem wszystko.

Chciałam się dowiedzieć więcej o tej historii. Czy jest prawdziwa, czy zmyślona? Niestety podszedł Robin i wyciągnął rękę do Fiony, nawet nie zaszczycając mnie spojrzeniem.

Poszli do tylnej windy, wychodząc wcześniej z imprezy. Fiona była teraz jedyną dziewczyną, która wychodziła z nim z przyjęć. Nigdy nie pytałam jej, dokąd idą.

Rozmawiałyśmy o różnych rzeczach, ale nigdy o godzinach spędzanych z Robinem. Nie wiem, co robił z Fioną, więc nie mogłam porównywać moich i jej spotkań z nim. Nic dziwnego, że nigdy nie wiedziałam, która z nas jest aktualnie bardziej przez niego faworyzowana. Ta obustronnie świadoma niewiedza pozwalała nam pozostawać w przyjaźni.

Zapalono wszystkie światła, a ja nadal siedziałam sama, chociaż reszta gości czekała przy drzwiach, żeby wyjść, gdy zostanie już ustalone, że wolno. Obserwowałam bacznie Liii.

Co chciałam zobaczyć? Niezauważoną wcześniej mgiełkę

smutku, potwierdzającą opowieść Fiony? Szczelinę w masce słodczy i uśmiechu, przez którą zajrzę w głąb i odkryję piękną dziewczynę, złamaną tym, co zrobiła?

Łatwo sobie wyobrazić, jaki Liii miała wybór, kiedy nadarzyła jej się oferta pracy w Brunei: mogła zostać dziwką i zatrzymać dziecko, płacąc cenę najmniejszej popularności wśród dziwek, bo płaczące niemowlę nie sprzyja interesom, albo powiedzieć prawdę rodzicom, by zostać i tak okrzyknięta dziwką. Możesz głodować z dzieckiem w Tajlandii albo je zostawić i zdecydować się na orgietki w trójkę z księciem, ale za to zarobisz tyle pieniędzy, ile ci się nawet nie śniło kiedykolwiek zobaczyć.

Jeżeli historia z dzieckiem była prawdziwa, to czy Liii, siedząc tu co noc i patrząc na bąbelki szampana, zastanawiała się, czy mogła pójść inną drogą, czy raczej dziękowała szczęśliwym gwiazdom, że jej dupa spoczywa na wytwornej kanapie i nie jest wbijana w brudny materac w burdelu w Bangkoku?

Przyszło mi do głowy, że być może moja matka biologiczna wcale nie była baletnicą. Jedynie tworem mojej fantazji, gdy puszczałam pozytywkę. Być może rodzice powiedzieli mi, że była tancerką, bo to brzmiało jak bajka, a bajki mają szczęśliwe zakończenia w przeciwieństwie do prawdziwych historii. Być może też wybrała mniejsze zło.

Tamtej nocy nawiedził mnie sen, którego nie śniłam od lat. Jestem dzieckiem, siedzę na plaży w Beach Haven. Bawię się na piasku przy samym oceanie. Dalej od wody opalają się na kocu matka i Johnny. W oddali spostrzegam idącą ku

mnie brzegiem matkę biologiczną. Słońce świeci mi w oczy, więc nie widzę jej twarzy, ale wiem, że to ona. Rzucam okiem na morze i widzę, że spiętrzają się fale. To nadchodzi tsunami, pieniać się białymi grzywami jak na japońskich malowidłach. Fala jest wysoka jak góra i wciąż rośnie.

Chcę się poderwać do biegu, żeby ostrzec matkę i Johnny'ego. Chcę również biec w stronę mojej matki biologicznej, żeby wreszcie dostać odpowiedź, skąd się wzięłam na tym świecie — muszę się spieszyć, zanim fala zabierze nas do oceanu. Gdy klęczę niezdolna do podjęcia decyzji, w którym biec kierunku, nakrywa mnie fala. Koziołkuję na jej grzbiecie. Próbuję przytrzymać się dna, ale nie można uchwycić się piasku. Czuję, jak przesypuje mi się między palcami, między włosami, gdy woda porywa ze sobą wszystko.

Nie dowiedziałam się niczego i nikt się nie uratował.

*

Noc goniła kolejną nudną noc, a ja siedziałam zakotwiczona na krześle jako rezerwowa i starałam się nie wpadać w panikę. Dostrzegałam, że inne dziewczyny też nie wytrzymują subtelnych i sadystycznych gier Robina. Mówiło się, że kiedyś Leanne rywalizowała z Fioną o pierwsze miejsce. Później Robin pozwalał jej balansować między trzecim a czwartym, ale ostatnio nie wzywał jej do siebie od miesięcy. Nie byłam jedyną ignorowaną. Widziałam, że Leanne coraz częściej się upija, chudnie i robi się wrzaskliwa. W ciągu dnia leżała na kanapie w szlafroku, paliła papierosy i oglądała w kółko

Pretty Woman, a wieczorem wyglupiała się, żeby zwrócić na siebie uwagę Robina. Którejś nocy, gdy Robin wychodził z przyjęcia, Leanne po prostu pękła. Rzuciła się na podłogę, rozłożyła plackiem przed nim, chwyciła go za nogę. Zalała się najprawdziwszymi łzami.

— Kocham cię. Kocham cię. Dlaczego nie chcesz widzieć, że kocham cię coraz mocniej? Przypomniało mi się rozstanie z Seanem. „Kocham cię. Nie zostawiaj mnie”. Jakież to było nieoryginalne.

Gdy Leanne zrobiła scenę, chyba po raz pierwszy zobaczyłam wyraz autentycznego zdumienia na twarzy Robina. Zesztywniał. Wszyscy zesztywnieli. Eddie wreszcie otrząsnął się i próbował uwolnić nogę Robina, ale Leanne okazała się silniejsza, niż myślał. Odtrąciła go, uklękła i praktycznie unieruchomiła Robina, oplótłszy go rękami w pasie. Robin nawet nie kiwnął palcem, żeby ją podnieść i pocieszyć. To Madge ostatecznie oderwała Leanne od niego i jakoś nad nią zapanowała.

Robin nie wygonił Leanne po tym incydencie. Sądzę, że nawet mu się to podobało. Taki akt rozpacz, który urozmaicił wieczór. Lecz Leanne się wypaliła. Została jeszcze parę tygodni i wyjechała z własnej woli. Jeżeli to był popis aktorstwa, należał jej się Oscar. Sądzę jednak, że nie grała. Przysięgłam sobie, że nigdy nie posunę się tak daleko. Nie uda mu się złamać mnie do tego stopnia.

Po wyjeździe Leanne rzuciło mi się w oczy, że to Brittany została dziewczyną, która zniknęła z sali, gdy zaczynała się

dyskoteka, i wracała do pawilonu po lunchu. Przyjęłam odmienną taktykę niż Serena. Po pierwsze, metody Sereny się nie sprawdziły, po drugie, nie leżało w mojej naturze nakłanianie do bojkotu i psychicznego dręczenia ludzi. Zamiast tego zbliżyłam się do Brittany i zaprzyjaźniłam z nią. Czy nie tak pogrywała ze mną Fiona? Chyba jednak pochlebiałam sobie. Nie byłam Fiona. Fionę stać było na coś więcej niż tylko lizanie komuś dupy w celu uzyskania informacji. Stać ją było na więcej niż mój mało oryginalny pomysł oswojania wroga. Fiona mnie wykreowała.

Brittany miała wiele do powiedzenia na temat superеле-ganckiej kanapy i sofy dla dwojga, które zamierzała kupić. Białe, białe, koniecznie białe — zawsze marzyła o białej kanapie. Białe kanapy, przy nich lampy z kutego żelaza i z kutego żelaza łoże z baldachimem, przejrzyste białe zasłony we francuskich oknach, powiewające lekko w podmuchach zefirka. Byłam pewna, że ma w głowie aranżacje do wideo, jakie nagra z Vince'em Neilem.

— Rozmawiałaś z Vince'em? — Nigdy nie miała dość tego pytania.

— Teraz jest w trasie. Jest nam ciężko. Bardzo do siebie tęsknimy. Ale wierzę w nas.

— Jesteś dziewczyną wielkiej wiary.

— Vince powiedział mi, że jeżeli najdą mnie wątpliwości, mam usiąść, zamknąć oczy i przywołać jego twarz. Powie-

dział, że wtedy wyczuję, co on robi, i serce mi powie, że jest nu wierny. A gdy się bardzo skoncentruję, wówczas i on poczuje, że właśnie o nim myślę. I wiesz? To działa.

Jeżeli Brittany mówiła prawdę o „rozmowach” z Vince'em, to pozostało mi tylko żywić nadzieję, z życzliwości dla niej, że on nie stosuje takich samych technik psychicznych w nawiązywaniu łączności z nią.

Moja nowa przyjaciółka była równie frapująca jak instrukcja do obsługi zmywarki, ale bywała też użyteczna. Zdradziła mi na przykład swój sekret dotyczący diety. Doktor Gordon, lekarz Robina i stały bywalec przyjęć, dostarczał jej pigułki odchudzające. Jestem przekonana, że Robin o tym nie wiedział, gdyż nie zaaprobowałby skazywania dziewcząt na głodzenie się.

Jeżeli o mnie chodzi, nigdy nie odtrącałam ręki z pigułką. Teraz mogę powiedzieć każdej tego typu osobie: zawsze, ale to zawsze wyrzucić pigułkę. Wtedy jeszcze do tego nie doszłam.

— Mogę dostać jedną?

— Jasne. Świetnie. Zostaniemy kumpelkami od diety. Będziemy razem ćwiczyć.

Będziemy się nawzajem wspierać.

Brittany wyciągnęła małą plastikową buteleczkę, zagrzechotały w niej przejrzyste niebieskawe kapsułki, takie, wewnątrz których migocze milion połyskliwych ziarenek. Położyłam jedną na dłoni i zdecydowanym ruchem wrzuciłam do ust, bo tak właśnie robią niektóre dziewczyny. Daj takiej tabletkę z fiolki z etykietką w obcym języku, a położą ją na języku bez chwili zastanowienia.

— Super — rzekła Brittany. — Zacziesz od jednej dziennie, a potem przejdiesz na dwie. Minęło osiemnaście lat mojego życia, a miałam już za sobą tysiące prób z najróżniejszymi dietami. Zaczynałam, mając lat dziewięć. I nie byłam niestety z tego wyleczona, ani trochę. Raczej zdeterminowana, że dotąd będę się odchudzać, póki siebie nie polubię, do cholery. Uważałam, że to jest możliwe, chociaż wszystko świadczyło o tym, że się nie sprawdza. Nie mówię o dietach; zwykle były skuteczne. Z tym polubieniem siebie szło ciężko i nigdy do tego nie doszło.

Krajobraz mojego ciała w ciągu lat, odkładające się złoża i potem erozje, zmieniał się cyklicznie, a cały proces można by porównać do filmu poklatkowego, którego kilkuminutowa emisja pokazuje zmiany zachodzące przez tysiąclecia. Z natury jestem dziewczuchą solidnej budowy o kobiecych, zaokrąglonych kształtach, z rękami chłopki i biodrami, na których można oprzeć koszyk z praniem. Generalnie kojarzę się z bujnością wiosny, chociaż od czasu do czasu gwałtownie przyoblekam zimową szatę. Lubię stracić liście, jeśli mi się to udaje, i wystawiać na pokaz nagie, ostre gałęzie. Lubię chłodną jak śnieg krew w moim ciele — nie dostarczam mu opału, który mógłby ją rozgrzać.

Zasadniczo jestem dziewczyną pulchną z nawrotami anoreksji i bulimii. I nic nie potrafi mnie bardziej uszczęśliwić niż rozkoszne poczucie kontroli nad ciałem, gdy widzę coraz mniejsze liczby na skali wagi. W szkole średniej imaginowałam sobie, że mogę jak orchidea przeżyć na mikroelementach wdychanych z powietrzem. Próbowałam być coraz bardziej

wiotka, wiotka, wiotka, oderwać się od ziemi oraz od rodziny i hałdy bólu, którym była. Ciężko nad sobą pracowałam. Dopiełam swego. Byłam lekka jak baletnica, moje ręce jak wstążki, klatka piersiowa jak klawiatura. Skóra bladoniebieska, ciało zdematerializowane, tak że wydawało mi się, iż prześwieca przez nie światło natchnienia, światło samego Boga. Gdyby ktoś dotknął mojej klatki piersiowej, wyczułby serce tuż pod powierzchnią, pulsujące w rytmie linii basu w funk, słyszalne jak przez głośnik niskotonowy. Tyle że nikt mnie nie dotykał. Ludzie odwracali oczy. Zauważyłam to, ale się nie przejmowałam. Byłam nieskalana. Nigdy nie czułam się tak czysta.

Usta miałam sine, nosiłam kilka warstw swetrów i napełniałam kieszenie ćwierćdolarówkami na wypadek nieprzewidzianego ataku szkolnej pielęgniarce, która mogła w każdej chwili wychylić się zza drzwi, wciągnąć mnie na wagę i stwierdzić, że wymagam hospitalizacji. Nawet kiedy wiosna ubrała w zieleń błotniste zimowe trawniki, mnie było zimno. Wkładałam botki, owijałam ciało w długie spódnice i halki. Włosy zaplatałam w warkocze i wyobrażałam sobie, że jestem tragiczną, chorą na suchoty bohaterką z powieści Jane Austen.

W szeregowcu w Roseland, w odległości kilku kilometrów od autostrady stanowej numer dziesięć, moja babka również coraz bardziej chudła, w miarę jak rozrastał się i złośliwił jej nowotwór. To był międzybłoniak, nowotwór nabłonka wyściełającego organy wewnętrzne. Zachorowała z powodu wdychania włókien azbestowych wszechobecnych w powiet-

rzy w szkołach w Newark, w których pracowała przez wiele lat jako bibliotekarka.

Trucizna może wniknąć do organizmu na wiele sposobów.

Powiedziała mi któregoś dnia — gdy masowałam łańcuch supłów na jej plecach, bo tak wyglądał kręgosłup — że nie chce widzieć, jak umieram, że jej umieranie jest wystarczająco trudne. Prosiła mnie, żebym zaczęła jeść.

Jej prośba natchnęła mnie do jedzenia ostrożnie odmierzanych codziennych porcji brązowego ryżu, wodorostów i jarzyn. Na pogrzebie babki wygłosiłam mowę ku jej czci i wyjechałam z New Jersey pięć minut po tym, jak opuszczono trumnę do grobu. Babka była moim najlepszym przyjacielem, a przez ostatni rok jej życia na nic nie zwracałam uwagi, zajęta głodówką, obsesyjnie skupiona na sobie. Zapomniałam zapytać, jak wyglądało jej życie, chociaż wiedziałam, że przed upływem roku umrze. Jeżeli ja o to nie pytałam, to kto miał to zrobić? Nie prowadziła dziennika, więc jej wspomnienia przepadły jak skarb zagrzebany pod ziemią bez pozostawienia mapy.

Po dostaniu się na Uniwersytet Nowojorski zaczęłam pić, a chłanie sprzyjało jedzeniu i w ciągu sześciu miesięcy przytyłam dwadzieścia kilogramów albo więcej. Poprzedni rok bezpowrotnie zmarnowałam, wygłodzona i nieobecna duchem, niezdolna nawet do poproszenia babki, żeby opowiedziała chociaż, jak wyglądał Wiedeń przed wojną. Nie tylko że popełniłam zbrodnię, to jeszcze nie wyciągnęłam z tego żadnej nauki. Wciąż myślałam, że tym razem będzie inaczej. I znowu mała tabletką przeszła przez gardło

popiła jednym łykiem mrożonej herbaty, a ja wyobraziłam sobie, że to nie *speeda* połykam, nie truciznę, tylko nadzieję, pomoc.

Brałam pigułki z fenterminą i powoli zaczynałam znowu wpadać w obsesję odchudzania.

Nie byłam w tym odosobniona. Większość dziewczyn w Brunei sięgała po pigułki.

Piliśmy rozwalniające herbatki. Chociaż mogliśmy zamawiać potrawy, jakie tylko dusza zamarzy, wybierałyśmy kurczaka i jarzyny przyrządzone na parze, próbując zapchać żołądek sałatą pokropioną sokiem z cytryny lub octem balsamicznym. To faustowski układ dla kobiet, które czynią swoje ciało źródłem utrzymania. Twoje ciało będzie podziwiane przez innych i znienawidzone przez ciebie. Dla innych będzie źródłem przyjemności, dla ciebie cierpienia. Wciąż wypatrywałyśmy nowej wklęsłości i ubytku, oglądając się w lustrach sali gimnastycznej, gdzie powtarzałyśmy niestrudzenie program ćwiczeń Cindy Crawford, wyświetlany na ekranie wielkości całej ściany, na którym pieprzyk Cindy był wielkości piłki tenisowej. W lustrze bez przerwy podziwiałam swoje wystające obojczyki. Przed wyjazdem do Brunei Penny podarowała mi *Płeć wiśni* Jeanette Winterson, żebym tę książkę zabrała ze sobą. Czytałam ją, a głód ścisnął mi żołądek mimo brania pigułek. Bohaterka powieści, olbrzymka, nosi w sobie ukrytego potwora. Zupełnie jak ja. Tym potworem we mnie był szkielet. Czaił się image anorektycznej dziewczynki, której łokieć

w obwodzie miał więcej centymetrów niż jej przedramię. Uważałam, że ten potwór to moje prawdziwe ja. Głodząc się, stawiałam się sobą. Zredukować się do podstawowych elementów — prawdziwa poezja. Być może Robin nie zauważy zmiany. A może, odwrotnie, wreszcie zaczniesz mnie znowu dostrzegać.

Straciłam blisko siedem kilogramów w ciągu paru tygodni i podczas któregoś nocnego przyjęcia Robin powiedział, że robię się za chuda. Zdradliwość głodzenia się polega na tym, że wprawdzie na początku jest strasznie, ale potem czujesz się wspaniale, póki nie zorientujesz się, że już nie możesz wyhamować. Kiedy Robin zwrócił mi uwagę, ja już przekroczyłam tę linię. Zdawałam sobie sprawę, że tracę szansę u Robina, nie stać mnie już było jednak na postępowanie zgodne z logiką. Nie zamierzałam — nie chciałam — zacząć jeść.

Napędzana efedryną i siłą woli spędzałam całe popołudnia na korcie tenisowym, odbijając wyrzucane przez maszynę piłki. Z tego okresu zapamiętałam szczególnie pewien dzień, kiedy z kortu zesłałam o gęstniejącym różowawym zmierzchu. Parowało ze mnie i byłam cała mokra z powodu duchoty i wysiłku. Poszłam wolno do niżej położonego basenu, zrzuciłam ubranie i wślizgnęłam się do wody. Ochłodziwszy się, wciągnęłam się na pomost i leżąc na plecach, wpatrywałam się w półksiężyc wschodzący nad pałacem. Brunei nocą zapierało dech.

Leżałam w cieniu baśniowego pałacu, oddychając powietrzem tak nasyconym zapachem kwiatów, że powinno się je

butelkować. Jestem szczęśliwa, myślałam. Teraz. Sama. Między ziemią i gwiazdami, między jałowym popołudniem i morderczym wieczorem. Żadnych luster. Żadnych sukni wieczorowych. Nikt mnie o nic nie prosi i sama niczego nie chcę. Ten cudowny moment minął i znowu przyszedł czas na lustra i wieczorowe suknie.

Upłynął miesiąc od ostatniej miesiączki i nic. Czy to możliwe, że jestem w ciąży? O noszeniu w łonie królewskiego potomka marzyła każda dziewczyna, ponieważ to oznaczało, że zostanie otoczona opieką do końca życia. Oczywiście będziesz żyć pod okiem straży. Zainstalują cię w luksusowym apartamencie w Singapurze, już nigdy nie będziesz miała kochanka ani nie pójdziesz na kolację bez szpiega. Ta myśl początkowo mnie przeraziła, potem zaczęłam kombinować.

Oczywiście urodziłabym to dziecko, ale musiałabym najpierw wyjechać z Brunei. Nikt nie mógłby o niczym wiedzieć. To byłby wyłącznie nasz sekret — mój i dziecka. Pewnego dnia powiedziałabym jej, że jej ojcem jest bajecznie bogaty, diabelnie przystojny południowoazjatycki książę i że bardzo go kochałam, jednak musiałam uciec z nią niepostrzeżenie, żebyśmy mogły cieszyć się wolnością. Być może przyszłoby nam walczyć w życiu, ale upływałoby ono pod znakiem miłości.

Myśl o ciąży rozbudziła we mnie nowe nadzieje i zmotywowała do pozostania dłużej w Brunei. Życie w trwałym związku z Robinem przestało nęcić, celem powinno być

zdobyć duży pieniądze. Obejmowałam rękami piersi, uciskając je z boków palcami. Bolało. Wydawały mi się zdecydowanie większe. Zarzuciłam dietę i przemykałam o piątej nad ranem do kuchni, gdzie przy częściowo wygaszonych światłach wpychałam do ust pozostawione na paterze ptysie z kremem. Wcale się tym nie martwiłam, wmówiłam sobie, że mam zachcianki ciążowe.

To nie była ciąża, tylko następstwo głodzenia się. Kiedy zaczęłam jeść za dwoje, przyszła miesiączka. Siedziałam na sedesie, skulona, z głową zwieszoną nad kolanami. Moja sekretna fantazja okazała się w najlepszym wypadku śmiechu warta, w najgorszym oznaczała, że mam niepokojące urojenia. Od miesiący balansowałam na krawędzi depresji i w dniu, kiedy zobaczyłam krew, szala się przechyliła. Bezspornie nie zaszłam w żadną ciążę. Byłam wewnętrznie rozdarta, chora. Nic nie mogło żyć we mnie. Byłam na wskroś zatruta.

Depresja to pełzający wróg jak tlenek węgla, który wciska się przez szczelinę w drzwiach, bezbarwny i bezwonny, pozbawia cię tlenu i zabija cicho, jeżeli nie zostanie wykryty. Nawet nie zadawałam sobie trudu, żeby wstać z łóżka wcześniej niż przed godziną przyjęcia. Potrafiłam nieraz całymi godzinami leżeć w wannie. Nienawiść do samej siebie niebezpiecznie się pogłębiła. Obsesyjnie myślałam o tym, że wszędzie są kamery i podsłuch. Wyobrażałam sobie facetów zaśmiewających się z jakiejś chwili mojej słabości. Myślałam o tych podglądaczach jak o duchach, istotach z innego świata, które naprawdę zagnieździły się w naszych domach, chociaż ich nie widzimy.

Nie mnie jedną prześladowały duchy. Wieść niosła, że są współlokatorami każdego pawilonu gościnnego. Którejś nocy jeszcze przed świtem zbiorowa histeria zapanowała w pawilonie szóstym i dziewczyny wybiegły na zewnątrz, a każda przysięgała, że odwiedziło ją w nocy coś lub ktoś, jakiś fizyczny byt, i to coś wpłynęło do łóżka.

Zastanawiałam się, nie bez odrobiny mizoginii, dlaczego w zbiorowisku dziewcząt nieuchronnie wytwarza się atmosfera podobnego opętania jak w *Czarownicach z Salem*? Z drugiej strony wcale nie byłam pewna, czy dziewczyny nie mówiły

o faktach. Wciąż widziałam cienie przemykające po kątach, w korytarzu zerkałam do tyłu przez ramię. Jakby nie dość było tego wszystkiego, Robin umieścił mnie w zamrażarce.

Siedziałam każdej nocy na krześle, dbając o wytworną pozę

i wymuszając uśmiech, lecz on mnie nic zauważał.

Przestałam to wytrzymywać i zaczęłam błagać o pozwolenie na wyjazd. Powiedziałam Ari, że ojciec ma operację i muszę być przy nim. Operację przeszedł dawno temu, jednakże zawsze dobrze jest kłamstwo zmieszać z prawdą. W ten sposób mniejsze jest ryzyko, że się zapomni, co się nakłamało. Ari okazała zrozumienie i przygotowała wyjazd, nalegając, żebym złożyła obietnicę powrotu za trzy tygodnie.

Gdyby nie mój stan napięcia, mogłabym pozostać dłużej i zgromadzić większą fortunę.

Nie przywykłam jednak do wytrwałości. Nie rozumiałam, jaki los na loterii wygrałam.

Uważałam, że brylanty i jako wartość dodatkowa sto tysięcy dolarów po prostu spadają od czasu do czasu z nieba. Myślałam, że może tam wrócę, a może nie.

Niektóre dziewczyny przyjeżdżały i wyjeżdżały jak weekendowi goście, tylko nielicznym udawało się zadomowić na dłużej. Ja zaczęłam jako królowa balu, a skończyłam jako wariatka na strychu. Okazało się, że jestem bardziej krucha, niż kiedykolwiek sądziłam. Delia, starsza, rozsądniejsza, bardziej zrównoważona psychicznie, próbowała odwieść mnie od decyzji o wyjeździe, ale we mnie postanowienie zapadło. Pal licha wygraną na loterii, musiałam wrócić do domu, żeby nie popaść w obłąd. Robin był w interesach w Londynie, gdy wyjeżdżałam. Nawet nie miałam okazji powiedzieć mu „do widzenia”.

Rozdział 20

Pakowałam się, a fala emocji rosła i opadała we mnie, jak przyływ i odpływ. Jadę do domu cieszyłam się — do normalnego życia, do prawdziwych przyjaciół, do rodziny i przypomnę sobie, kim naprawdę jestem. Czy jeszcze szybciej tu wrócę?

W nocy poprzedzającej wyjazd moje azjatyckie przyjaciółeczki się rozświergotały. Żadna z nich nie wyjeżdżała, by wrócić, jeśli wyjeżdżały, to na dobre. Rozstając się ze mną na zawsze, chciały wiedzieć, co będę robiła, z kim się spotykała, gdzie mieszkam i jaka jest moja rodzina.

Także Winston, z dobrotliwym spojrzeniem zza drucianych okularów, zapytał wprost: — Co będziesz robiła po powrocie do realności?

Zawahałam się, byłam ostrożna. W Brunei narzuciłam sobie powściągliwość jako zasadę. Nawet w kontaktach z Winstonem.

— Tu nie jest realny świat?

— Nie — rzekł z rzadką otwartością. Rzadką, bo wszyscy w Brunei zachowywali się tak, jakby bal miał się nigdy nic skończyć. — To nie jest realność dla nikogo z nas. To sen, z którego każdy się obudzi.

Eddie wyprowadził mnie z sali, usiedliśmy na stopniach schodów wyłożonych brzoskwińnią wykładziną przetykaną szczerozłotą nicią. Wręczył mi tłusty plik singapurskich banknotów, a potem na kolana położył płaskie, prostokątne etui od Tiffany'ego. Otworzyłam je i zobaczyłam biżuterię godną Kleopatry — pleciony naszyjnik i do kompletu bransoleta oraz wiszące kolczyki. Kosztowności już mnie nie szokowały. Byłabym zawiedziona, gdybym po pobycie tutaj nie dostała ekstrawaganckiego prezentu. Poprosiłam Eddiego, by pomógł mi zapiąć naszyjnik.

Wróciłam na przyjęcie.

— Mam nadzieję, że twój ojciec czuje się lepiej — odezwała się Fiona.

Patrzyła na mnie, jakby przenikając wzrokiem.

— Wiem, że niedługo tu wrócisz. Życzę dobrej podróży, nie żegnam się.

Zapakowałam komplet od Tiffany'ego razem z naszyjnikiem z serduszkami, zegarkiem marki Cartier i oprawionym w brylanty rolexem, które wcześniej dostałam od Robina, wrzuciłam kosztowności i pieniądze do torby podręcznej, a ubrania zdołałam upchnąć w cztery walizy. Ari pouczyła mnie, jak bezpiecznie przewieźć łupy i siebie do kraju.

Uścisnęła mnie na koniec, wręczyła mi paszport, bilet do

Stanów i na powrót do Brunei za trzy tygodnie. Dziewczyny z pawilonu stały na ganku za marmurową balustradą i machały na pożegnanie, gdy odjeżdżał samochód.

W Singapurze poruszałam się z pewnością siebie, jakby to nie była dla mnie pierwszyna. Jak osoba, która nawykła przemierzać samotnie ulice w obcym kraju. Wczułam się w rolę tajnego agenta CIA, mówiącego płynnie siedmioma językami i dobrze przeszkolonego do wykonywania tajnych misji. Nawet gdybym się zająknęła, odsłoniła słabe miejsce, wpisywałoby się to w odgrywaną rolę.

Zgodnie z instrukcją udzieloną przez Ari miałam wymienić pieniądze w banku w Singapurze, żeby uniknąć dociekań urzędu skarbowego w następstwie wymiany ich w Stanach. W kolejce w banku każda osoba stała w odległości trzech centymetrów od poprzedniej, tak że wąchałam woszczynowy zapach pomady do włosów faceta przede mną i gumę do żucia kobiety za moimi plecami.

Przestałam być liściem w strumieniu. Widziałam siebie już w połowie drogi do domu, pozostawalo napchać podróżną torbę forszą, reszta to gówno, byle tylko zetrzeć z oczu wspomnienie tamtych ludzi. I nagle panika ścisnęła mi serce, zachwiałam się, nogi ugięły się pode mną. Poczulałam pokusę, żeby się poddać, zapaść w aksamitną ciemność i obudzić się z czaszką na granitowej podłodze. Zaczęłam głębiej oddychać. Zamknęłam oczy. Jest coś takiego we mnie, że gdy zbliżam się do mety, nagle się rozpadam. Powtarzałam na przemian

jak mantrę: „Jesteś liściem w strumieniu” i „Nie nawalaj teraz. Nie. Nawalaj. Teraz”.
Co zrobiłaby Patti Smith? Po pierwsze nie znalazłaby się tutaj. Z pewnością nie. Byłam na wodzie daleko od brzegu bez mojej dobrej matki chrzestnej, która ustawiłaby igłę mojego kompasu. Kiedy i jak to się stało?

Nie nawaliłam. Zgarniałam pieniądze i pakowałam je do torby plik za plikiem, każdy w banderoli. Wyszłam z paczkami setek. Mogłam się w nich tarzać. Znowu zobaczyłam się w filmie szpiegowskim ze mną w roli głównej: idę ulicami Singapuru z torbą wypchaną forszą, sprawdzam w oknach wystawowych, czy ktoś nie podąża za mną. Przywołuję taksówkę, która wiezie mnie do hotelu, gdzie przekazuję wiadomość barmanowi z żółtą różą w klapie, który jest kontaktem. *Cięcie*.

Następne ujęcie: rano w dzień wyjazdu wpycham w rajstopy resztę forsy, która nie zmieściła się w dwóch pasach biodrowych na pieniądze. Wyrzucam wszystkie etui, bo całą biżuterię postanowiłam mieć na sobie.

Ukryłam te skarby pod luźnym dressem i zamieniłam się, niestety, w grubą w pasie babę z rozbieganymi oczami i wielkimi złotymi kolczykami zwisającymi z uszu. Pociłam się jak mysz podczas lotu do Frankfurtu, tam na lotnisku wrzuciłam w siebie porcję chińszczyzny i popiłam whisky Jack Daniel's. Dalsza podróż trwała nieskończenie długo, mdliło mnie nieznośnie, a nie czułam się ani trochę pijana.

Wiele godzin później napłynęły mi do oczu łzy na widok szczytów i prostokątów dolin, i linii mostów, na widok Nowego Jorku z dużej wysokości — komiksowej metropolii Marvela.

Rozdział 21

Wróciłam do promiennego, odsłaniającego kwietniowe pączki Nowego Jorku. Taszczyłam walizy, jedną po drugiej, pokonując cztery razy dwa piętra schodów w górę, i ustawiłam bagaże na środku naszej nory, którą miałam odtąd dzielić nie tylko z Penny, lecz również ze znanym nam obu reżyserem. Penny i Sam stali się parą podczas mojej nieobecności i Sam właściwie osiadł na stałe w naszym mieszkanku z jedną sypialnią, wnosząc do gospodarstwa gofrownicę i praktycznie nic więcej. Obydwoje przywitali mnie, przedstawiając kota znalezione pod pobliską winiarnią, któremu dali na imię Nada, jak nazywał się undergroundowy teatr po przeciwnej stronie ulicy, w którym Penny pracowała w kasie. Potem uraczyli mnie goframi na obiad.

Wypakowałam markowe ciuchy i upchnęłam je w miniaturowej szafie, z framugi odłaziły języki farby. Mój stan posiadania ograniczał się dotąd do futonu na podłodze, przyniesionego ze śmietnika biurka i regału skonstruowanego

z tekturowych skrzynek, gdzie przechowywałam płyty i nieliczne sztuki odzieży. Tkanina w hipisowskie wzory wisiała w oknach. Na każdym wolnym skrawku powierzchni stały świece zapachowe. Z pewnością to nie był pałac. Bizuterię, wartą pewnie ponad sto tysięcy dolarów, schowałam w szafie w pudełku na buty. Czy szczury lubią błyszczące przedmioty, a może słyszałam to o srokach? Czy szczury z kamienicy, tłuste i pewne siebie, wślizgną się tutaj, przegryzą tekturę i umkną z moim kompletem od Tiffany'ego? Ubrania, które nie zmieściły się do szafy, zostawiłam w dwóch walizkach i pod koniec tygodnia zabrałam je ze sobą taksówką do Jersey, bo wykoncypowałam, że znajdę dla nich miejsce na regale w garażu rodziców. Gdy weszłam do domu z walizkami, od razu doleciała mnie woń smażonej cebuli i pieczonego kurczaka. Po raz pierwszy od miesiący wąchałam kuchenne zapachy.

Z kuchni matka zawołała do ojca, który był z tyłu domu:

— Jill jest w domu! — Jakbym wracała z letniego obozu, jakby to nadal był mój dom.

Ja szłam w górę po schodach, ona schodziła, spotkałyśmy się w połowie drogi, wymieniliśmy uściski i niepewne uśmiechy. Okazało się, że przytulenie się do niej wcale nie poszło łatwiej. Zawsze w takiej chwili byłam skrepowana, jakbym witała się z daleką krewną, którą widywałam jako małe dziecko i której w ogóle nie pamiętam. Poczułam się podle, bo przecież to była moja matka, która jak zawsze piekła dla mnie kurczaka. Czas upływał mi poza domem, dystans między

nami się pogłębiał, wydawało mi się, że to skrepowanie minie, a jednak przy powitaniu wróciło.

Ojciec odzyskał niemal w połowie pierwotną wagę i tryskał taką samą jak zawsze maniakalną, nerwową energią. Rzucił się na mnie z radości i przytrzymał w półklinczu, kołysząc się ze mną w przód i w tył. Sadził kwiaty, więc jego koszula pachniała kompostem i trawą.

Dwadzieścia minut później, siedząc na szarej kanapie w pomalowanym na szaro pokoju, patrzyłam przez na pół zasunięte szare pionowe żaluzje na odmieniony krajobraz ogródka od frontu. Pytali mnie oczywiście o podróż, ale zadowolili się mętными relacjami i zaczęli mówić o innych rzeczach. Wydawało się, iż chętnie porzucili ten temat.

— Czy usunęliście płot sprzed domu? — zapytałam.

— Jaki płot? — zdziwiła się matka.

— Nie było tutaj płotu?

— Nie, nigdy — odpowiedziała.

Dziwne. Znałam każdy kąt tego domu: miałam w oczach każdy wzór na porcelanie, grzbiet każdej książki w gabinecie, każdy schowek na chanukowe prezenty, każdą butelkę likieru w barku. Wiedziałam, gdzie ojciec trzyma swój mały pistolet, pamiątkę po swoim ojcu.

Czasami jednak moja pamięć płatała mi figle, jak z tym fantomowym płotem. Tak jakby dziewczynka, która mieszkała w tym domu, nie była mną, tylko bohaterką jakiejś powieści. Historii, której nie potrafiłam sobie przypomnieć.

— Jak długo tu mieszkałaś, kretynko? — dodał ojciec,

nadając epitetowi ciepłe brzmienie. Lubił używać takich słów jak: kretyn i palant, wymawiając je niemal pieszczotliwie.

Parę tygodni wcześniej byłam femme fatale i sącyłam szampana, czekając na powrót księcia do domu po dniu wypełnionym książęcymi obowiązkami. Tu siedziałam jak kretynka, parszywy pryszcz czerwieniał mi na brodzie, miałam znieść jeszcze dwie godziny, zanim przetransportuję dupę z powrotem do miasta. Dokuczała mi nasilająca się migrena i bolało, jakby ktoś zarzucił mi haczyk w gałkę oczną i raz po raz szarpał wędką. Po obiedzie matka jak zwykle przyniosła prezenty. Podarowała mi robiony na drutach beret z jarmarku wyrobów rękodzielniczych, T-shirt ze sloganem feministycznym z podróży do Waszyngtonu z delegacją swojego stowarzyszenia i nefrytowy naszyjnik po babce. Ja dałam jej cartiera, który średnio przypadł mi do gustu. Miałam nadzieję, że ten zegarek będzie jej lepiej służył niż mnie. Chciałam dać jej coś miłego w prezencie. Ja pozostawiłabym pliki dolarowych setek tak, jak je upchnęłam w szufladzie z bielizną i w biurku, ale Sam kazał mi pomaszerować do banku na Canal Street i złożyć je w sejfie. Stanowczo sprzeciwiłam się oddaniu tam mojego rolexa. Chciałam go nosić.

— Dlaczego nie wrzucisz go do East River? — zapytał. — Zapomnij o pracy, w której sprzedajesz duszę diabłu. Zostań z nami. No chodź, zrobimy to. Wrzucimy go do rzeki.

Sam był reżyserem, kochał teatralne gesty. — Nie ma mowy.

Teatralne gesty to mniej więcej to samo, co rzucanie w napadzie furii talerzami o ścianę. Teatralne gesty są pełne dramatyzmu i wymowy, ale potem człowiek czuje się głupio, ponieważ niczego nie zmieniają. Przedmioty nie znikają w następstwie wybuchu; wybuch pozostawia skorupy na podłodze. Ceramiczne odpryski umykają włosom szczotki i po tygodniach wbijają się nagle w twoją bosą stopę. Zegarek ocalał.

Trzy tygodnie minęły niepostrzeżenie, jak to się dzieje zawsze, gdy wchłonie cię Nowy Jork. Iiyło mi sympatycznie z Penny i Samem, rano czytaliśmy „Timesa”, pijąc kawę z ekspresu, który kupiłam. Wędrowałam po Nowym Jorku, robiłam zakupy, chodziłam na lunche z przyjaciółmi, płacąc rachunki.

Kiedy zbliżał się termin wygaśnięcia ważności biletu, zadzwoniłam do Ari, zapowiadając, że muszę zmienić datę. Powiedziałam, że ojciec potrzebuje mojej opieki jeszcze przez kilka tygodni. Prawdę mówiąc w ogóle nie wyobrażałam sobie pakowania się i wyjazdu. Wmawiałam sobie, że potrzebuję trochę więcej czasu, żeby przyjść do siebie. Kupiłam parę kowbojskich butów ze srebrnymi okuciami. Kupiłam stelaż pod materac.

Wpadłam na zwariowany pomysł. Postanowiłam napisać sztukę dla jednego aktora, opartą na moich doświadczeniach pracownika seksbiznesu. Nic specjalnie oryginalnego, ale wtedy wydawało mi się to niezłym projektem. W ciągu dnia

siedziałam w kafejkach i pisałam scenariusz arcydzieła performance. Kupiłam kamerę video. Kupiłam mikrofalówkę.

Po zamknięciu teatru na noc przesiadywaliśmy we trójkę, Sam, Penny i ja, na schodach przeciwpożarowych, popijając baileys i rozprawiając o memach i wirusowym rozprzestrzenianiu się idei. Na drugim krańcu kraju Kalifornią wstrząsnęły rozruchy w Los Angeles. Mówiliśmy, że prawdziwa rewolucja nie jest możliwa, bo ludzie mają wyprane mózgi przez konsumpcjonizm. Do rewolucji mogłoby dojść w następstwie zmiany zbiorowej świadomości. Mówiliśmy sobie, że jeżeli to, co my robimy, nie sprzyja takiej zmianie, to przestaje mieć sens. Odczuwałam wielką ulgę, znalazłszy się w kraju i wśród przyjaciół. Mogłam dyskutować. Mogłam swobodnie oddychać. W ten sposób minęły kolejne trzy tygodnie i znowu przesunęłam datę wyjazdu, mimo że na drugim końcu linii słyszałam zniecierpliwiony głos Ari.

Kupiłam okulary Chanel, w których wyglądałam jak mucha. Kupiłam paralizator, na wszelki wypadek.

Sean odpowiadał na telefony, ale rozwiął moje nadzieje na pogodzenie się. Chcąc odwrócić moją uwagę od Seana, Sam zabrał mnie na spotkanie ze swoim kumplem z Princeton, który miał na imię Andy. Któregoś wieczoru usłyszałam stukanie we framugę nieistniejących drzwi, bo tylko kotara oddzielała mój pokój od reszty mieszkania, i Sam oznajmił, że Andy zadzwonił właśnie z dyskoteki w kompleksie restauracyjnym Windows on the World, dokąd wybrał się

z Mobyem, i pyta, czy nie przyłączymy się do nich. Sam opowiadał mi wcześniej o Andym, niegdyś cudownym chłopcu z talentem kompozytorskim. Pochodził z Teksasu i dotąd pozostało mu upodobanie do sześciopaka i piłki nożnej. Zgodziłam się pójść; akurat nic byłam niczym zajęta.

Wśród cennych umiejętności nabytych w Brunei przydatne okazało się opanowanie sztuki wyszykowania się na dowolną okazję w ciągu zaledwie dziesięciu minut. Ostatnio ufarbowałam się na platynową blondynkę i odkryłam, że uprzywilejowana pozycja blondynki jest obiektywnym faktem, a nie wytworem wyobraźni osoby obciążonej kompleksem niższości. Warto było poparzyć skórę głowy, zniszczyć końce włosów i z konieczności przystrzyc je na krótko, żeby zwracać na siebie większą uwagę. Stałam się Marilyn Monroe. A przy tym zrobienie fryzury zajmowało mi dosłownie pięć minut. Przyzwyczajona do bywania w klubach uczęszczanych przez transwestytów, przykleiłam sztuczne rzęsy, przebrałam się w top bez ramiączek, boty do kolan na grubych platformach i legginsy we wzór zebry. Na miejscu okazało się, że w dyskotece dominuje moda na muzykę techno i workowate spodnie. Czułam się nieswojo wśród nastolatek krążących wokół Moby'ego, wygłodzonych weganek, które obnosiły się ze smoczkami w ustach i śmiesznymi kapeluszami na głowach.

Andy był kompozytorem muzyki elektronicznej i programistą komputerowym i na takiego wyglądał. Miał długie włosy w strąkach, okropnie wystające zęby i bystre szaro-niebieskie oczy. Ze starym szkolnym kolegą, Tomem, założyli niedawno zespół, który nazwali Tomandandy. Tomandandy

stworzyli *buzz*. Skomponowali popularny przebój taneczny. Oni opracowali instrumentację do powalającej sceny w filmie Olivera Stone'a *JFK*. Andy sprawiał wrażenie trochę szurniętego, trochę nieśmiałego, ale za każdym razem, gdy wracałam z parkietu, czekał na mnie z drinkiem w ręku i przy próbach przekrzykiwania muzyki muskał od czasu do czasu wargami moje ucho. To dlatego lubimy w klubach głośną muzykę, pomyślałam. Nie rozumiałam, co mówi, jego głos stawał się częścią muzyki. — Co? — wrzeszczałam.

Znowu się nachylał do mojego ucha.

Tej nocy po wyjściu z dyskoteki wsiedliśmy do zatłoczonej windy, jednej z tych, które mkną z setnego piętra z taką szybkością, że zatykają się uszy. Ta nagle stanęła. Zatrzymała się cicho, bez szarpnięcia czy zgrzytu. Przez kilka minut nie zorientowaliśmy się, że nie jest w ruchu. Jakaś kobieta w żółtej sukience zeszywniała, gapiąc się na nieruchomy wskaźnik piętra. Towarzyszący jej facet, z mocno naželowanymi włosami, podrapał się po karku i zaszurał butami. Któryś z mężczyzn wdał się z nim w polemikę. Mijały kolejne minuty i w windzie zapachniało paniką i potem.

Andy i ja zachowaliśmy spokój. Usiedliśmy na podłodze i zaczęliśmy gadać, jakbyśmy byli sami.

— Sam powiedział mi, że właśnie wróciłaś z Singapuru.

— Z Brunei. Byłam w kraju, który nazywa się Brunei.

— Sułtan Brunei.

— U niego.

Starłam się wyjaśnić, na czym polegała moja praca,

trzymając się prawdy, ale nie powiedziałam wszystkiego. Tylko że byłam królewskim gościem, kanapową dekoracją na nocnych przyjęciach. Czekałam na jego reakcję, ale z tego, co widziałam, nie było żadnej. Zachowywał się tak, jakbym opowiadała mu o pracy wolontariuszki w szpitalu dziecięcym. Był unikatem niczym jednorożec, bo wszyscy mężczyźni jakoś reagują, każdy na swój sposób, gdy kobieta ujawni, że jest z seksbiznesu. — Gdybyśmy zostali uwięzieni w tej windzie na trzy dni i głośnik w windzie zaciąłby się na jednej melodii, jaką byś chciał słyszeć? — zapytałam tuż przed włączeniem się instalacji i wznowieniem przez zawieszone pudło, w którym siedzieliśmy, jazdy w dół. — Bruckner — odparł. — Chciałbym siedzieć tu z tobą i słuchać Brucknera. Miał jeden punkt przewagi nade mną, ponieważ słyszał 0 sułtanie Brunei, a ja nie wiedziałam, kto to jest Bruckner. Po dojechaniu na parter wyszliśmy w noc, obydwójce padający z nóg, ale złączeni wspólną ulgą, że uniknęliśmy nieszczęścia. Finansowy dystrykt, opuszczony przez swoich bankierów i dyrektorów, wyglądał jak dumne ruiny zagubionej cywilizacji. — Chcę ci coś pokazać — powiedział. Wziął mnie za rękę, poprowadził do martwego serca tego miejsca, między wieżowce, i położył się bez słowa na ziemi. Położyłam się obok. Patrzyliśmy na identyczne monolity dotykające niskiego pułapu zachmurzonego nocnego nieba, kołyszące się lekko na wietrze. Uważałam, że to złudzenie optyczne.

— Nie — rzekł. — Budynek jest konstrukcyjnie bardziej wytrzymały, jeżeli odchyła się odrobinę od pionu.

Na całe lata zapamiętałam tamtą noc. Nowy Jork skrzył się za ścianą z szyb. Wydawało się, że całe miasto oddycha w rytm tanecznego beatu dudniącego w dyskotecę, która parę godzin wcześniej była elegancką salą restauracyjną. W tejże restauracji siedziałam z rodzicami jako mała dziewczynka. Jedliśmy tam kolację któregoś wieczoru po obejrzeniu baletu. Być może było to *Jezioro łabędzie*.

Zapamiętałam również, że podczas gdy inni ludzie w windzie zrobili się agresywni i zaczęli się kłócić, my siedzieliśmy w samym środku tego i rozmawialiśmy o Brucknerze. Kiedy blisko dziesięć lat później patrzyłam, jak wałą się wieżowce, myślałam o tamtej nocy, kiedy zatrzymała się winda w World Trade Center, o nocy, kiedy poznałam Andy'ego.

*

Następnego wieczoru Andy zaprosił mnie do Tomandandy studio — do super loftu w SoHo, jeszcze w stanie renowacji. Wsiadłszy z taksówki, czujnie lawirowałam w szpilkach na brukowanej ulicy. Jego studio zajmowało całe poddasze starego budynku na rogu Spring i Green.

Kiedy otworzyły się drzwi windy, ukazały się moim oczom wygłodzone weganki z poprzedniej nocy, opierające się o parapety w korytarzu, z papierosami w ustach. Z jakiegoś powodu nie było światła, chyba wymieniano instalację elektryczną. Sylwetki dziewczyn w biodrówkach były widoczne dzięki oświetleniu z ulicy, a ich twarze rozświeślały trochę

zarzące się ogniki papierosów. Przeszłam obok i znalazłam się w przeogromnej hali śmierdzącej świeżą farbą. Środek, zastawiony sprzętem komputerowym i muzycznym, skojarzył mi się z chaotycznie zabudowanym miasteczkiem. Źródłem skąpego oświetlenia był buczący generator prądu, podłogę pokrywała płatanina kabli.

W rogu hali, oblany niebieską poświatą z ekranu, siedział Andy. Odwrócił się do mnie i w swoim wilczym uśmiechu pokazał kły tak wystające i ostre, jakby wyrastał mu dodatkowy rząd zębów, nakładający się na ten pierwszy. Już wtedy wiedziałam, że spoglądam na fragment mojej przyszłości.

Krążąc w półmroku wśród towarzystwa zebranego w lofcie, od jednej grupki do drugiej, poczyniłam ciekawe spostrzeżenie. Nawiązałam rozmowę z producentem filmowym z Brooklynu i jego przyjaciółką z importu, norweską modelką. Od producenta usłyszałam, że Andy to jego najlepszy przyjaciel. Dyrektor agencji eventowej powiedział mi to samo. Podobnie programista systemu Unix i praktycznie wszyscy, z którymi rozmawiałam. Później zorientowałam się, że o Andym jako o swoim najlepszym przyjacielu mówią ludzie, których nazwisk prawie nie znałam, i odkryłam powód: Andy był najwspanialszym słuchaczem na świecie. Stwarzał z łatwością klimat intymności i obcy ludzie przy barze wyjawiali mu swoje sekrety, rywalizowano często o jego względy. Znajomi Andy'ego pozostawali z nim w zażyłych stosunkach, a do siebie byli nastawieni wręcz wrogo. Andy i ja wymknęliśmy się z imprezy i poszliśmy na

spacer. Obściskiwaliśmy się pod kopułą rusztowania w jakimś zaułku w TriBeCa. Zdałam sobie sprawę, że Andy to rzadka okazja. Trzeba było tego maniaka komputerowego trochę przerobić, lecz to wydawało się drobnostką. Po jeszcze paru randkach wcisnęłam się w jego życie, stając się codzienną instalacją w jego studio i przyczyną niezliczonych dramatycznych napięć między nim i Tomem, jego partnerem w biznesie. Wpasowałam się gładko w utrwalony schemat: wszyscy kochają Andy'ego i nienawidzą się nawzajem. Zakochałam się, to była prawdziwa miłość, miałam prawdziwego kochanka. Często myślałam o Robinie, w ogóle za nim nie tęskniąc. Kiedy po raz kolejny wygasła rezerwacja biletu, po prostu nie pojawiłam się na lotnisku. Nie zadzwoniłam do Ari. Wyrzuciłam bilet do śmieci i zrobiłam start w nowe życie, jakby dawne w ogóle nie istniało.

*

Andy był absolutnie fascynujący, zarabiał kupę forsy i na ogół robił to, co mu mówiłam, więc w moich oczach był idealnym kochankiem. Po miesiącu zamieszkaliśmy razem. Mój kuzyn z agencji nieruchomości znalazł nam apartament na rogu Mott i Houston. Najbrzydszy chyba apartamentowiec w całym Nowym Jorku, jeden z tych ceglanych klocków z tandetnym mosiężnym zdobnictwem i lśniąca granitową posadzką w lobby. Szkaradzieństwo, lecz niestety prekursor tego typu okropieństw wyrastających w śródmieściu, wdzierających się coraz dalej i dalej na wschód w stronę rzeki, nieuchronnie pokrywających całą Lower East Side tanią

zabudową mieszkalną, gdzie lokale użytkowe na poziomie parteru zajmowały sklepy Gap i restauracje Jamba Juice.

Polowanie na apartament w Nowym Jorku byłoby jednakże horrorem, jakiemu nie potrafiłabym sprostać; niecierpliwa z natury, skorzystałam z pierwszej lepszej okazji, jaka się nawinęła. Miniaturowe białe mieszkanko z jedną sypialnią i ciągiem kuchennym wzdłuż jednej ściany pokoju dziennego.

Spakowanie się i przeniesienie mojego pokoju z mieszkania Penny w nowe miejsce zajęło mi około pięciu godzin. Ja korzystnie wpłynęłam na Andy'ego i stworzyłam mu dom, on płacił czynsz i podarował mi siebie do kochania. Nabyliśmy pytona. Kupiłam łóżko, toaletkę i kanapę w tanim sklepie meblowym na Sixth Avenue. W weekendy przyjeżdżali rodzice, żeby zjeść ze mną lunch, a matka konsekwentnie zapełniała moją lodówkę porcjami lasagne i rosółu z kurczaka. Odgrzewałam je dla nas na obiad i nazywałam to gotowaniem. Wyglądało na to, że wszyscy jesteśmy dorośli.

Poniekąd spełniały się moje fantazje: normalne życie dwojga kompletnych wariatów. Dziwka z psyche artystki (lub artystka z psyche dziwki, zależnie od dnia) i geniusz komputerowy wyruszali w dzień na podbój świata, a spokojne wieczory spędzali w domu, oglądając klasykę filmową i zajadając się lodami Chunky Monkey. Tak wyglądały nasze wieczory bardzo rzadko, tylko wtedy, gdy zechciał sprzyjać temu układ gwiazd. A naprawdę spędzałam wieczory samotnie. Andy był pracoholikiem i prawie nigdy nie było go w domu. Wmawiałam sobie, że to idealny układ, gdyż jestem

dziewczyną z ambicjami. Nie tylko Andy robił karierę. Ja musiałam myśleć o własnej. Zgłaszałam się na castingi i kilka godzin w tygodniu poświęcałam na wolontariat w The Wooster Group. Zapisywałam całe bruliony pomysłami na scenariusze teatralne. Popołudniami najczęściej chodziłam do pracowni Andy'ego i przesiadywałam tam na zrobionej na zamówienie pomarańczowej kanapie, jedząc sushi i przyglądając się, jak Andy komponuje na swoim wyrafinowanym oprzyrządowaniu komputerowym. Podziwiałam jego talent, naturalność, cholerną bystrość. Zazdrościłam mu. Nie musiał popisywać się na castingach ani pieprzyć się za pieniądze, ani udawać, że jest kimś innym, niż jest naprawdę, ani lizać nikomu dupy, ani błagać o rolę, pracę, szansę. Wystarczyło, że jest Andym. To dostaje od świata osoba wyjątkowa. Reszta musi pracować ciężiej. Jeżeli pozostanę tylko sobą, myślałam, będę po prostu Jill, zajdę donikąd. Nie używaliśmy środków antykoncepcyjnych. Pomijając moją histeryczną ciążę w Brunei, żyłam w przekonaniu, że w ciążę zajść nie mogę. W następstwie głodzenia się w okresie szkoły średniej nie miesiączkowałam przez cały rok. I potem już nigdy nie miałam regularnego okresu. Uznałam, iż moje organy wewnętrzne jak kamień nigdy nie dadzą życia. Więc to nie brak miesiączki mnie zaalarmował; ja po prostu czułam i wiedziałam. Nasikałam na patyczek testowy, wyszedł mi wynik negatywny. Ponawiałam próby z tym samym rezul-

tatem, a lekarz zapewniał mnie, że testy nie kłamią. Kiedy w końcu zażądałam badania krwi, byłam już w trzecim miesiącu ciąży. Andy zupełnie się nie przejął, kiedy pojawiłam się u niego w pracowni z nowiną o ciąży. Pocieszył mnie jednym słowem, przytulił i powrócił do pracy, zostawiając mnie przed pomarańczowymi drzwiami windy z gapiącą się na mnie recepcjonistką.

Musiałymy być spod antagon i stycznych znaków zodiaku albo coś takiego, ponieważ jeżyłyśmy się przy każdym kontakcie. Ona nie odbierała moich telefonów, kiedy Andy nie życzył sobie, żeby mu przeszkadzano. Zaprzeczał, ale wiedziałam, że to prawda. Zawsze unikałam okazywania publicznie słabości i emocji ze szczerym zamiarem zajęcia się swoimi uczuciami na osobności. Bezpieczna w domu, nie znajdowałam jednak w sobie tego, co odłożyłam na później. Udawanie tym właśnie grozi. I co najważniejsze, łatwo zapomnieć, o co w ogóle chodziło jakiej twarzy tak naprawdę nie chciało się pokazać. Andy założył z góry, że usunę ciążę, ponieważ jego mentalność nie dopuszczała innej opcji. Kiedy tamtego dnia wrócił do domu, późno zresztą, od razu przystąpił do konkretów, chcąc ustalić, kiedy będzie musiał wyrwać się z pracy, żeby pojechać ze mną do kliniki, i czy zajmie to cały dzień, czy pół dnia. Zrobiłam mu kanapkę z bekonem, sałatą i pomidorem. Siedział na naszej głównianej rozkładanej kanapie. Kupiłam ją na etapie udowadniania sobie, że potrafię być

oszczędna. Była straszna, pokryta czarnym płótnem, niewygodna, z nierównościami i zjeżdżały z niej poduszki. Musieliśmy je poprawiać dziesięć razy dziennie. Ten ponury albatros był dominującym obiektem w pokoju dziennym. Aktem oskarżenia przeciwko mnie, widomym świadectwem, że niczego nie potrafię zrobić dobrze. Nie byłam kobietą choćby na tyle, żeby wybrać przyzwoitą kanapę.

— Nie wiem, czy chcę się pozbyć ciąży — powiedziałam. Andy zwykle zgadzał się z moimi życzeniami bez protestów.

Był swego rodzaju mistrzem. Ludziom w jego otoczeniu wydawało się, że narzucają mu swoją wolę, a w rzeczywistości wszyscy koło niego skakali. Mogłam urządzić mieszkanie, jak chciałam, ale wszystko od a do zet musiałam zrobić sama. Na tym polegał haczyk.

Jeżeli cokolwiek nie wyszło, jak kanapa, Andy nigdy nie był winien.

Tym razem jednak poznawałam go z zupełnie innej strony. Podejmującego szybką i stanowczą decyzję. Okazywało się, że potrafi mieć własne zdanie. Być może cały czas miał pogląd na każdą sprawę, tylko się z tym nie ujawniał.

— Jeżeli chcesz mieć dziecko — powiedział — zajmiesz się nim sama beze mnie.

W szkole średniej jeździłam autobusami do Waszyngtonu, żeby brać udział w marszach przeciwko zwalczaniu legalnej aborcji. Kiedy Operation Rescue, wojująca organizacja broniąca życia, przypuściła szturm na Nowy Jork podczas Konwencji Demokratów, zgłosiłam się do National Abortion Rights Action League, ogólnokrajowego ruchu proaborcyjnego, jako wolontariuszka do obrony klinik przed pikietami.

Zbieraliśmy się przed klinikami o szóstej rano, tworzyliśmy kordon, trzymając się za ręce, by idące do lekarza kobiety chronić przed wrzeszczącymi pikieterami, posługującymi się drastycznymi obrazami i napisami. Rzadko kiedy towarzyszyło mi poczucie uczestnictwa w walce o dobro przeciwko złu. My mieliśmy rację, oni nie.

Andy nigdy nie dowiedział się, jak bardzo pragnęłam mieć to dziecko, jak bardzo moje serce buntowało się przeciwko decyzji rozumu. Miałam dziewiętnaście lat i mój kochanek nie chciał dziecka. Wolałabym raczej nałykać się gwoździ, niż prosić o pomoc rodziców. Moje przyjaciółki były nastawione na robienie kariery artystycznej. Wybór był przesądzony.

Siedziałam u Penny w kuchni, dawniej także mojej, piłam herbatę.

— Będziesz miała poczucie straty — powiedziała. Sama przerwała ciążę kilka lat wcześniej. — Nie żałuję decyzji, ale wciąż mnie to prześladuje.

— Przed dziewiętnastoma laty moja biologiczna matka odbywała zapewne podobną rozmowę, również ze swoją najlepszą przyjaciółką. Znalazła inne rozwiązanie.

— Była inną dziewczyną, żyła w innych czasach. To twoje życie, a nie jej.

Rozważając tę decyzję, myślałam o swojej matce biologicznej częściej niż kiedykolwiek przedtem. Przestałam wyobrażać ją sobie jako długonogą baletnicę w kręgu światła na scenie; stała się zwykłą dziewczyną, jak ja niedoskonałą i wystawioną do wiatru.

Zastanawiałam się, czy podobnie

żywiła odrobinę nadziei, że jej kochanek zmieni front i powie, iż nie zostawi jej samej. Że podniesie wzrok i w jego oczach zobaczy błysk, oznaczający zmianę. Że on złoży z siebie dar, a ona z siebie. Zostaną cygańską rodziną. I w jej życiu znajdą oszałamiające i zaskakujące zmiany.

Kiedy, będąc w Brunei, przypuszczałam, że jestem w ciąży, decyzja o urodzeniu dziecka, niezależnie od wszelkich trudności do pokonania, wydawała mi się prosta, szlachetna.

Prawdopodobnie w podświadomości tkwiło przekonanie, że nie jestem ciężarna.

Myślałam również o matce adopcyjnej. Jako świeża mężatka odkurza brązowy dywan w mieszkaniu w New Jersey, upływa miesiąc za miesiącem, a w jej ciele nic nie kiełkuje, jej brzuch pozostaje pusty, niepoddający się woli. Każdego miesiąca liczy skrupulatnie dni i godziny, potem miejsce lekarzy zajmują prawnicy i stworzenie rodziny okazuje się przedsięwzięciem zakrojonym na tak wielką skalę, że ani jej, ani ojcu nawet się to nie śniło.

Wreszcie jest dziecko, doskonałe i zdrowe w jej ramionach. Opatulone w różowy kocyk śpi podczas całego lotu z Chicago do Nowego Jorku, oddycha równiutko i pachnie jak słodka upudrowana nowość. W życiu mojej matki zachodzą oszałamiające i zaskakujące zmiany. Przez krótki moment jest szczęśliwa.

Kończyło się lato i zaczynał wrzesień — mój ulubiony miesiąc w Nowym Jorku.

Powiedzcie, co robiły na moim miejscu dziewczyny z głową na karku, w okresie postfeminizmu, dziewczyny z perspektywą

kariery? Po pierwsze pilnowały się, żeby nie dać sobie zrobić dziecka, ale gdy już im się to zdarzyło, szły z determinacją do ośrodka świadomego rodzicielstwa i dokonywały wyboru, mając do tego prawo, o jakie walczyły ich matki. Potem decydowały się na ten krok i być może poddawały się psychoterapii. Robiły to i godziły się z trwałą blizną, ale i tak to robiły.

Dziecko to niewyobrażalne obciążenie. W wieku dziewiętnastu lat rodziły dzieci tylko dziewczyny z biednych rodzin miejskich i ze Środkowego Zachodu, dziewczyny, które zdawały sobie sprawę, jak mato jest prawdopodobne, że ich przyszłość będzie się różniła od życia ich matek. Moja matka jednak ugruntowała we mnie wiarę w to, że moje życie będzie bez wątpienia inne niż jej.

„Moje ciało, mój wybór” lak krzyczałam na schodach Kapitolu Stanów Zjednoczonych. I tak się stało. Dokonałam wyboru i samotnie wchodziłam na drugie piętro budynku gdzieś w Midtown Manhattan.

Siedziałam na zimnym korytarzu w szpitalnej koszuli i jednorazowych kapciach, wykręcając szyję w stronę telewizora z *Batmanem* na ekranie. Kobiety, które czekały ze mną, rozmawiały między sobą ze szczerością, jaką zwykle objawiają w salonach manikiuru, na sali gimnastycznej, w poczekalni u lekarza. Kobieta siedząca naprzeciwko była Latynoską z zielonymi oczami i skórą o barwie kakao. Była dość gruba w pasie, za to miała szczupłe i kształtne nogi, ale

pokryte gęsią skórą. Opowiadała sąsiadce, że ma już troje dzieci, a zaszła w ciążę mimo stosowania pigułki antykoncepcyjnej.

— Moja dupa jest w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach niezawodna — prychnęła. Każde kubelkowe plastikowe krzesło było zajęte. Ramionami dotykałam ramion kobiet siedzących po mojej prawej i lewej stronie. Z nikim nie rozmawiałam.

Geny Andy'ego, myślałam. Jego cudowne, wspaniałe geny muzyka. Uświadamiałam sobie, że jestem na skraju czegoś nieodwracalnego, posuwam się znacznie dalej niż w obliczu jakiegokolwiek dokonywanego dotąd w życiu wyboru. Coś we mnie lodowaciało, umierało. Być może ta część mojego ja, która mocno wierzyła, że jestem przyzwoitym, porządnym człowiekiem, że się lepiej sprawdzę w życiu niż moje obydwie matki, że zaświecę światłem o niewyobrażalnie większej mocy. Że wyprzedzę je o tysiące kilometrów.

Zamiast tego szurałam kapciami po tamtym korytarzu, nie lepsza od jednej i drugiej. Gorsza. Nawet gorsza.

Adoptowanemu dziecku powtarza się często, że to wielka miłość matki do niego skłoniła ją do oddania go w ręce innych dla zapewnienia mu lepszego życia. Może to i prawda. Być może prawda jest taka, że gdyby kochała troszkę bardziej, zatrzymałaby je przy sobie.

Nie kochałam wystarczająco mocno mojego dziecka. W tych ostatnich jednak momentach pokochałam je. A w mojej głowie przewijał się film: „fazy rozwojowe płodu”, wspomnienie gipsowych odlewów, które widziałam na wystawie w Mu-

zeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku, dokąd zabrał mnie ojciec, żebym zobaczyła cud życia.

Jak ona wygląda? Jej powieki. Jej uszy. Jej rączki spoczywające na malutkim, bijącym serduszku.

*

Leżałam na stole w małym pokoju zabiegowym z nogami w strzemionach, koszulą podciągniętą do pasa i ręcznikiem papierowym udrapowanym na udach. Zawsze był kłopot z moimi żyłami. Anestezjolog wzdychał zniecierpliwiony, wkłuwając się po raz kolejny. — Gdyby pani przestała się trząść, igła weszłaby gładko.

Cichutkie łzy płynęły mi po skroniach i ginęły we włosach. W końcu zapiekło mnie w zgięciu łokcia, poczułam kulkę w gardle, a potem opatulającą senność.

Nim z półmroku snu zapadłam w czarny niebyt, przez krótki moment śniłam o szpitalu, o ojcu. „Nie musisz widzieć żyły, masz ją wyczuć”. Jeden z nawracających snów, ten przynajmniej karmiony po części konkretnym wspomnieniem.

Miałam dwanaście lat, gdy wykryto u mnie torbiele jajników, a były tak bolesne, że lekarze rozważali usunięcie przydatków. Co i rusz trafiałam do szpitala i wcale mi to nie przeszkadzało. Wolałam szpital niż szkołę. Wszyscy się mną przejmowali, przynosili mi batony czekoladowe, jadałam śmieszne strączki fasolki szparagowej, do białego chleba dostawałam maselka w sreberku i przez cały dzień w piżamie

oglądałam telewizję. Tata brał w pracy urlop, żeby być przy mnie. Również lubił szpitale. Bo w ogóle prawdziwą jego miłością była medycyna. Zostałby lekarzem, gdyby nie jego niezdolność do koncentracji i brak cierpliwości, no i złe maniere przy łóżku chorego. Dlatego, jak mówił, wylądował w finansach.

Niedoświadczony pielęgniarz dźgał mnie igłą w ramię. To była oczywiście najmniej przyjemna strona pobytu w szpitalu. Odwróciłam głowę, podobnie cichutkie łzy płynęły mi po policzkach. Ojciec obserwował to z naprzeciwka, aż wreszcie opanowała nim wściekłość i nie bacząc na maniere, chwycił faceta za kołnierz laboratoryjnego fartucha, poderwał go z krzesła w górę i rzucił nim o ścianę. Trzymał go za gardło i z palcem groźnie wymierzonym w jego nos syknął:

— Nie musisz widzieć żyły, masz ją wyczuć.

Zostawił gościa i usiadł przy mnie, delikatnie i wprawnie wymacał żyłę w zgięciu mojego łokcia i zrobił zastrzyk za pierwszym podejściem.

Nie jestem pewna, czy to wydarzyło się naprawdę, czy to jakieś majaki, ale wiem, że gdy ta scena powraca w moich snach, wówczas bardzo kocham ojca.

Andy przyjechał po mnie do kliniki. Popłakał się w windzie, gdy spojrzał na moją twarz, ale podrzuciwszy mnie do domu, pognął z powrotem do pracy. Wrócił późno z lodami Bcn&Jerry's i przeniósł telewizor do sypialni, łamiąc wprowadzoną przeze mnie nienaruszalną zasadę: nie oglądamy

telewizji w łóżku. Cierpiałam. Nie czułam bolesnych skurczów, chociaż mnie uprzedzali, że mogą wystąpić. W ogóle nie czułam skurczów. Czułam, jakby coś wyszarpywało sobie pazurami drogę ze mnie. Zmieniałam co chwila zakrwawione podkłady. Andy znalazł kogoś znajomego, kto miał wikodynę. Wzięłam jedną tabletkę. Potem drugą i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przestałam czuć cokolwiek i spłynął na mnie miłosierny sen bez snów.

Kiedy się obudziłam, zobaczyłam na prześcieradle, na którym leżałam, wielką ceglastą plamę, brązową na brzegach, gdzie krew zasychała. Coś było nie tak. Wzięłam jeszcze dwie tabletki i pomyślałam sobie, że gdybym miała wikodynowe drzewo, zniknęłyby wszystkie moje problemy, wsiąkając w ziemię jak masło w tost.

Ponieważ po południu krwawienie jeszcze nie ustąpiło, zadzwoniłam do lekarki, pozostawiając wiadomość. Przymierzałam się do pójścia na ostry dyżur, ale na myśl o oddziale ratunkowym w nowojorskim szpitalu w sobotni wieczór sięgnęłam po buteleczkę z wikodyną i na powrót wlałam do łóżka, podkładając pod siebie ręczniki. Upłynęło kilka dni, zanim krwawienie się uspokoiło. Lekarka poinformowała mnie, że to są „pozostałości po aborcji”, resztki tkanek ciążowych, które nie zostały do końca usunięte. Pozostałości. Próbujesz wyeliminować negatywne konsekwencje swoich czynów, lecz zawsze coś pozostaje. Powiedziała, że to niegroźne — bolesne i dokuczliwe, ale niegroźne w skutkach. Teraz zastanawiam się czasem — po niezliczonych wstrzyknięciach w brzuch potężnych dawek hormonów, wędrowaniu

od kliniki do kliniki i poddawaniu się najróżniejszym procedurom leczenia niepłodności, jakby wyjętym z horroru *Species* — czy tamta lekarka miała rację.

Otuliłam się termoogrzewaczem i oglądałam serial *Prawo i porządek*. Obejrzałam jeden odcinek i następane, w ciągu dnia nie wyłączałam telewizora. Lekarka z kliniki powiedziała, że powinnam móc wstać z łóżka po dwóch dniach, więc Andy nie potrafił zrozumieć, dlaczego leżałam aż dwa tygodnie, gapiąc się w telewizor. Przyczyną nie był ból. Ten ustąpił po kilku dniach. A potem odstawiłam wikodynę, lecz nie zapadłam w błogi letarg, tylko osunęłam się w czeluść, krater, czarną dziurę, której brzegi wyłożone były „pozostałościami”.

Pragnęłam w tej czarnej dziurze ulec kompresji i skurczyć się do takich rozmiarów, by zapadając się pod własnym ciężarem, eksplodować na bilion cząsteczek, wraz z moją arogancją i beztroskimi decyzjami, bezbrzeżnym smutkiem i tym ciężkim kamieniem, który zawieszony był w moim gardle. Pragnęłam się poddać i zniszczyć własne ja, miotające się i bezrozumne, którego nie potrafiłam okiełznać. Mój własny Wielki Wybuch. Proszę, błagam — ktokolwiek jest władny to spowodować — niech się rozpadnę na kawałki i zacznę wszystko od nowa.

Rozdział 22

Nazywała się Carrie Gardner. Brzmiało dźwięcznie, pogodnie, zwyczajnie, kojarzyło się ze Środkowym Zachodem — imię i nazwisko kasjerki na lotnisku, kelnerki w jakiejś restauracji Outback Steakhouse, wychowawczyni w przedszkolu.

Przez dobre parę tygodni, powoli i na dygoczących nogach, wydobywałam się z marazmu. Za radą Penny zaczęłam chodzić na regularne wizyty do psychoterapeuty, który nazywał się Paul Pavel. Jeździłam codziennie linią A do jego apartamentu w Uptown Manhattan. Był człowiekiem tryskającym pogodą ducha, ratował przed zamrożeniem zwierzęta w Central Parku, sam został uratowany przez żołnierzy amerykańskich, którzy, wyzwalając obóz koncentracyjny, znaleźli go w śniegu niemal zamrożonego na śmierć. Paul wyciągnął do mnie rękę, pomocną rękę z wytatuowanym ramieniem, i mnie rozmroził. Był przekonany, że moje biologiczne pochodzenie ma

większe znaczenie, niż chciałam to przyznać. Widział związek między utratą matki biologicznej i paraliżującym poczuciem winy z powodu aborcji. Gdy w toku terapii dogrzebaliśmy się do tego wszystkiego, zadzwonił Johnny.

Przyjechał do domu na święto Jom Kippur z kolejnej szkoły z internatem. Jak zwykle nie zamierzałam obchodzić dni świątecznych, ograniczając się do telefonu do rodziców z noworocznym życzeniem: *szana towa!* Odrzucała mnie od dawna w religii hipokryzja, kult bogacenia się, rygoryzm doktryny, a mimo to w żydowskie święta odczuwałam nieokreślony smutek, który brał się nie wiadomo skąd. Być może budziła się tęsknota za czasami, kiedy wierzyłam w tak nieprawdopodobne zjawisko jak Bóg, kiedy czułam się uczestnikiem czegoś ważnego.

Przed laty w Jom Kippur otaczał mnie w przedsionku synagogi tłum krewnych, pamiętam wyciągnięte do uścisku ramiona, uszmiokowane uśmiechy, zapach Chanel No. 5. Pamiętam, że drażniły mnie w policzki wełniane kostiumy ciotek, za ciepłe jak na słoneczny wrześnieowy dzień w New Jersey. Pamiętam, że wymknęłam się z nabożeństwa dla dzieci i chodziłam naokoło świątyni, a zmieniające już barwy liście błyszcząły w słońcu tak jaskrawymi kolorami jak witraże. Pamiętam pokrojone jabłka maczane w miodzie, tak słodkie, że aż bolały zęby.

Johnny, który dziesięć lat później zrobił się głęboko religijnym człowiekiem, żarliwie praktykującym wiarę, w tamtym czasie był utalentowanym młodocianym przestępcą. Rodzice wmawiali nam, że nie mają żadnych informacji o naszych

biologicznych matkach i ojcach. Na świadectwach urodzenia, które oglądaliśmy, wpisane zostały tylko dane rodziców adopcyjnych. Koniec. Dostęp do jakichkolwiek wcześniejszych dokumentów został zamknięty na zawsze. Uparcie milczał papier i rodzice także. Johnny zadzwonił tamtego dnia, żeby mi powiedzieć o swoim odkryciu, zadającym kłam ich wersji.

Otóż matka i ojciec mieli informacje o naszych rodzicach biologicznych. Johnny włamał się do sejfu. O sobie znalazł szczegółowe informacje, ponieważ urodził się później i jego adopcja podlegała już mniej rygorystycznemu ustawodawstwu. Dla mnie miał tylko nazwisko i stary adres, i krótką historię, którą odtworzył z korespondencji rodziców z adwokatem.

Cała moja wiedza na ten temat opiera się na tamtej rozmowie z Johnnym, tak jak ją zapamiętałam. Nigdy nie widziałam tych papierów na własne oczy. Jestem pewna, że teraz rodzice by mi je pokazali, ale nie jestem w stanie o to poprosić. To wciąż dla nich drażliwa sprawa, a ja mam poczucie winy. Męczy mnie, że węszyliśmy za ich plecami, że nas to w ogóle interesowało. Ponadto to ja się wstydzę, wbrew logice, że odkryłam, iż nas okłamywali.

Mętnie pamiętam, co Johnny mówił o jakichś papierach, z których wynikało, że mój ojciec próbował odzyskać prawo do opieki. Być może nawet zrobiłam zlepek rzeczywistości z jakimś epizodem z *Prawa i porządku* czy migawką z CNN. Poczulałam się wtedy tak dziwnie, że nie pamiętam dokładnie relacji Johnny'ego. Utkwił mi jednak w pamięci jeden fakt, który potwierdzał historię opowiadaną przez rodziców. Nie

mijali się z prawdą, mówiąc mi, że moja matka biologiczna była baletnicą. Uświadomiłam sobie, jak bardzo przywiązałam się do tej jednej drobnej rzeczy, dopiero wtedy, kiedy ogarnęła mnie wielka ulga, że to się potwierdziło.

Młoda tancerka chicagowskiego zespołu baletowego jest w ciąży i nie może zaopiekować się dzieckiem...

Zapisałam nazwisko i adres na karteczce: Carrie Gardner, Highland Park, Illinois — i wsunęłam ją do szuflady. Gdzieś żyła kobieta nosząca to nazwisko, która kiedyś wpisała ten adres na podpisywanych przez siebie dokumentach, potwierdzających, że zrzeka się dziecka. Moja matka z pozytywki, zamknięta bezpiecznie w wyłożonym atłasem pudełku, księżniczka przemieniona czarami w łabędzia. Carrie Gardner. Kasjerka na lotnisku, kelnerka w jakiejś restauracji Outback Steakhouse, wychowawczyni w przedszkolu. Nazwisko nie było odpowiedzią, było pytaniem, na które postanowiłam znaleźć odpowiedź, tylko nie wiedziałam jeszcze jak.

W tamtym okresie nabrałam zwyczaju szperania w jednym z nowojorskich kiosków z prasą zagraniczną i kupowania pięknych, obcojęzycznych czasopism ilustrowanych, które przeglądałam potem w Café Orlin przy Eighth Street. Zanim pojawiły się kultowe T-shirty Ed Hardy (i z takimż logo butelkowana woda, artykuły biurowe, motocykle i zasłony natryskowe), Don Ed Hardy zasłynął jako artysta i wydawca arcypięknego czasopisma „Tattootime”. Kiedyś wpadł mi w ręce ten magazyn i nie mogłam się od niego oderwać.

Każdy numer „Tattootime” miał wiodący temat: nowa kultura plemienna, motyw życia i śmierci w tatuażu, sztuka prosto z serca, muzyka i morze w tatuażu. Jak to się dzieje z większością ludzi, którzy odkrywają piękno tatuażu, przemówiła do mnie jego metaforyka i historia. Pochodzący z San Francisco artysta, wykonawca większości mojego tatuażu, powiedział, że to bogowie tej sztuki przemawiają do danej osoby, kiedy przychodzi na nią pora.

Patrzyłam na wytatuowanych ludzi na stronach „Tattootime” i poczułam nagle więź braterstwa. Ja również byłam piratem, marynarzem, prostytutką, gangsterem, drugoplanową aktorką, tylko nikt o tym nie wiedział. Nikt tego nie dostrzegał. Uderzyła mnie myśl, że muszę zyskać większą autentyczność, jeżeli nie chcę pozostać na resztę życia istotą wcielającą się w różne postacie — zależnie od okoliczności.

Więc bóstwa tatuażu nagle przemówiły do mnie. Dramatyczny moment. Nie próbowałam żadnych eksperymentów, póki nie wykrystalizował się w mojej głowie całościowy projekt zmiany wyglądu mojego ciała. Własna historia wypisana na powierzchni skóry miała mnie odwozić od pokusy udawania przed ludźmi, że jestem normalna. Tatuaż miał być radykalnym wyborem między stałością i niestałością. Szkarłatną literą, którą z dumą wyhaftuję na piersi.

Czytając „Tattootime”, dowiedziałam się, że na wyspie Borneo, w dżungli, w malezyjskim stanie Sarawak, nie tak daleko od jachtów, pałaców i kolekcji samochodów branej -skich władców, żyje plemię, którego członkowie pokrywają całe ciało tatuażem, a wykonują go zaostrzoną kością. Spirale

i zawijasy, nanoszone czarnym barwnikiem, wiążą się z ich pogańskimi wierzeniami. Tatuazowe motywy na skórze mają wyrażać brutalność borneańskich wojowników. Ich plemienne wzornictwo wyemigrowało na Zachód i pojawiło się na ramionach kulturystów w Venice Beach i nowojorskich punków w Tompkins Square Park. Gdy w pałacu w Brunei opowiadałam Robinowi historie ulatujące w powietrze, niewiele kilometrów dalej tubylcy utrwalali swoje na własnej skórze.

Do uwiecznienia mojej własnej opowieści brakowało mi dwóch elementów: musiałam odnaleźć matkę biologiczną i zrobić tatuaż. Chciałam odnaleźć siebie i jednocześnie siebie stworzyć. Te dwa cele się zbiegały. Studiowałam czasopisma i znalazłam idealnego artystę. Nazywał się Guy Aitchison i mieszkał w Chicago. W idei tatuażu, jako czegoś, co zostaje na całe życie, nie ma miejsca na luksus wątpliwości. Przy swoich decyzjach wiernie obstajesz.

Młoda tancerka chicagowskiego zespołu baletowego jest w ciąży i nie może zaopiekować się dzieckiem...

Rozdział 23

Lecąc w podwójnej misji do Chicago, zapadałam w samolocie w drzemkę i w półśnie myślałam o Robinie. Powinnam znajdować się w innym odrzutowcu, wracać do niego i jego świata. Kto tam był teraz? Czy ktoś zajął moje krzesło, a jeśli tak, czy Robin wyrzucił mnie z pamięci?

Nie mogłam powiedzieć, że do niego tęsknię, że tęsknię do tamtego zepsutego świata, ale cząstka mnie, nie ta tożsama z Patty Hearst, pielęgnowała wspomnienie o nim. Od czasu do czasu przypominała mi się jego twarz, brzoskwinie na hotelowej tacy, po które sięgaliśmy rano, gorące, białe plamy słońca na pościeli, których dotykałam, gdy on się ubierał.

W Brunei nie tylko dziewczyny musiały odgrywać swoje role. Robinowi również życie wyznaczało jedną rolę za drugą. Nawet księżęta bywają zmęczeni byciem księżętami. Niejednej nocy miał powyżej uszu przyjęcia, niejednego ranka ociągał się z wyjściem z łóżka i rozpoczęciem sztywnego harmonogramu, były momenty, kiedy pędził autem po krętych

drogach, a mnie się wydawało, że nie chce przerwać tej jazdy. Takie wspomnienia wdzierały się w moją świadomość, niestrzeżoną, gdy byłam senna, spacerowałam po parku, wyglądałam przez okno samolotu.

Myślałam również o Andym, który został w domu. Nie odwiózł mnie na lotnisko. Pracował, to jasne. Ostatnio wracał do domu, kiedy ja już spałam. Niezmiennie stawiałam na złego konia. Zakochiwałam się w takich typach, przy których wiecznie byłam nabrzmiąta tęsknotą. W sprawach serca okazywałam się osłem. Mówią jednak, że tatuaż zmienia osła w zebkę. Wiązałam z nim przynajmniej takie nadzieje. Mój pierwszy powinien być rozległy, miał odmienić moje życie. Jest taki. To fioletowy kregosłup węża wychodzący od pępka, zawijający się na brzuchu i rozkwitający kolorowym ogrodem na lewym biodrze, by przejść w monstrealne zęby nad moją cipką. Można znaleźć zdjęcia mojego tatuażu w wielu książkach poświęconych tej sztuce.

Zanim zaczęliśmy, Guy rozsądnie odwoził mnie od zamiaru tatuowania cipki.

— Spróbuj najpierw czegoś na innej części ciała, żeby wiedzieć, jak to jest.

Powiedziałam, że jestem pewna, czego chcę, że pragnę podlec transformacji.

Wzruszył ramionami. Nie jest powinnością artysty zniechęcanie ludzi do głupich i melodramatycznych pomysłów. Guy zasłynął jako malarz krajobrazów w klimatach science fiction i bogatych w szczegóły toksycznych wyobrażeń ogro-

dów. Nawet jeżeli mój pierwszy tatuaż nie jest zlokalizowany w najmądrzejszym miejscu, jest piękny.

Mocno wytatuowane osoby są zaczepiane na ulicy i odpowiadają mało oryginalne pytanie: „Czy to boli?”. Mój przyjaciel z San Francisco nosi T-shirt z napisem: *Tak, do cholery, to boli*. Bolało tak, że wysiadł mój system nerwowy. Kiedy Guy robił mi tatuaż na boku, wydawało mi się, że nakłuwa mi szyję. Dygotałam i oblewałam się potem, ale w końcu jakoś zgrałam się z uczuciem bólu. Radzą, żeby wyjść mu naprzeciw. Kiedy wnętrzności się skręcają, ból przy tatuażu staje się głębszą metaforą: to jest nie do zniesienia, a przecież to przeżyjesz.

Następnego dnia miałam wrażenie, że przejechałam brzuchem po zwirowanej drodze, wystąpiła lekka gorączka, ale rozpierała mnie radość. Dostałam kartę wstępu do nowego klubu. Guy, jego dziewczyna i ja zrobiliśmy sobie dzień wolny. We troje zjedliśmy garść halucynogennych grzybów i poszliśmy do muzeum obejrzeć wystawę gigantycznych owadów. Szliśmy niespiesznie pod błękitnym chicagowskim niebem, wiatr od jeziora igrał z moją przewiewną sukienką, przynosząc ukojenie piekącej skórze.

Kiedy weszliśmy do muzeum, kobieta przy kasie zapytała Guya, ile zapłacił za swój tatuaż. To drugie najczęstsze pytanie po: „Czy to boli?”. Tamtego dnia spędzanego z Guyem pobrałam pierwszą lekcję przydatną nosicielom tatuażu: kiedy masz do czynienia z ciekawskimi, zapomnij o swojej pozycji, jakakolwiek by była. Zawsze będą traktowali cię jak świra. I cóż z tego? Co możesz na to poradzić? Jak radziłyby sobie Patty Smith?

Guy wyglądał jak Al Jourgensen, ale oczy miał fiołkowe. Na pytanie kobiety zareagował warknięciem i diabolicznym spojrzeniem, które mówiło: zabiję twoje dziecko w ofierze szatanowi. Spędziłam z Guyem dwa dni i doszłam do wniosku, że jest w połowie stukniętym pasjonatem nauki, a w połowie uzależnionym od psychodelików hipisem. W sumie najpocziwszym facetem. Szatan odpędziłby go od bram piekła. Budzącą grozę minę zrobił na pokaz, ale skutecznie zamknął babie gębę.

Wewnątrz okazy owadów — barwne, obce, fosforyzujące. Znalazłam się w innym wymiarze. Patrzyłam na swoje odbicie w metalicznym pancerzu skarabeusza, dwa razy większego ode mnie. Być może pod wpływem halucynogenów, a może gorączki czy też czarnoksięskich mocy bogów tatuazu doznałam niebiańskiego zawrotu głowy, podobnie jak pierwszej nocy w Singapurze, gdy wyszłam na balkon. Oto ja, dziewczyna, jaką chcę być, prawdziwa i bezwstydna, w jaskrawych barwach technikoloru — wciąż poza zasięgiem, ale już bliższa.

Po zrobieniu tatuazu ulżyło mi, jakby coś zasadniczego dotyczącego mnie znalazło się nareszcie na właściwym miejscu. Następnego dnia wskoczyłam do pociągu do Highland Park w poszukiwaniu tego drugiego brakującego elementu. Nie wiem, czego się spodziewałam, ale przystanek Highland Park okazał się podmiejską stacją, przy której ludzie zostawiali samochody i przesiadali się do pociągu wiozącego ich do miasta, do pracy. Nie pomyślałam o wynajęciu samochodu.

Prawo jazdy służyło mi wyłącznie jako dowód tożsamości, auta nie prowadziłam od czasu, kiedy w wieku szesnastu lat opuściłam dom rodziców, a przedtem siadałam za kierownicą rzadko i na krótko. Przywykłam do metra, które podwozi cię praktycznie pod same drzwi, gdziekolwiek się wybierasz.

Przeszłam przez parking i stanęłam na poboczu drogi, zdecydowana podjechać autostopem po raz pierwszy w życiu. Nie było innych możliwości tylko ta lub powrót na stację. Jak zawsze brak przezorności nadrobiłam uporem. Zatrzymał się czarny cadillac, kierowca na szczęście nie wyglądał odstraszaająco i podrzucił mnie do szpitala w Highland Park, kompleksu z czerwonej cegły ozdobionego rabatami różowego niecierpka. Wędrowałam korytarzami, szukając archiwum, gdzie zostałam przywitana skonsternowanymi spojrzeniami.

— Nic tu dla pani nie mamy — powiedziała kobieta ze szponami umalowanymi perłowym zielonym lakierem.

— Wygląda pani niezwykle i ekstrawagancko — powiedziałam, patrząc na jej paznokcie i czyniąc aluzję do mojego ulubionego filmu *Kabaret*. Spojrzała na mnie z jeszcze bardziej skonsternowaną miną, o ile to było w ogóle możliwe.

— Kojarzy pani? Sally Bowles. Zielone paznokcie. Niezwykłe i ekstrawaganckie. Nie kojarzyła.

— Może pani spróbować w urzędzie hrabstwa. Znajdą pani świadectwo urodzenia. Rzeczywiście nic dla mnie nie miała. A świadectwo urodzenia posiadałam. Ten oficjalny dokument nic mi nie mówił. Wymazywał moją wcześniejszą historię, jakby nie istniała.

Poszłam na oddział położniczy, ponieważ nic lepszego nie przyszło mi do głowy, a nie chciałam tak szybko się poddać. Kiedy patrzyłam przez szybę na maleństwa w sali dla noworodków, poczułam napływ adrenaliny jak złodziej sklepowy. Czyżbym robiła coś złego? Wyszłam, zaczynała mi dokuczać migrena, byłam w psychicznym dołku.

Miałam jeszcze jeden trop. Uważałam się już za wytrawną autostopowiczkę i rzeczywiście złapałam kolejną okazję, tym razem podrzucono mnie pod adres nagryzmołony na karteczce papieru. Zadbane trawniki w Highland Park wyglądały tak samo jak w zamożnej miejscowości na obrzeżach wielkiego miasta, w jakiej ja się wychowałam, i wywołały taką samą reakcję: zgrozę. Nadchodziła jesień, liście drzew zaczynały żółknąć na brzegach, zapowiadając, że zabarwią się jaskrawo.

Patrzyłam na śliczne domy oraz sklepy i powoli traciłam nadzieję. Ogarnęła mnie klaustrofobia, a przed prawym okiem tańczyły jakieś białe męty. Miałam wrażenie, że połowę mojego mózgu badają kosmici przytkniętymi do czaszki elektrodami. Przez moment myślałam nawet, że łapie mnie atak astmy, ale to było urojenie hipochondryczne. Wyprawy na prowincję kończą się u mnie atakami duszności, migreną i dziwnymi dolegliwościami.

Podstarzała Żydówka za kierownicą, jeszcze trzymająca fason typowej niepracującej żony ozdoby, najpierw zrugła mnie za zatrzymanie auta, a potem, stukając akryłowymi tipsami w kierownicę, zaczęła wypytywać, co robię w Highland Park. Stanęła mi przed oczami matka — prawdziwa matka, ta adopcyjna — podwożąca dzieci do szkoły tysiące

razy, zawsze z włączoną klimatyzacją. W wielkich okularach, czarnych z czerwonym połyskiem, z zaciśniętymi na kierownicy palcami, opuchniętymi z powodu wczesnego artretyzmu, ale wciąż kształtnymi i z nieskazitelnym manikiurem.

— Chodzi o starą przyjaźń, chcę odnaleźć tę osobę.

— Jak się nazywa? Mieszkam tu od stu lat. Może ją znam? Jego?

— Ją. Nazywa się Carrie Gardner.

— Gardner. Zdaje się, że była jakaś Gardner w klasie wyżej niż moja córka, ale jej rodziców nie znałam.

Odniosłam wrażenie, że zmyśla. Wyglądała na babę, która nie da się zaskoczyć żadnym pytaniem.

— Nigdy nie zabieram autostopowiczów, ale wydałaś mi się sympatyczną dziewczyną. Moja córka chodziła do college[^] w Michigan, jednak rzuciła naukę. Włóczy się teraz z zespołem Grateful Dead. Uważa się za rewolucjonistkę. Śmieszne. Taka zdolna dziewczyna. Pomyślałam sobie, że na poboczu mogłaby stać moja córka. Chciałabym, żeby też się ktoś zatrzymał i bezpiecznie ją podwiózł.

Co powiedziałyby moja matka? To jasne: Moja córka studiowała na Uniwersytecie Nowojorskim, ale rzuciła studia. Teraz krąży między Nowym Jorkiem i Azją Południowo-Wschodnią. Uważa się za aktorkę. Śmieszne. Taka zdolna dziewczyna. Kobieta spojrzała na moją zmiętą karteczkę i podrzuciła mnie przed dom w stylu ranczo, porządny, z pewnością należący do kogoś z klasy średniej.

— Dasz sobie radę? — spytała.

— Na pewno. Złapię jakąś okazję. Dziękuję za wszystko. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie poprosić jej, żeby chwilę poczekała i podwiozła mnie potem na stację. Nie wyglądała na kogoś bardzo zajętego. Szybko z tego zrezygnowałam. Byłam pewna, że powie tak, ale nie chciałam z nią dłużej rozmawiać, przywoływała myśli o matce, wobec której popełniałam zdradę, stojąc na tamtym prostokacie chodnika.

Pyzata kobieta otworzyła drzwi i spojrzała na mnie spod przymrużonych powiek, odrzucając kosmyk włosów z twarzy. Powiedziała, że wprowadziła się rok temu i nie ma żadnych informacji. Wie tyle, że przed nią dom zajmowała przez trzy lata jakaś rodzina, lecz nie pamięta ich nazwiska. Być może Carrie mieszkała tu jeszcze dawniej, z inną rodziną. To tylko domysł, zastrzegła. Dziewiętnaście lat to szmat czasu. W ciągu dziewiętnastu lat, pomyślałam, przetoczyły się tu fale, które mogły zmyć wszystkie zamki z piasku, które budowała dla siebie Carrie.

— Czy na tej ulicy jest ktoś, kto mieszka tu od dziewiętnastu lat?

— Ja tego nie wiem. To ulica młodych ludzi. Osiedlają się tutaj małżeństwa z dziećmi — powiedziała. — Ale kim pani jest?

W opowieściach o duchach straszna tragedia zawsze pozostawia swój znak, ślad zbrodni tak ponurej, że czas odsuwa się na bok i pozwala duchom błąkać się w miejscu jej popełnienia i dawać świadectwo niesprawiedliwości. A nasze powszednie osobiste tragedie, prozaiczne krzywdy nietrafiające do policyjnych kartotek, zdarzające się bez świadków?

Te wymykają się pamięci, ślady są zmyte ze wszystkich powierzchni przed wniesieniem przez następnych lokatorów pudeł z ich mieniem. Prawdopodobnie powinnam zostać dłużej i zabawić się w sąsiedztwie w dziennikarza śledczego, ale nagle dostałam mdłości, a nasilający się ból głowy odbierał mi zdolność myślenia.

Złapanie okazji okazało się trudniejsze, niż przewidywałam. Szłam niekończącą się ulicą ponad godzinę, zanim ktoś się zatrzymał, czułam się głupio do tego stopnia, że w którymś momencie schowałam się za krzaki. Nic poza tym się nie wydarzyło. Nie wiem, czego się spodziewałam po tej wyprawie. Wydawało mi się pewnie ważne, żeby poczuć zapachy i zobaczyć kolory tego miasta, a znalazłam taką samą jesień, takie same drzewa, takie same szpitalne korytarze, jak wszędzie indziej. Ogarnęło mnie zażenowanie na wspomnienie wizyty na oddziale noworodkowym, zawstydziłam się własnej sentymentalności.

W pociągu, gdy oparłam głowę o szybę, przyszła mi na myśl Joni Mitchell. W szkole średniej doszłam do wniosku, że wyglądam jak ona i nie stanowiły przeszkody jej delikatne jak u elfa rysy. Nie byłam do niej podobna w sposób widoczny dla oka, ale ja, mimo intymnej znajomości własnej twarzy, podobieństwa widziałam. Nawet śpiewałam jak ona, kiedy śpiewałam tylko dla siebie. Na scenie, w widowiskach mu-sicalowych, preferowałam *belting*, natomiast prywatnie naśladowałam Joni, jej leciutko chropawy głos piosenkarki folkrockowej.

W „Rolling Stone” przeczytałam, że Joni Mitchell oddała

dziecko do adopcji. To dziecko przyszło na świat, gdy księżyc był w znaku Raka, o czym śpiewa Joni w piosence *Little Green*. Nie miałam wątpliwości, że ja jestem tym dzieckiem. Nieważne, że urodziłam się pod znakiem Lwa. Nieważne, że album *Blue* z piosenką *Little Green* ukazał się na dwa lata przed moim urodzeniem, w 1971 roku. Nieważne, że nie byłam blondynką z niebieskimi oczami i o twarzy elfa.

Odrzuciłam wszelkie niezbite dowody i wierzyłam, wbrew zdrowemu rozsądkowi, że moją matką biologiczną jest Joni Mitchell. Ona żyła we mnie. Nie potrzebowałam zidentyfikować matki, która nosiła mnie w swoim łonie. Mogłam żyć bez tej wiedzy. Musiałam odnaleźć miejsce, skąd pochodziło moje serce. Ono nie chciało pozostać na zawsze sierotą.

Zrobiłam tatuaż nie po to, żeby jak graffiti na kładce dla pieszych nad autostradą obwieszczał: „Ja tu byłam”. Chciałam powiedzieć: „To byłam ja”. To są krajobrazy wygrawerowane za moimi oczami. Nawet jeśli nie zostaną ze mną marzenia, nie zostanie matka, nie zostanie dziecko ani kochanek, wciąż jeszcze będę miała swoją historię. Z tatuażem na ciele jestem świadkiem i archiwum samej siebie.

Po pierwszym tatuażu zrobiłam sobie jeszcze kilka. Ludzie często przesuwają ręką po mojej wytatuowanej skórze, jakby odczytywali brajla. Czasami mnie to denerwuje. Ci, którzy mnie nie znają, wyciągają rękę, chwytają mnie za ramię, przeciągają po nim dłonią. Rozumiem to. Moje tatuaże pulsują opowieściami. Przytknij do nich ucho i usłyszysz ocean w Beach Haven, natarczywe pukanie do drzwi w Brunei, stukot pociągu odjeżdżającego ze stacji w Highland Park.

Pogodziłam się z tym, że Highland Park znika mi z oczu. W tamtym mieście nic się dla mnie nie zachowało, najmniejszy ślad po tym, że kiedyś żyła tam dziewczyna nosząca mnie w brzuchu, karmiąca mnie swoimi myślami, swoimi lękami, mieszkająca w tamtym domu z rodziną o nieznanym nazwisku, a może z rodziną, która rezydowała tam przed nimi; nikt niczego nie pamiętał.

Moja wyprawa do Highland Park nie zakończyła się sukcesem, poczyniłam jednak znamienne obserwacje. Powietrze tam ważyło milion kilogramów, a w pociągu odjeżdżającym stamtąd poczułam się od razu lekko. Zrozumiałam wagę wpływającego czasu — ciężar przeszłości i lekkość obecnej chwili.

Szukałam czegoś, czego nie mogłam znaleźć w Highland Park ani w żadnym innym miejscu. Czasami wystarczy jedna piosenka Joni Mitchell, żeby wiedzieć, kim się jest. Czasami odnajdziesz się przypadkiem, stojąc o świcie na obcym balkonie. I czasem twoja historia wygląda jak fioletowy wąż, wychodzący spiralą poza twój brzuch, wyryty na zawsze pod twoją skórą.

Rozdział 24

Wolę wytatuowanego węża od żywego. Piłam kawę espresso i gapiłam się na klatkę z Varlą, moim wrednym birmańskim pytonem. Tylko Shakti, nasza wyjątkowo osobliwa sprzątaczką, sama przypominająca gada, odważała się obsługiwać Varlę, nie nakładając długich do łokcia rękawic. Marzyło mi się jakieś zwierzątko w domu, a futerkowe nie wchodziły w grę, więc kiedy udałam się do sklepu zoologicznego w Lower East Side, wyszłam stamtąd z Varlą. Zawsze czułam sympatię do węży, więc wydawało mi się, że będzie z nią zabawnie. Myliłam się.

Nie zdawałam sobie sprawy, że karmienie węża żywymi myszami to traumatyczne przeżycie. Pogorszyło się, gdy szukając porady w związku z napadami złości u Varli, dowiedziałam się od faceta, że myszy trzeba przed wrzuceniem do klatki ogłuszyć. To miało złagodzić instynktowną krwiożerczość Varli. Poczułam się strasznie. Jako mała dziewczynka pochowałam chomika w pudełku od butów, na którym na

malowałam wyobrażenie sarkofagu faraona, zainspirowana świątynią z Dendur w nowojorskim Metropolitan Museum, i przez dobre parę tygodni płakałam nad grobem zwierzątka w ogrodzie. Niestety kupiłam węża i ponosiłam za niego odpowiedzialność. Musiałam zapomnieć o dziewczynce, która z upodobaniem konstruowała z zestawów Habitrail zamki dla ulubieńca.

Odtąd przed każdym karmieniem Varli płakałam, wkładając mysz do papierowej torby. Następnie przepraszałam biedaczkę z całego serca i waliłam torbą o ścianę. Wrzucałam mysz do terrarium, gdzie w drgawkach czekała, aż po paru godzinach ignorowania jej przez Varlę zostanie ostatecznie zjedzona. To była makabra.

Andy zastrzegł, że nie będzie karmił Varli.

— Chciałaś ją mieć, to ją karm.

Porażka tysiącrotnie przerastała tę z kanapą. Varia, ciasno zwinięta w kłęb i sycząca na mnie ze śmierdzącej klatki, wciąż dawała świadectwo najgorszej decyzji, jaką kiedykolwiek podjęłam. Pewnego ranka, kiedy zastanawiałam się, w jaki sposób ruszę to piekielne terrarium i kogo namówię do zaadoptowania wstrętnego węża, zadzwonił telefon.

To był legendarny reżyser teatralny Richard Foreman, który powiadamiał mnie, że zagram w jego sztuce *Samuel's Major Problems*. Kiedy odłożyłam słuchawkę, zaczęłam wrzeszczeć i tańczyć jak gospodyni domowa, której złożył właśnie wizytę Ed McMahon z programu *Star Search*.

Chciałam zakomunikować to Andy'emu, ale jego asystentka oczywiście mnie z nim nie połączyła. Postanowiłam przejść

się do jego studio i przekazać mu nowinę osobiście. Mógł zakazać łączenia ze mną, ale nie mógł zamykać drzwi przed swoją dziewczyną. Związek z pracoholikiem, nawet z takim, który pokrywał czynsz, nie spełniał do końca pokładanych w nim nadziei. Po drodze do Andy'ego wstąpiłam do loftu Richarda przy Wooster Street po scenariusz.

*

Dostałam jedną z trzech głównych ról w spektaklu obok Stevena Ratazziego i Thomasa Jaya Ryana, bajecznie utalentowanych aktorów. Grałam Marię Helenę, postać o wielu wcieleniach — ducha diabła sukuba pielęgniarki Marilyn Monroe. Dzień w Nowym Jorku nie mógł się zacząć lepiej niż od spaceru z mojego mieszkania na Mot Street do kościoła St. Mark's na pierwszą próbę.

Był początek grudnia, a moje ciało buzowało gorącem pod płaszczem, chociaż zmarzł mi czubek nosa od wiatru, który hulał wzdłuż Second Avenue. Grała mi w głowie melodia *On the Street Where You Live*, bo jak w tej piosence szłam ulicą, której chodnik wcześniej czułam pod stopami, a teraz uniosłam się na wysokość kilku pięter — z nizin musicali awansowałam na aktorkę teatru awangardowego. Przeszłam przez kutą z żelaza bramę, obok zabytkowych głównych drzwi, po brukowanych alejkach do cmentarza i weszłam od tyłu do kościoła, który udostępniał swoje wnętrza zespołom artystycznym.

Richard wystawia sztuki, które nie są tak naprawdę sztukami. To raczej trójwymiarowe poematy lub traktaty filozoficzne w klimacie i języku rymowanki. Bycie aktorem w jego

widowisku oznacza wcielanie się w nieprzewidywalną liczbę zagadkowych postaci zaludniającego jego podświadomość — przez parę miesięcy w zasadzie żyjesz głównie w jego głowie. Doświadczenie na zmianę to cudowne, to nie do wytrzymania.

Richard przemieniał się w jednej chwili z ofermowatego, słodkiego geniusza w ogarniętego manią, traktującego cię protekcjonalnie tyrana. Co parę dni kompletnie przerabiał scenografię, urozmaicając scenę przeszkodami, takimi na przykład jak zlewające się z tłem, sięgające nam pasa czarne słupy, o które się boleśnie rozbijaliśmy. Któregoś dnia podczas lunchu zabrał wszystkie nasze rekwizyty i postawił ścianę z pleksiglasu między nami a widownią. Kiedy indziej poprzyklepiał nam do ciała mikrofony i kazał wypowiadać kwestie dialogowe szeptem. To znowu powrócił do rekwizytów, ale zmienił wygląd sceny.

Zabawa była na całego. Każdy członek ekipy był na swój sposób fascynujący i na wspólnych imprezach upijaliśmy się i obściskiwali i nie miało znaczenia kto z kim.

Kostiumy projektował Lindsay Davis, trochę zniewieściały facet, zawsze ubrany w skórę, z zaraźliwym śmiechem i szafą pełną eleganckich małych kapeluszy. Lindsay i ja szybko odkryliśmy, że jesteśmy pokrewnymi duszami. Chodziłam do jego loftu przy Thirty-eighth Street na przymiarki i zostawałam na całe popołudnie. Paliliśmy marihuanę i schodziliśmy na dół do taniej restauracji na naleśniki. Uszył dla mnie piękną czarną suknię koktajlową w stylu lat pięćdziesiątych, ale całkowicie prześwitującą.

Na nogi, zgodnie z instrukcją Richarda, nalepiałam paski

czarnej taśmy izolacyjnej, która była widoczna przez przezroczystą tkaninę. To miało harmonizować z ukośnymi pasami na scenie, które wyglądały jak przejście dla pieszych. Po taśmie przylepianej co wieczór zostawały mi czerwone ślady na nogach, które utrzymywały się przez cały okres wystawiania sztuki. Byłam z nich dumna niczym z blizn wojennych.

Próby trwały przez cały grudzień, a sztuka szła przez pierwsze trzy miesiące 1993 roku. Wyciągnęłam z sejfu garść setek i kupiłam sobie suknię na uroczystą kolację po premierze. Wytlaczany aksamit w kolorze burgunda, dekolt z tyłu zakończony pękiem jedwabnych różyczek. To prawda, że moja szafa pełna była szykownych kiecek, których ani razu nie miałam na sobie, ale chciałam włożyć na tę okazję kreację kupioną za moje własne dolary i w sklepie, do którego wchodzę z ulicy w Soho, a nie suknię nabytą w gorączce zakupów z ochroniarzem trzymającym w garści sakwę wypchaną kuponami gracza w Monopoly. Chciałam mieć suknię godną spełniającego się marzenia, bo tym w istocie była cała ta sprawa od harówki na próbach po wywołujący nudności lęk przed premierą. Rodzice, oddani jak zawsze aż do przesady, przyjeżdżali do miasta i byli na widowni przynajmniej raz w tygodniu. Pod koniec trzeciego miesiąca utrzymywania się sztuki na afiszu ojciec wciąż się upierał, że nie ma pojęcia, o co w niej chodzi, a matka niezmiernie przywoziła dla ekipy bananowe chlebki i półmiski z *rugelach*, żydowskimi słodkimi rożkami. W czasie spektaklu ojciec z upodobaniem nękał osobę siedzącą obok (a trafiał nieuchronnie na kogoś takiego,

jak Wallace Shawn lub John Malkovich), żądając od nieszczęśnika wyjaśnienia, co się, do cholery, dzieje tam na scenie. Mogłabym mu to wytłumaczyć, ale mnie nigdy o to nie poprosił. Jestem przekonana, że wolał siał popłoch wśród celebrytów.

Gra w tej sztuce przyniosła mi nieoczekiwane dodatkowe korzyści. Ukazały się niezwykle pochlebne recenzje w „New York Timesie” i tygodniku „The Village Voice”. Zanim zeszedł z afisza, już otrzymywałam propozycje castingów. Byłam na lunchu z Donem DeLille'em następnego dnia po tym, jak oglądał przedstawienie (a grałam wtedy jak kompletna faja, bo jego obecność na widowni mnie paraliżowała).

*

Andy przyszedł na premierę i wierzę, iż był ze mnie dumny. Raz czy dwa razy wyszedł wcześniej z pracy i wślizgiwał się na widownię po rozpoczęciu spektaklu. W niektóre noce przychodził po przedstawieniu i pił z nami, obsadą i ekipą, w Mona's lub 7A. Pił tego jak to Teksaszczyk, ale pozostawał przytomny i czarujący, podczas gdy inni byli już schłani.

Wszyscy go podziwiali i nikt nie rozumiał, dlaczego nasz związek się rozpadł. A stało się to dziwnie szybko. Przed dniem mojej wyprowadzki nigdy nawet nie zająknęliśmy się na ten temat.

Idea trwałego związku z Andym i wizje wspólnego życia zaczęły się rozmywać, zanim jeszcze pojawił się Mark. Przed nim jednak nie wiedziałam, że tak się dzieje. Nie dostrzegałam tego. Byłam zbyt zajęta. Być sobą w moim przypadku to

praca na cały etat. Musiałam odcisnąć swój ślad na twarzy Nowego Jorku, jakby moje buty miały obcasy z gorącego żelaza do wypalania piętna.

Któregoś wieczoru — teatr był tego dnia zamknięty — Andy zaprosił mnie na spotkanie ze swoim dawnym teksaskim przyjacielem do baru Mona's. Ten jego przyjaciel, reżyser filmowy, przyjechał na krótko do Nowego Jorku z Los Angeles. Z powodu problemu z uzależnieniem od kokainy groziło mu zerwanie kontraktu z producentem. Po dwóch kolejkach drinków wyjaśniło się więcej. Facet był starszy od Andy'ego, a związali się ze sobą, kiedy Andy miał dwanaście lat. Dwuletnia „przyjaźń” skończyła się zatrzymaniem obydwu przez policję na tylnym siedzeniu kombi. Wiedziałam, że Andy kontaktuje się z nim telefonicznie, nie przypuszczałam jednak, że kiedykolwiek będę siedziała z tym gościem przy jednym stoliku.

*

Polują na dzieci wrażliwe, inteligentne, izolujące się. Zanim tamtego lata przed moimi trzynastymi urodzinami wyjechałam na obóz, widziałam film *Marjońe Morningstar* i natychmiast wyobraziłam sobie, że jestem podobna do Natalie Wood. Byłam tak samo naiwna i przebojowa. Nie podobało mi się jednak zakończenie filmu. Nie wyobrażałam sobie siebie w roli odpoczywającej na ganku żony.

Podczas pobytu na obozie letnim nosiłam białe tenisówki firmy Keds i opaski na głowę. Rozjaśniałam włosy sprayem *sun-in* i dla pogłębienia efektu opalenizny smarowałam skórę

oliwką dla dzieci. Wyobrażałam sobie, że wyglądam jak jedna z dziewczyn na plaży w *Błękitnych Hawajach*, chociaż ja nie potrzebowałam jeszcze stanika. Wykrałam za to różową jednorazową maszynkę do golenia z kosmetyczki Eriki i po raz pierwszy ogoliłam nogi.

Nathan był instruktorem łucznictwa. Lubili go wszyscy z wyjątkiem tych, którzy chyba mieli mu za złe, że jest zbyt wspaniały na tle naszego nędznego obozu. Miał dwadzieścia jeden lat, mieszkał w Nowym Jorku i wieść niosła, że pracował dla United Colors of Benetton. Łatwo było go sobie wyobrazić w ich reklamie — fryzura afro, szalik w pasy i nonszalancka poza światowej klasy modela. Nathan rozjaśniał blond włosy, cesał się z przedziałkiem i pasmo włosów spadało mu na jedno oko. Szorty khaki nosił poniżej pasa, tak że widać było ściągacz jego bokserek. Przyprawiał mnie o ból brzucha i napady astmy. Był zdecydowanie bardziej przystojny niż John Travolta w *Grease* i nawet w *Welcome Back, Kotier*. Fajniejszy niż Elvis w *Więziennym rocku* czy *Miłości w Las Vegas*.

Tor łuczniczy był zlokalizowany pod trawiastym wzniesieniem blisko obozu dziewcząt, między wigwamem i warsztatem garncarskim. W czasie wolnym przed kolacją mieliśmy niemal pełną swobodę i każdy robił, co chciał. Ja wyimaginowałam sobie, że bardzo pragnę nauczyć się strzelać z łuku. Ale łuku nigdy nie wzięłam do ręki. Przesiadywałam z kolanami pod brodą na górcie w pobliżu toru łuczniczego.

Któregoś wieczoru uznałam, że Nathanowi musi być za zimno w samym T-shircie, więc pobiegłam do swojego wyrka

i chwyciłam za duży na mnie puszysty sweter, różowy, z wielką białą literą B z przodu. Kiedy włożył go na siebie, odebrałam to jako sygnał, że wiążemy się jakimś sekretem, chociaż jeszcze nie docierało do mnie w czym rzecz.

Siedziałam dalej i obserwowałam go, o rozmowę było trudno na taką odległość.

Podziwiałam jego perfekcyjną postawę, luz i pewność siebie, bezbłędne przytrzymanie strzały, mocne naciągnięcie cięciwy.

Czasami my dziewczyny przekradałyśmy się w środku nocy na drugą stronę obozu, zajmowaną przez chłopców. Kadra, pod pozorem głębokiego snu, nie przeszkadzała tym błazenadom, złodziejskim rajdom dziewczyn po krem do golenia, a chłopaków po majtki. Tamtej nocy, kiedy podarowałam Nathanowi sweter, wsunęłam pod poduszkę budzik, nastawiwszy go na godzinę trzecią rano. Koło łóżka przygotowałam gumę do żucia i spałam czujnie, żeby nie zburzyć fryzury. Ta noc jednak miała być inna, bo nie zamierzałam budzić koleżanek. Wyruszałam na samotną wyprawę.

Przemierzałam znaną ścieżkę na dygoczących nogach. W ciemności, poza kręgiem światła latarki, tańczyły cienie, przybierające kształty duchów z opowiadanych w obozie historii, na które wcześniej reagowałam lekceważącym prychnięciem. Moja wyobraźnia szalała, ale wywołany strachem skok adrenaliny uskrzydlił mnie i jak niesiona wiatrem pędziłam przez teren obozu, aż wreszcie ocknęłam się, widząc ciemne ślady moich mokrych tenisówek na zielonych stopniach schodów do jego drzwi, które skrzypnęły, gdy je otwierałam. Szłam między rzędami wojskowych prycz, na

których spali chłopcy, i gnębiła mnie myśl, czy nie powinnam połknąć gumy, którą wciąż żułam. Ślina ściekała mi do gardła, w którym czułam chłód i kwaśność. Cała się trzęsłam. Czułam się chora. Nathan mnie zatruwał.

Żeby go obudzić, dotknęłam nagiej, wystającej łopatki. Usiadł, sięgałam mu za ledwie do szyi. Nigdy dotąd nie byłam tak blisko niego. W ciemności nie widziałam dobrze jego miny, ale nie wydawał się zdziwiony. Wyciągnął rękę.

— Daj mi gumę — powiedział szeptem.

Kiedy mnie całował, pomyślałam, że języki są jak aksamitne ostrygi. I że mężczyźni to łatwiejsza sprawa, niż przypuszczałam. Byłam zaskoczona, że dopięłam swego. Zmusiłam go do złamania zasad. Uznałam to za swój wielki wyczyn. Chociaż potem w głębi duszy wolałabym pewnie nie zadawać się z Nathanem, chociaż czułam się z tym beznadziejnie i mimo że nasze poranne sesje nie posunęły się za daleko, a sytuacja mnie przerastała, to nie chciałam się do tego przyznać. Nawet przed samą sobą, przynajmniej przez większość czasu.

Później, kiedy już wyrzucono Nathana, a ja przeżyłam upokorzenie, ojciec powiedział do mnie:

— Pomyślałaś przez chwilę, czym to się może skończyć? Ponosisz konsekwencje ustawicznego łamania zasad.

*

Za dużo wypięłam tamtej nocy. Byłam rozdrażniona i zaczepna, wreszcie przeprosiłam ich i wyszłam. Wróciłam do domu spacerem i natychmiast padłam.

Nad ranem wrócił Andy i usiadł na brzegu łóżka. Zamajaczyła jego sylwetka w niebieskim mroku i choć nie w pełni przytomna i mimo półotwartych powiek zdałam sobie sprawę, że osoba, która gładzi moją łydkę, a raczej ją pieści, to nie jest Andy.

Poderwałam się natychmiast, kompletnie rozbudzona i przerażona.

— Straciłem pracę.

To był Mark oczywiście. We śnie prześladował mnie Nathan, a obudziłam się, patrząc na Marka.

„Czy wiesz, co ze mną robisz? Każdego dnia obserwuję cię, jak biegasz w szortach po obozie. Wariuję. I nic nie mogę na to poradzić i nikomu nie mogę się zwierzyć”.

— Andy!?! — zawołałam.

— Musiał wstąpić do pracy, żeby coś zabrać — zełgał Mark. Dlaczego facet miał klucz? Nie zatrzymywał się u nas.

Andy powiedział mi, że wynajął pokój w hotelu.

— Nikt mnie nie zatrudni.

Być może gość był psycholem. Może nie mógł mi darować, że mieszkam z Andym, i przyszedł mnie zabić. Równie dobrze to tylko żalosna ofierma, alkoholik, pedofil.

Znajdował się w takim stanie, że spokojnie dałabym sobie z nim radę. Strach został w jednej sekundzie wyparty przez furję, która podeszła mi do gardła, tak że miałam wrażenie, iż rzygnę. — Naprawdę? A dlaczego, Mark?

— Bo lubię małych chłopców.

„Czy jest okay, kochanie? Jesteś taka śliczna i miła w dotyku. Czy jest okay, złotko? Jesteś taka piękna”.

— Bo lubię chłopców — powtórzył.

„Przyjadę po ciebie do szkoły i zabiorę cię do Nowego Jorku. Będziemy chodzili na koncerty rockowe i do kina i robili różne rzeczy, okay? Zaopiekuję się tobą. Chcesz, żeby tak było, chcesz?”.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu jakiejś broni. Gdzie jest ten cholerny paralizator? Na co ci paralizator, jeżeli nie pamiętasz, gdzie go schowałaś? Czy naprawdę niebezpieczeństwo zagraża tu ze strony tego człowieka? Może z mojej strony? Czy to nie ja zamierzam zabić? Nie zabiłam. Zaczęłam za to wrzeszczeć, żeby wyniósł się w cholerę. Siedział osłupiały, więc wrzeszczałam dalej. Wrzeszczałam wciąż, chociaż dawno już był za drzwiami.

„Wracaj teraz na swoją pryczę, kochanie. Przyjdź znowu jutro. Obiecujesz?”.

Kiedy Andy wrócił do domu, wrzeszczałam na niego. Wysoki, barczysty Andy szlochał zwinięty w kłębek na brzegu łóżka. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że powinnam się nim opiekować, że powinniśmy opiekować się sobą nawzajem. Uważałam, że to on ma chronić mnie.

*

Zerwałam z Andym, ponieważ dał drapieżnikowi klucz do mojego mieszkania i poczułam się zagrożona. To nie była jedyna przyczyna. Zerwałam z nim, bo praktycznie nie oglądałam go w domu i źle znosiłam samotność. Zerwałam, bo nie odbierał moich telefonów, czułam się ośmieszana i niekochana.

Tego dnia, kiedy rankiem Mark wlaź mi do łóżka, poszłam do pracowni Lindsaya, żeby palić trawę i się wypłakać. Lindsay też potrzebował pociechy z powodu sercowego zawodu. Wyprowadził się od niego przyjaciel, z którym żył od dziesięciu lat, i Lindsay żalił się na ciche ranki, porządek w łazience i nadprogramowego jointa wieczorem, żeby móc zasnąć. Uświadomiłam sobie, że chociaż mogę się skarżyć na to samo, wciąż mieszkam z kochankiem, który być może jest gejem, a na pewno facetem zaburzonym i zagubionym. Rozwiązanie wydało mi się oczywiste — powinnam wyzwolić się z niesatysfakcjonującego związku z Andym i zostać nowym współlokatorem Lindsaya. Kiedy się wyprowadzałam, nie próbowałam być sympatyczna. Nie mogłam się doczekać pożegnania z białym pudełkiem, jakim było nasze mieszkanie, którego nie potrafiłam ładnie urządzić. Kto chce patrzeć na własne błędy, niepowodzenia, niefortunny wybór kafelków do łazienki i potem mieć je przed oczami przy każdym siusianiu? Dwie drogi się rozchodziły i ja poszłam tą prowadzącą w moim mniemaniu do wolności. Któregoś dnia Andy przyszedł do domu i zastał mnie pakującą pudła. Siadł na kanapie i objął rękami głowę. Zdziwił mnie. Spodziewałam się, że otworzy butelkę budweisera i zacznie grać na komputerze w *Sonic the Hedgehog*. Przestałam go znać, bo tak dalece się od niego oddalałam. W moim pojęciu dystans między nami był wyłącznie jego winą. To on był wciąż nieobecny. Własnej nieobecności nie zauważałam.

*

To, czego mi obecnie brakuje z powodu rozstania się z teatrem, nie jest tęsknotą za oklaskami. Na scenie w pełni zaznaczam swoją obecność, swoje ja. Zamknięta przestrzeń, adrenalina i światła reflektorów całkowicie mnie odblokowują. Opróżnia się mój umysł, ciało nabiera harmonii, otwiera się serce. Nigdy nie opanowałam technik profesjonalnego aktorstwa, nie musiałam myśleć o głodujących dzieciach i krwawiących foczkach czy zmarłej babci, żeby płakać. Jestem dobra na scenie, kiedy w ogóle nie myślę, i to właśnie kocham najbardziej.

Prawda jest taka, że nigdy nie rozstaniesz się z teatrem na dobre. W *Samuel's Major Problems* cała scena była spowita pajęczyną nici biegnących od regału z książkami do nogi krzesła, od kandelabra do stojaka ze szkolną tablicą. W prawdziwym życiu też są nici, chociaż niewidoczne. Twoje ciało zejdzie ze sceny za kurtynę z gracją (lub bez gracji), ale z teatru wyjdiesz z nicią podwiązaną do serca. I przez resztę życia, gdy wkroczysz na złą drogę, gdy będziesz się tego najmniej spodziewać, poczujesz szarpnięcie tej nici.

Nie dotyczy to tylko teatru. Wyobrażam sobie, że moje serce pulsuje w samym środku pajęczej sieci, a jej jedwabne nici rozchodzą się promieniście we wszystkich kierunkach i czepiają każdej rzeczy, którą kiedykolwiek kochałam i od której oderwałam się wyłącznie w mojej imaginacji.

Rozdział 25

Obejrzałam *Post Porn Modernist*, spektakl jednej aktorki, performerki, przedtem słynnej gwiazdy porno, i wkrótce ją poznałam. Byłam pod wrażeniem prowokujących błazenad Annie Sprinkle — ozdabiała się bindi, publicznie odsłaniała waginę i zachęcała do oglądania jej przez wziernik. Szybko się zaprzyjaźniłyśmy. Annie to prawdziwa rewolucjonistka. Otworzyła przede mną nowy horyzont — pozbycie się wszelkiego wstydu. Wpływa tak na wiele osób.

Spotykałam się z nią na brunchach i poznawałam ludzi, którzy lawirowali między prawdziwą sztuką i seksbiznesem. Większość miała daleko głośniejsze nazwiska od mojego (wyrabiali je sobie podobnie jak ci, którzy sprzedawali się jako naśladowcy Roberta Mapplethorpe'a), ale ja również posiadałam kilka rzadkich klejnotów w koronie. Byłam zaledwie dziewiętnastolatką. Miałam tatuaż na cipce. Wróciłam właśnie z haremu księcia Brunei. Te wszystkie atuty wymieniała Annie, gdy mnie przedstawiała.

Pozowałam do jej słynnej talii erotycznych kart do gry, którą nazwała *Post Modem Pin-Up Pleasure Activist Playing Cards* i to dało początek mojej karierze fotomodelki pozującej do zdjęć fetyszystycznych, przy czym pracowałam czasem z wybitnymi fotografikami.

Wyniosłam z tego okresu doświadczenia wspaniałe, które mnie dowartościowały, chociaż zdarzało się, iż czułam się wykorzystywana i przeżywałam to podobnie, jak w szkole średniej sytuację, kiedy nauczyciel głaskał mnie po ramieniu, a ja nie potrafiłam się zdobyć na powiedzenie mu, żeby przestał. Niektóre z tych zdjęć budzą teraz we mnie obrzydzenie, ale większość jest piękna i jestem zadowolona, że je mam. Polecam każdemu w wieku lat dziewiętnastu, żeby odważył się stanąć nago przed kamerą. Zróbcie to. Nawet jeżeli uważacie się za osoby brzydkie. Kiedy po piętnastu latach spojrzycie na siebie na tych zdjęciach, przekonacie się, że wcale nie byliście brzydki.

Budowałam własną tożsamość, łącząc sztukę performan-ce'u, aktywizm społeczny i seksbiznes. Pytana przez ludzi, odpowiadałam, że jestem aktywnie działającą feministką i pornoartystką performerką. Odbyłam nawet kilka randek z Camille Paglią, zwiedziona tym, iż rzekomo opowiadała się za koncepcją „świętej dziwki”, czyli postrzeganiem prostytutki jako bogini seksu. Nie chciałam scementować związku, zrażona jej gruboskórnością i agresywnością.

Wycofała się rozsierdzona, a potem w wywiadzie dla „Playboya” opisała jakąś randkę niemal identyczną jak nasza, dodając komentarz, że gdyby była mężczyzną, mogłaby zadźgać kobietę za perfidne prowokowanie. W następstwie

takiej próby leczenia się z miłosnego zawodu uczyniła siebie samą ilustracją tezy, że mężczyźni bywają prowokowani przez kobiety do stosowania przemocy. A ja uważałam po prostu, że ta randka była najzwyczajniej kiepska.

Scenariusz mojego performance'u się rozrastał i nawet kilka fragmentów utrwaliłam na wideo. Niestety przedsięwzięcie summa summarum szło topornie i przypominało mi, jak to kiedyś pomagałam koleżance striptizerce nieść ze sklepu futon. Gdy podniosłam jeden róg materaca, drugi opadał na ziemię. Już myślałyśmy, że trzymamy go mocno i znowu wyslizgiwał nam się z rąk. Przejście kilku przecznic i pokonanie jednego piętra zajęło nam trzy godziny. Z moim scenariuszem było podobnie. Wzmacniałam koniec, zawałał się początek. Wiedziałam, że nie trzyma się kupy, ale nie miałam pojęcia, jak go poprawić. Piętro niżej pod nami podobny loft zajmował Penn Jillette, wyższy partner duetu magików Penn & Teller. Zaprzyjaźniłam się z nim na długo przed wprowadzeniem się do Lindsaya. Fakt, że zamieszkałam w tej samej kamienicy co Penn, to jeden z dowodów na to, jaki świat jest mały. Przyjaciół Penna, Colin, komputerowy geniusz, odbywał regularne wędrowki do nas na górę. Z nim też się zaprzyjaźniłam. Czułam się, jakbym mieszkała w akademiku. Zjeżdżałam windą z komputerowym problemem i kanapkami z tuńczykiem, a po powrocie na górę odsuwałam dywan w pokoju dziennym i pobierałam lekcje tańca od Lindsaya.

— Rozluźnij ramiona, księżniczko — upominał mnie Lindsay. — Niech nie mam wrażenia, że zwarłem się w zapasach z aligatorem.

Lindsay stał się substytutem ojca. Nie tylko uczył mnie tańca, ale udzielał również pierwszej pomocy w kwestiach mody, tępiąc mój jarmarczny gust. Nazwał moją garderobę „szafą Victorii flądry”, nawiązując do nazwy Victoria's Secret, i stale powtarzał, że Jackie Kennedy nie dałaby się zaskoczyć śmierci w takich butach, jakie noszę. Przypominałam mu, że kupowałam ciuchy z myślą o karierze prostytutki, a nie pierwszej damy.

Odpowiadał, że tego typu skrajne rozróżnienie to niedostatek wyobraźni. Nadal zdarza mi się wkładać kiczowate buty, ale nauki Lindsaya radykalnie poprawiły mój gust. Zapędzał mnie także do robienia porządków, ciągnął do siłowni i zachęcał do gotowania.

Bycie pornoartystką performerką i aktywną feministką nie zwalnia od spojrzenia w oczy rzeczywistości. Minął rok od wyjazdu z Brunei i przez ten rok co miesiąc zmieniałam fryzurę, kupiłam w Barneys szesnaście par butów na raz i w Louis Vuitton bagaż podróżny (co chyba nie było w stylu Patty Smith). Krążyłam po butikach z designerskimi dżinsami i płaciłam rachunki za przyjaciół w nowojorskich knajpach, spałam w luksusowej pościeli Pratesi i uganiałam się po pchlich targach w poszukiwaniu antycznych mebli, których nie potrzebowałam.

Nie byłam osamotniona w rozrzutności. Ten grzech popełniały wszystkie „brunejskie” dziewczyny. Powiedziałabym nawet, że w porównaniu z nimi byłam oszczędna jak Warren Buffet. Ze sporadycznych rozmów telefonicznych z Delią

wiedziałam, że z chwilą, gdy stopy dziewczyn z Los Angeles dotykają chodników rodzinnego miasta, nie ma wśród nich takiej, która nie trafiłaby natychmiast do salonu Mercedes-Benz w Beverly Hills i nie zakupiła najnowszego modelu, zwykle w kolorze kremowym z beżową tapicerką. Wszystkie kupowały walizki w Louis Vuitton, więc dlaczego ja miałabym się hamować? To było jak zaspokajanie podstawowej potrzeby, kupowanie bochenka chleba, litra mleka, okay? Po roku takiej lekkomyślności studnia jeszcze nie wyschła, ale pokazywało się dno.

Sztuka Foremana otworzyła przede mną wiele drzwi i gdybym potrafiła wykorzystać ten moment, istniała realna szansa, że moja kariera aktorska nabierze impetu. Co zrobiłaby Patti Smith? Patti Smith ruszyłaby do przodu, zdobyła, co jej się należy, i rozłożyła konkurencję na łopatki. Znienawidziliby ją; pokochaliby ją. Byłaby na oczach wszystkich i nikt by jej nie zapomniał.

Tymczasem mnie, kiedy tylko zaczynałam zastanawiać się nad własnymi perspektywami, ogarniała niepewność i niepokój. Nie byłam w nastroju do walki. Gdzie się podziała moja nieokiełznana ambicja? Stopniała gdzieś po drodze. Próbowalam ustalić ten moment, kiedy mnie opuściła, licząc na to, że ją znowu pobudzę i powróci dawny napęd, z jakim przez całą szkołę średnią wsiadałam co sobota do autobusu, żeby uczestniczyć w warsztatach teatralnych i tańca. Patrząc w przeszłość, widziałam jednak tyle dziur, że nie wiedziałam, którą wpierw klajstrować.

*

Kiepsko wyglądał scenariusz mojej performerskiej auto-kreacji. Czas spędzałam na oglądaniu w Court TV transmisji z procesu sądowego Amy Fisher i długich spacerach aż do Columbus Circle. Któregoś dnia, mniej niż zwykle gnuśna, wybrałam się do Empire State Building. Oglądałam wieżowiec ze swego okna i tamtego ranka narzuciłam na siebie wytworny skórzany płaszcz i poszłam zwiedzić ten drapacz chmur od środka.

Po drodze do Empire State Building przechodziłam koło Macy's i pod wpływem nagłego impulsu skręciłam w prawo do drzwi wejściowych sklepu. Poszłam do działu męskiego i w stoisku z wodami wyszukałam flakon z Egoistę, ulubioną wodę Robina. Skropiłam nią wewnętrzną stronę nadgarstka, odczekałam chwilę, żeby odparował alkohol, a potem podniosłam dłoń do nosa. Poczułam dreszcz — lekki, ale przebiegł po mnie.

Na tarasie widokowym Empire State Building patrzyłam w dół przez siatkę mającą zatrzymywać monety czy inne przedmioty, które zrzucają ludzie. Miasto wyglądało jak upiorny szczyrły labirynt z czerniejącymi bliznami ulic. Powąchałam znowu nadgarstek i z niewiadomego powodu przypomniałam sobie, że Robin często nazywał mnie „grzeczną dziewczynką”. W gruncie rzeczy w zwracaniu się do mnie jak do pięciolatki albo terierka było coś poniżającego, a mimo wszystko to polubiłam. Wyczuwałam w tym jakąś aprobatę, prawie miłość. Czułam się zwyciężczynią.

Dziewczyna, jaką byłam w Nowym Jorku, wydawała się

być może bliższa mojej prawdziwej natury, tamta w Brunei bardziej zdeterminowana. I silna psychicznie. Nie groziły mi tam takie rzeczy, jak prawdopodobna porażka planowanego spektaklu autorskiego. Nie robiłam tam takich rzeczy, jak usuwanie ciąży i lekkomyślne ranienie kogoś. Tutaj, mimo że odniosłam sukces jako aktorka w dobrej sztuce, miałam wciąż poczucie bezcelowości. Brunei było karkołomną grą, ale z prostymi regułami i jasno określonym celem.

Wydałam przez rok większość pieniędzy, a niestety zdażyłam się przyzwyczaić do szastania nimi. Zbudowałam sobie świat, w którym były potrzebne. Praca w seksbiznesie jest najeżona pułapkami i to jest jedna z nich. Tym można tłumaczyć, dlaczego plany niejednej striptizerki dotyczące kontynuowania edukacji pozostają w sferze mitów. Z pewnością wiele striptizerek podejmuje taką próbę, ale uniwersytet bardzo szybko traci swą atrakcyjność. Po magisterium z socjologii nie możesz nawet marzyć o wynagrodzeniu porównywalnym z kasą, z jaką wychodzisz po występie w klubie.

Chodzi jednak o coś więcej niż pieniądze. Kiedy siedzisz na obcych kolanach czy leżysz zapomniana między czarnymi prześcieradłami w sypialni księcia, musisz wykreować postać, która cię w tym momencie zastąpi. Ma być seksowniejsza, z tupetem i bezwstydną, i mniej niż ty wrażliwa na ból. Jeżeli nie jest taka, to znaczy, że nie dołożyłaś należytej staranności, gdy ją wymyślałaś. W połowiczny twór zaczniesz się wcielać nie tylko w pracy. Na przykład w weekendy, kiedy poczujesz

się towarzysko dyskryminowana na jakimś przyjęciu albo bezbronna na jakiejś randce. Odkryjesz, że image twardej striptizerki, wyrafinowanej cali girl pomaga. Zacznie ci towarzyszyć coraz częściej.

Praca w seksbiznesie jest niebezpieczna. Niebezpieczna z powodów oczywistych. Naraża kobiety na wykorzystywanie przez zwykłych alfonsów i uszlachetnionych alfonsów w eleganckich garniturach, którzy mienia się właścicielami klubów. Czyni z nas potencjalne obiekty przemocy. Wystawia na ryzyko nabycia choroby przenoszonej drogą płciową. Mniej oczywistym, za to powszechniejszym zagrożeniem jest jednak utrata zdolności odróżniania u siebie twarzy profesjonalnej od twarzy prawdziwej. Dziewczyna, która publicznie pokazuje się w stringach, niekoniecznie powinna być tą, która podejmuje za ciebie ważne decyzje w życiu. Ale ustąp jej o centymetr, a wiesz, co będzie dalej. Przecież jest striptizerką. Idzie na całość. To jej praca.

Wtedy nie uświadamiałam sobie tego wszystkiego. Podejmując decyzję o powrocie do Brunei, tłumaczyłam ją sobie tym, że wydałam prawie wszystkie pieniądze i zapomniałam o Paryżu. Jeszcze jeden pobyt w Brunei i to nadrobie, myślałam. Pojadę do Paryża, a po powrocie wyszukam dobrego agenta i natychmiast znajdę się na plakatach, moje nazwisko będzie się pojawiać wielkimi literami w czołówkach filmów. Wmawiałam sobie również, że tęsknię za Robinem i nie pożegnałam się z nim tak, jak by wypadało. Patrząc teraz z dystansu, uważam, że nie brakowało mi Robina, tylko dziewczyny, która z najwyższego piętra hotelu patrzyła na

Kuala Lumpur, co samo w sobie było sukcesem, i nie miała nic innego do roboty tylko przez cały dzień oddawać się marzeniom.

Colin przyszedł na górę z loftu Penna i podczas gdy ja się pakowałam, majsterkował w ostatniej chwili przy moim komputerze. Kilka miesięcy wcześniej nakłonił mnie do kupna tej fikuśnej nowinki nazwanej laptopem. Konfigurował go, żebym mogła wysyłać e-maile z Brunei. Liczyłam się z tym, że mogą mi to cudo skonfiskować, ale nic nie szkodziło spróbować.

— Czy uważasz, że popełniam błąd? — spytałam Colina. Pragmatycznie jak zawsze patrzył na świat.

— Skądże. W żadnym wypadku. Mnóstwo kobiet męczy się przez całe życie na prowincji, zarabiając śmieszne pieniądze. Ty z góry wiesz, że musisz przez jakiś czas pocierpieć. Potem zgarniesz pieniądze i zdecydujesz co dalej. Tym razem zastanowisz się dobrze, co chcesz robić, i wygrasz.

W trakcie tej wymiany uwag między nami Colin stukał z niewiarygodną szybkością na komputerze i na dodatek rozmawiał z klientami.

— Coś mnie jednak dręczy — odezwał się znowu. — Ten twój książkę kupuje u ciebie zaledwie cząstkę tego, co mógłby dostać. Mógłby na przykład powiedzieć: „Do wtorku napisz sztukę i wystaw ją w czwartek”.

— Nie każdy chce oglądać moje sztuki.

— Hm, wszystko przez te pieniądze. Rozleniwiają.

— To prawda. Zdecydowanie rozleniwiają.

— Czy nie mogłabyś pisać powieści w głowie, siedząc na tych przyjęciach?

Zastanowiłam się nad tym. Nigdy nie myślałam o powieść-ciopisarstwie. Zaskoczyłam jednak. Pomysł wydawał się całkiem dobry.

— Nie wiem. Mogę spróbować. Zaczęłabym od krótkiego opowiadania.

— Popróbuj. Pisz w pamięci podczas trwania party, a kiedy wrócisz w nocy do siebie, siądź przy komputerze, wystukaj tekst i prześlij mi e-mailem. Nie pozwól, żeby tamto draństwo cię rozleniwiało.

Samolot się wznosił i widziałam błyszczące wieżowce mojego Szmaragdowego Miasta zmieniające się w miniaturowe zabawki. Nastawiłam zegarek na czas singapurski.

Zrobienie tego zaraz po wejściu na pokład pomaga przystosować się do zmiany stref czasowych podczas długiego lotu. W dotychczasowym życiu towarzyszyło mi stale marzenie, żeby mieszkać w Nowym Jorku i być aktorką. I oto patrzyłam na Nowy Jork hen w dole, który stawał się coraz mniejszy, i mniejszy. Zostawiałam za sobą rodzinę i przyjaźnie, które nawiązałam, i oferty pracy aktorskiej, jakie dostałam. A mimo to nie mogłam się doczekać, kiedy miasto zniknie mi z oczu i na dwadzieścia cztery godziny otoczy mnie tylko błękit.

Rozdział 26

Przemieszczałam się jak we śnie: Nowy Jork—Frankfurt—Singapur, hotel Westin Stamford i kolejnego dnia lot do Bandar Seri Begawan. Ari powiedziała, że w Westin spotkam trzy nowicjuszki i będziemy miały cały dzień na przystosowanie się do zmiany czasu przed ostatnim etapem podróży. Ponieważ Ari mogła przylecieć dopiero za tydzień, zobowiązała mnie do pokazania dziewczynom co i jak. Prosiła mnie o zaopiekowanie się nimi na lotnisku w Bandar Seri Begawan i dopilnowanie, żeby nic im się nie stało. Nadal mi ufała. To dobrze, pomyślałam.

Poprzednim razem padłam ze zmęczenia, jak tylko znalazłam się w Westinie. Tym razem uznałam, że poświęcę się i będę towarzyska w ramach pokuty za długą nieobecność.

Zeszłam do hotelowej restauracji na spotkanie z nowymi dziewczynami. Gdy podchodziłam do ich stolika, taksowały wzrokiem mój ubiór. Jediną luksusową rzeczą, jaką miałam, była torebka. W tamtym czasie zgromadziłam w szufladach

mnóstwo markowych torebek, tylko Chanel i Hermes. Mogłam nosić inną każdego dnia miesiąca. Na podróż ubrałam się natomiast w dzinsy i zrezygnowałam z makijażu. Z min dziewcząt rozczarowanie aż biło. Wszystkie trzy miały na sobie sukienki i wytapetowane twarze.

Kiedy ściszałam się z nimi na powitanie, zaczynałam rozumieć, co sugerowała Ari, mówiąc, że w Brunei wiele się zmieniło. Te dziewczuchy były kute na cztery nogi; wyczułam to jednocześnie z silnym zapachem perfum. Wyglądały, jakby właśnie wyszły z przymierzał ni w Rampage, a pachniały jak dział kosmetyczny w Bloomingdale^.

Natychmiast zapytały o pieniądze. Ledwie zdążyłyśmy przedstawić się sobie nawzajem, a już zaczęły się prześcigać się w pytaniach o zarobki. Ile tygodniowo? Ile będzie wszystkiego razem? Czy dostaje się biżuterię? Powiedziałam im to samo, co mówiono mnie: „Nie martwcie się, zawiedzione nie będziecie”.

Sheila była najbarwniejszą z dziewczyn. Miała skrzekliwy głos i złachaną torebkę. Kiedy wyjmowała zdjęcia rocznego synka, wylazła na wierzch postrzępiona podszewka.

— To mój syn — powiedziała, pokazując je nad półmiskiem niezastąpionych szaszłyków satay z sosem orzechowym. Jeżeli o mnie chodzi, to sos orzechowy jest jednym z największych wkładów Azji Południowo-Wschodniej w dorobek ludzkości.

— Jesteś singlem? — spytała, gdy podawano nam trzecią kolejną drinków.

— Tak.

— Nie wiem, czy ktoś wam już powiedział, że byłam dziewczyną roku magazynu „Penthouse”. Mieszkałam w rezydencji Guccione'ów. Są jak moja druga rodzina. Nie jest mi obce takie życie.

— Czy oni też są dynastią?

— Rozumiem. Żartujesz sobie. Bob junior by cię oczarował. Zorganizuję ci z nim spotkanie, jak wrócisz do domu. Mieszka w Nowym Jorku. Jesteś bystra jak on. Spodobasz mu się.

Raczyła nas opowieściami o tym, co dzieje się na słynnym krytym basenie Guccione'ów, póki nie uznałyśmy, że pora kończyć wieczór.

Następnego dnia z zapuchniętymi oczami ruszyłyśmy w miasto. Poszłyśmy zwiedzić singapurskie zoo, słynące z tego, że zapewnia zwierzętom rzekomo w pełni humanitarne, naturalne warunki i tak dalej. Wlokłyśmy się noga za nogą w tropikalnym upale, głaskałyśmy słoniątka. Singapurczycy i bladzi turyści z Zachodu z jednakowym zainteresowaniem gapili się na kusą bluzkę i obcisłe szorty Sheili. Dziewczyny były zachwycone zoo, ja nie. Zawsze robiło mi się smutno, gdy patrzyłam na goryle z ludzkimi rękami.

Kiedy następnego dnia wsiadałyśmy do samolotu Royal Brunei Airlines, wmawiałam sobie, że ściskanie w żołądku i miękkie nogi to następstwo długiego lotu.

*

Znalazłszy się w pawilonie gościnnym, stwierdziłam, że Sheila, Gina i ta trzecia, której imienia nie pamiętam, to zaledwie cząstka nowego stada piękności. Z poprzedniego

tylko Delia była tu jeszcze po roku, pogodna i asertywna jak zawsze, na zimno podliczająca rosnące konto bankowe i po cichu snująca plany na przyszłość. Minęły czasy jednoosobowych pokoi i nielimitowanych rozmów telefonicznych. Dwa pawilony były pełne Amerykanek, ja i Sheila zostałyśmy ulokowane razem. Już w pierwszej godzinie zorientowałam się, że jest hałaśliwiej, tłoczniej i panuje atmosfera większej swobody. Wkrótce dowiedziałam się również, że nie tylko Sheila może się chełpić tym, iż jest dziewczyną z rozkładówki. Takich nie brakowało i nie brakowało miss piękności ani modelek reklamujących kostiumy kąpielowe. Gdy tłoczyłyśmy się przy marmurowym stole podczas lunchu, rozglądałam się i zadawałam sobie pytanie: czy to możliwe? Zebrane do kupy dziewczęta z rozkładówek i kalendarzy, modelki i króliczki „Playboya”, fantazja dorosłego mężczyzny wcielona w życie, ale czy naprawdę? To były po prostu żywe i niedoskonałe dziewczyny, a ich wizerunki wypełniające strony ilustrowanych magazynów starannie podretuszowano, żeby wyglądały nieskazitelnie i ponętnie. Być może Robin miał taką samą jak ja refleksję. Dlatego wciąż zamawiał nowe okazy i w trybie przyspieszonym się ich pozbywał.

Wzrost populacji Amerykanek w haremie był oznaką postępującej zachłanności i nasilania się dekadentkich zachowań Robina. Byłam świadkiem zbierania się pierwszych chmur śniegowych nad jego głową, a lawina pochłonęła go lata później. Kiedy to się stało, mnie już od dawna tam nie było i dowiadywałam się o tym z gazet. Siedziałam w Los Angeles

na kanapie u przyjaciółki i nie wierząc własnym oczom, patrzyłam na Sheilę, która paplała do reporterów tabloidów, a na ekranie telewizora pojawiała się ja w stroju topless z zamazanymi cyfrowo oczami i cyckami, ale nieskutecznie, więc uprzejmy gest ukrycia mojej tożsamości był pozorny.

Tamtego jednak dnia po przylocie miałam zaledwie cień podejrzenia, że świat za bramami pałacu ulega transformacji. Omamił mnie. Wydawał się tak ściśle zaprogramowany, że odrzuciłam myśl, iż kiedykolwiek może się zmienić.

Prawie wszystko toczyło się po staremu. Minęła zaledwie godzina od mojego przyjazdu, leżałam na kanapie, gapiąc się na jaszczurkę rozplaszczoną na świetliku, kiedy pojawił się ochroniarz i polecił Delii i mnie włożyć kostiumy bikini i pójść na górny basen się opalać. Nałożyłam grubą warstwę kremu z filtrem na nowojorską bladą skórę i w biegu chwyciłam ręcznik. Poprułyśmy wózkami golfowymi w górę znajomego wzgórza. W popołudniowym słońcu lśniłam purpurą. Wyglądałam jak pod lampą UV.

— Gdzie jest Fiona?

— Och, widać, że długo cię tu nie było.

Historia Fiony wyglądała następująco: po blisko roku rezydowania w Brunei Fiona miała szafy pełne designerskich ciuchów, domy dla siebie i rodziny na Filipinach, skąd przyjechała, oraz precjoza dorównujące klejnotom królowej angielskiej. W Boże Narodzenie książę Jefri podarował jej milion dolarów gotówką i pierścioneł zaręczynowy. To była ta główna wygrana, po którą wszystkie próbowałyśmy sięgnąć. Wszystkie oprócz niej.

Fiona odrzuciła oświadczenia Robina, zebrała swoje szmatki oraz pieniądze i odleciała pierwszym samolotem do domu, wybierając wolność. Tym aktem niewierności daleko prześcignęła Serenę. Nikt nie wiedział, gdzie Fiona dokładnie mieszka ani jak się z nią skontaktować. Nigdy więcej jej nie widziałam, ale czasem o niej myślę. Przypomina mi się, że to od niej nauczyłam się chodzić z gracją.

Na party pierwszego wieczoru ubrałam się w minisukienkę w kolorze kości słoniowej. Przez jedwabną tkaninę prześwitywały stringi, marki Cosabplla, i był lekko widoczny zarys tatuażu. Oglądałam się na wszystkie strony w lustrze i po raz pierwszy ogarnęły mnie wątpliwości, czy potrzebnie się wytatuowałam. Tatuaz na cipce, na Boga — kto się na coś takiego porywa? Co ja wtedy myślałam? Czy Robin będzie zniesmaczony?

Na sali okazało się, że nasze ksiąstewko zrobiło się za małe dla tłumu dziewcząt.

Obsiadałyśmy pufy, balansowałyśmy na oparciach foteli. Drobne dziewczyny wciskały się po dwie na jeden fotel, bacząc, by nie zsunąć się z poduszek. Nasza amerykańska część sali wyglądała kiedyś jak pierwsza klasa w samolocie w odróżnieniu od tej gorszej, ekonomicznej. Teraz się wyrównało.

Wzbudziłam ciekawość nowych dziewcząt nie na dłużej niż trzy sekundy. Byłam tutaj aż rok temu? To ich nie interesowało. Każda z nich skupiała uwagę na sobie. Nie wyłapywałam wszystkich wątków rozmów, ale gadały z oży-

wieniem. Przerywały sobie nawzajem, podtrzymując temat tylko wtedy, gdy mógł mieć praktyczne zastosowanie.

— Moja kuzynka poszła do takiego specjalisty od medycyny holistycznej i powiedział, że od napojów gazowanych ma się cellulit, bo komórki tłuszczowe wyłapują bąbelki powietrza. Czy ten szampan nie szkodzi?

— Chyba nie. Wszystkie modelki piją szampana i nie mają cellulitu.

— Raz byłam z Dave'em Navarro w Sunset Marquis chyba

0 szóstego rano i chyba było nas czworo w jego pokoju i zdaje się, że oglądaliśmy *The Doors* czy coś takiego, i byliśmy okropnie upaleni i wypiliśmy butelkę crystalu, takiego za sześćset dolarów i fajnie smakował.

— Czy wiecie o tej dziewczynie Francuzce, która przemycała do Singapuru marihuanę pod podszewką walizki

i skazali ją na karę śmierci i wszystkie rządy próbowały ich powstrzymać, ale się nie przejmowali i ścięli jej głowę?

— Wiem. Tak było. To faszyci. Nawet gumy nie wolno żuć na lotnisku w Singapurze. Coś się we mnie zmieniło. Słuchałam ich i wcale nie miałam ochoty ich udusić. Nawet siebie nie miałam ochoty udusić paskiem od torebki. Zdecydowałam się wrócić i warować tu na krześle, chociaż miałam inne możliwości. W swojej klatce w tym zoo czułam się lepiej niż w nowojorskiej betonowej dżungli. Coś tu działało otrzeźwiająco. I gdy licznik odmierzał godziny mojego życia na tej sali, miałam coraz lepszy nastrój. Przestała mnie dręczyć iluzja, że mam wspaniałe perspektywy życiowe, do których warto wracać. Sen

o gwiazdorstwie wygasał, ledwie się tlił. Niemal czuć było zapach dymu.

Zbliżała się godzina nadejścia Robina. Ogarniało mnie zdenerwowanie. Bezwiednie przygarbiłam się, skuliłam, jakbym chciała uciszyć trzepotanie serca w klatce piersiowej. Musiałam przywołać się do porządku, wyprostowałam ramiona, skrzyżowałam nogi pod atrakcyjnym kątem, udawałam, że się świetnie bawię.

Widziałam wyraźne poruszenie wśród azjatyckich dziewczyn, ale bardziej rzucała się w oczy reakcja Amerykanek. Cieszyłam się, widząc stare przyjaciółki: Yoyę, Tootie i Liii, ale nawet one odnosiły się do mnie z rezerwą. Tootie, promienna jak zawsze, nie wyglądała, że jest o rok starsza. Yoya przytyła w biodrach, za to twarz jej troszkę wyszczuplała, jakby naddatek wagi inaczej się rozłożył. Wydoroślała. Skończyła już chyba szesnaście lat. Miała na sobie pomarańczowy kostium Chanel, a jej nieprawdopodobny warkocz jeszcze się wydłużył.

Wszedł Robin i wyglądał dokładnie tak samo. Te same tenisowe buty, te same gęste włosy starannie zaczesane do tyłu. Wkroczył, rzucił tu i tam słowo powitania, ostentacyjnie nie patrząc w kierunku „amerykańskiej prowincji”. Za nim szli Winston, Dan, dr Gordon i reszta świty. Wiedziałam, że oni nie raczą mnie zauważyć, póki on tego nie zrobi. Kiedy wreszcie się odwrócił i nasze oczy się spotkały, udawał wielce zdziwionego.

— Więc jesteś — powiedział, ściskając mi rękę i całując w policzek. Dziewczyny się ścieśniły, żeby zrobić mu miejsce,

ale nie było takiej potrzeby. Nie przysiadł się. Demonstracja zdziwienia zmroziła mnie. Zawsze kryło się pod nią zawołane napomnienie: zrobiłaś coś, czego robić nie należało. Kiedy siadał na swoim miejscu, zauważyłam, że żadna z dziewcząt nie zajmuje fotela ani z jego prawej, ani z lewej strony. Usiedli przy nim kumple, porozmawiał z nimi krótko i ruszył na wędrowkę od stolika do stolika.

Eddie powitał mnie gorącym uściskiem, po czym wywabił z sali i zaprowadził do jadalni, przygotowanej do nieoficjalnej kolacji. Wokół stołu zastawionego platerami z mnóstwem jedzenia przygotowano miejsca dla dwunastu osób. Nadeszli przyjaciele Robina i zaraz dołączył do nas i on. Siedziałam z jego prawej strony podczas posiłku, przy którym oglądaliśmy wyświetlany na wielkim ekranie film hollywoodzki z malaj-skimi napisami. Mężczyźni byli rozbawieni niczym studenci, bezlitośnie dokuczając Danowi aluzjami do jednej z aktorek filmu.

— Kocha się w niej — wyjaśnił mi Robin.

Wszędzie indziej zadurzenie w gwiazdzie filmowej nie wykracza poza sferę fantazji, ale byłam w Brunei, więc spodziewałam się, że za kilka dni zobaczę tę aktorkę, na wpół oszołomioną, jakby właśnie wyszła tylnym wyjściem z garderoby w Bombaju i po drugiej stronie drzwi znalazła się w Brunei.

Przy kolacji Robin zadał mi kilka pytań na temat pobytu w domu. Podkreślałam, że strasznie się nudziłam i bardzo za nim tęskniłam. Opowiadałam o ciężkiej chorobie ojca, która zatrzymała mnie na tak długo. Skwitował to niby współ-

czującym mruknięciem i zmienił temat. Albo był niezdolny do empatii, albo wiedział, że kłamie.

Nie wierzę w piekło ani karzących bogów, ani karę niebios, ani nawet w karmę. Kiedy jednak kłamliwie usprawiedliwiam się chorobą rodziców, spodziewam się, że zostanie wydany na mnie surowy wyrok. Być może samo kłamstwo jest już tym wyrokiem. Nie potrzeba dodatkowej kary, bo wystarczy dręcząca świadomość, że jesteś osobą zdolną do opowiadania o zagrażającej życiu chorobie matki czy ojca.

Bez uprzedzenia Robin wstał w środku tej dziwnej kolacji, przed zakończeniem scenariusza filmowego, i wziął mnie za rękę. Wszyscy wstali, gdy wychodziliśmy.

*

Z powodu tatuażu poczułam się skrępowana, gdy przyszło się rozebrać. Czy powinnam coś wyjaśniać, czy lepiej nic nie mówić? Największy problem związany z tatuażem widziałam w tym, że zaprzeczał odgrywaniu dotąd naiwnej uczennicy, reagującej zdumieniem na jego najbliższą uwagę. Siedział na krawędzi łóżka, gdy wychodziłam z łazienki.

— Mam małą niespodziankę.

Ściągnęłam przez głowę śliską jedwabną sukienkę.

— Piękny — powiedział i pociągnął mnie na siebie na łóżko. Nawet okiem nie mrugnął i to mnie zdziwiło. Czy dlatego, że o rzut kamieniem żyły plemiona praktykujące tatuaż? A może dlatego, że oglądał miliony filmów porno-

graficznych i przeleciał tysiące kobiet? Niewykluczone, że już nic nie robiło na nim wrażenia. Niewykluczone, że nic nie widział, bo nie umiał patrzeć. Miał w oczach większy głód, niż kiedy widywałam go poprzednim razem.

Wprawił mnie w stan szoku, gdy zaczął dotykać mojego ciała. Zupełnie jakby powłócząc nogami, badał fakturę dywanu przez skarpetki. Czułam się bardzo naga, dziewicza. To było jak prawdziwy seks z prawdziwym facetem, poruszający i krępujący. Wszystko wewnątrz mnie zadygotało, każdy organ kulił się, szukając u mnie obrony. Dopiero po minucie się opamiętałam, oprzytomniałam i odnalazłam psychiczny wyłącznik. Kiedy zadziałał, poczułam żal, że go uruchomiłam. Kusiło mnie, żeby tego nie robić, ale wyobraziłam sobie, jak zareaguje Robin, gdy mu się odsłonię. Nie miałam wątpliwości, że całkowicie straci dla mnie szacunek. Przestanę być godnym jego przeciwnikiem. Będę gniła w kącie sali przez resztę pobytu.

Wracając na przyjęcie, zatrzymałam się w drzwiach, żeby porozmawiać z Madge, która wydawała się szczerze ucieszona, że mnie znowu widzi, chociaż jak zawsze zachowała brytyjską powściągliwość, jakby nie było mnie tylko przez weekend. W momentach stresu twarz Madge tchnęła spokojem jak oblicze Buddy, ale na ręce zaciśniętej na walkie-talkie bieleły kostki. Nie odniosłam wrażenia, że tym razem jest bardzo zestresowana, tylko dość spięta i czujna. Zapytałam, co się dzieje.

— Przecież wiesz. Pracowity dzień, król Husajn w mieście. Słyszałam, że go dziś poznałaś.

— Jak to?

— A nie? Podejmowany był lunchem.

Nie zdarzało się, żeby coś jej się wypsnęło z ust. Nie była to oczywiście żadna ważna sprawa, ale Madge zdradzała mi, kto patrzył przez okno na widoki przy basenie.

— A w ogóle to sympatyczny facet.

Wróciłam do świata, gdzie kamera jest ukryta za każdym lustrem i na każdym rogu można się natknąć na króla.

Rozdział 27

Rodzina królewska zaczęła używać pałacu imprezowego do wydawania lunchów, a nawet jako pomieszczeń dla gości innych niż dziewczęta, tak więc nieraz przez kilka dni z rzędu kazano nam siedzieć w pawilonach i w ogóle się nie pokazywać. Nie wychodźcie poza drzwi, nie wychodźcie na balkon, nie korzystajcie w ciągu dnia z siłowni ani z basenu. Praktycznie był to areszt domowy z oglądaniem filmów, kąpielami w pianie i gimnastykowaniem się przy instruktażach wideo.

Moje taśmy do nauki francuskiego zostały w domu. Przygnębiające byłoby oglądanie ich znowu tylko na półce. Patrzyłam jednak na to, co przywiozłam zamiast nich — na mój laptop. Nie byłam jeszcze zdecydowana, jaki rodzaj pisarstwa by mi odpowiadał.

Opowiadania? Poezje? Sztuki? Dawno zrezygnowałam z performance'u, więc szeroko otwierało się pole aktywności.

System poczty elektronicznej zainstalowany przez Colina

działał bez zarzutu. Podłączałam laptop do linii telefonicznej i codziennie rano wysyłałam listy napisane w nocy. Uchodziło mi to bezkarnie, rzecz była nowością i nikt tak naprawdę nie wiedział, co robię. Gdyby się zorientowali, na pewno by mi zabronili.

Areszt domowy wykluczył z programu grę w tenisa, więc nasz salon przez cały dzień zatłoczony był jazgoczącymi dziewczynami, ja wobec tego ukrywałam się w sypialni i spędzałam czas na łóżku, pisząc z laptopem na kolanach. Prowadziłam dziennik od najmłodszych lat, okresami bardzo skrupulatnie, a czasami zapisując tylko niektóre zdarzenia bądź sny, ale dzienniczek zawsze leżał na stoliku nocnym. Snując najróżniejsze wielkie plany, nie brałam nigdy pod uwagę tej jednej rzeczy, a przecież w tym byłam konsekwentna.

Postanowiłam prowadzić dziennik na komputerze i to okazało się dla mnie ratunkiem. Pochłonał mnie bez reszty. Nie mogłam wychodzić i nie miałam nic do roboty, więc wystukiwałam stronę za stroną, opisując, jak to jest w Brunei. Kopiowałam kolejne porcje tekstu do skrzynki i wysyłałam do Colina. Zaczął robić to samo, opisując na wielu stronach rodzinną letnią posiadłość w Kanadzie, przekazując na bieżąco domowe plotki i biadolenia swojej dziewczyny. Miałam na co czekać każdego dnia.

Zaczęłam utrzymywać rozmowy, drobiazgi, spostrzeżenia. Zostałam zmotywowana do uważnej obserwacji otoczenia i od razu przestałam się nudzić. Nagle znalazł się nowy argument za pobytem w Brunei, bardziej ważki niż moja

zaburzona osobowość i niezdrowy afekt do zdemoralizowanego księcia, i skądinąd zrozumiały sentyment do jego rachunku bankowego.

Robin w dalszym ciągu co noc wyprowadzał jakąś dziewczynę z przyjęcia, od czasu do czasu również mnie i zachowywał się wtedy, jakby nic się między nami nie zmieniło. W ciągu dnia wezwał mnie jednak tylko raz. Zajmowałam jego uwagę w takim stopniu, że mogłam uznać, iż nadal mnie lubi, lecz nie na tyle, żebym mogła zasiąść w fotelu po jego lewej stronie, jak było dawniej.

Nie miałam większych oczekiwań, wobec tego mi to nie doskwierało, póki porannym pukaniem do drzwi nie została zaszczycona Gina. Gina miała dobroduszną, śliczną buzię i tytuł zdobywczyni drugiego miejsca w konkursie na królową dorocznego zjazdu obywateli jakiegoś miasteczka z Indiany. Zależało jej na tym, żebym wiedziała, iż ona nie należy do tych, co obnażają cycki na kolorowych rozkładówkach, ona jest „poważną” modelką. Cere miała kiepską i albo chodziła z toną make-upu na twarzy, albo z maseczką błotną. Była niewysoka, szczupła w pasie, z wielkim biustem, który jak zawsze wystarczy za wszystko. Jej styl budził kontrowersje: wyobraźcie sobie klientkę Talbots, której nagle „odbiło”. Nosila na przykład brązowe klasyczne czółenka, odpowiednie na spotkanie komitetu rodzicielskiego, do sukienki w kwiatki o dwa rozmiary za małej.

Czytałam akurat przy stole w kuchni, kiedy stanęła w drzwiach, wracając z pierwszej dziennej randki z Robinem. Usiadła obok mnie, odłożyłam książkę.

— Czy możemy porozmawiać? — spytała szeptem.

— Jasne.

— Właśnie widziałam się z Robinem. — Miała oczy pełne łez.

O nie, oszczędź mi tego, westchnęłam w duchu. Pogłaskałam ją na pociechę po plecach. Co innego możesz zrobić, kiedy dziewczyna zaczyna płakać? Oddychała nierówno, pociągając nosem.

— Nie wiedziałam, gdzie idę, i zdziwiłam się, naprawdę, i... Wiem, że ty też... no... jesteś jego dziewczyną. Więc... nie chcę, żebyś była na mnie wściekła. Ja... nie wiedziałam, jak powiedzieć nie. Jesteś wściekła?

Zapewniłam ją, że nie jestem. Powiedziałam, że wszystko będzie okay i że on jest uroczy.

— Nie jest? — spytałam.

Dodałam jeszcze, że pewnie robiła to już wiele razy, i to nawet nie z księciem. I nagle usłyszałam z własnych ust dokładnie to samo, co powiedziała do mnie Serena:

— Nie martw się. Prawdopodobnie nie będzie cię więcej wzywał.

Myliłam się. Wezwał ją po raz drugi. I jeszcze raz, i jeszcze raz. Skończyły się zwierzenia od serca. Przybrała postawę wszystkowiedzącej, okraszona miną fałszywej skromnisi, na co chciało mi się rzygać. Przyszło mi do głowy, że jestem Sereną, a Gina mną. Patrząc wstecz, myślałam ze współ-

czuciem, że Serena przechodziła gehennę, gdy widziała, że dzień w dzień wracam do pawilonu świeżo po pieprzonku, obnoszę nowe ciuchy i klejnoty. To bolało; przedtem ją, teraz mnie. Z tego powodu nie robiłam jednak z siebie żalosnej cipy.

Widziałam w Brunei wystarczająco dużo, żeby zdawać sobie sprawę z tego, że tak jak kiedyś wspierałam się wysoko po długiej drabinie, teraz znalazłam się na równie długiej pochylni. Zamierzałam zsuwać się z niej z godnością.

Wszystko się odwlekało, gdyż Robin udał się na pielgrzymkę do Mekki. To było wielkie wydarzenie. Codziennie na pierwszej stronie „The Brunei Times” zamieszczano nowe zdjęcie księcia w białych szatach. Towarzyszyli mu najbliżsi przyjaciele.

Pielgrzymka wydawała mi się świętym szaleństwem; uważałam, że do wielu rzeczy Robin jest zdolny, ale nigdy do pobożności. Sprawa mnie nurtowała. Byłam w Brunei podczas ramadanu i wiedziałam, że mężczyźni pościli w ciągu dnia, więc ich wiara nie była czystym pozorem. Czy Robin musiał odbywać pielgrzymkę z uwagi na swój publiczny wizerunek, czy też miała dla niego głębszy sens? Zastanawiałam się, o co się modli.

Zastanawiałam się, w co tak naprawdę wierzy. W Allaha? Czy w ogóle w cokolwiek?

Rozmawialiśmy ze sobą raczej swobodnie i starałam się wykazywać zainteresowanie polityką, finansami i brytyjską rodziną królewską, ale temat religii nigdy nie wypłynął.

Czy

modlił się o zdrowy sen? Czy modlił się o przyjaciela, którego nie będzie musiał opłacać? A ja? O co ja się modliłam?

Podczas jego nieobecności przyjęcia odbywały się w dalszym ciągu, ale były krótsze. Książę Sufri zakochał się w Malajce, która studiowała w Londynie. Zwierzył mi się, że zamierza się oświadczyć, i sprawiał wrażenie uszczęśliwionego. Próbował jeszcze organizować imprezy połączone z badmintonem, ale stracił do tego serce, tak że chodziłyśmy wcześniej spać.

Przed wyjazdem do Brunei wielokrotnie składałam sobie solenne przyrzeczenia, że nie będę piła. Postanowiłam zrezygnować z alkoholu i innych szkodliwych rzeczy, między innymi z cukru i kawy. Podpisałam ze sobą długoterminowy kontrakt. Kiedy jednak znalazłam się na miejscu, z muru moich postanowień zaczęły się wykruszać cegły, jedna po drugiej. Po paru tygodniach upijałam się codziennie i zażywałam tabletki na odchudzanie. Tamten kontrakt był pierwszą z wielokrotnie ponawianych prób uwolnienia się od uzależnień. Niepowodzenie złożyłam wtedy na karb niesprzyjających okoliczności. Jeżeli mam z czegoś zrezygnować, nie może się to odbywać w Brunei.

Robin był na pielgrzymce, a ja na antypielgrzymce. Co noc, w parze z Delią, robiłam z siebie na parkiecie wariatkę, rozchichotana przy akrobacjach w boogie-woogie i salsie, gdy obok szalały w hip-hopie tajskie dziewczęta. Ulubionym przebojem Delii była piosenka *Just Wanna Be Your Friend* i Anthony puszczał ją przynajmniej dwa razy podczas imprezy, tak że stała się dla nas kultowym songiem, czymś w rodzaju

Time Warp, i wszyscy się przyłączyli do tańca i śpiewu, wydzierając się przy tytułowym refrenie i oczywiście przy słowach *Fm so HORNY2*.

Delia i ja potrafiłyśmy upić się do tego stopnia, że zdarzało się, iż jedna drugą niemal niosła do naszego pawilonu. Którejś nocy potknęłyśmy się na schodach i stoczyłyśmy się po stopniach aż na sam dół. Na szczęście schody pałacowe były wyłożone grubą wykładziną dywanową i miały płaskie stopnie. Wylądowałyśmy jednak z pod-dartymi kieckami, tak że uczestnicy party niemal umierali ze śmiechu.

Noc w noc piłam i siadałam za kółkiem. Szczęśliwie tylko za kierownicą wózka golfowego. Pewnego razu wcisnęłam pedał gazu zamiast hamulca i przywaliłam wózkiem w ścianę garażu. Siłą bezwładu poleciałam do przodu, uderzając nosem w lustro wsteczne. Nosa nie złamałam, ale był spuchnięty i skaleczony, wyglądałam okropnie. Dziękowałam Bogu, że Robina nie ma w mieście, póki się kuruję.

Permanentny stan upojenia alkoholowego przyniósł jeden pozytywny skutek. Pewnej nocy, rozszalona nad sobą, wypłakiwałam się na ramieniu jakiejś gwiazdki „Penthouse'a”, dupiastej blondynki z szarozielonymi oczami, która miała na imię Melody. Nosila pierścionek zaręczynowy, który rzekomo dostała jak Brittany od Vince'a Neila (Vince Neil ten sam, pierścionek inny), i bez przerwy gadała do dyktafonu, gdyż

2Ang. *I'm so horny* = **Jestem taki napalony.**

pracowała, jak mówiła, nad książką pod tytułem *Jak ja to widzę*, w której zamierzała przekazać swoją mądrość życiową w sposób humorystyczny i całkiem serio też. Nigdy jej nie skończyła. Słyszałam, że ostatecznie postanowiła poświęcić życie Jezusowi.

Noc zwierzeń miała miejsce w tygodniu poprzedzającym moje urodziny. Nigdy nie lubiłam urodzin. Słyszałam, że to powszechne wśród dzieci adoptowanych. Zapraszane do Brunei dziewczyny planowały tak przyjazd, żeby być na miejscu w dniu urodzin, bo w prezencie dostawało się drogą biżuterię, ale ta perspektywa nie wystarczyła, żeby zawrócić mnie z drogi ku nieuchronnej urodzinowej katastrofie. Nie radziłam sobie z obojętnością księcia i piciem. Zsuwałam się z pochylni, lecz nie z godnością. Znalazłam się w gronie tych, które się na przyjęciach upijają i użalają nad sobą.

— Przestałam być nastolatką. A co osiągnęłam? Nie chciałam przez resztę życia pić odchudzających ziółek i nie kończyć niczego, co zaczynam.

Dziewczyny przewracały oczami, słuchając moich wynurzeń przed Melody na temat nieszczęść, jakie mnie spotkały ostatniego roku. Dokładnie nie pamiętam, co mówiłam, ale na pewno wspomniałam o bezowocnej próbie odnalezienia matki biologicznej, ponieważ Melody, usłuznie dzieląc się ze mną swoją życiową mądrością, napomknęła o prywatnym detektywie z Denver.

Gdy się obudziłam, na stoliku nocnym znalazłam kartkę z jego nazwiskiem i telefonem. Byłam potwornie zawstydzona

tym, że otworzyłam się przed Melody — nieporównywalnie bardziej niż wylądowaniem na dole schodów z kiecką na głowie. Mimo to kartkę papieru włożyłam do książki, na wszelki wypadek. Nigdy nie wiadomo, czy nie przyda się kiedyś nazwisko prywatnego detektywa z Denver, zapisane dziecięcym charakterem pisma z serduszkami nad „i” zamiast kropek.

Rozdział 28

Podczas nieobecności Robina rozwarło się niebo i zsyłało burzę za burzą, ulewy przeradzały się niemal w biblijny potop, przypominając, że za murami pałacu jest Borneo, wyspa lasów deszczowych, podziemnych rzek i niesamowitych jaskiń. Monsuny biły w okna sypialni, każąc myśleć o świecie poza naszymi złotymi klatkami. Właśnie na początku pory deszczowej postanowiłam spróbować swoich sił w innych formach niż dziennik.

Deszcz bębnił w świetlik, gdy kończyłam pierwsze opowiadanie, oczywiście straszne, które wysłałam do Colina. Odpowiedział, przesyłając własne, i tak zaczęliśmy wymianę twórczości. Początkowo opatrywałam opowiadania adresowanym do Colina prologiem, przepraszając za horrenda, jakie w nich były, póki nie napisał, że odmawia czytania opowiadań poprzedzanych autoironicznymi komentarzami. Dodał, że jeśli nawet robię coś marnie, nie muszę się usprawiedliwiać.

Pierwsze opowiadanie było o dziewczynce, która musiała

pójść z matką do domu zmarłej babki, żeby spakować porcelanę. Byłam z matką w domu babki, żeby spakować porcelanę i na tym oparłam to opowiadanie. Drugie opisywało historię striptizerki, która sprzedała duszę diabłu za obietnicę występu w Las Vegas. Miała to być wielka metafora, ale już nie pamiętam, na czym polegało przesłanie.

Ja zajmowałam się pisaniem, książkę pielgrzymował w Mekce, a w tym czasie na imprezach objawiła się nowa piosenkarka klubowa, Iyen, śliczna filipińska dziewczyna, która stylizowała się na bohaterkę *I Dream of Jeannie* — nosiła wysoko upięty koński ogon i przezroczyste haremowe spodnie. Kiedy Robin wrócił, zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Po dwóch tygodniach miała na palcu pierścień wielkości Brunei. Próbowaliśmy później ustalić, czy połączyli się węzłem małżeńskim, a jeżeli tak, czy nadal są razem, niestety zasłona tajemnicy okrywa tę sprawę i w ogóle nie wiadomo, ile żon ma książkę i które z nich są „oficjalne”. Według byłego reportera „Washington Post”, z którym rozmawiałam, ich liczba daleko przekracza cztery, a tyle dopuszcza branej skie prawo. Robin był dla mnie miły i kiedy usiadł przy mnie, żeby porozmawiać, nie zdradzał zachowaniem jakiegoś tajonego gniewu. Nie bałam się zresztą kary. Przeszłam kolejne etapy: rozpieszczał mnie, potem karał, teraz mu spowszedniałam. I w tym momencie zrozumiałam, że z głuchym odgłosem wylądowałam na dole pochylni. Robin spał ze mną jeszcze kilka razy, narzeczeństwo mu nie przeszkadzało, wziął mnie nawet na przejażdżkę nowym

astonem martinem którejs nocy, ale przestało iskrzyć między nami. Wśród dziewcząt zapanowała atmosfera rezygnacji. Zmienił się. Rzadko przychodził nawet na przyjęcia, z wyjątkiem tych okazji, kiedy śpiewała Iyen. Przesiadali obydwój przez całą noc na schodach, pogrążeni w rozmowie, podczas gdy my na sali wyśmiewaliśmy się z jej strojów, wyobrażając sobie, że w kwestiach mody jesteśmy bardzo wyrafinowane, bo całymi godzinami oglądałyśmy program *Style with Elsa Klensch*. I dziwiłyśmy się, że mając taki wybór eleganckich, ubranych w drogie ciuchy, stylowo uczesanych i cholernie szczupłych dziewczyn, upodobał sobie pulchną, wyglądem urągającą modzie klubową piosenkarke.

Dwudzieste urodziny spędziłam w Brunei i dostałam nie jeden, lecz dwa niewiarygodne zegarki, które rzucił mi na kolana Eddie. Po oficjalnym przyjęciu urodzinowym skrzyknęłyśmy się w pawilonie na nieformalne party w koszulach nocnych, przy ciastach i szampanie przyniesionym przez mały orszak uśmiechniętych dziewcząt z obsługi.

Współtowarzyszki zdjęły ze mnie anateme, bo przestałam się liczyć. Mogłam cieszyć się przyjaciółkami, ale szczerze mówiąc, wołałam władzę.

Donna, z którą się zaprzyjaźniłam, wspaniała filipińsko-amerykańska kick bokserka i modelka, uniosła kieliszek z szampanem i naśladując wcale nieźle meksykański akcent Ricarda Montalbana wypowiedziała toast:

— Witam na Wyspie Fantazji, gdzie spełniają się wszystkie marzenia. Powiedzmy.

Miałam trudności ze snem. Zaczynałam pisać zaraz po przyjęciu i noc w noc siedziałam do rana, póki pierwszy brzask nie zaczynał rzucać na tamtą część planety setek odcieni błękitu i purpury, czystych i napawających nadzieją.

Napisałam do Colina, że zwyczajnie chciałabym czegoś chcieć. Przestałam chcieć czegokolwiek i tam, gdzie widniały jakieś cele, ziała pustka. Odpowiedział następującym e-mailem:

Kiedy wsiadałem do kajaka przed samym bystrzem rzeki, a było to w Kanadzie, odwróciłem się i zapytałem brata: „Czy zginę?”. On na to: „Skądże, szykuje się zabawa. Patrz przed siebie, stąd nawet nie wygląda to tak groźnie”.

Więc patrz przed siebie, bo wygląda na to, że wkrótce zaczniesz chcieć czegoś na serio. Przyślij następne opowiadanie.

Upłynęły cztery miesiące, napisałam jeszcze pięć opowiadań i wróciłam do Nowego Jorku. Wyjeżdżałam z kopertą bardziej pękata niż poprzednio i klejnotami, które powinny podróżować z obstawą. Jest coś takiego w tych twardych, zimnych, błyszczących sygnałach wzrokowych potęgi, że nawet ja — ąasi-socjalistka, sezonowa wegetarianka i artystyczna dusza — chciałam krzyczeć do ludzi: „Patrzcie, skurwysyny. Mam skarby od samego księcia. Jestem piękna”. Skarby tracą jednak swą moc, ego przetrawia je szybko i zostaje się z jeszcze jednym zegarkiem, jeszcze jedną parą kolczyków, krzykliwymi błyskotkami, które kłują w oczy tak, jakby zostały kupione w butiku Patricii Field.

Na koniec klejnoty całkowicie gubią wartość sentymentalną i sprzedajesz je pośrednikowi w handlu wyrobami jubilerskimi w jego biurze na drugim piętrze jakiegoś gmachu w dzielnicy diamentów. Siedząc po drugiej stronie małego stołu i patrząc, jak drobny staruszek ocenia twoją biżuterię pod lupą jubilerską, przypominasz sobie, co twoja babka mówiła, gdy do ostatniej chwili zwlekałaś z wypracowaniem z angielskiego: „Diamenty formują się pod wysokim ciśnieniem”.

Nie wiedziałam dokładnie, że to miał być mój ostatni pobyt w Brunei. Jednak gdy żegnałam się z Robinem, błysnęła mi intuicyjna myśl, że tak będzie. Patrzyłam na niego w skupieniu, starając się zapamiętać jego twarz. A jeżeli już nigdy go nie zobaczę? Takiego wyboru nigdy w życiu nie dokonałaby Patti. Wbrew najbardziej luzackiej i punkowej ze wszystkich opiekuńczych matek chrzestnych skończyłam z użyczeniem siebie za pieniądze i chociaż wynajem był krótkoterminowy, nadwerężyłam więź pomiędzy moim ciałem i duszą na tyle poważnie, iż ledwie czułam własną skórę. Mogłam się uwolnić i odzyskać siebie pod warunkiem, że już nigdy nie zobaczę Robina. Czekala mnie długa droga powrotna.

Rozdział 29

Zlokalizowanie mojej biologicznej matki zajęło detektywowi dwa tygodnie. Do pierwszego listu wysłanego do mnie Carrie załączyła zdjęcia swojej rodziny. Ze świątecznej fotki patrzy dobrotliwym wzrokiem zza grubych okularów jej mąż, wysoki, łysiejący pan. Starsza, nastoletnia córka sprawia wrażenie dziecka upośledzonego. Niskie czoło, zez, opuszczona dolna warga. Młodsza, prawdopodobnie sześćioletnia, to pucułowata, śliczna Latynoska. Z listu dowiedziałam się, że obydwie są adoptowane. Carrie wygląda na kobietę silną, nieustraszoną, jej nieuszminkowane usta układają się w szczery uśmiech. Stoją we czwórkę w bożonarodzeniowych swetrach, o tym samym wzorze, przed domem z aluminiowym sidingiem, za nimi martwy trawnik z szarymi płatami zlodowaciałego śniegu. Typowa rodzina ze Środkowego Zachodu, jaką mijasz w każdym Disneylandzie.

Wstawiłam w to zdjęcie siebie. Na kogo bym wyrosła, gdybym codziennie wracała ze szkoły do tego małego domu?

Wyobraziłam sobie scenę z filmu młodzieżowego: bohaterkę w pokoju, gdzie na ścianach wiszą zdjęcia gwiazd filmowych, a lustro na komodzie ozdabiają niebieskie kokardki. Leży na łóżku i rozmawia przez telefon z przyjaciółką, stopy ma oparte o wezglowie. Scenerię zalewa maślany blask słońca. Zdawałam sobie sprawę, że to śmieszne i żenujące, pozwoliłam sobie jednak puścić wodze fantazji i wyobrazić sobie środowisko, oferujące inne możliwości niż to, w którym żyłam, środowisko, które by mnie lepiej przygotowało do dokonywania właściwych wyborów.

Carrie przesłała jeszcze kolorowe fotokopie innych zdjęć, opatrując je u dołu odręcznymi, ołówkowymi komentarzami. Większość dokumentowała wystawienie *The Cross and the Sword* w regionalnym teatrze w Jacksonville w 1972 roku, bo tam poznała mojego ojca, Jima.

Udało mi się odszukać zdjęcia twojego biologicznego ojca: zawsze myślałam w duchu, iż mogło się tak szczęśliwie ułożyć, że do niego jesteś podobna, choć na własną urodę nie narzekam.

Na moim ulubionym zdjęciu Jim stoi pośrodku sceny w pozie zdobywcy. Ma długie, falujące włosy, zaczesane za uszy w stylu lat siedemdziesiątych, a na sobie kostium przebierańca wystrojonego na jarmark historyczny. Carrie widoczna jest w tle na jednym końcu rzędu tancerek. We włosach ma wianek z kwiatów, a ubrana jest w szeroką spódnicę i ludową bluzkę. Klęczy na jednym kolanie, trzyma w górze tamburyn i jest wpatrzona w Jima.

Obydwoje są piękni, lecz on chyba piękniejszy. W liście

Carrie pisała, że Jim był utalentowanym aktorem i poetą. Na mnie sprawia wrażenie niebudzącego zaufania cwaniaka. Czytam to w jego oczach. Widzę swoje podobieństwo do Carrie w kształcie nosa i ust, ale oczy mam Jima.

Pytasz o pochodzenie? Określiłabym cię przede wszystkim jako białą anglosaską protestantkę. Sądzę, że Jim miał angielskie korzenie. Panieńskie nazwisko mojej matki jest szkockie — MacDowell. Jestem mieszaniną narodowości szkockiej, niemieckiej i prawdopodobnie irlandzkiej.

Zawsze towarzyszyło mi przekonanie, że wyglądam jak Żydówka — nowojorska Żydówka, rosyjska Żydówka. Kiedy ludzie pytają mnie o pochodzenie, odpowiadam, że jestem rosyjską Żydówką. Gdy niedawno powiedziałam to mojej manikiurzystce, Rosjance, pokiwała głową.

— To widać — rzekła.

Byłam ogromnie niezależna i łatwo mi przychodziło brać sprawy w swoje ręce. Jako młoda kobieta rzadko kiedy odczuwałam satysfakcję z tego, co robiłam, i wciąż oczekiwałam, że życie przyniesie więcej. Myślę, że nie było to niczym oryginalnym w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych... Myślę, że wiele tamtych idei wciąż gdzieś we mnie drzemie.

Spowodowałaś odgrzanie dawnych wspomnień i uczuć, które odświeżam, przeglądając stare fotografie i dokumenty.

Wyglądało na to, że pod tym względem mam raczej usposobienie Carrie niż rodziców adopcyjnych, którzy w owym okresie zamknęli się na głucho, odgradzając się od lat sześćdziesiątych jak od huraganu.

Listy Carrie pisane były na białym poliniowanym papierze rozmiaru kartki zeszytowej, górny brzeg miał drobne ząbki — praktyczne rozwiązanie, żadnej teatralnej egzaltacji. Do utraconej biologicznej córki Carrie pisała na kartkach wyrywanych z kuchennego notatnika.

Oczywiście często o tobie myślałam. Zastanawiałam się ostatnio, jakie mogłabym nawiązać kontakty, żeby łatwiej było mnie odszukać, gdybyś tego zapragnęła. Mam nadzieję, że jestem w stanie odpowiedzieć na każdą twoją prośbę czy potrzebę. Nie cierpię opowieści o adoptowanych dzieciach, które rozpaczliwie poszukują matek biologicznych. Nie traciłam nigdy nadziei, że masz szczęśliwe, satysfakcjonujące życie beze mnie. Czy jej rozpaczliwie szukałam? Niedokładnie. Chociaż trochę tak. Rozpaczliwie czegoś szukałam, a ona stanowiła część tego czegoś.

*

Listy Carrie odsłoniły mi jej losy od dzieciństwa w średniozamożnej rodzinie w Bellevue, w stanie Nebraska, przez krótki epizod na uniwersytecie w Utah, potem karierę tancerki w Chicago, występy na Florydzie, powrót do Chicago, gdzie popadła w kłopoty, spotkawszy niewłaściwego faceta w niewłaściwym czasie, następnie ponownie lata w Nebrasce, tam wyszła za mąż i skończyła college, i wreszcie osiedlenie się w Boise, w stanie Idaho, gdzie zaczęła pracować jako technik medyczny i nauczycielka tańca i zaadoptowała dwie córki. Sprawiała wrażenie inteligentnej i rozsądnej. Bez inklinacji

do tandety czy aberracji, ot kobieta, która kiedyś była niespokojnego ducha, kiedyś była zagubiona.

Czy uprawiasz ogródek? — pytałam w liście do niej. — Czy zdarza ci się puszczać latawca z dwoma linkami sterującymi?

Lindsay i Colin siedzieli przy mnie na czarnej skórzanej kanapie w naszym lofcie, kiedy dzwoniłam do Carrie z prośbą, żeby odwiedziła mnie w Nowym Jorku. Uznałam, że jestem gotowa zamknąć jeden rozdział mojej narracji i otworzyć następny. Co zrobiłaby Patti Smith? Spojrzałaby prawdzie w oczy i nawet powieka by jej nie drgnęła.

W hali przylotów międzynarodowego lotniska w Newark stałam pewnie ze sto razy, ale najbardziej upamiętniło mi się czekanie na Carrie.

Mam wypalony na stałe w pamięci jej obraz, gdy swobodnym krokiem zbliża się w moim kierunku długim korytarzem. Ma sympatyczną twarz i szerokie biodra, jak moje, na sobie dzinsy i zakiet w szkocką kratę. Powitałyśmy się wymuszonymi uśmiechami.

Przypuszczam, że jedna i druga miała wymalowaną na twarzy wątpliwość, czy dobrze się stało, że w naszych głowach powstał plan takiego spotkania. Wydawało się wcześniej, że to świetny pomysł, ale jego wykonanie przyszło zbyt nagle, oszałamiało jak wyjście z ciemnego pokoju na słońce.

Krępujące i pełne napięcia były pierwsze chwile, ale moja matka biologiczna to twarda kobieta. Uroniła dokładnie jedną łzę i przeprosiła za nią, wycierając policzek. Jestem od Carrie

wyższa. Gdy czekałyśmy na jej bagaż, powiedziała mi, że mam oczy ojca. Już to wiedziałam ze zdjęć, które mi przysłała. Nie spuszczałam tych oczu z taśmy bagażowej, udając, że pilnie wypatruję walizki, choć nie mogłam wiedzieć, jak wygląda. Później powiedziała mi więcej o Jimie, o nich obojgu, gdy siedziałyśmy na wysokich stołkach w kuchni, pełniące jednocześnie funkcję pracowni krawieckiej Lindsaya, i jadłyśmy chińszczyznę. Czułam się dziwnie — miałam wrażenie zaburzonych proporcji. Byłam malutka w stosunku do wysokiego sufitu i dziwnie wielka przy drobnej matce. Moje ręce, trzymające pałeczki, wydawały się zawstydzająco duże, jak męskie. Spuchnięte i zmęczone oczy ciążyły mi, nagle się zamykały.

— Kochaliśmy się. Przyjechał za mną do Chicago — mówiła.

Wspominała go z błyskiem ożywienia w oku, chociaż minęło tak wiele lat i zadał jej tyle bólu.

— Był bardzo przystojny, charyzmatyczny. W Chicago próbował utrzymać się z aktorstwa, mieszkaliśmy w kawalerce. Szamotaliśmy się. Pamiętam kłótnię między nami, kiedy Jim miał wielki gipsowy opatrunek na nodze po złamaniu. Padał śnieg tego dnia, to była zawieja, a on pokuśtykał przed siebie ulicą. Wskoczyłam do auta, jechałam za nim, ślizgając się po jezdni i wydzierając się na niego, żeby wsiadał.

Roześmiałam się.

— Wbiłam się samochodem w zaspę i wracaliśmy do domu na piechotę.

Potem stała się mniej otwarta. Nie byłam pewna, czy czułam więcej rozczarowania czy ulgi, gdy skończyła ze szczerością, tłumacząc się mgłą niepamięci. Słuchając o moim ojcu biologicznym i ich związku, czułam się skrepowana podobnie jak dziecko, gdy rozmawia z rodzicem o seksie. Chciałoby się mieć kumpelski kontakt z matką i rozmawiać z nią na luzie o wszystkim, ale to się nie udaje. W naszym przypadku nawet nie mówiłyśmy o seksie. I tak naprawdę to nie była nawet moja matka. Mimo wszystko czułam instynktowną niechęć do tematu.

— Wielu rzeczy nie pamiętam. Przykro mi. Zablokowałam wspomnienia. Nachodziły mnie fantazje, że cię wychowam, ale uwierz, długotrwały związek z Jimem byłby nieszczęściem. Poza tym i tak odszedł. Odszedł, zanim się urodziłaś.

Opowiadała w trakcie obiadu i przy ciasteczkach z przepowiadniami. Opowieść była zajmująca, choć nie czułam, żeby mnie dotyczyła. Z drugiej strony miałam świadomość, że na tę historię czekałam przez całe życie. I nareszcie jej słuchałam. Nareszcie patrzyłam na osobę, która była do mnie podobna. Wszystko było takie dziwne, obce. Coś się we mnie wypalało. Przy Carrie nie mogłam się odprężyć.

Niezbyt dobrze pamiętam, co robiłyśmy tamtego tygodnia, na pewno wiele czasu spędzałyśmy z Lindsayem i Colinem. Carrie poznała mnóstwo naszych znajomych, którzy do nas wpadali. Każdy wzbudzał jej ciekawość i czuła się swobodnie wśród nas, w świecie alternatywnego teatru i homoseksualnych artystów. Odczułam wielką ulgę.

Prawdopodobnie dręczyła mnie obawa, że odkryję głęboko przez nią skrywane potępienie dla mojego sposobu bycia.

Byłyśmy w Central Parku i w Metropolitan Museum. Spotkałyśmy się z przyjaciółką Carrie ze słynnego zespołu Rockettes, niewysoką blondynką po czterdziestce. Dowiedziałam się, że do Rockettes idą baletnice, żeby w nim umrzeć. Wszystkie starzejące się tancerki z całego kraju ściągają do Nowego Jorku, żeby występować w rewiach w okresie Bożego Narodzenia. To przypomina operację wojskową, a bycie członkiem zespołu to niemal jak odrębne obywatelstwo. Przyjaciółka Carrie przyjechała do stolicy, żeby się odchudzić, odświeżyć i uczestniczyć w warsztatach tanecznych.

Jak każde dziecko mieszkające w takiej odległości od Manhattanu, jaka umożliwia wyprawę samochodem do metropolii, widziałam Rockettes wielokrotnie. Pamiętam głównie ich białe futrzane czapeczki i niesamowicie długie nogi poruszające się jak cudowna maszyna wprowadzona w ruch po to, by zachwycać ludzkie oko. Jednorodne stado kobiet i kalejdoskopowe wzory, jakie ich ciała kreślą w przestrzeni. Niesamowite było widzieć jedną z nich w dresie w parku. Piłyśmy herbatę — czarną, bez cukru — i patrzyłyśmy na zdalnie sterowane modele jachtów ścigające się po Conservatory Water³. Zaplanowałam zjeść obiad z Carrie, gdy wyjdzie ze studia tanecznego, gdzie postanowiła wpaść na popołudniowe zajęcia. Poszłam spacerem do Columbus Circle i tam miałam się z nią spotkać w Steps. Steps to szkoła tańca, w niej uczą się

³ Staw Modeli Pływających.

dzieci biorące później udział w broadwayowskich spektaklach. Ja radzę sobie z tańcem i nie mam zwyczaju się poddawać, ale w tej szkole zetknęłam się z brutalną rzeczywistością. Niezliczoną ilość razy siedziałam tam na tylnej klatce schodowej i lałam łzy w wilgotne od potu jazzowe buty, użalając się nad sobą: jestem za gruba, nie nadążam z figurami, gubię rytm. I najgorsze: jestem leniwa. Mogłabym być dużo lepsza, gdybym się bardziej starała, gdybym jako dziecko bardziej uważała podczas lekcji, gdybym nie kapitulowała, jak tylko natykam się na trudności.

— Baletnice mają długie, cienkie szyje jak łabędzie — mówił ojciec. Nie potrzebował kończyć wywodu. Baletnice rodzą się łabędziami. Widziałam to, co widzieli inni: ja byłam kaczką. Nauczyłam się czerpać pocieszenie z tego, że, jak wiadomo, po kaczkę spływa woda.

Przyszłam do Steps przed czasem i nie zdradzając swojej obecności, podglądałam Carrie przez szybę z widokiem na salę. Ćwiczyła z grupą zaawansowanego tańca jazzowego, do której ja nigdy nawet nie próbowałam się dostać. Pomimo swojego wieku i niesprzyjającej tancerce ułomności, gdyż jedną nogę miała stale spuchniętą w następstwie operacji nowotworu skóry, co wymagało jednoczesnego usunięcia okolicznych węzłów chłonnych — pomimo tego wszystkiego prezentowała się oszałamiająco. Miała to coś.

Kiedy jej grupa zajęła parkiet, młodsze od Carrie dziewczyny, normalnie zadzierające nosa, usunęły się na bok, obserwując ją z podziwem. Instruktor błysnął do niej uśmiechem. Kipiało w niej życie, była jak naelektryzowana. Najlepsza z nich wszystkich. Po skończonych zajęciach zgroma-

dziło się wokół niej grono tancerek. Zwlekały z odejściem, chciały rozmawiać, a napływały już osoby z kolejnej grupy.

Kto jak kto, ale ja — osoba zawsze znajdująca dom wśród pokreconych i bezkompromisowych przyjaciół—wiedziałam, że rodzinę można budować w różny sposób. I wiedziałam także, że moi rodzice, moi prawdziwi rodzice, którzy żyją w New Jersey, kochamennie jak wariaci, choć czasem z kiepskimi rezultatami. Stojąc jednak za szklaną taflą w Steps, po raz pierwszy poczułam gniew. Żałowałam przez moment, że Carrie nie okazała się nieco mniej egoistyczna, że nie wzięła się mocniej w garść, że nie pokochała mnie troszkę bardziej. Gdyby trwała przy mnie, mogłabym tańczyć jak ona. Nie tańczyłam jednak tak dobrze. I szczerze mówiąc, zbierało mi się już na mdłości od tych marzeń.

Po odlocie Carrie siedziałam na lotnisku w Newark jeszcze przez długi czas. Przez szklaną ścianę obserwowałam odlatujące i przylatujące samoloty. Miałam zaledwie dwadzieścia lat, tyleż miała Carrie, gdy oddała mnie do adopcji. Gdy zrobiłam rejestr własnych skandalicznych ekscesów z ostatnich dwóch lat, kiedy przebiegłam myślą ponure cmentarzysko pogrzebanych aspiracji, kiedy spojrzałam na tyle rzeczy wdeptanych przeze mnie w ziemię, musiałam Carrie przebaczyć.

Piętnaście lat później, w apartamencie z otwartymi na ocean oknami, przez które wlatywała morska bryza, leżałam na kanapie w półmroku ogarniającym pokój.

Patrzyliśmy z mężem, jak morze wsysa ostatnie promienie bladego słońca. Siedem pięter poniżej na molo w Santa Monica występowała

Patti Smith, my nie mogliśmy iść na jej koncert, ponieważ po zabiegu in vitro zalecono mi tego dnia odpoczynek w łóżku. Wątpiłam w powodzenie zabiegu i miałam rację. Nie traciłam jednak nadziei, że tak czy inaczej będziemy mieli dziecko, dziecko, które szeroko otworzy nasze serca i pomoże nam współodczuwać z innymi.

Patti zachowała mocny głos mimo upływu lat. Rozróżniałam słowa, chociaż dźwięki muzyki tłumiła i odległość, i wiatr.

Wierzyłam, że nareszcie dotarła do mnie odpowiedź. Co zrobiłaby Patti Smith? Zaśpiewałaby dla mnie. Przebaczyłaby mi, że błądziłam.

Epilog

Minęło siedemnaście lat od czasu, gdy wsiadałam do samolotu, lecąc do Singapuru po raz pierwszy.

Wkrótce po powrocie z Brunei wyjechałam do San Francisco, by nigdy do Nowego Jorku nie wrócić. Opuszczasz Nowy Jork i to miasto natychmiast cię zapomina. Jest jak kochanek, od którego ty odchodzisz, a to on wciąż dominuje. Natykasz się na niego na ulicy i rozpoznajesz go, zanim on rozpozna ciebie. Szamoczesz się z myślą, czy zawołać: „To ja. Jestem Jill”. Będziesz czytać o nim w gazetach i twoje ciało będzie pamiętało. Gdy zobaczysz w telewizji czarne słupy dymu wznoszące się w górę, przeżyjesz to, jakby samolot wbił się w twoje, a nie w jego serce. Za to Nowy Jork, nawet w chwilach największego cierpienia, nie będzie o tobie pamiętał. Mimo że przed oczami mam teraz o wiele piękniejsze widoki, czasami odczuwam ból, że zostałam zapomniana. Wyszłam za mąż, zapuściłam korzenie w zamożne życie,

pijam rano zieloną herbatę, patrząc przez panoramiczne okno na bujne kamforowce i lukrowane fioletem jakarandy, stojące wzdłuż mojej podmiejskiej kalifornijskiej ulicy. W chwili zadumy dopada mnie nieznane uczucie przemykające gdzieś na obrzeżach świadomości. Gości tam przez moment i znika. Potrzebuję sekundy namysłu, by je nazwać. Wierzę, iż to może być szczęście.

Gdy coraz głębiej wsiąkam w codzienność, gęsta sieć tatuażu na moich ramionach daje do myślenia sąsiadom, że miałam inne życie. Patrzą na mnie z niewyraźnymi minami, kiedy stoję przed ich drzwiami z bożonarodzeniowymi ciasteczkami własnego wypieku, bo coś im się w tym obrazku nie zgadza. Jeżeli na przyjęciach koktajlowych napomknę o mojej gorszej przeszłości, otwierają szeroko oczy i śmieją się, niepewni, czy nie żartuję. Jestem przekonana, że Robin również prowadzi życie, jakiego się nie spodziewał. W 1997 roku była miss piękności USA wytoczyła mu proces, domagając się dziewięćdziesięciu milionów dolarów odszkodowania za rzekomy gwałt po podaniu narkotyków. Uniknął odpowiedzialności, bo chronił go immunitet dyplomatyczny, ale skandal miał zasięg międzynarodowy. Niedługo po tym rozeszły się drogi sułtana i księcia, gdy ten został oskarżony o sprzeniewierzenie trzydziestu miliardów dolarów z królewskiego skarbcza. Sprawa wciąż jest umarzana i wznawiana przez sądy, a wiele jego aktywów zostało przejętych i sprzedanych na aukcjach. Ostatnio nie stawił się przed Sądem Najwyższym Anglii, jest aktualnie objęty nakazem aresztowania. Śledzę jego perypetie

z pewnym zainteresowaniem, zastanawiam się, jak z tego wybrnie i co stanie się z jego żonami i dziećmi.

Niedługo wybiorę się w kolejny długi lot. Kilka dni temu otrzymałam telefoniczne powiadomienie z agencji adopcyjnej, że sprawa naszego syna przeszła przez sąd w Etiopii i została ustalona data podróży. Mam dziesięciomiesięcznego synka, którego po raz pierwszy zobaczę za dwa tygodnie. Widziałam jego zdjęcia, więc wiem, że ma ogromne czekoladowe oczy i jest niewyobrażalnie piękny.

Chociaż go tu jeszcze nie ma, codziennie odsłaniam kraciaste zasłony w jego pokoju. Staję w oknie i zastanawiam się, czy spodoba mu się widok, bo krajobraz u niego jest całkiem inny. Mój syn — w przededniu bardzo długiej podróży, jak na tak malutkiego chłopczyka. Obydwoje spotkamy się po długiej podróży.

Historia Szeherazady to opowieść o bajarce. Mamy nadzieję, że nasza opowieść okaże się również taką, która uratuje nam życie.

Mój synek ma na imię Tariku. W języku amharskim znaczy to: „jego historia” albo „jesteś moją historią”.